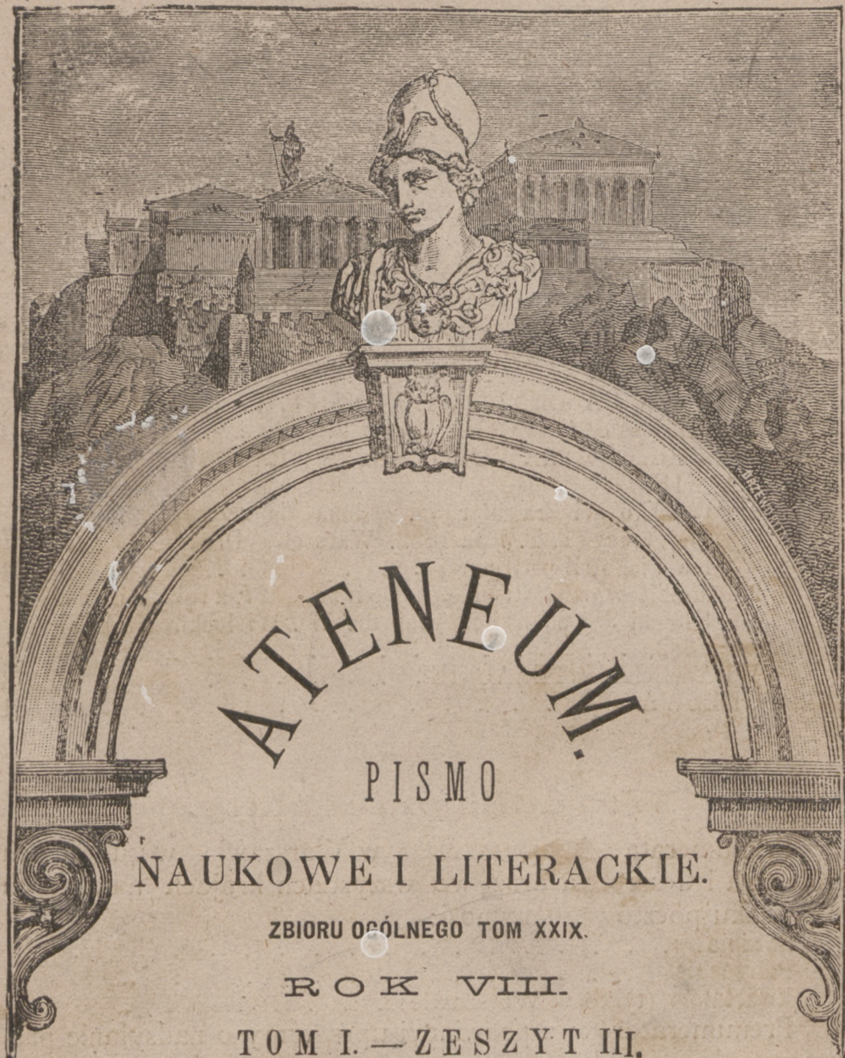


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIX.

ROK VIII.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1883.

SPIS RZECZY

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . **Rs. 12.**
Półrocznie . . . . „ **6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ **3**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM
Włodzimierska, 14.

Druk ukończono 28 Lutego 1883 r.

LIBERALIZM I OBSKURANTYZM
na Litwie i Rusi.
(1815—1823).

V.

Sprawa włościańska.—Stan prawny chłopów na Litwie i Rusi.—Proponowane reformy.—Waleryan hr. Strojnowski.—F. Paszkiewicz.—Ks. Bohusz. Lachniccy.—„Wiadomości Brukowe": machina do bicia chłopów.—„Gębacz."—Sejmik gubernii wileńskiéj.—Zmiana usposobienia w sferach rządowych.—Artykuł o poddaństwie w „Pamiętniku Naukowym."—Zajęcie się kwestyą wychowania ludu.—Werbunek szkolny.—Kwestya żydowska. Usposobienie względem Izraelitów.—Proponowane reformy nie przychodzą do skutku.

Wśród wielu kwestyj spornych istniała w téj epoce sprawa, co do któréj cała inteligencya, z małemi wyjątkami, jednakowe w punkcie zasadniczym miała przekonania, sprawa nadzwyczaj doniosłego znaczenia dla przyszłości narodu, sprawa, zajmująca już oddawna umysły rozumiejące jéj wagę, ale nie załatwiona przed rozbiciem Rzeczypospolitéj, pozostawiona smutném dziedzictwem potomkom pogrobowym, co już nie mogli samodzielnie rozstrzygnąć jéj w praktyce, a nie zawsze nawet mówić o niéj mogli swobodnie w teoryi.

Każdy z łatwością się domyśli, że sprawę tę stanowiła kwestya włościańska. Już wtedy w Europie zachodniéj zniknął surowy stosunek poddańczy między panem a chłopem, już wieśniak cieszył się swobodą, a nawet po większéj części własnością w téj lub innéj formie; już w Księstwie Warszawskiém a następnie Królestwie Polskiém, został człowiekiem wolnym, mogącym rozporządzać swoją osobą i własnością ruchomą; gdy na Litwie i Rusi samowładztwo pana nad chłopem trwało w całéj sile. Zbliżenie się polityczne do gubernij wielkorosyjskich, w których stosunek poddańczy przybierał formy stosunku rzeczowego, tak że osobę, czyli, jak powszechnie mówiono, *duszę* traktowano na równi z wszelką ruchomą własnością, zamieniając jednę na drugą lub sprzedając za gotówkę, zbliże-

nie się to, powiadam, przyczyniło się do pogorszenia wielce i tak już smutnego położenia, w jakiém się chłop litewski czy ruski znajdował. Chwilowe ogłoszenie wolności chłopa przez Napoleona przy wtargnięciu na Litwę, cofnięte natychmiast, jak tylko doszły wieści o tém, że włościanie wypowiedzieli dziedzicom swym posłuszeństwo, a gdzie-niegdzie nawet do jawnéj z niemi stanęli walki (1), zaostrzyło następnie jeszcze bardziéj ten bolesny stosunek pana do poddanego.

Znajdowali się wprawdzie tak zwani „rolnicy wolni,“ którzy rozmaitemi do tego stanu doszli sposobami; istniały w niektórych okolicach uregulowane na umowach wzajemnych stosunki jeszcze za czasów Rzeczypospolitéj np. Szczorse Chreptowiczów i wiele wsi na Żmudzi (2) albo téż i późniéj jak w dobrach Waleryana hr. Strojnowskiego (gub. wołyń.) w r. 1812; lub Ignacego hr. Marchockiego (g. podol.) w r. 1804; były to jednakże zbyt małoznaczne wyjątki, ażeby mogły wpływać na osłabienie powszechnie pod tym względem praktykowanych stosunków.

W stosunkach tych raziła spółczesnych nie tyle okoliczność, że chłop nie miał ziemi na własność, ile że był w zupełności oddany samowoli pana i dziedzica, że jego osoba i jego praca nie doznawały żadnéj ściśle unormowanéj opieki prawa. W Grodzieńskiém „pańszczyzna, czynsze i powinności nie są po większéj części oznaczone: ilość onych i rodzaj zawisły zazwyczaj od uczciwości, rozsądku i sumnienia właściciela, rękojmi wcale niepewnéj i odmieniającéj się wedle okoliczności, potrzeby i miejsca... Zaślubienia zmuszone i losowe, jakie jeszcze zdarzają się w dalszych guberniach, nie mają przecie miejsca w grodzieńskiéj. Lecz co nieskończenie sprzeciwia się prawu przyrodzonemu, jest to, że właściciel robi częstokroć trudności albo prosto (poprostu) zabrania dziewczynie chcącéj iść za mąż za chłopca ze wsi innego właściciela. Występek takowy obrażonéj ludzkości nie zwraca na siebie dosyć uwagi rządowéj“ (3). W gubernii mińskiéj „poddaństwo trwa w całéj sile; a chociaż znajdują się niektórzy obywatele, coby chcieli tę zawadę pomyślności krajowéj obalić; chociaż część znaczna drugich, opinią powszechną zastraszona, zdanie swoje pozornie do tego skłania; atoli uprzedzenie fałszywie zrozumianym interesem podsycone, nałogiem udawnione,

---

(1) Henryk Schmitt: Dzieje Polski XVIII i XIX wieku, tom 4-y, str. 232.

(2) Zob. „Dziennik wileński“ 1816, t. IV. 89.—Ignacy Lachnicki podaje ich liczbę na „kilka tysięcy familij (zob. „Biografia włościanina“, 1815, str. 43). W jednéj tylko gubernii Wileńskiéj, według spisu dokonanego przez rząd rosyjski w r. 1796/7, różnych chłopów wolnych naliczono 205,995 na ogólną liczbę włościan, 731,641 (De Pule: „Stanisław Awgust Poniatowskij w Grodnie“ 1871, str. 112.

(3) I. E. Lachnicki: Statystyka gub. litewsko-grodzieńskiéj 1817, str. 58, 59.

tkwi jeszcze silnie w umysłach wielu. Włościanie rozmaitą i pod różnemi nazwiskami znajomą powinnością obciążeni nie doznają innéj ulgi oprócz przemijającéj pociechy, gdy dostaną pana, co nowych im nie nakłada ciężarów. Zresztą zostając w ciągłéj niepewności i obawie, azali powinności ich roku jednego nie będą w następnym powiększone, muszą upadać w ochocie, gnuśniéć, nabywać ku panom własnym nienawiści i zgoła nie mogą myśléć o rozwinieniu przemysłu ani władzy umysłowéj“ (1). Na Podolu „wiele jest takich dziedziców, którzy brzydząc się patrzéć na ubogą lepiankę cnotliwego rolnika, obłożywszy go zatém zbyteczną pracą i wyciągnąwszy krwawych powinności *inwentarz* podług upodobania swego, zaprzedają go dzierżawcom lub téż powierzają barbarzyństwu ekonomów i chciwości komisarzy; sami zaś przejeżdżają się z jednych państw do drugich, nasycają się pięknych miast widokiem, bawią w nich i używają wszelkich zbytków i rozkoszy... Tymczasem dzierżawca, chcący z zarobkiem odzyskać włożone pieniądze, lub téż komisarze umiejący korzystać z niebytności pana w zrobieniu sobie nadal funduszu, gnębią i uciskają różnemi sposoby biednego rolnika, wyniszczają jego przyrodzone siły nieumiarkowaną pracą, wyzuwają go z dobytku bydła przewozami produktów i przyprowadzają do ostatniego ubóstwa i nędzy. W takim stanie rolnik, widząc się być wystawionym na złupienie i wyniszczenie siebie przez krwawą swą pracę, będąc człowiekiem poniżonym od równéj sobie istoty i do najlichszego rzędu zwierząt podobny, rozpaczą miotany w swém uciemiężeniu, udaje się do trunków, przerywa biedną niedolę obałamuceniem zmysłów przez pijaństwo, bo wtenczas, zapominając o niéj, zdaje mu się, że jest na krótki moment szczęśliwym. Baczny arendarz wioski o zapewnienie swych zysków, nie zaniedbuje korzystać z takiego stanu rolnika; trafia zręcznie w słabości jego, zachęca do trunku łatwym borgiem; i z tego-to względu rolnicy mają skłonność do pijaństwa, co przechodzi w nałóg“ (2).

W innych guberniach zapewne nie było lepiéj, aniżeli w trzech tu wymienionych. Do wszystkich zastosować można szczegóły następne: „Podatki, na *dusze* rozkładane, czynią to mniemanie w wielu właścicielach, że te (tj. podatki) sami wieśniacy płacić powinni dlatego jedynie, że na liczbę dusz są rozłożone; *rzadko który właściciel* chce uważać możność swego rolnika i swój dochód, aby z nim dzie-

(1) Józef Twardowski: „O teraźniejszym stanie oświecenia pospólstwa... w gub. mińskiéj z r. 1819 w „Dziejach Dobroczynności“ t. I, 169.

(2) Ks. Wawrzyniec Marczyński: „Statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie gubernii Podolskiéj. Wilno, tom II (r. 1822), str. 142—4.

lił podatkowanie wedle sprawiedliwości; ale *zwyczajniéj* wkładają się te podatki wszystkie na rolników dowolnością właścicieli..... Często także dziedzice zabraniają wywozić swoich urodzajów na targi do miasteczek rolnikom, ale rozkazują, aby wszyscy, którzy mają co przedać z urodzajów, przedali swoje zboża albo im samym, albo szynkarzom ich karczem i to dokładają w kontraktach szynkarzom. Oczywiście, że tu nie ma żadnéj konkurencyi między przedawcami których wedle siedlisk wsiów jest liczba znaczna, a jednym tylko kupującym szynkarzem czyli właścicielem, który stanowi cenę niby-to stosowną do téj, jaka jest w bliskich miasteczkach, ale stosowniejszą jeszcze do woli swéj“ (1).

Naturalnie ta samowola pana wywoływała w poddanym uczucie nienawiści: „obok chciwych i twardych zarządzań (panów) szły i towarzyszyły owym krnąbrne i nieprzychylne włościan posługi, oraz łakome zemsty z uciemiężyciela swojego zamiary. Chęć szkodzenia takiemu panu przez wszelkie możne (możebne) sposoby, skoro tylko uszkodzenie od kary i odpowiedzialności ukryć możném było, stawała się najprzyjemniejszą włościanina skłonnością, zamieniała się w pewny systemat z przekonania jego na sprawiedliwości i prawie odwetu ugruntowany. Tyle on dobrze i pilno robi, ile go straż czuła (czujna) do roboty przynagla; tyle od szkód wszelkiego rodzaju wstrzymuje się, ile go bojaźń kary srogiéj odstrasza. Przy pierwszéj zręczności, że szkoda dworowi zdziałana nie odkryje sprawcę, z największą lubością i smakiem ją spełnia ten nawet gospodarz, który względem innych najsumienniejszą zachowa uczciwość. Moralność włościanina względnie samowolnego właściciela na saméj tylko bojaźni ukarania stoi i opiéra się“ (2).

W określeniu tego stosunku, że był „okropnym“ (*horrible*) cała zapewne inteligencya zgadzała się z księciem Adamem Czartoryskim, ale bardzo niewielu podzielało z nim mniemanie, że znosząc go nie powinno się obawiać niczego (3).

---

(1) Waleryan Strojnowski: „Ekonomika powszechna krajowa narodów“; 1816, str. 50. Dodać tu należy, że pojęcie takiego sposobu opodatkowania polegało na wyraźnym przepisie prawodawstwa rosyjskiego, które dzieliło, jak i dotąd dzieli, obywateli na opodatkowanych i nieopodatkowanych; z czego wynika, iż podatek wkładany jest na osoby nie zaś na rzeczy. Strojnowski, innym przejęty duchem, przeciwko temu stosunkowi występuje.

(2) Ignacy Lachnicki: „Biografia włościanina nad brzegami Niemna powyżéj Łosośnéj mieszkającego“, 1815, str. 36, 37.

(3) Książę wypowiedział je w samych początkach panowania Aleksandra w jego przybocznym komitecie (Zob. art. A. Pypina: „Oczerki obszczestwiennago dwiżenija pri Aleks. I“ w „Wiestniku Europy“, 1870. kwiecień, str. 691).

Z wielką ostrożnością i niejaką nawet bojaźnią przystąpiono do odpędzania téj zmory od tak dawna duszącéj lud. Waleryan Strzemień z Strojnowa hr. Strojnowski na hrabstwie horochowskiém wydaje w Wilnie 1808 r. (a zatém w rok po ogłoszeniu zniesienia poddaństwa w Księstwie Warszawskiém) broszurę p. n. „O ugodach dziedziców z włościanami“ (str. 176), która w roku następnym wychodzi w przekładzie rosyjskim, a r. 1811 w języku niemieckim. W rozprawie téj Strojnowski, zdaleka rzecz obchodząc, wykłada najprzód, skąd w całéj Europie wzięła się niewola wieśniaków, jak się utrzymywała, jak zmniejszała i upadała w tych krajach, gdzie już jéj wtedy nie było, jak jest przeciwna prawu boskiemu i przyrodzonemu, jak smutna dla serca panującego, jak szkodliwa całéj ludności narodowéj, jak dalece zatrzymuje postęp uspołecznienia i wzrostu bogactw krajowych. Tak przygotowawszy umysły czytelników, powołuje się na ukaz Aleksandra I, który życzył sobie, ażeby właściciele uwolnili wieśniaków od poddaństwa sprzeciwiającego się „nauce chrześcijańskiéj, moralnéj i politycznéj.“ Równocześnie jednak Strojnowski ani na chwilę nie dopuszczał myśli, żeby ziemia nadaną być mogła włościanom na własność, i z oburzeniem mówił o mrzonkach „mniemanych przyjaciół ludu, filozofów,“ którzy „zjadając obiady u bankierów“ dybią na majątki właścicieli ziemskich. Strojnowski żąda tylko wolności wieśniaka i zabezpieczenia mu „własności osobistéj“ czyli dorobku, a nadto możności kupowania gruntów przez włościan. Tak postawiwszy kwestyą, Strojnowski dowodzi, że wraz z uwolnieniem chłopów, dziedzice nie utracą dochodu swego, gdyż włościanie winni będą dochód ten z gruntu właścicielowi oddawać; że takie ugody z właścicielami znajdują się wszędzie, gdzie lud jest wolny, gdyż wolność nie tylko nie odejmuje nikomu własności, ale ją owszem ubezpiecza. Przytaczał przykład Szwecyi, gdzie chłopi uczestniczą w sejmie, a zatém w rządzie, a mimo to nie mieli nigdy pretensyi ogałacania właścicieli z ich gruntów. Z całą siłą potępiał krwawe dzieła rewolucyi francuskiéj. Że dziedzic słusznie domagać się może dochodu z gruntów, uprawianych przez chłopów, tego dowodził Strojnowski twierdzeniem, iż dochód ten jest nie wynikiem pracy wieśniaka ale rezultatem pracy natury, dającéj urodzaj. Do niego więc chłop nie może rościć pretensyi najmniejszéj. Idzie tylko o unormowanie skali tego dochodu, który mógłby być uiszczany albo w pieniądzach, albo w produktach, albo w robociźnie. Według obrachunku Strojnowskiego, piąta część całkowitego urodzaju powinna pójść na procent od kapitału wyłożonego na początkowe koszta gospodarskie, dwie piąte powinny być zostawione rolnikowi dla wyżywienia go wraz z rodziną, dla wyżywienia bydła,

na zapłatę jego pracy i najemników, oraz na opatrzenie jego potrzeb; dwie piąte wreszcie stanowić mają dochód czysty, który się należy właścicielowi jako pozostające po potrąceniu wszystkich kosztów i po zapłacie wieśniakowi, jako dar przyrodzenia; dziedzic tedy bierze ten dochód tylko z ziemi jako jéj właściciel, ale nie z ręki wieśniaka.

Pomimo tak skromnych granic reformy, dowiadujemy się od Strojnowskiego (1), który w 8 lat potém ogłosił „Ekonomikę powszechną,“ gdzie też same myśli co do wieśniaków wyłuszczał, że wiele „umartwień“ doznał za swoje poprzednie pismo i że jedyną a najszacowniejszą za umartwienia tę nagrodę znajduje w nadziei „przyszłego“ pożytku, jaki rozprawa „o ugodach“ przynieść może zarówno dla właścicieli ziemi jak i dla wieśniaków. I w „Ekonomice,“ mając ciągle przed oczyma krwawe widmo rowolucyi francuskiéj i cofnięte przez następcę reformy Józefa II wszelką myśl *nadania* własności utożsamia z wydarciem jéj prawowitemu właścicielowi i woła: „Ten podział zniszczyłby *prawo własności*, byłby sam z siebie najniesprawiedliwszy, zrobiłby zamieszanie między wszystkiemi trzema wydziałami (2) ludności krajowéj, a właścicielom zostawiłby równe prawo gwałtu, aby oni żądali podziału majątku ruchomego między nich od dwóch wydziałów, przemysłowego i rolniczego, którzyby ziemię w podział zabierali, a taki rachunek wynagrodzenia i podziału... zostawiłby po sobie zniszczenie powszechnego porządku społeczeństwa i rządu. Taki kraj zamiast postępować w uspołecznienie i obfitość, rzemiosła i handel, wrzuciłby się w przepaść, z któréj *wiekami* dobywaćby mu się nanowo potrzeba... Własność majątku z życiem człowieka tak jest związana, że dla obrony téj wystawują je ludzie na niebezpieczeństwo i utratę; i dlatego kraj wojną napastowany broni się od napadu, że nieprzyjaciel ma w zamiarze niszczyć lub zabierać własność. Dla ubezpieczenia się przeciwko temu, utrzymują zbrojne siły wojskowe narody, a mniemani miłośnicy ludu radzą występnie też własności w wnętrznościach kraju rozszarpać, i oszczercy skromności wzbudzają pasye, na których gwałcie pragnęliby założyć łupiestwa swoje. Tacy nieprzyjaciele porządku i wywracający powszechne gospodarstwo, jako niebezpieczni i podejrzani, *powinni być na oku policyi*. Nauka bowiem ich byłaby podobna téj, któraby radziła kradzież, najazdy, rozbój i inne podobnych rodzajów występki własność zabierające i wydziera-

---

(1) Ekonomika powszechna krajowa narodów, 1816, str. 37.

(2) Strojnowski w całéj ludności widzi trzy tylko „wydziały“ t. j. właścicieli ziemi, rolników (tj. chłopów) i przemysłowców.

jące“ (§ 46 i 48). Strojnowski sądzi, że prawdę tę doskonale rozumieją sami wieśniacy: „Rolnicy zwyczajnie są ludzie rozsądni; rodzaj ich gospodarstwa i doświadczenie podwyższa ich rozsądek; dlaczego *do myśli ich przyjść nigdy nie może taka śmieszność*, aby oni chcieli się rozumieć właścicielami téj ziemi, któréj ani w przodkach swoich, ani przez siebie u nikogo nie kupili, ale ta dana im jest na opłatę od właścicielów“ (§ 119).

Stan ich u nas — zdaniem Strojnowskiego— nie tylko nie byłby nędzny, ale „daleko lepszy i wygodniejszy niż we wszystkich innych krajach Europy, byleby tylko wieśniacy mieli sprawiedliwość, iżby w miarę wartości swoich kosztów rocznych, potrąconych na sprawienie gruntu, który posiadają, opłacali czysty dochód pozostały z tychże gruntów dziedzicom pieniędzmi, robocizną lub ziarnem,“ byleby tylko „przyznani byli częścią ludności narodowéj i społeczeństwa narodowego, przez niezaprzeczenie im własności osobistéj, a zatém własności ruchoméj.“ Własność zaś osobista „ma najgłówniejszy w sobie przymiot *wolności osobistéj* i używania swoich wszystkich sił przyrodzonych na pożytek własny. Nie będąc właścicielem swéj osoby... nie może on użyć swego przemysłu i pracy podług zdolności swéj i chęci, ale musi stosować się w tém do woli tego, któremu jest podległym.... U nas można powiedzieć, że cały wydział rolniczy jest bez własności, gdy nie ma własności osobistéj; każdy jest w tym przesądzie zwierzchnik, mieniący się jego właścicielem, że może mu to zabrać, co on posiada. Jakoż to mniemanie nie ma omyłki, bo jeżeli samego człowieka zamieniać, przedać i darować komu innemu może, tém więcéj wątpić nie trzeba o takiémże prawie czyli pretensyi do jego ruchomości. Wydział przeto całéj ludności krajowéj przynosi niezmierne straty narodowi, nie mając własności osobistéj, a zatém żadnéj; zatrzymuje postęp narodowy w ludności, jego rolnictwo, przemysł, handel, bogactwa, postęp panującego w potędze i wszelką krajową pomyślność. A smutno wspomnieć, że zostaje prawie bez opieki społeczeńskiéj.“ (§ 54 i 55).

Tak więc, zapewnienie chłopom wolności i własności osobistéj oraz sprawiedliwego wymiaru téj roboty czy opłaty, jaką za grunt właścicielowi winni: oto punkta wytyczne reformy proponowanéj, ze względów ekonomicznych i humanitarnych, przez jednego z najświatlejszych owego czasu obywateli wołyńskich. Poza te punkta nikt się daléj na Rusi i Litwie nie posunął w całym rozpatrywanym tu przeciągu czasu; omawiano je tylko w słowach mniéj lub więcéj odmiennych, przytaczając czasami nowe motywa, albo raczéj retorycznie je amplifikując..

Wszystkie pisma peryodyczne po swém wskrzeszeniu lub założeniu, począwszy od roku 1815, z wyjątkiem „Miesięcznika Połockiego,“ przy każdéj sposobności wydobywały na jaw kwestyą włościańską z mniejszą lub większą dobitnością, przemawiały za konieczną potrzebą zarówno łagodniejszego obchodzenia się z chłopami jako téż prawnego unormowania stosunków pomiędzy panami i poddanemi. W „Dzienniku Wileńskim“ najczęściéj głos zabierał F. Paszkiewicz, poświęcający się naukowemu badaniu rolnictwa. W pierwszym zaraz tomie z r. 1815 znajdujemy list jego „o gospodarstwie w Szczorsach, gdzie, jak wiadomo, jeszcze za czasów Rzeczypospolitéj Joachim hr. Chreptowicz uregulował pracę włościan na podstawie umów. Paszkiewicz wystawia ten majątek jako wzór dla innych, jako „szkołę rolnictwa,“ w któréj przeprowadzono płodozmian i inne ulepszenia; porównywa ją ze szkołą rolniczą sławnego Thaera w Mögelinie i ze szkołą Fellenberga w Hofwylu; wykazuje, jak uwolnienie chłopów od pańszczyzny wielce się przyczyniło do wzmożenia ich dobrobytu, a zarazem i dobrobytu właściciela. — List ten był niejako przygotowaniem do rozprawy tegoż autora p. n. „Co było dotychczas i co jest na przeszkodzie dźwignieniu się rolnictwa w księstwie litewskiém,“ pomieszczonéj w drugim tomie „Dziennika Wileńskiego z r. 1815. Paszkiewicz za najpierwszą i najważniejszą przeszkodę poczytuje opłakany stan chłopów: „wszędzie się daje tylko widzieć juryzdykcya nieograniczona ze strony właścicielów i ślepa uległość ze strony rolników; żadnego zapewnienia dla nich praw i swobód dotychczas nie ma, nie są celem własnego szczęścia; nie dziw zatém, że rolnictwo w prowincyi naszéj w pierwiastkowym i prawie dziecinnym jest stanie, i nim ta klasa, opieki rządowéj potrzebująca, reformy zbawiennéj doczeka się, namienić nam tylko można i położyć ucisk rolników równie za przyczynę główną podupadłego rolnictwa i przeszkodę do dźwignienia się onego.“ — „Od momentu odmienionéj egzystencyi politycznéj... stan chłopów się pogorszył. Wszystkie ciężary są na nim oparte, a przez pozakładanie wielu nowych folwarków, przez źle zrozumiany wyrobek obszernych a nie wygnajanych jak w małéj części pól dwornych, pańszczyzna onych zwiększoną została. Bez własności, bez zapewnienia swobód, czas i siły swoje lichéj ekonomice dziedziców poświęcając, tracą energią i ochotę do poprawy bytu swojego i w nędznym żyją stanie“ (1).

---

(1) Inne prace F. Paszkiewicza w „Dzienniku Wileńskim“ są: r. 1816: „O przemyśle lnianym w Litwie,“ „Nowy sposób wyrabiania lnu i konopi bez kładzenia go do moczuły,“ „O nastaniu i pierwiastkowych czynnościach głównego towarzystwa rolni-

Pomijając różne tego rodzaju przygodne odezwy, niepodobna zamilczéć, że i ze strony ludzi, którzy pod innemi względami potępiali dążności wieku oświeconego, w sprawie włościańskiéj słyszymy też same głosy upominające o unormowanie stosunków. Prałat wileński ks. Ksawery Bohusz, były jezuita, wygłaszając w r. 1815 pochwałę Joachima Chreptowicza, streszcza „prawdy," które wyjaśnili pisarze nasi zajmujący się kwestyą uwolnienia włościan w 4-ch następnych punktach: 1) Ogłaszając wolność, trzeba ją zawsze jak najdokładniéj wytłómaczyć; prosty albowiem człowiek nie rozumie rozeznać wolności od niepodległości, a z tego źle zrozumianego słowa któż nie wie, „jakie w tych ostatnich czasach i jak okropne na ludzki rodzaj zlały się nieszczęścia..." Człowiek nigdy nie jest wolny w zupełności: „w tém większéj podległości żyć musi, kto z pracy rąk swoich szuka wyżywienia siebie i swojéj familii..." 2) Wolność włościanina na tém zależy, aby mu wolno było podług przepisanych formalności odmienić pana, kiedy mu się uciążliwym być zdaje, kiedy grunt, na którym siedzi, nie starczy na wygodne wyżywienie jego z familią; aby był panem osoby swojéj i majątku, który sobie zarobi pracą, przemysłem i sposobami prawem dozwolonemi.... 3) „Osobista wolność jeśli z innemi dobrodziejstwy połączona nie będzie, jeśli się nie uprzątną przeszkody, tamujące mu byt lepszy, nie tylko nie zrobi włościanina gospodarniejszym, ale go zrobi albo włóczęgą albo próżniakiem, a zatém takowa wolność ani krajowi, ani panu, ani samemu kmiotkowi korzyści nie przyniesie..." 4) Cztery są sposoby, któremi „nająć sobie przez umowę może włościanin część gruntu od właściciela": w jedném miejscu robi się umowa „na czas" t. j. na tyle a tyle dni robocizny, w drugiém — na „zarobienie pewnéj części dwornego gruntu," gdzieindziéj na „oddanie dworowi pewnéj ilości ziarna w naturze," nakoniec „na płacenie pewnéj ilości gotowego grosza." Za najlepszy sposób uznaje Bohusz umowę o „wyrobienie pewnéj części dwornego gruntu," jako na swobodnéj pracy wieśniaka oparty, „bez przykrego skrępowania co do czasu roboty" (1).

Takąż samę radę podaje Ignacy Lachnicki, właściciel majątku nad brzegami Niemna powyżéj Łosośnéj, który za „przykładne urządzenie gospodarki wiejskiéj" otrzymał był w r. 1810 od Aleksandra I order św. Włodzimierza 4 klasy. Opisał on obszernie w r. 1815 stan chłopów w dobrach swoich, ich gospodarstwo, ich prze-

czego w Anglii;"—w r. 1817: „Zastanowienie się nad teoryą różnéj płodności gruntów," „O temperaturze gruntów oromych;—w r. 1818: „Podróż do Rygi."

(1) Roczniki Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, tom X, str. 456—475.

myśl, ich pojęcia religijne, przyczém podał treść umów jakie z niemi zawarł, oraz poglądy swoje na oświecenie chłopów i ich stosunek do panów. Pragnie, żeby włościanom dana była wolność i zapewniona zupełna swoboda w zawieraniu umów z właścicielami; lęka się rządowéj pod tym względem interwencyi, która według niego może zerwać „ogniwo spójni i zaufania“ między właścicielem i wieśniakiem, a nadto stać się zarodem sporów i procesów. „Obawy filantropiczne, aby włościanin w umowach z właścicielem nie był skrzywdzonym“ stara się osłabić twierdzeniem, że wieśniak, znając doskonale wartość ziemi, nie da się oszukać, oraz przypuszczeniem, że właściciele powodowani szlachetnemi uczuciami ubiegać się będą „o chlubę z ofiary zyskowniejszych dla rolnika warunków.“ Prawo czuwać tylko powinno „nad dobrą wiarą umów,“ ostro karząc „złą wiarę wszelkich kontraktów zawodnych, podwójnym wyrazom i tłómaczeniom uległych, a stąd spory i procesa wyradzających“ (1).

Synowiec Ignacego, Ignacy Emanuel Lachnicki, redaktor i wydawca „Pamiętnika Magnetycznego,“ pomieszcza w drugim jego tomie (r. 1817) rzecz „O uwolnieniu poddanych w dobrach H.***“ Był-to wyjątek z dzieła Ludwika Henryka Jacoba, który napisał je z powodu konkursu ogłoszonego przez „Wolne imperatorskie towarzystwo ekonomiczne petersburskie“ na napisanie rozprawy rozstrzygającéj: czy pożyteczniéj dla właścicielów w Rosyi chłopów uwalniać czy téż w poddaństwie trzymać. Dzieło Jacoba dostało nagrodę w r. 1814. W wyjątku przełożonym i umieszczonym w „Pamiętniku Magnetycznym“ autor opisując powolny system uwolnienia włościan naprzód za robociznę, potém za opłatę (czy-to w zbożu, czy w pieniądzach) w obszernych dobrach hr. B., wykazuje nadzwyczaj zbawienny wpływ jego na umoralnienie, wzbogacenie chłopów, a nadto na dochody samego właściciela zwiększone o sześćset procentów. „Nadzieja — powiada — zostania przez pilność i porządek właścicielami ziemi przez się posiadanéj była najdzielniejszą do poprawy obyczajów sprężyną.“ Błyska więc już tutaj myśl „uwłaszczenia.“

Co autorowie tu przytoczeni i „Dziennik Wileński“ starali się osiągnąć drogą poważnych rozpraw, wystawiając pożytki z oswobodzenia włościan dla samych dziedziców płynące, to wywalczyć się starało „Towarzystwo Szubrawców“ bronią ironii i satyry, wytykając nieludzkość obchodzenia się z chłopami, egoizm szlachecki kastowy, nadużycia samowoli, nadmierne cierpienia wieśniaków. Sprawa ta wpośród wszystkich innych najwięcéj zwracała na siebie

(1) Biografia włościanina nad brzegami Niemna.... 1815, str. 48.

uwagę „Szubrawców,“ którzy także zazwyczaj do szlachty należeli i niekiedy „dziedzicami“ byli. W wydawanym przez siebie organie, w „Wiadomościach Brukowych“ nie pomijali najdrobniejszéj nawet okoliczności, by sprawę tę pamięci i sercu czytelników polecić. Naturalnie jako satyrycy niejednokrotnie w czarniejszych przedstawiali barwach nadużycia, niż one były w rzeczywistości; chcieli bowiem działać na wyobraźnią, chcieli obudzać litość dla uciśnionych a pogardę dla ciemiężycieli. Najgwałtowniéj występowali „Szubrawcy“ przeciwko dziedzicom w r. 1817. Nie zaznaczając tu wszystkich szczegółów téj walki z przesądami i egoizmem, trzeba jednakże wspomnićć o plastycznie uzmysłowionéj samowoli panów w karaniu wieśniaków, gdyż obraz ten nadługo utkwił w pamięci spółczesnych, jako symbol bezlitośnego pastwienia się.

W numerku 8 „Wiadomości Brukowych“ z roku 1817 pojawił się artykuł p. n. „Machina do bicia chłopów.“ Autor przedstawia się nam irocznie jako człowiek podzielający zdania téj części szlachty, która chłopu człowieczeństwa niemal odmawiała: „Łagodna namowa—powiada—i przekonanie rozumne nie ma władzy nad pojęciem chłopa. Bić go potrzeba, żeby uczuł; bić do półśmierci, żeby naprowadzić na drogę kierującéj nim woli; bić ustawicznie, żeby mićć zeń cokolwiek użytecznego; bić, bić i bić bez końca, ażeby pamiętał o sobie, o żonie, o dzieciach. Samo nawet bicie jak słabe na nim sprawia skutki! Uderz psa i każ leżćć: leży i wdzięcznie się łaszczy; każ szczekać, kąsać, warować: wnet czyni, co mu każą, a czyni z powolnością i—przywiązania do pana nie traci.“ Podobnież koń, wół lub jakiekolwiek inne bydlę. „A chłop: niech go uderzy wójt, dziesiętnik: nazad gotów oddać; niech namiestnik, ekonom, będzie mruczał, sarkał, narzekał; nabij go za leniwą robotę: chwyci się niby robić lepiéj i ogląda się, czy daleko od niego przypędzacz, i byleby się ten oddalił tak daleko, że go już nie widzi, zaraz chłop do łajania, do przeklinania, do tabaki, i nie tylko że sam nie robi, ale jeszcze i drugiego albo i kilku razem od roboty odchyli i zabawiać będzie. Częściéj bity zwykł nawet siedzibę naddziadów rzucać i pójść od pana, który mu dał ziemię, opatrywał zapomogą. Cóż nad tym dokaże łagodność i namowa, nad którym przywiązanie do rodzinnego miejsca tak mało ma władzy!“ Bolesna-to, krwawa ironia! Nie opuszcza ona autora i w dalszym ciągu, kiedy wystawia niedogodności bicia: jęki chłopów rozdrażniają czułe żony, które dostają spazmów; jęki wywołują u dzieci niewłaściwe spółczucie dla bitego: „Niech każdy kto ma czułe serce, przypomni (sobie), co kosztuje zdrowia jeden kwadrans tak nieznośnych głosów.“ Zapobiegnie temu machina do bicia, którą autor

szczegółowo opisuje, a która ma dwie główne dogodności: skraca czas drogi i oszczędza serce. „Wyrachowano matematycznie, że, licząc na 100 chłopów, krzyki i jęki w czasie bicia ręką do krzyków i jęków w czasie bicia machiną mają się następnie:

w czasie	jak	1	do	1500	
w liczbie jęków . . .	„	1,500,000	„	10	
w oszczędzeniu czułości,	„	1,500,000	„	1	

a wymiar „sprawiedliwości“ pozostaje zawsze jak 100 do 100.“ Autor z rozrzewnieniem dodaje· „o ileżby zmniejszyło się alteracyj, irrytacyj, spazmów i innych szkodliwych wzruszeń dla zdrowia pańskiego i samego pana, jéjmości, paniczów, panienek!“ Ale co więcéj i „sprawiedliwość“ zyskałaby na wprowadzeniu „machiny“ do praktyki życia, gdyż panowie częstokroć ustrzegliby się owéj natarczywości próśb, wstawiania się, „która przeciwny skutek sprawić może, a tém samém sprawiedliwość pokrzywdzoną zostanie.“ Na dzieło o tak użytecznym i pięknym wynalazku autor ogłasza „subskrypcyą,“ uprzedzając, że bynajmniéj nie domaga się pieniędzy z góry, pragnie bowiem znać tylko „imię i urząd subskrybenta“ oraz liczbę egzemplarzy zamówionych. Był-to zwrot podobny do zakończenia satyry Krasickiego „Odwołanie,“ kiedy satyryk oświadczył, że chce wszystkich wyszydzonych pochwalić i pyta, czy może teraz, kiedy chwalić będzie, wymienić ich nazwiska....

Zdaje się, że ta tak silnie wyrażona chęć tępienia złego w zakresie stosunków włościańskich główną była podnietą dla adwokata Ignacego Łagiewnickiego do założenia w końcu marca 1817 roku nowego organu humorystycznego p. n. „Gębacz,“ który między innemi postanowił nie pomieszczać takich artykułów, coby „prosto albo nieprosto dotykało czyjéj osoby“ a jednak od drugiego już numeru przepełniło się polemiką z „Wiadomościami Brukowemi“ i chociaż wprost nie stawało w obronie dziedziców, pośrednio atoli ganiło wszystkie pomysły „Szubrawców“ do napiętnowania ciemięzców dążące. Znajdujemy tu „list Gębacza do siostry Wiadomości Brukowéj,“ w którym czytamy: „Ichmościowie mniemający, że są dowcipnemi, do téj słabości przywiedli ciebie, że bez *machin*, łopaty, *kijów* i różnego innego gatunku szczudeł kroku jednego śmiało postawić nie możesz... Przypomnij sobie, że gdyś posadzona tyrańsko na machinie najeżonéj bizunami ledwieś się wlokła, oni krzyczeli, że ty wiatry wyścigasz i okrucieństwo w samém źródle zabijasz. Zastanów się tylko z zimną rozwagą, proszę, ile-to krętych manowców, *zarosłych samym szalejem*, przebyłaś nim twoje bizuny podniosłaś i razy liczyć poczęłaś, wtenczas gdy tak srogi występek, jakiém jest okrucieństwo, błyskawicą najdowcipniejszego szyder-

stwa razić albo mocą męskiéj wymowy gnębić należało.“ W numerze znów 4-ym posyła bilet siostrze „Wiadomości brukowéj“ z takim dla niéj nagrobkiem:

Tu leży biedna brukarka,
Krwi gnuśnych zwierząt szafarka.
Nanudziwszy bardzo wielu,
Pękła z niesmaku w gardzielu.

Jest-to alluzya do artykułu w „Wiadomościach Brukowych,“ gdzie w sposób ironiczny podano dziedzicom tani sposób żywienia czeladzi „juchą wieprzową.“

Na piątym numerze „Gębacz“ skończył swój żywot, oddając testamentem siostrze swojéj zauzurpowaną przez siebie „jednę attynencyą rozległéj majętności *Wady* zwanéj, któréj fundum, to jest samo siedlisko dzierży stale Wiadomość Brukowa“...

Nie skończyło się jednak na samych przygryzkach polemicznych; dowiadujemy się od Lelewela, że Szubrawców spotykały i pozwy za dotknięcie herbów szlacheckich na liberyi świetniejących (1).

Częścią w skutek tego oburzenia dotkniętych, częścią przez zamiłowanie wszelkich dążności liberalnych, „Wiadomości Brukowe“ zdobyły sobie wielki rozgłos i wywierały wpływ na szerokie koło czytelników. Gdy do tego działania na obudzenie uczuć szlachetnych przyłączył się jeszcze przykład prowincyj nadbaltyckich, w których ogłaszano włościan wolnemi, powstała myśl wśród szlachty litewskiéj z gubernii wileńskiéj podjęcia sprawy oswobodzenia chłopów w czynie. W końcu grudnia 1817 i początkach stycznia 1818 roku miał się odbyć sejmik gubernii wileńskiéj. Trzy powiaty dały zalecenie delegatom swoim, aby sprawę uwolnienia od poddaństwa popierali. Zawisza i Mirscy obstawali za tém najsilniéj, „Szubrawcy“ naturalnie poklaskiwali i roznosili pożądaną wieść po mieście.... Przeciwnikami projektu, jak powiada Lelewel, byli arystokraci, którzy „pościągali możniejszych partyzantów swoich do sejmiku nienależących, żeby ubocznie opierać się mogli.“ Jawną opozycyą miał stawiać wysadzony przez tę partyą niejaki Paszkowski. Gdy sejmik, powoławszy jednomyślnie Michała Römera na marszałka, czynności swoje rozpoczął, „niespodzianie w czasie obrad Paszkowskiemu na plecy odrysowaną szubienicę przypięto.“ Śmiechu i wrzawy było dosyć. Ale skoro tylko sesya się skończyła, na zalecenie księcia Lubeckiego, który jeszcze nie był objął urzędu gubernatora, wice-gubernator Plater salę obradową opieczętował, dał znać do

(1) Listy Joachima Lelewela. Poznań, 1878, I, str. 265.

policyi, że „się pełnią kryminały, że się na rozruch zanosi.“ Przez całą noc podwojone ronty chodziły po pustych ulicach, a raport policmajstra dał znać Platerowi, że „na nieszczęście nocy téj tak groźnéj żadnego szynku potajemnie otwartego nie znaleziono, ani baby pijanéj nie napotkano.“ Podniósł się krzyk na Platera o znieważenie obywatelstwa; otworzył on salę, ale już marszałek Römer w prywatnym domu obrady odbywał. Zawiszę i Mirskich przyzywał gubernator Lubecki do siebie, zapytując, czy nie opuszczą swéj sprawy; otrzymał odpowiedź nieugiętą. Pomimo bardzo czynnego popierania „sprawy arystokrackiéj“ przez takich bogaczów jak Pusłowski, krewny Lubeckiego, i Umiastowski, stanęło na tém, że naznaczono komitet, który miał ułożyć przedstawienie do cesarza Aleksandra o oswobodzenie chłopów, o polepszenie ich losu. Innych skutków wypadek ten nie pociągnął za sobą (1). Odpowiednie przedstawienie przesłano podobno do Petersburga, ale tam oziębłe je przyjęto a nawet zakazano mówić na sejmikach o wolności poddanych.

Czasy i usposobienia zaczynały już zmieniać się szybko. Pierwotne marzenia Aleksandra I o liberalnych urządzeniach tak w innych stosunkach jak i we włościańskich rozwiewały się, ustępując miejsca przekonaniu, że wszystko pozostawić należy w dawnym stanie. Takie poglądy w sferach najwyższych oddziaływały oczywiście na wszystkie inne; dziennikarstwo téż coraz rzadziéj sprawą włościańską zajmować się mogło, chociaż chciało. Widoczne tego ślady odnajdujemy w „Dzienniku Wileńskim,“ „Tygodniku“ i w „Wiadomościach Brukowych.“

W „Dzienniku Wileńskim“ na r. 1818 czytamy artykuł Michała Oczapowskiego, rozstrzygający pytanie: „czy pożyteczniéj jest dla właścicieli zarabiać grunta pańszczyzną czy najemnikiem“—naturalnie w sposób dla pańszczyzny nieprzychylny. W r. 1819 znajdujemy tamże „Kilka słów do chłopów kurlandzkich o najważniejszych szczegółach nowego urządzenia.“ Jest-to przekład rozprawy Jerzego Engelhardta, prezydenta komisyi prawnéj kurlandzkiéj, dokonany przez Franciszka Paszkiewicza. Autor przedstawia tu w spo-

---

(1) Opowiadanie o tym fakcie oparłem na sprawozdaniu Lelewela w liście z Wilna do ojca d. 22 stycznia 1818, a zatém bezpośrednio po wypadkach (zob. „Listy J. Lelewela,“ 1878, tom I, str. 297, 8).—To co w kilkanaście lat potém Lelewel napisał o tymże fakcie w artykule „Nadanie własności ziemskiéj włościanom,“ ogłoszonym r. 1831 w „Nowéj Polsce“ a przedrukowanym w zbiorze dzieł (tom VII, 177—184) zawiera daleko mniéj szczegółów, chociaż wogóle zgadza się z owém listowném doniesieniem. Nawiasem przypominam, że jest to ten sam sejmik, który upamiętnił Mickiewicz w przypisku ostatnim do XII księgi „Pana Tadeusza.“

sób jasny i popularny szczegóły, odnoszące się do oswobodzenia włościan i uregulowania stosunków, a zawarte w „ustawie dla chłopów“ zatwierdzonéj przez cesarza Aleksandra dla Kurlandyi w roku 1817. Przed tym komentarzem pomieścił przedmowę, w któréj z oburzeniem piętnuje tę myśl, że człowiek może być właścicielem sobie podobnego, że człowiek może człowieka przedać, darować, przegrać i jako rzeczy używać, że człowiek może użyć człowieka za narzędzie i nie dozwolić mu się oświecić.

W „Tygodniku Wileńskim“ jest ułomny wprawdzie pod względem formy, ale szlachetném uczuciem natchniony wiersz Włodzimierza Gadona o smutnéj doli wieśniaka, „którego udziałem niewola“ (r. 1818, VI, 214—218). Ma on napis: „Kmiotek w poddaństwie zestarzały czyli dziadek przy kolebce wnuka.“ Kwilącemu dziecięciu przyśpiewuje 90-letni staruszek, który niegdyś party niepokonaną żądzą wiedzy, zdobył ją przy pomocy zacnego proboszcza, wykształcił się wszechstronnie i miał już zawód czynny rozpocząć, gdy wtém *pan* jego, przybywszy w odległe strony, gdzie jego poddany pobierał nauki, „dowiódł inwentarzem dawnym,“ że ten wykształcony chłop to jego własność. Okuty w kajdany, zapędzony do dworu pana, co dzień słuchać musiał szyderstwa: „czy to zbieg uczony?“ Uciekł się do jedynego środka odurzenia—do wódki:

Tą trucizną wiele kmieci
    Zalewa pamięć niewoli;
Rozpajają nawet dzieci,
    Mówiąc: z balsamem mniéj boli...

Własném bolesném doświadczeniem zniechęcony, przepowiada i wnukowi życie zawodów i bólów pełne:

Wnuku, kwilisz, łza bez winy
    Często dni twoje zasępi,
Bo jeśli przez wielkie czyny
    Iść zechcesz, ród cię potępi.
Ten nie pyta, czyś jest zdolny...
Czyń, co każą, boś nie wolny!

Nie radzi téż wnukowi walczyć z losem i każe mu zawczasu przywykać do téj jedynéj doli: niewoli, srogiéj niewoli!

Nie będziesz kupcem ni w radzie,
    Ni w nauk katedrze siedział,
Wszędzie ród twój na zawadzie.
    Lepiéj, byś o tém nie wiedział,
Że są inne w świecie drogi...
Tyś tylko kmiotek ubogi!

Ubogi, gdyż całe życie,
Byś przez dzień i noc pracował,
Nic nie przysporzysz w twym bycie.
Panu wszystko los darował...
Koń, wół i wszystko w tym świecie,
Pańskim ty jesteś, twe dziecię!

Tylko w oświacie większéj rozbłysnąć może jutrznia pociechy:

Smutny wyrok na prawnuki!
Może też łaskawe nieba,
Z dzielnością światła nauki,
Wskażą, że wolności trzeba.
Może z tronu dobra dola
Przemówi: „znikła niewola“...

„Wiadomości Brukowe,“ oprócz wielu ubocznych wzmianek, umieściły w r. 1818 (Nr. 71) sprawozdanie swego „szlachcica na łopacie,“ w którém ten między innemi podaje niezawodny sposób zbogacenia się, przejęty od pewnego dziedzica: „Kupuj co rok wielkie majątki z bogatemi i zamożnemi chłopami, zniszcz ich w jednym roku pomnażając opłaty i powinności, a w roku następnym ręczę, że drugi taki kupisz, nie potrzebując pożyczać pieniędzy od nikogo. Ale w co się kraj obróci? — A co mnie tam do kraju: ziemia ziemią zostanie, chłop chłopem, a bogactwo do nas całkiem przejść musi.“

W roku 1819 (N. 159) „Wiadomości Brukowe“ zmieniają ton, wskazując przeszkody w urzeczywistnieniu pięknych planów. Czytamy tu o marzeniach szlachcica tego temperamentu, co to „kiedy się rozgniewa a wybić nie może, to choruje przez tydzień.“ Marzy sobie tak: „kasuję pańszczyznę, i wypędzam ekonoma, z chłopami wchodzę w umowę i pozwalam przechodzić, gdzie się im podoba, funduję szkółkę i temu podobne zakłady... widzę, jak chłop śmiało do dworu przychodzi, jak się nie tai ze swoim dobytkiem, jak staje się pracowitym, rządnym i bogatym; a najwięcéj cieszy mię to, że dzieci włościańskie, które niegdyś jak od wilka ode mnie uciekały, których piérogami nawet zwabić nie mogłem; teraz gdy się pokażę, otaczają mię wkoło, nazywając swoim jegomością. Postrzegam nawet, że się obyczaje chłopów poprawiają; gdyż, ile razy zwołam ich, aby za wspólną umową zboże mi wymłócili, to chociaż ich nie zamykam w gumnie na całą noc razem z ekonomem i klucza pod poduszkę nie kładę, nic mi przecie nie ginie...“ Ale cóż? gdy tak marzy i gdy chce już zasnąć, słychać dzwonek, zajeżdża policyant, już-to szukając biedaków, którzy się skryli przed uciemiężeniem swoich panów, już-to dla wyśledzenia, czy obywatel nie zbiera wojska przeciw krajowi, a najczęściéj, ażeby nastraszyć i wypić szklan-

kę ponczu.... „Pytam się, któż zdolny jest wytrwać tylu kłopotom, któż nie odrzecze się roli i wioski, aby tylko nie słyszał dzwonka?“

W owym też 1819 roku, który stał się stanowczo zwrotnym punktem ku surowéj reakcyi, nie tylko zewnętrzne przeszkody nie dozwalały mówić o sprawie włościańskiéj, lecz i z pośród saméj szlachty zaczęły odważniéj przemawiać wsteczne żywioły.

Młodzież, która świeżo ukończyła liceum krzemienieckie, zaczęła w r. 1818 wydawać czasopismo p. n. „Ćwiczenia Naukowe;“ w roku 1819 przemianowała je na „Pamiętnik Naukowy“ i tu wśród kilku innych liberalnemi dążnościami nacechowanych artykułów pomieściła rzecz „o pańszczyznie“ tłómaczoną z niemieckiego. Autor „od lat kilku gospodarstwem zatrudniony, żyjąc ciągle między ludem prostym“ podaje swoje spostrzeżenia co do moralnego i materyalnego wpływu pańszczyzny i swobody na dwu wioskach morawskich. A przytoczywszy zdanie tych, co chłopów w grozie tylko utrzymywać pragną, dodaje: „O, gdyby ci nędzni kaznodzieje raz jeden przynajmniéj ciężaru ich mozołów sprobowali i własném doświadczeniem nauczyli się, jak ich prace szacować i cenić należy; a zapewne wstydby ich ogarnął na samo wspomnienie, że winili rolnika o lenistwo wtenczas właśnie, kiedy z każdego kielicha wina, przy którym może to prawili, niejednę kroplę potu biednych swoich braci połykali.“ W przypisku dowodził, że w Polsce, gdzie „robotnik za nic,“ uwolnienie od pańszczyzny przyniosłoby jeszcze większą taniość robotnika tak, iż pieniądze za pańszczyznę opłacane wystarczyłyby na opędzenie kosztów najmu.

Zaledwie zeszyt z tym artykułem rozszedł się wśród czytelników, nadesłał ktoś niepodpisany artykuł p. t. „Uwagi o wolności poddanych w naszym kraju.“ Redakcya, aczkolwiek wcale nie podzielała zdania bezimiennego, umieściła jednak artykuł „dla rozwagi i wywołania odpowiedzi.“ Osnowa jego była następna: Lud nieoświecony staje się zwierzęciem; przykład na Francyi, gdzie wzruszono „wszystko, co uświęciły wieki;“ Austrya za Józefa II-go ledwie uniknęła podobnego losu; w Anglii r. 1795 króla Jerzego III napadło pospólstwo, a „niedawno ciskano kamieniami, strzelano w Rejenta.“ „W teorycznym rozbiorze—powiada autor — nie masz rzeczy, którychby użytek dowiedzionym być nie mógł; lecz doświadczenie przeciwne częstokroć pokazuje skutki.“ Jest to niejako przygotowanie do tego, że zniesienie pańszczyzny należy do dziedziny teoretycznych mrzonek. Ale roztropny anonim robi ustępstwa, przyznaje, że „systemat wolności rolników jest pożytecznym i konieczne potrzebnym w krajach mniéj obszernych a bez porównania od naszego ludniejszych.“ Dobre to dla zagranicy, ale nie dla

Rosyi, bo „w państwie większą część Europy i Azyi zajmującem, gdzie ludność w stosunku obszerności ziemi nie wynosi dusz dziewięciu na milę kwadratową, uwolnienie poddaństwa nie może być jak tylko szkodliwém, zagrażającém upadkiem rolnictwu w większéj części kraju, które stanowi całe jego bogactwo.“ Autor powołuje Szczęsnego Potockiego na świadectwo swego twierdzenia. Szczęsny Potocki zniósłszy w dobrach swoich pańszczyznę, musiał niebawem wrócić się do „zwyczajnego w kraju gospodarstwa,“ bo włościanie opilstwu oddani ani czynszów ani skarbowych podatków nie spłacali. Według autora pańszczyznę koniecznie utrzymać potrzeba, a dla polepszenia doli ludu dość się zrobi, gdy rolnik mający 8 morgów ziemi „w każdą zmianę“ będzie pracował 3 dni w tygodniu swojém bydłem dla właściciela; połowę tego gruntu posiadający połowę pracy wykona; zresztą uznaje tylko potrzebę „opieki rządowéj“ a przedewszystkiém zaprowadzenia szkółek, w czém odwołuje się do rad Krasickiego w „Panu Podstolim.“ Kończy charakterystycznie osłaniając swoje wstecznictwo miłością kraju: „Obywatel wierny tronowi, przywiązany do ojczyzny i w cnotliwém postępowaniu znajdujący własną nagrodę, świętą znajduje powinność odkryć w swojém piśmie to wszystko, cokolwiek krajowi szkodliwém być może.“

Ten głos obywatela, pełniącego „świętą powinność“ przez odradzanie oswobodzenia włościan, nie wywołał odpowiedzi. Wprawdzie „Pamiętnik Naukowy“ wkrótce po wydrukowaniu go przestał wychodzić; ale możnaby się było spodziewać, że w innych czasopismach znajdzie odparcie; napróżno jednak szukalibyśmy; kwestya uwolnienia od pańszczyzny przestaje być przedmiotem roztrząsań dziennikarskich. To, co obywatel pełniący swoję „świętą powinność“ uznał za najnaglejsze t. j. oświata ludu zajmuje odtąd rzeczywiście publicystów, którzy nie mogąc mówić o wolności włościan mówią o ich wykształceniu. Przedtém był-to przedmiot dyskusyi spółrzędny z oswobodzeniem, teraz staje się jedynym.

Kwestyi téj poświęcił Ignacy Lachnicki w swojéj „Biografii włościanina“ ustęp obszerny p. n. „o oświeceniu ludu wiejskiego“ (str. 96 — 137). Zdaniem jego oświata ludu nie może się zasadzać na czytaniu, pisaniu i rachowaniu; trzeba dbać o to, ażeby włościanin „miał co liczyć,“ a wówczas „nauka z łatwością przylgnie do umysłu.“ Chcąc ośmieszyć dążności liberalne w oświecaniu ludu za pomocą nauki, ucieka się do karykatury: „Gdyby dzisiejsza panująca opinia oświecenia ludu z takiém natężeniem rozszerzana.... popędem swoim zajęła i zagarnęła wiejskie osady, a rolnicy, przyjemną ponętą szczęścia i uzacnienia swojego zachwyceni, rzucili

lemiesze a wzięli się do książek i pióra, stodoły swoje zamienili w gabinety nauk, w archiwa i biblioteki, w jak prędkim i smutnym ogłodzenia stanie znalazłyby się żołądki uczonych!“ Naukę potrzeba zastosować do stanu i sposobu życia—powiada daléj ze stanowiska czysto utylitarnego—więc wieśniakowi naszemu potrzebną jest „nauka jego rękodzielni, potrzebne są ułatwiające i polepszające onę środki i pomoc, potrzebną jest *szkoła praktyczna rolniczéj uprawy*.“ Jeżeli dla braku zdolnych nauczycieli szkółki takie nie mogą być o tyle rozpowszechnione, o ile wymaga tego potrzeba i pomyślność kraju, to „niech przynajmniéj dwie-trzy parafie złączone, a choćby w początkach, *powiat* miał taką szkołę elementarną.“ Ta pierwsza szkoła zajmować ma obręb ziemi złożony z trzech lub więcéj włók; na tym obrębie okazywać się mają wszystkie ulepszenia w uprawie roli, mają być wprowadzone wszystkie narzędzia oszczędzające siłę człowieka, uprawa koniczyny i traw innych, uprawa kartofli i warzyw w ugorze; udoskonalony chów bydła i pszczół, wzorowy ogród i sad i t. p. Przy takiéj praktycznéj szkole osadzony „roztropny bakałarz przeznaczony do dawania nauki czytania, pisania i liczby *tym, którzy tego żądać mogą*, bardzo przyzwoicie znajdzie się na swojém miejscu.“ Włościanin zostawszy zamożnym, sam „bez musu ganiania“ zapragnie nauki. Dowodem „wolny rolnik żmujdzki“: w każdéj rodzinie jest jeden, który czytać i pisać umie i „ten pospolicie sprzedażą płodów gospodarskich, ich wywózką na zyskowniejsze targi zajmuje się.“

O ile Ignacy Lachnicki jako gospodarz praktyczny kładł nacisk na przygotowanie rolnika do jego zawodu, o tyle ekonomista Waleryan hr. Strojnowski, przerażony zmorą rowolucyi, dbały o zabezpieczenie prawa własności, będącéj „celem wszelkiego społeczeństwa,“ zaleca przedewszystkiém. ażeby w szkołach elementarnych uczono „o powinnościach i należytościach każdego człowieka“ a zatém o jego obowiązkach względem Boga i panującego, o poszanowaniu własności, o potrzebie i konieczności pracy; na drugim dopiero planie stawia naukę czytania, pisania i rachowania. Do rozszerzania *takiego* oświecenia zachęca ekonomika „bo jest tyle ludziom moralnie potrzebne, ile pokarm pierwszéj potrzeby do utrzymania życia.“ „Lud przy takiém powszechném oświeceniu będzie obyczajniejszy, pracowitszy i trzeźwy.“ Nauka o szanowaniu własności powinna stanowić „największy przedmiot“ tego oświecenia; im mocniéj ona „w umysły i serca od młodości wpajaną będzie, tém więcéj wykorzenić potrafi pasyj i ich podniety w ludziach, które najwięcéj rodzą się z zazdrości lub czuwania (*czyhania*) na

cudzą własność, aby jéj uszkodzić, a gdyby nawet można, zachwycić i z niéj korzystać" (1).

Te dwa sposoby zapatrywania się na oświatę ludu wypowiedziane równocześnie a niezależnie od siebie, są typowemi. Spólną ich cechą jest, że autorowie ci lękali się już wtedy wytworzenia proletaryatu inteligentnego, któryby był ciężarem dla kraju. „Zbytnia liczba uczonych,—a nie mających własnego funduszu do utrzymania się, im kraj jest uboższy a mniéj ludny, tém bardziéj krajowi staje się raczéj szkodliwa niż pomocna, a nawet i im samym; bo gdzież ta wielka liczba obrócilaby swe talenta; większa z niemi konkurencya mniéjby im dała spososobności do zyskania miejsca, któreby dogadzać mogło ich żądaniom" (2).

Obawa była niewątpliwie bardzo przedwczesna, a projektowanie szkółek rolniczych, do dziś dnia nieurzeczywistnionych, lub szkół parafialnych takich, w którychby uczono o powinnościach i należytościach człowieka, czego uczono w ówczesnych szkołach wydziałowych,—równało się niemal projektowi zarzucenia zupełnie myśli o oświacie ludowéj. Trudnoż było marzyć o zaprowadzeniu ulepszonego gospodarstwa wśród włościan, kiedy zamożna nawet szlachta bez niego się obchodziła, orząc ziemię po staremu. Łatwiéj-by było urzeczywistnić myśl Strojnowskiego, gdyby się znaleść mogli odpowiednio wykształceni nauczyciele; a że ich nie było, nic dziwnego, że ludzie pragnący rozszerzenia oświaty ludowéj nie czekali, aż nowe pokolenie bakalarzy elementarnych się wykształci, ale usiłowali z już istniejącego największą korzyść wyciągnąć i dlatego, o ile to było im możliwe, dążyli do zakładania i rozwijania zwyczajnych szkółek ludowych.

Wszystkie pisma ówczesne, z wyjątkiem „Miesięcznika Połockiego," przypominały dziedzicom i proboszczom ciążący na nich względem „poddanych" obowiązek: każde swoim sposobem i w swoim zakresie starało się podać najłatwiejsze środki rozpowszechnienia nauki czytania, pisania i rachowania, zalecając między innemi wielce wtenczas rozsławiony system „wzajemnego uczenia" Bella i Lankastra, chociaż znajdował on i przeciwników, którzy, jak np. Jędrzéj Śniadecki, drwili z niego nazywając systemem „wzajemnego nieuczenia się." Najwięcéj jednakże, najwytrwaléj i najgorliwiéj pracowało w tym kierunku czasopismo założone już w chwili przemagającéj reakcyi, w r. 1820, pod nazwą: „Dzieje Dobroczynności krajo-

---

(1) „Ekonomika powszechna krajowa narodów," 1816, str. 493.

(2) Tamże, str. 494.

wéj i zagranicznéj z wiadomościami ku wydoskonaleniu jéj służącemi.“

Pismo to wychodziło z polecenia Rimskiego Korsakowa, gubernatora wojennego litewskiego przez lat pięć w dwu seryach pod dwiema odmiennemi redakcyami. Pierwsza redakcya składała się z Ignacego Emanuela Lachnickiego, Aleksandra Marcinowskiego i Kazimierza Kontryma. Pod koniec pierwszego roku istnienia pisma zawiązał się „komitet naukowy w przedmiotach dobroczynności w Wilnie,“ do którego oprócz dopiéro co wymienionych weszli: Tomasz Życki, Michał Poliński i Jan Wolfgang profesorowie uniwersytetu, daléj ks. Eliasz Sieradzki rektor wileńskiego zgromadzenia pijarów, Józef Jankowski doktór medycyny i Ignacy Jundziłł sekretarz Towarzystwa Dobroczynności; na prezydenta obrany został Andrzéj Bucharski dyrektor poczt litewskich. W r. 1821 od lutego obowiązki sekretarza pełnił znany późniéj z wielostronnéj pracy literackiéj Leon Rogalski. Od r. 1823 zmienia się redakcya, któréj ster obejmuje ks. Michał Olszewski, wprowadzając obszerny dział „rzeczy duchownych“ a bardzo uszczuplając sprawozdania o stanie szkółek elementarnych, które za poprzedniéj redakcyi po „dobroczynności“ pierwsze zajmowały miejsce.

Istotnie „Dzieje Dobroczynności“ w pierwszych trzech latach swego istnienia pomieściły bardzo wielką ilość wiadomości o szkółkach parafialnych, zaznajomiły obszernie z metodą Bella i Lankastra, zachęcały do szerzenia oświaty wszelkiemi sposobami, publikując to, co dla niéj zrobiono lub zamierzano zrobić, opisując wzorowo prowadzone szkółki, drukując odezwy biskupów do duchowieństwa, o ile się odnosiły do obowiązku nauczania, ogłaszając imiona zasłużonych itp.

Z pomiędzy wielu artykułów zwrócę uwagę na dwa. Jeden z nich pióra Jana Chodźki, autora wielce wziętéj swojego czasu książeczki ludowéj p. n. „Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący,“ człowieka nader cenionego i szanowanego przez spółczesnych i potomnych, ma napis: „O szkółkach parafialnych i wiejskich.“ Zacny obywatel gorąco tu przemawia za sprawą ludu: „Duch czasu, w jakim żyjemy, przykłady ościennych narodów... zachęcenia ze strony władz edukacyjnych tylokrotnie ponawiane: wszystko to przekonać nas powinno, iż przyszła chwila, w któréj polepszeniem doli najludniejszéj narodu części zająć się należy; że pora jest obudzić w nas samych uczucia najgłówniejszych obowiązków religii i moralności, przesądami i zakorzenionym nałogiem uśpione; że istotne bogactwo kraju, a tém samém szczególne doli każdego wła-

ściciela ziemi ulepszenie, nie tylko nie przeszkadza oświeceniu rolników, lecz owszem podniesienie ich ze stanu upodlenia i ciemnoty, zaszczepienie w ich potomkach cnót towarzyskich, ukazanie stosunków, jakie ich nierozerwanie z innemi stanami narodu połączają, podanie trafnych sposobów do rozwinięcia przemysłu, nakoniec wzbudzenie szczerego przywiązania do stanu, w jakim się urodzili, jest koniecznym wypadkiem dobrze zrozumianego własnego nawet interesu, jest potrzebą nieodbitą, któréj wypełnieniem zająć się nieodwłocznie należy." A jakoby wchodząc w myśl owego bezimiennego autora, który przed oswobodzeniem włościan radził ich oświecić, Chodźko pisze: „Oświecenie rolników, założenie i upowszechnienie szkółek przeznaczonych szczególniéj do uczenia ich dzieci, najskuteczniejszym stanie się środkiem do przyszłéj a *koniecznie nastąpić powinnéj* odmiany ich losu. Podniesienie ich umysłu, sprostowanie serca, wykorzenienie naciągniętych w domowém wychowaniu wad i nałogów, zaznajomienie z obowiązkami, jakie pełnić w stanie swoim mają, wpojenie gruntowne słuszności prawideł, na podstawie których wzajemne ich dla właściciela ziemi i tego dla rolnika zachodzą obowiązki; nakoniec podanie prostych sposobów, doświadczeniem wspartych, tak uprawy roli jako też i innych przedmiotów gospodarstwa wiejskiego, któreby korzystniejszą i przyjemniejszą ich pracę uczyniły,—główną ma być zasadą nauk po szkołach rzeczonych dawać się mających." W planie nauk, na lat cztery rozłożonych, łączy Chodźko wzgląd na potrzeby praktyczne rolnika z koniecznością podania mu środków wykształcenia. Plan-to obszerny; obejmuje osiem przedmiotów: 1) naukę religii, 2) naukę moralną, 3) naukę czytania i pisania, 4) naukę liczby, 5) ogrodnictwo, 6) rolnictwo, 7) budownictwo, 8) technologią (o bieleniu płótna, farbowaniu nici wełnianych i lnianych). Rękodzieł i rzemiosł do szkółek wiejskich zaprowadzać nie radzi (1).

Drugi artykuł, na który chciałbym zwrócić uwagę, to raport Józefa Twardowskiego, późniejszego rektora uniwersytetu wileńskiego, „o teraźniejszym stanie oświecenia pospólstwa, tudzież o szkołach parafialnych i o funduszach na ubogich uczniów w gubernii mińskiéj" (*Dzieje Dobroczynności* I, od str. 169). Jest-to nader szczegółowe i sumienne sprawozdanie z wizyty odbytéj celem przekonania się, w jakim stanie znajdują się szkoły gubernii mińskiéj. Na samém zaznaczeniu faktów już to pocieszających już bolesnych nie ograniczył się Twardowski, podał on zarazem środki polepszenia by-

---

(1) „Dzieje Dobroczyności," r. 1820, t. I.

tu szkółek, wskazał ukryte fundusze, które na ten cel użyte być mogły. przedstawił swój pogląd na zadanie wykształcenia elementarnego. Na zakończenie arytmetyki radzi wskazać, w większych przynajmniéj szkółkach, sposoby utrzymywania rejestrów gospodarskich i handlowych. Kładzie nacisk na potrzebę oświecania uczniów „względem rzeczy pożytecznych i szkodliwych zdrowiu, mianowicie o sposobie szczepienia ospy.“ W czasie letnim proponuje, żeby raz w tydzień uczniowie uczyli się szczepienia, oczkowania, a także sadzenia pożytecznych roślin i sposobu obchodzenia się z niemi; jak nie mniéj z pszczołami i bydłem; dlatego téż przy każdéj szkółce pożądany byłby ogródek mieszczący w sobie mały sadek i pasieczkę. Spisuje nieliczny wtedy zbiór książek do czytania dla ludu, w śpiewie zamiast kantyczek doradza zbiór pieśni nabożnych Karpińskiego i innych.

Takie przekonania wśród inteligencyi oddziaływać musiały chociaż powoli i w bardzo szczupléj mierze, na ogół; staranie o zaprowadzenie szkółek ujawnia się w tym czasie wszędzie na Litwie i Rusi; duchowieństwu ówczesnemu oddać należy pewne uznanie za trudy w tym kierunku podjęte, które jakkolwiek cyframi bynajmniéj nie imponują, ale w każdym razie wobec apatyi szlachty pięknie odbijają. Na zaszczytną wzmiankę zasługuje działalność księdza Stanisława z Żantyr, który osiem szkółek z własnego funduszu utworzył i utrzymywał (1). Z pomiędzy świeckich wyróżnia się Aleksander hr. Pociej, który otworzywszy szkołę w Stolinie (w pow. pińskim), uczniów przy niéj z odleglejszych włości własnym kosztem utrzymywał, daléj Ludwik Rozwadowski, który skończywszy uniwersytet wileński, osiadł w Bołoczycach i kształceniem chłopców wiejskich się zajmował; a daléj jeszcze Józef Twardowski, Jan Gieczewisz, pani z Platerów Aleksandrowiczowa, Ignacy Karp i inni. A to wszystko tylko na Litwie, nie wchodzą w ten spis osoby z Wołynia, Podola i Ukrainy (2).

---

(1) Dzieje Dobroczynności“ t. I, str. 440.

(2) Dla przykładu przytaczam ilość szkółek parafialnych w trzech guberniach: grodzieńskiéj, mińskiéj i podolskiéj.

a) W gubernii grodzieńskiéj r. 1817 na 536,163 ogółu ludności było szkółek 40, nauczycieli 44, uczniów 469, uczennic 79.

b) W gubernii mińskiéj r. 1819 na 300,000 ogółu chłopów szkółek 30, nauczycieli — ? uczniów 595, uczennic — ?.

c) W gubernii podolskiéj r. 1821 na 1143,269 ogółu ludności szkółek 44, nauczycieli — ?, uczniów 881, uczennic — ?.

Dane te co do gub. grodz. wzięte są z dziełka J. E. Lachnickiego („Statystyka gub. lit. rodz.“ str. 33, 74—76); co do gub. mińskiéj z raportu Józefa Twardowskiego w „Dzie-

Dla przywabienia i zwerbowania uczniów do szkoły używali niektórzy szlachetni rozpowszechniciele oświaty środków dowcipnych. W Chlewiszczach np. (pow. brzeski, gub. grodzień.) nauczyciel wysyłał po kilkunastu chłopców ze swéj szkółki, dobrze już umiejących czytać i śpiewać, do wiosek przyległych. Ci przybywszy do któréj z nich, stawali na środku ulicy, rozwijali czerwoną chorągiew, na któréj było w transparencie wyrażone jasno-żółte słońce w promieniach z napisem: „rozpędza ciemności.“ Dzwonili w dzwonki, grali na piszczałkach i bili w bębenek śpiewając na nutę „Powiedzcie pasterze mili:“

Powiedzcie, cni gospodarze,
Dal-li wam Bóg dziatki w darze?
Niech się z nami poznają,
Po co przyszli, spytają.
Wynidzcie, dziatki, prosimy,
Wiedzcie, że was nie wzgardzimy,
Choć biednych, odartych, nieśmiałych.
Choć ciemnych, wyśmianych i małych.
I my podobni wam byli,
Gdyśmy do szkół nie chodzili;
Dziś lepléj wyglądamy.
Więcéj rozumu mamy.
Wiemy, co było przed laty,
Gdzie król jaki, kraje, światy,
Napisać, zrachować, przeczytać,
Pomówić, zaśpiewać, przywitać.
Gdzież my się tego uczyli?
Tu się w Chlewiszczach zrodzili,
Tam pan dobry bez straty,
Bez nagrody, zapłaty,
Nie czyniąc żadnéj różnicy,
Z całéj bliskiéj okolicy
Dziateczki rolników nas zbiera
I światło w swéj szkole otwiera.
Chłop jest, mówi, bratem moim,
My go zowiem ojcem swoim.
Dziś panowie nie tacy,
Nie mówią, że wieśniacy
Różnicy z bydłem nie mają,
Owszem chłopkom powiadają:
Wieśniacy oświatę niech znają;
Stąd po wsiach swych szkoły stawiają.
Chodźcież więc do szkół, prosiemy,
Do rejestru was wpiszemy.
Do szkół brać nic nie trzeba,
Tylko kawałek chleba,
Bat lub łapcie, sukman zdarty
I książeczki mądre karty.
Z ochotą do szkoły przychodzą,
Czytaniem, pisaniem czas słodzą.

Dzieci wiejskie słuchały ciekawie, ośmielały się, wchodziły z przybyłemi w rozmowę, późniéj wdawały się w gry różne szkolne a szczególniéj w piłkę; w końcu brały dowód przyjęcia do szkoły, to jest bilet ze złoconego papieru, przyczém śpiewano:

Przymicież więc ten bilet złoty,
On da rozum, wiarę, cnoty.
Pódźcież, mile dziateczki,
Do chlewiskiéj szkóleczki,

---

jach Dobroczynności“ r. 1820; co do gub. podolskiéj z dzieła ks. Wawrzyńca Marczyńskiego („Statystyczne itd. opisanie gub. pod. Tom II z r. 1822, str. 72—75 i III, 246—312). Wszystkie dane we wszystkich tych sprawozdaniach są przedstawione szczegółowo Że jednak nawet wśród tak szczupłéj liczby uczniów mało było chłopów, wnosić można ztąd, że w gub. mińskiéj na 595 uczniów, chłopów było tylko 150.

Wy, rodzice, błogosławcie,
W naszém gronie ich postawcie,
Kwapcie się, dziateczki, wołamy
I jako brat brata witamy.

„Zdarzało się nieraz—opowiada spółczesny—iż gromady dzieci wsi przyległéj same przybiegały do Chlewiszcz bez wiedzy nawet rodziców i ledwo po kilku dniach bywały znalezione. Nadto śpiewanie uczniów w kościele mszy łacińskiego i ruskiego obrządku, czynione odpowiedzi na pytania katechizmowe i opowiadane historye z pisma ś. podług książki Fleury'ego całe wsi okoliczne wzruszały do oddawania dziatek do szkoły tak dalece, iż nie tylko przed wojną (r. 1812) ale i podczas *jéj* i póżniéj nie się liczba uczących w tych wszystkich 3 klasach nie umniejszała. Ubolewać tylko należy, iż przykład plebana nie nadto skłaniał bliskich obywateli, jeżeli nie do czynienia podobnych zakładów, tedy przynajmniéj do zachęcenia swoich chłopów, ażeby do chlewiskiéj szkółki dziatki posyłali" (1).

Ktokolwiek pisał wówczas o włościanach, musiał koniecznie potrącić o żydów. Za jednę z najważniejszych przyczyn nieszczęsnéj doli chłopa wszyscy jednozgodnie podają arendy szynków trzymane przez lud Izraela, oraz handel i przemysł w ręku żydów zostający.

Ignacy Lachnicki poświęciwszy 40 blisko stron rozbiorowi stosunków pomiędzy chłopem a żydem, dochodzi do wniosku, że „dopóki przemysł i handel w rękach narodu żydowskiego bezwyłącznie ostanie się i między obywatele i mieszkańce kraju nie podzieli się—a pewnie dopóty przy nim zostawać będzie, dopóki narodowość żydów mocą religii wsparta jedno ogromne składa ciało, z którém bez hazardu straty i upadku żadne poszczególne osoby ani towarzystwa współubiegać nie odważą się—trudno się przekonać, aby byt i pomyślność kraju wznieść się mogły. Wszelkie pomoce i wysilenia się rządu za podniesieniem rolnictwa, za ulepszeniem bytu rolnika ostaną się próżne, ani dobrodziejstwa wolności, ani dary oświecenia i saméj nawet nauki do stanu zastosowanéj nie będą dość silne ustalić... wiejskiego rodu szczęście, dopóki ten przemysłem obcego ziemi swéj narodu zostawać będzie ujarzmiony" (2).

Ignacy Emanuel Lachnicki zestawiwszy stan chłopa litewskiego pod względem materyalnym i umysłowym ze stanem chłopa czuchońskiego, powiada: „Jedna z przyczyn najgłówniejszych i naj-

(1) „Dzieje Dobroczynności" t. I. str. 143—5.

(2) „Biografia włoscianina nad brzegami Niemna" itd. str. 181, 161.

czynniejszych tego stanu chłopa, godnego politowania, są żydzi. Prawda rzeczona jest tak widoczna i tyle razy już dowiedziona przez innych, iż nie potrzebuje być tu roztrząsana" („Statystyka gub. grodzień. str. 58).

Franciszek Paszkiewicz roztrząsając przeszkody do dźwignienia się rolnictwa i robiąc aluzyą do ukazu Aleksandra, który w r. 1804 kazał żydom z karczem po wsiach się oddalić, co jednak niebawem cofnięto, tak mówi: „Klasa żydów dla rozludnienia się swego w naszéj prowincyi i dla znacznéj masy kapitałów, które w rękach swych obraca, byłaby dla kraju użyteczną, gdyby ukaz pod rokiem 1804 do skutku przywiedzionym został. Wsie i karczmy uwolniłyby się od żydów, pracę rolników konsumujących: ciż żydzi zajęliby się koniecznie rolą i pomnożyliby reprodukcyą krajową, którą teraz zjadają, nic się ze swéj strony do uprawy roli nie przyczyniając. Klasa ta, bez wyrażonéj reformy, jako zarażająca obyczaje i ubożąca chłopów, jest i będzie szkodliwą dla kraju i w połowie przyczynia się do ruiny rolnictwa" (1).

„Żydzi—pisze ks. Marczyński—składając w państwie, które ich cierpi, oddzielny naród, mający swoje prawa i wykonawczą władzę w swojém duchowieństwie, prześladują i nawet karzą każdego takiego zmiędzy swoich, który wspólnie i odpowiednie potrzebie ogólnego interesu nie czyni. Jedyną ich troskliwością jest unikać wszelkiéj pracy, żyć kosztem chrześcijan oszukaństwem i przez różne podstępy oraz skryte między sobą związki przyciągać do siebie wszystkie bogactwa; trafiać w słabości rządzących i na korzyść swoję usposabiać; odwodzić lud rolniczy od moralności i ten rozpajać, niechęcić jednę klasę ludzi przeciw drugiéj i takiemi wykrętami zbliżać dla siebie zaufanie, dla łatwiejszego obu stronom zawodu. Żydzi przeszkadzają ludziom innego wyznania w handlu, a we wszystkich nieszczęściach krajowych do żadnéj z siebie nie chcą należéć ofiary, korzystają tylko zręcznie z wypadków: a tak nie tonąc w powszechnéj powodzi, tuczą się powszechnego nieszczęścia żywiołem. Związek tedy taki jest niebezpieczny w każdym kraju, a tém więcéj czuć się daje w narodzie tym, gdzie ich ludność do tak wielkiéj doszła liczby" (2).

Wobec takich i tak stanowczo wypowiadanych opinij o szkodliwości żydów myśl sejmu czteroletniego, popierana gorliwie na Rusi przez Tadeusza Czackiego, nie mogła ani tu ani w Litwie znaleść

---

(1) „Dziennik Wileński", 1815, tom II, str. 257,8.

(2) „Statystyczne.. opisanie gubernii podolskiéj", t. II (z r. 1822), str. 100,1. Na Podolu stanowili wtedy żydzi siódmą część ludności gubernii (tamże, str. 102).

tak sympatycznego odgłosu jak w Królestwie Polskiém ówczesném. O równouprawnieniu i uobywateleniu myślało bardzo niewielu; przeważnie zaś zajmowano się tylko kwestyą, jak zło ekonomiczne usunąć.

Byli widać dość liczni zwolennicy radykalnego środka, polegającego na tém, żeby wszystkich żydów z prowincyj polskich „zabrać i zaprowadzić ich na stepy, tam zrobić z nich prowincyą udzielną jakby narodu czyli ludzi osobnych, mających oddzielny język, religią i obyczaje; tam dać ziemię do rolnictwa, którzyby tém zatrudniać się chcieli, a dla innych dać sposób zarobku w rękodzielniach założyć się mających, skądby kraj miał miéć pożytek.“ Dość liczni--powiadam—musieli być zwolennicy tego projektu, którego autor czy autorowie nie są mi imiennie znani, kiedy poważny ekonomista Waleryan Strojnowski poświęcił w swéj „Ekonomice“ cztery stronice *in-folio* na zbijanie go z punktu tolerancyi religijnéj, uczucia ludzkości i względów ekonomicznych (str. 377—381).

Ten właśnie Waleryan Strojnowski był stronnikiem innego projektu, podzielanego przez większość inteligencyi a dążącego do zużytkowania sił żydowskich produkcyjnie. Jak Paszkiewicz tak i on powołuje się na nieuskuteczniony ukaz z r. 1804, który był w gruncie rzeczy rozwinięciem § VII projektu podanego na sejmie czteroletnim. Niech żydom wolno będzie zarabiać na życie w takim stanie, jaki sobie który obierze, wyjąwszy „szynki po wsiach przez żydów szkodliwie dla rolników i kraju utrzymywane;“ a więc niech wolno będzie zostać rolnikiem, albo przenieść się do jakiego miasteczka lub miasta, trudnić się rzemiosłem lub handlem, a nawet i szynkowaniem--w miastach. Strojnowski wykazuje, że projekt ten jest do urzeczywistnienia możliwy i że krajowi niewątpliwą korzyść przyniesie, a żydom zapewnia wolność osobistą i własność (1).

Najszczegółowszym i najszerszym, bo i ucywilizowanie żydów na celu mającym, był projekt ks. Wawrzyńca Marczyńskiego (2). Zgadzał się ks. Marczyński z innemi a więc i ze Strojnowskim w tém, iż należy żydów od karczem po wsiach oddalić, ale równocześnie doradzał wiele środków, mających na celu zapobieżenie zbyt wielkiemu rozradzaniu się ludności żydowskiéj, tajeniu jéj wobec rządu,

(1) „Ekonomika powszechna krajowa narodów,“ 1816, str. 375—377.

(2) Nie wiadomo, o ile projekt samemu księdzu Marczyńskiemu przypisać należy; w pracy bowiem swojéj o żydach, pomieszczonej w II-m tomie „Statystycznego opisania gub. podolskiéj.“ (str. 87—123) oprócz broszur drukowanych, zużytkował on, według własnego wyznania, rękopism Tadeusza Sarneckiego, marszałka powiatu kamienieckiego, o żydach traktujący.

przemytnictwu, stanowieniu państwa w państwie, a dążących ku zastosowaniu oświaty żydów do potrzeb kraju. Niektóre z tych środków były zupełnie słuszne a nawet konieczne, np. robienie aktów stanu cywilnego za wiadomością władzy miejscowéj, wciągnięcie żydów do poboru rekruckiego, zobowiązanie chodzenia do szkół zostających pod dozorem uniwersytetu wileńskiego i zaopatrzonych przezeń w nauczycieli (koniecznie chrześcijan według Marczyńskiego), wymaganie od rabinów, duchownych, radnych w magistracie, (kupców i pocztmistrzów), świadectw z odbycia nauk w szkołach publicznych. Inne środki miały znaczenie administracyjne np. zakaz mieszkania żydom w promieniu pięciu mil od granicy, ażeby zapobiedz ich trudnieniu się kontrabandą. Ale są i takie pomiędzy projektowanemi przez ks. Marczyńskiego środki, które tchną zachciankami despotycznemi, np. ostra cenzura wszystkich ksiąg żydowskich, któraby wymazywała z nich wszystko to, „coby się tylko sprzeciwiało zamiarom krajowego rządu i ogólnemu dobru chrześcijaństwa“, albo nakaz życia w wieczném bezżeństwie tym wszystkim żydom, którzy nie mają kapitału 500 rubli albo rzemiosła, „chyba gdyby się wynieśli w przeznaczone dla nich osady;“ albo przepis, żeby majątek każdego żyda wiadomy był miejscowéj władzy rządowéj i ażeby spadał on w równéj mierze na płeć żeńską i męską: „jak tylko która żydówka ochrzci się, część jéj posagowa ma być natychmiast przez miejscową cywilną władzę na pieniądze gotowe przeistoczona i w powszechną gubernialną *opiekę* na piąty procent wniesioną do czasu pójścia jéj za mąż; procent ten służyć ma na wyżywiewie tych neofitek, którym najprzyzwoiciéjby było mieć schronienie do czasu pójścia za mąż po klasztorach.“

Wszystkie te projekta pozostały na papierze, niewątpliwie głównie dlatego, że ówczesny rząd nie myślał wogóle o reformach żadnych; ale też nie sprzyjało im i ogólne, jak się zdaje, usposobienie krótkowidzącéj szlachty, która w żydach widziała dogodne narzędzie wyzyskiwania włościan, bo karczmarz żyd drożéj za arendę płacił aniżeli chrześcijanin. A ponieważ i wśród samych żydów na Litwie i Rusi nie było dążności do zbliżenia się z ludnością chrześcijańską, kwestya więc żydowska, podobnie jak kwestya włościańska, w dawnym pozostała stanie.

Doskonałym stanu tego wyrazem były „Wiadomości Brukowe,“ pismo najpoczytniejsze i największy wtedy wpływ wywierające. Jako organ satyryczny i humorystyczny nie mogły „Wiadomości Brukowe“ umieszczać artykułów pisanych naseryo, ale w sposób żartobliwy niejednę gorzką wypowiedziały prawdę jak w innych sprawach tak i w sprawie żydowskiéj. Nie możemy naturalnie twierdzić, ażeby „Szubraw-

cy" z wyższego politycznego zapatrywali się na sprawę tę stanowiska; w każdym atoli razie służąc idei postępu, silnie występowali w imię sprawiedliwości względem wszystkich i w imię dążeń cywilizacyjnych. Z goryczą notowali, jak jedna wdowa, wypuszczając w arendę swój folwark starozakonnemu, „pisać kazała prawo" na imię swego mecenasa, jak jeden właściciel długo nie pozwalał starozakonnemu bić chłopów, póki nie ofiarował do arendy jeszcze dwieście rs. na rok, dziesięć funtów kawy i głowę cukru od 15 funtów" („Wiadomości Brukowe" 1818, N. 71). Jako zwolennicy uregulowania stosunków z żydami w duchu cywilizacyi nowożytnéj, pomieścili w „Wiadomościach Brukowych" szereg artykułów p. n. „O przymnożeniu swobód i wolności żydkom" (NN. 254,267,268,271,272), w których podają niby wyciągi z akt rzeczypospolitéj babińskiéj, będące humorystyczném utyskiwaniem, że wszelkie projekta reformy pustym tylko dźwiękiem pozostają. Oto np. artykuł 3-i w stylu wieku XVII wykoncypowany: „Bacząc téż, iżeby żydkowie, a z nimi pospołu ziemianie nasi tracili na tém, jeślibych zgubny, bo przez źle myślących na sejmowe obrady nasze przyniesiony, projekt szynkowania gorzałki przez chrześcian do skutku przyszedł; ustawujemy, iżby na wieczne czasy sami żydkowie, *cum jure etiam exclusivo* (z wyłączném nawet prawem), takowém szynkowaniem jako przyrodzoném a jedyném rzemiosłem swém postaremu zajęci byli. Żeby zasie dziedzice wielką intratę z karczem swych ciągnąć, a żydkowie kromia tego, bez straty wychodzić mogli: toć chcemy mieć, by żaden chłop napotém nie ważył się ani pić w cudzéj karczmie, ani swych ziemskich płodów i żywioł komu innemu zbywać, jak tylko własnemu żydowi, panu arendarzowi. Chłop za pierwsze przeciwko téj naszéj ustawie wykroczenie nieskąpo nahajów *in occluso* (w miejscu zamkniętém) wytrzyma; lecz za powtórném przestępswem, rózgami dla przykładu *omnibus spectantibus* (wobec wszystkich) u przepłotu smagan być ma. A chociaj ilość bolesnych razów gwoli dziedziców albo ich włodarzy zostawuje się; przymówienie się wszelako w téj mierze pana arendarza, *in cujus damnum* (na którego szkodę) chłop przewinił, surowość kary zmniejszyć albo powiększyć może. Za powiększeniem kary włodarz od arendarza czapkę z *wiłogiem* siwym i na kurtę dla siebie 4 łokcie sukna; a za jéj zmniejszeniem, pan arendarz od chłopa winowajcy korzec pszenicy na mace wielkanocne i jałowicę tłustą otrzyma." W innych artykułach „Szubrawcy" dotknęli podnoszonych przez publicystykę punktów reform co do zajęć, wychowania, żargonu, ubioru żydowskiego, wskazując i ujawniając złe strony plemienia, domagające się nieodzownej poprawy zapomocą środków cywilizacyjnych. Ostatni artykuł wymierzony

widocznie przeciwko tym, którzy stan istniejący za zupełnie doskonały poczytywali, wyraża „deklaracyą dla chrześcian“: „jeśli którzy z nich świadectwy wiary godnemi udowodnią, że się przez czyny swe zbliżyli *saltem* (przynajmniéj) do twórczego a tak człowieczą naturę uszlachcającego jeniuszu synów Izraelowych; jeślibych w chwalebném swém dążeniu tym-to wielkim żywota ludzkiego mistrzom nie cale wyrównać mogli: kromia żółtych jarmułek, inne także zaszczytne otrzymają *insignia.* A z tego już *concluditur*) wypada wniosek), iż chrześcianin, *viva exempla* (żywe przykłady) w żydkach naszych mając przed oczyma *eaque serio imitantes*, (naśladując je gorliwie) *interim ut bene merentes* (tymczasowo jako dobrze się zasługujący) i coraz na więtsze nasze łaski *expectantes* (oczekujący) uważać się mają.“

Że w przekonaniu „Szubrawców“ nie tylko żydzi byli winni, nie tylko ich wady były szkodliwe, na to wiele z „Wiadomości Brukowych“ przytoczyćby można dowodów; wystarczy jeden drobny, ale charakterystyczny. Pewien panicz—opowiadają one—kupując pomarańcze u żyda, obrał jednę i zjadł, kupił następnie sześć a za zjedzoną nie zapłacił, mówiąc, że to się nie liczy, gdyż była na skosztowanie. „Otóż-to panowie gorsi żydów—mówi kupiec do świadków téj sceny—I co dziwnego, że żyd kręci, kiedy panowie nas krzywdzą“.. Jeden z obecnych zrobił następną uwagę: „Mospanie, ma racyą żydek; żalimy się na kramarzów, szynkarzów, rzemieślników, że nas kradną i oszukują; nie bronię ich, mówię tylko, że poniekąd dziwować się temu nie można, bo sami częstokroć otwieramy im do tego pole, albo im urywając z umówionéj opłaty, albo narzucając pieniądz nieważny lub w wyższym jak istotny walorze. Zwykła na to odpowiedź i obrona: a bo i oni nas oszukują na mierze, wadze, gatunku towarów itd. Nie przeczę, być to bardzo może: trzeba więc szalbierza pociągnąć do sądu, a nie usprawiedliwiać własném naszém zboczeniem i winą. Gdyby ten żydek poszedł do sądu, tobym ja sam stanął za świadka jego krzywdy“... (N. 239).

Takie rozumowanie mogło niewątpliwie wiele niechęci umniejszyć i wiele wzajemnych pretensyj złagodzić, bo winy ludzi pojedyńczych nie dozwolało przenosić na rachunek plemienia lub klasy. Szkoda, że nie było ono podstawą sądów wśród ogółu, który przywykł chwalić i ganić ryczałtowo, gdyż na sformułowanie i wymotywowanie zdania odnoszącego się do każdego po szczególe indywiduum lub wypadku nie ma ani dosyć cierpliwości, ani dosyć rozwagi. Niechęci i wstręty wzmagały się, aż się skończyły na Litwie i Rusi zupełnym niemal rozbratem...

(*d. n.*) *Piotr Chmielowski.*

CZARODZIEJKA,

POWIEŚĆ.

XV.

Dom państwa Hoholowstwa należał do zamożniejszych w okolicy. Pan Eustachy Hohola, liczący obecnie lat sześćdziesiąt, wzrostu małego, z rzadkim zarostem na twarzy i dużą na głowie łysiną, miléj zresztą powierzchowności, należał do rzędu ludzi znanych z nieposzlakowanéj poczciwości i wytrwałéj pracy. Za młodu będąc adwokatem przy Żytomiérskim trybunale, prowadził duże interesa przeważnie rodzin magnackich, co téż mu pozwoliło piękny grosz uciułać, za który kupił zrazu niewielką wioszczynę, późniéj, przy oszczędności i pracy, dorobiwszy się znacznego kapitału, powiększył swój majątek nabyciem dużego folwarku Kurnéj od ojca hrabiego Tytusa Ornowskiego. Cały fundusz pana Eustachego, składający się z dwóch wsi i kapitałów, wynosił przeszło milion złotych polskich, z tych trzykroć w brzeczącéj monecie leżało na małym ale pewnym procencie u hrabiego Tytusa. Pan Hohola odwiedzał dwór Mrugotyński raz do roku; bliższych stosunków nie miał, ale zdarzało się czasami, że hrabia prosił pana Eustachego o jakąś prawną poradę, wynagradzając za to dość hojnie, z czego też nie był były adwokat byłego trybunału niezadowolonym. Musiał-bo téż zbierać grosiwo! Majątek jakkolwiek miał ładny i kapitalik rósł każdorocznie, ale też pani Dorota nie próżnowała i raz do roku, jeżeli nie jeduém to dwojgiem dzieciaków familijkę zwiększała i pomimo, że Pan Bóg zabrał pięcioro, zacne małżeństwo cieszyło się jednak tuzinem dziatek. W téj, wcale pokaźnéj liczbie, był jeden tylko chłopiec, który pierwsze, po najstarszéj pannie Agnieszce, miejsce trzymał w rodzinie. Młodszy od niéj o dziewięć miesięcy, pieszczony jako jedynak, uczył się nie wiele i mimo namowy sąsiadów i samego pana Eustachego, o wstąpieniu do jakiegokolwiek-

bądź zakładu naukowego nie myślał. Pani Dorota nie pojmowała życia bez Leonka.

— Gdyby nie był jedynakiem—prawiła—to jeszcze przez obawę wojskowéj służby musiałby choć gimnazyum skończyć, ale kiedy lękać się nie było powodu, może złote dziecko hulać swobodnie; na życie i tak mu zostawimy!

Darmo pan Eustachy perswadował żonie, żeby sobie nie wierzyła, że jeszcze może Pan Bóg drugim pobłogosławi ich synem— pani Dorota uparła się. zaklinając na czém świat stoi, że córek kilkanaście jeszcze mieć może ale chłopca nigdy. Pan Eustachy wzdychał—nie wiem czy z powodu uporu żony, czy niemiłéj perspektywy, jaką przedstawiała ale wkrótce musiał uledz, nie mogąc już nie przeperswadować, ale przegadać małżonki.

Pani Dorota, chuda, słuszna, w okularach na spiczastym nosie, kochała szczerze swojego Eustaszka, męczyła go tylko zazdrością, do któréj zupełnie nie miała prawa. Pan Eustachy bronił się jak mógł, pokazywał jéj żyjących dwanaścioro jako dowód swojéj wierności, ale to na chwilę tylko usuwało podejrzenia, do wzniecenia których dość było niewinnego słówka lub ubocznego na jaką niewiastę spojrzenia. Zwaśnione małżeństwo najczęściéj sądem polubownym godził Leoś, bo ciocia Fela, stara panna, siostra pani Eustachowéj, odmawiała w takich razach koronkę do Przemienienia Pańskiego.

Najstarszą z rodzeństwa była znajoma nam już panna Agnieszka. Lat ośmnaście, hoża. rumiana, z włosami jak len jasnemi, z twarzyczką jak księżyc w pełni, na któréj siedział mały do góry nieco zadarty nosek, była podobną do tych istot, o których wiesz naprzód, że ani prochu nie wymyślą, ani żadnemi wybitnemi wadami czy zaletami pochwalić się nie mogą. Oszczędna, gospodarna, była duszą całego domu. Gra na fortepianie, język francuski, trochę historyi, mniéj geografii — oto był cały umysłowy zapas panienki. Mimo to była dosyć przyjemna, i nie dziw, że pan Feliks, szukając dla mnie żony, któraby pomagała mężowi w robieniu pieniędzy, wybrał pannę Agnieszkę Hoholównę. Była nawet chwila, kiedy nie mogąc znaleść żadnéj kobiety, którąbym mógł wziąść za towarzyszkę życia, pomyślałem o Jagusi, wierząc w szczęśliwe z nią pożycie. Ja byłem niby poetą, lubiłem dużo czytać, pisać dużo i marzyłem kiedyś o kochance o kruczych włosach, z oczami ciemnemi jak niebo po słońca zachodzie, któraby mogła zrozumieć zachwyty duszy, odczuć pragnienia serca, być dopełnieniem myśli i marzeń moich. Ale po latach kilku zwątpiłem o możności znalezienia téj drugiéj siebie połowy i uwierzyłem w słowa ojca, który często mi powtarzał:

— Jeżeli waćpan, panie Adamie, chcesz mieć żonę jakąś wymarzył, to ożeń się chyba z własnémi marzeniami, ale małżeństwo takie mnie pożądanego wnuka nieda. Gdybyś i znalazł coś podobnego, to latalibyście po niebie, a nie byłoby komu dzieciom nosy wycierać. Jagusia w sam raz do ciebie....

I kończył zwykły monolog ogórkami i marynatą.

Namawiany przez ojca zacząłem częściéj bywać w Kurnéj — wyjeżdżając obecnie na zapusty do krewnych mieszkających na Podolu, odezwałem się był do niego: może o Jagusi pomyślę!

I wszystko dziwnie się splątało!

Znalazłem ideał mój w Annę wcielony, choć stracony na zawsze —i w owéj chwili właśnie, w dniu tym samym, kiedym z jéj ust brał pocałunki, ojciec chcąc mi zrobić niespodziankę, w imieniu mojém o rękę panny Agnieszki prosił.

Ostatnia wioska jaką przejeżdżałem, w powrocie z podróży, była Kurna, lecz byłem tak zatopiony w marzeniach, żem nic, co się w koło mnie działo nie widział. Piotruś dopiero na drugi dzień mi powiedział, żeśmy spotkali całe towarzystwo idące przez wieś pieszo na przechadzkę, że pan Eustachy mi się ukłonił, Leoś jabłko do sań wrzucił — które Piotruś, korzystając z mojego zamyślenia, zjadł natychmiast—a panna jak piwonia skraśniała. Dowiedziawszy się o tém, nie powiem, ażebym nie był rad z tego wypadku. Mały to ale zawsze pierwszy do zerwania nastręczał się powód, tém bardziéj, że znałem pana Eustachego jako człowieka obrażającego się łatwo. Z paplającym zaś Leosiem, będąc w dobrych stosunkach, spodziewałem się wkrótce dowiedzieć o wszystkiem, co tylko zajść mogło w kurneńskim dworze. Leoś nawiedzał mnie często i kochał bardzo, że pozwalałem mu strzelby, z którą chodził na sroki a co mocno przez panią Dorotę wzbronionem mu było. Siedmnastoletni mazgaj zwierzał mi się ze wszystkiego i choć go nieraz buzowałem za paplanie niepotrzebnych rzeczy, nie uważał na to, lecz zanosząc się od śmiechu, wszystkie sekreta siostr, mamy i papy wydawał. Rozpuszczony wyrostek rodziców miał za nic, młodszym siostrzyczkom rozmaite płatał figle, co było największą jego rozkoszą, Jagusi tylko bał się i nie lubił bo parę razy za ucho psotnika skręciła.

Od dnia przybycia mojego do domu upłynęło parę tygodni. Ojciec nic mi o pannie Agnieszce nie wspominał, widziałem jednak że był markotny, zły nawet, bo targał wąsa i najeżał siwiejącą już czuprynę.

Było to dnia 4-go marca. Nad wieczorem nadjechał posłaniec z Kurnéj z listem od pana Eustachego zaadresowanym na imię mojego ojca. Pan Eustachy wzywał pana Feliksa do siebie w celu po-

gawędzenia z nim o pewnym, wielkiéj wagi interesie, najmniejszéj niecierpiącym zwłoki. Domyślałem się czegoś niedobrego i niewiele byłem tém wezwaniem dotknięty, bo przeczuwałem, że o mnie tam rzecz pójdzie. Doprawdy! żal mi było Jagusi. Panienka będzie narażoną na ploteczki, tém bardziéj, że cała okolica marzy już tylko o wielkim balu w dniu panny Agnieszki wesela. Miałem silne postanowienie, jeżeliby rzeczy za daleko zaszły i ojciec nie mógł naprawić wyrządzonego mi zła—puścić się w awanturniczą podróż na około świata.

Po odebraniu listu mój ojciec natychmiast wyjechał i powrócił późną dopiero nocą razem z Leonkiem, na których z wieczerzą czekałem. Pan Feliks kiedym go witał pocałowaniem ręki, spojrzał na mnie basem i odszedł do swojego gabinetu, zostawiając mnie z najdroższym skarbem pani Doroty.

— Ach! kochany panie Adamku—zawołał Leoś, rzucając mi się na szyję — kiedy pana nie było nudziłem się śmiertelnie, nikt mnie strzelbiny dać nie chciał i musiały się o tém dowiedzić pańskie sroki (Leoś zawsze u mnie w ogrodzie polował), bo kiedym z próżnemi rękami przechodził przez ogród, nie uciekały jak zawsze a tylko skrzeczały złośliwie, patrząc na mnie z wysokości drzew swoich, jakby drwiły ze mnie i jedna stara już, jak mamcię kocham! dała mi figę. Nie będę synem swojego papci jeżeli jéj jutro nie kropnę!

— A poznasz-że ją? — zapytałem.

— Oho! poznam, bo ta impertynentka bardzo do cioci Feli podobna.

Zaśmiałem się z tego porównania, które zupełnie było trafném, z tą tylko różnicą, że wszystkie sroki do cioci Feli podobne były.

— Ale ja mam panu dużo rzeczy do opowiadania — ciągnął Leoś i zaśmiał się głośno — tylko to chowam na powieczerzy gdy pójdziemy do pańskiego pokoju.... Wojciech! — zawołał do wchodzącego—a prędko będzie kolacya?

— A na co to paniczowi? — zapytał stary.

— Tra-ta, ta, ta! na co? Jeść chcę to pytam — i nachyliwszy się szepnął mi na ucho—ja jeść nie chcę, tylko mnie strasznie język świerzbi...

Nie wyszło pół godziny czasu jak żądanie Leosia zostało spełnione. Ojciec i ja milczeliśmy, Leoś tylko trzepał jak opętany, pobudzając czasem nawet pana Feliksa do śmiechu.

— Ej! łobuzie, łobuzie!—zawołał ojciec— gdybyś był moim synem dawno bym ci skórę wytatarował.

— Tobym się zarznął a potém co? — Samobójstwo i grzech śmiertelny musiałby papcio na siebie przyjąć, bo jabym się przed panem Bogiem wykręcił. Wyłgiwałem się nieraz przed tatkiém Eustachym a to przecie adwokat!...

Pokręcił głową.

— Kuta bo sztuczka ten mój papcio! jak mamę Dorotę szanuję.

Po wieczerzy, którą ożywiał tylko synek mamy Doroty, oddawszy panu Feliksowi dobranoc, udałem się z Leosiem do swojéj sypialni. Nim zdołałem przeżegnać się, chłopiec już leżał rozebrany na łóżku, piętą celując do much drzémiących na ścianie.

— Co miałeś mi mówić, Leosiu?—zapytałem.

— Nie zapomniałem o tém — nie! czekałem tylko, żebyś pan z panem Bogiem już skończył... Czy wiesz, panie Adamku, czego to mój papcio po pana papcię posyłał?

— Nic nie wiem—odpowiedziałem.

— Cha! cha! cha!—Ty może nic nie wiesz, panie Adamku....

Stuknął piętą.

— Mucha jest! w sam łeb palnąłem!... że przejeżdżając przez Kurnę spotkałeś nas, że ja tobie jabłko do sań wrzuciłem, które ten szelma Piotruś zjadł natychmiast, a papcio się trzy razy do ziemi nisko pokłonił, ty o tém nic nie wiesz bo byłeś bardzo zamyślony.

— Doprawdy nie wiem nic — odpowiedziałem — przeproś-że odemnie swojego ojca, bo pewnie gniewa się na mnie.

— E! to bagatela! Ale ty może nie wiesz i o tém, że kochasz się w Jagusi i że ręka jéj jest tobie przeznaczoną?

— O tém ojciec mi mówił. Rzeczywiście... z oświadczynami się pośpieszył, ja jeszcze nie myślałem, albowiem mam przed sobą daleką i długą podróż.

— Otóż widzisz, panie Adamku — trzepał Leoś— kiedyśmy po tém spotkaniu powrócili do siebie, papcio był rozgniewany do nieprzyzwoitości.—A co on sobie myśli?—wrzeszczał—czy my gwałtem Jagusię chcemy z domu wyprawić, żebyśmy znosili impertynencye, choćby tam Szczerodyńskiego jakiegoś?! Nie będzie on — to będzie lepszy! patrzcie mi go! Zaraz wysyłam list do pana Feliksa, zwracając mu słowo.

— A czemuż tego listu nie przysłał?—zapytałem prędko.

— Niby to nie wiesz, panie Adamku, że papcio dopóty udaje zucha, dopóki mamcia Dorota swoim cieniutkim głosikiem piszczeć nie zacznie. Prawda, że zrazu mama niegrzeczność twoję niezwykłém zamyśleniem tłómaczyła.

— A żeby ją licho wzięło!—pomyślałem w duchu.

— Ale jak papcio—ciągnął Leoś—zaczął dowodzić, że to jest lekceważenie, którego darować nie może, mamcia jak wrzaśnie, jak zerwie się z kanapy: „A co ty sobie myślisz, że u nas kawalerów na zawołanie znajdziesz, i to takich jak Adaś?! a dziesięć córek rośnie, a może Pan Bóg jeszcze pobłogosławi...“ i tara tata, tata, tata, jak zaczęła—papcio widząc, że do słowa przyjść nie może, zaczął zajadać suszone gruszki—paskustwo to! ale papcio bardzo lubi! Nakoniec mamcia się ustatkowała, papcio zbliżył się i rzekł:

— Dosiu! ja nie zrywam, choć prawdę powiedziawszy, jeżeli ma mnie z góry traktować—to!.. czyż taki nie znajdziemy dla Jagusi drugiego?

— To tego Frani oddamy, zawsze jednym więcéj!

— Znajdziemy i dla Frani!

— Ten będzie Filomence!

— Nim Filomenka podrośnie!

— Ale zastanów się gapiu stary, jak Boga kocham powiedziała na papcię: gapiu!.. że już dwóch w koszu! A Filipinka? a Malinka? a Tosia? a Marcesia? a Kunegundynieczka? a Kasia? a Masia? a Poliksenka? i znowu tara-ta-ta jak grzechotka, którą nasz Stepan wróble straszy we fruktowym ogrodzie. Stanęło więc na tém, że jeżeli do dwóch tygodni pan nie przyjedziesz, co nie wiem dla czego papcio przypuszczał, wezwie pana Feliksa do siebie i z nim otwarcie pogada.

— A wiesz co gadali? — zapytałem.

— Ba! wyprawili mnie z pokoju, ale ja przechodząc koło stołu niby niechcący świécę zgasiłem, zrobiło się oczywiście ciemno, ja wtedy szust pod kanapę, a u nas jest taka duża kanapa, że i ciocia Fela by wlazła. Nim zapalono świecę ja ulokowałem się wybornie. I wiesz, że wcale mi dobrze było, nosa tylko utrzyć nie miałem czasu... Wtém mówić zaczęli. Papcio mój powiedział wszystko panu Feliksowi, co o panu myślał — a pan Feliks powiedział, że po powrocie z Podola pana nie poznaje, że jemu tam jakaś Podwika wlazła do głowy, o któréj mówić niechce a o któréj koniecznie trzeba się dowiedziéć. Napomknął pan Feliks, że pan poznał hrabinę Ornowską. Mój papcio syknął czegoś i powiedział, że to kobiéta, która czaruje ludzi, a pan Feliks odezwał się, że gdyby, broń Boże! ona Adasiowi głowę zawróciła, toby umarł ze wstydu bo nienawidzi tego sobaczego — jak Boga kocham! powiedział sobaczego! — rodu. I stanęło na tém, ażeby wszelkie natarczywości na bok odrzucić a tylko badać, zbadać i wybić z głowy bzika. Jakby pan miał jakiego bzika w głowie—prawda panie Adamku?

Opowiadanie Leosia było dla mnie prawdziwą torturą, myśl podróży na około świata coraz wyraźniejszych nabierała kształtów.

Po małéj przerwie zapytałem:

— A jakie wrażenie zrobiły na pannie Agnieszce te wszystkie sceny?

— Jagusia? ot sobie — Jagusia! Podłubała palcem w nosku i poszła marynować szczupaka.

— Anno! Anno!—zawołałem w duchu — i mógłże bym się wyrzec choć marzeń o tobie dla takiego życia? O! wolę sen rozkoszy o kwiatach, niż życie bez ich barw i woni!..

Zacząłem dumać ale Leoś nie pozwolił.

— Panie Adamku kochany! o jakiéj to pan wspomniałeś podróży?

— Do bieguna północnego.

Leoś zerwał się z łóżka.

— Do bieguna północnego!! ta! ta! ta!—a po co to?

— Dla odszukania igły magnesowéj.

— Coś słyszałem o téj igle magnesowéj.

Tu podbiegł do mnie i chwycił za ręce.

— Mój drogi, kochany panie Adamku! weź i mnie z sobą do bieguna północnego. Mamcię i papcię porzucę, niech ich tam dja....

Uderzył się ręką po ustach.

— Ale ty weź mnie z sobą!..

Ledwie mogłem wytłómaczyć Leosiowi niemożebność tego kroku, któryby mnie naraził na nieprzebłagany gniew mamy Doroty. Chłopiec westchnął ciężko, posmutniał i oddawszy mi dobranoc zagasił świécę i udał się do łóżka. Ja całą noc nie zmrużyłem oka—marzyłem o Annie, Leoś o północnym biegunie.

XVI.

W kilka dni, po bytności u mnie Leosia, cała okolica zawrzała z powodu wieści o mojéj do bieguna północnego wyprawie. Leoś, któremu się udało nakoniec pozbawić żywota do cioci Feli podobnéj sroki—odjechał do Kurnéj smutny i przygnębiony, co jako rzecz nie bywała, nie mogło ujść, zwracającéj na wszystko uwagi pani Doroty.

Była godzina siódma z rana.

— Co tobie Leoneczku?—chwytając synalka w objęcia, zawołała pani Eustachowa.—Czego ty taki zbiedzony, aniołku mój, pieszczoto ty moja jedyna?

I z trwogą wpatrzyła się w nadąsaną buzię Leosia.

— A niech mnie mama da pokuj — odparsknęła pieszczota—ja umrę!

— Gwałtu!! Eustachy! Jagusiu! Franiu! Filomenko! — zakrzyczała pani Dorota, porywając syna w objęcia i wystraszonemi patrząc na niego oczyma.

— I czegoż mama tak wrzeszczy?!—krzyknął Leoś, tupiąc nogą o ziemię.

Na krzyk pani Doroty zbiegła się cała rodzina. Pan Eustachy wyskoczył ze swego pokoju z pół ogoloną twarzą, bo druga pół była pokryta pianą niezdjętego jeszcze mydła. W jednym ręku trzymał pędzel, w drugim niewielki ręczniczek i brzytwę. Ciocia Fela spieszyła o ile jéj tylko pozwalała na to wcale przyzwoita tusza, i wpadła przestraszona z przykrzywionym czepcem, z narzuconym pośpiesznie kaftanikiem na ramię, przytrzymując go lewą ręką koło szyi, który u dołu niedyskretnie się rozchodził, pokazując pulchną kibić otoczoną związanemi na plecach rękawami nocnéj koszuli. Jagusia wleciała z łyżką drewnianą, na któréj kawałkami trzymało się masło, inna dziatwa w całych lub półstrojach, a wszyscy z tak komicznie przerażonemi minami, że Leoś nie mógł wytrzymać i parskął szerokim śmiechem. Cała rodzina zatrzymała się na miejscu, nie mogąc zrozumiéć ni poprzedniego krzyku pani Doroty, ni téż nagłego Leonka śmiechu. Matka, na któréj ustach rajski zaigrał uśmiech, pochwyciła Leosia w ramiona i zaczęła serdecznie całować.

— O moje ty drogie! jakieś mnie przestraszyło śmiertelnie!

— Co to takiego?—odezwał się pan Eustachy.

— Nic! nic! to Leoś pofiglował.

Pan Eustachy zawrócił się. Jagusia była w chęci potargania uszów Leosia ale chłopak w sam czas się usunął, pokazując siostrze język.

— Niechno papcio poczeka!—zawołał za odchodzącym panem Eustachym—ja mam coś ciekawego powiedziéć.

Familia zatrzymała się.

— Czy coś się dowiedziałeś o panu Adamie?—zapytał ojciec.

— Otóż to właśnie!

— Co? co?—odezwały się głosy.

— On wcale nie myśli z Jagusią zrywać, chce tylko wprzód odbyć podróż do bieguna północnego.

Zapanowało milczenie jak po nagłym trzaśnięciu piorunu. Gospodarz jeden tylko wiedział, że to jest bardzo daleko.

— Do bie...gu...na... pół...noc...nego!—wyszeptał pan Eustachy—a kiedyż on wróci?

— Za lat piętnaście!

Pan Eustachy aż przysiadł do ziemi.

— Gwałtu!—zawołała pani Dorota, biorąc się za głowę i zwracając się do drzwi.

— Józek!—krzyknęła.

Józek w drzwiach stanął.

— Każ konie zaprzęgać—zaraz tylko!

Józek poszedł wypełnić rozkaz; pani Eustachowa pośpieszyła *faire sa toilette.*

I czego on tam jedzie?— odezwała się ciocia Fela — tam samojedy pieczyste z niego zrobią.

Pokiwała głową, westchnęła głęboko i poszła odmawiać koronki do Przemienienia Pańskiego.

Pan Eustachy Hohola z brzytwą, ręczniczkiem i namydlonym pędzlem stał nieruchomie czas jakiś, aż nakoniec przychodząc do siebie.

— Co ty mówisz Leosiu? wybąknął—jakże Jagusia tak długo czekać może?

— Pan Adamek mówił, że Jagusia szczerze go kocha—to poczeka...

Pan Eustachy zadumał się a pot kroplisty spływal mu po czole.

— I co mu przyszło do głowy?

— To dawny projekt, dokomponowywał chłopiec, ciesząc się z napędzonego, jak mi mówił, strachu.

— Po cóż się oświadczał?

— Toż przecie, nie on tylko pan Feliks w imieniu jego prosił o rękę Jagusi. On o tém myślał wprawdzie—ale po powrocie.

— Dziękuję! po powrocie!!—zawołał wzburzony ex-adwokat piękna speranda!.. lat piętnaście—bagatela!

Położył brzytwę na stole, ręczniczek zarzucił na szyję i sapiąc ciężko przeszedł się kilka razy po pokoju.

— I cóż ty myślisz Jagneczko? rzekł zbiedzonym głosem zatrzymując się koło córki.

Dziewczyna sama nie wiedziała, co ma myślić. Wyjście za mąż było dla niéj coś tak zwyczajnego jak przejażdżka do lasu po grzyby, na którą tylko zezwolenia mamy potrzeba. Pani Dorota wytłómaczyła jéj konieczność tego kroku i Jagusia, bez żadnego zgodziła się oporu. Miłość, przywiązanie—były to uczucia zupełnie jéj nie znane, a jeżeli czytała coś o tém w książkach, bo na to są książki, myślała, ażeby takie *awantury* wypisywały. Zapytana teraz prez ojca sama nie wiedziała co odpowiedzieć.

— No cóż, Jagneczko, myślisz o tém? powtórzył pan Eustachy.

— Ja myślę—ja nic nie myślę! Ale jeżeli do lat piętnastu nie znajdzie się ktoś drugi—to już trzeba na pana Adama poczekać.

— Ktoś drugi! ktoś drugi! mruknął pan Hohola—wiesz, co ja miałem od mamy za tego drugiego! Drugiego dla ciebie łatwo zrobić—przecie i pan Baltazar Trembiński słodko na ciebie patrzy—ale cóżto za partya w porównaniu z Adasiem! Fortuna jego i ósméj części adasiowéj nie wynosi, a głowa z całą swoją zawartością nie warta lewego ucha pana Adama—a najważniejsza rzecz, że o tém wszystkiém już mama roztrąbila, dla panny jakoś wstyd kiedy kawaler się cofa!...

— To dla niego, papciu, wstyd, że się cofa—odpowiedziała Jagusia—bo ja się przecie trzymam.

— Gąska jesteś! zawołał pan Eustachy—idź bić masło!

Panna Agnieszka frunęła jak ptaszek do ulubionego zajęcia—Leoś przypadł do ojca z prośbą o pozwolenie towarzyszenia mi w podróży.

— Czy ty zwarjowałeś—czy co?.. Ja—powiem ci nawet—nie wierzę coś w tę podróż—to coś jest! Ale jak się dowiem...

I zamyślony, nie zważając na naleganie malca, udał się do swojego gabinetu dla dokończenia rozpoczętéj około fizyonomii swojéj pracy...

Pani Eustachowa wyruszyła z wizytami, roznosząc niezwykłą nowinę—i nie upłynęło dni kilkanaście, jak wróble na dachu o podbiegunowéj ćwiérkać zaczęły wyprawie. A ponieważ język ludzki ma szczególną, jedyną w swoim rodzaju zdolność—z wróbla robienia wołu; po krótkim przeciągu czasu wieść owa do kolosalnych doszła rozmiarów. Zapytywany Leoś potwierdzał wszystko, dorzucając po cegiełce, do budowy wznoszącéj się wszystkiemi siłami sąsiedztwa. Rozpowiadał każdemu z osobna na ucho pod sekretem, że na Podolu spotkałem jednę Laponkę, za którą w pogoń na Lodowate wyruszam morze. Nie wszyscy oczywiście ale wielu uwierzyło—i tajemnica pod serkretem rzucana w ucho biegła swobodnie daléj.

Nic o tém tylko nie wiedział pan Feliks, który zanurony w gazetach, na krok swojego nie opuszczał pokoju. Rozmawiał ze mną łagodnie, nie wspominając nic o Jagusi, nie nalegając nawet ażebym dom kurneński odwiedził. To milczenie ojca niepokoiło mnie trochę, bo czułem, że jakiś plan musiał układać, że przygotowywał się do stanowczego jakiegoś kroku.

Razu jednego po kilku sąsiedzkich odwiedzinach, powołał mnie do siebie i pokręcając sumiastego wąsa, odezwał się.

— A co to waćpan za awantury wyprawiasz?

— Nie rozumiem ciebie, mój ojcze!

— Cały powiat jak w bęben bije o jakiejś podróży waćpana do bieguna północnego?...

— Mam zamiar odbyć podróż na około świata.

— Trwającą lat piętnaście—dokończył ojciec—po któréj odbyciu dozgonnym węzłem masz się z Jagusią połączyć—hę?

Te lat piętnaście były wymysłem Leosia, który dom kurneński niewymowną napełnił trwogą. Leoś bawił się kłopotem papcia i mamy irytacyą, nie wiedząc nic o uczynionéj mi tém przysłudze. Chwyciłem się nasuniętéj przez niego myśli i powtarzałem głośno ciekawym, że z panną Agnieszką nie zrywam ale chcę jéj przywiązanie do mnie na próbę lat piętnastu wystawić. Pani Dorota płakała ze złości, pan Eustachy mówił: zwarjował! ale jak się dowiem!.. i z tajemniczą jakąś miną wybierał się w podróż daleką.

— Słuchaj waćpan! ciągnął daléj pan Feliks—to jakiś koncept z berdyczowskiego kalendarza—to jakieś łgarstwo, które mnie do ostatniéj pasyi doprowadza. Zwiedziłeś całą Europę jak nikt może! po co ten głupi spacer do północnego bieguna, gdzie już nie jeden karku nadkręcił—hę?

— A cóżto szkodzi, mój ojcze, jednym więcéj nabytkiem wzbogacić swoję wiedzę?

— Kiedy w tém nie ma ni krzty sensu ni prawdy!

— Ludzie przecie wierzą—na co mamy im przeszkadzać?

— Aha! rozumiem! Te lat piętnaście to straszydło na Jagusię. Masz waćpan spryt, panie Adamie—alem i ja nie głupi! Dobranoc!

Nie wiem czy ojciec z domysłu swojego zrobił jaki użytek—lecz co się mnie tyczy, nie tylko nie przeszkadzałem rozwijać się coraz więcéj niewinnéj ploteczce Leosia, ale sam upewniłem wszystkich sąsiadów o stałym zamiarze odbycia naukowéj wyprawy. Zacząłem wyrabiać pasport zagraniczny na lat kilka, o czém wszyscy wiedzieli, zbierać rozproszone kapitały i skoro, mówiłem, otrzymam wiadomość o roztapianiu się lodów pod biegunem, pożegnam na długo rodzinną swoję ziemię. Oczywiście, że owéj pogłosce nie wszyscy dawali wiarę, ale ci, o których mnie najwięcéj chodziło, mieli silne, w niezłomne moje postanowienie, przekonanie. Ojciec mój tylko spochmurniał i częściéj niż zawsze zamykał się ze starym Wojciechem.

XVII.

W domku moim zapanowała posępna cisza, w sercu osiadł smutek głęboki, żal jakiś niewytłómaczony i ból gnębiący. Zdawało mi się, że od chwili spotkania się z Anną wiek długi upłynął i że już wszystkie dnie życia żółwim naprzód będą iść krokiem, podobne do

siebie jak fala do fali; niezamącone niczém, choćby głośniejszym krzykiem serca. Stan mojéj duszy był podobny do stanu duszy człowieka, który wszystko przeżył i o wszystkiém zwątpił—za nim zostały: młodość, nadzieje i kwiaty niezerwane do wieńca życia—przed nim nic, prócz życia samego, odartego ze wszelkich złudzeń i mar.

I tak upływał tydzień jeden i drugi. Ze snu zimy zaczęła się ziemia rozbudzać, zielenić i śpiewać i szemrzyć wód potokami, unoszącémi na bystrych swych falach resztę białego jéj całunu. Na niebie, wysoko pojawiły się chmurki białe, lekkie jak mgły—przez niebo przeleciały stada wędrownych gęsi, przesunęły się klucze żórawi z jękiem smutnym jakby gdzieś nieszporne uderzyły dzwony w błękitach. I co raz jaśniéj i gwarniéj co raz—zadzwoniły skowronki, zaklekotały bociany i w błotach odezwała się muzyka żab, lękliwa, urwana, tęskna jakby stroiły zerwane struny arf...

Pierwszy, cieplejszy oddech powietrza był hasłem do rolniczéj pracy. Wysypał się ludek na pola, czarna pierś ziemi zarysowała się w bruzdy—ruszyły pługi, długie bron klucze twarde bryły ziemi ostremi rozbijały zębami. Ta sama praca i na moich rozpoczęła się polach. Nie raz towarzysząc siewaczom, słuchałem jakiegoś opowiadania o staréj mogile zieleniejącéj się opodal, na któréj szpiczastym czubie siadywał historyczny sokół w posępnéj, może o dawnych czasach, zadumie.

Ruch ten pracy, gawędy ze starcami, były mi pożądaną rozrywką, bo choć na chwilę zapominałem o sobie i rozpędzałem zastraszające a powstające po mału w duszy uczucie nudy. Rozweselał mnie czasem awanturniczy Leoś opowiadaniem domowych scenek które od czasu podbiegunowéj wyprawy co raz zawziętszemi i częstszemi się stawały. Pani Dorota, na krok nie odstępująca Leosia, z zupełném zaufaniem powierzała go mojéj opiece—to téż chłopiec jak rodzonego ukochał mnie brata.

Dnia 4 maja w sąsiedniém miasteczku wypadał doroczny jarmark na konie, na który udałem się wraz z towarzyszącym mi Leosiem. Miasteczko było liche, pełne błota i żydów i nieodłącznych od nich najróżnorodniejszych zapachów. Na górze, otoczony drzewami, stał mały kościołek, daléj cerkiewka—jedyne ozdoby prowincyonalnego grodu. Na targu końskim był ruch ogromny. Krzyki, wrzaski, gdzie nie gdzie wybuchła sprzeczka zakończona pięściowym bojem, prezentacye przez liwerantów koni—wprawiały Leosia w zachwyt do nieopisania.

— Ach! panie Adamku!—wołał co chwila—jak to przyjemnie być sobie na jarmareczku. Kiedy zostanę panem na Kurnéj nie opuszczę nigdy téj tak miłéj okazyi!..

I gawronił się chłopak, kupując co chwila obwarzanki od siedzącéj na rynku przekupki, które mu lepiéj smakowały niż wszystkie marcepany Jagusi.

Tu dopiéro zobaczywszy mnie moi dalsi i bliźsi sąsiedzi, zaczęli rozpytywać o wiadoméj naukowéj wyprawie. Co prawda, to Leoś najczęściéj odpowiadał za mnie, podając się nawet za towarzysza mojéj podróży i obiecując niektórym przywieźć kawałek lodu na pamiątkę.

— Jak Boga kocham, panie Lempiński! mówił jednemu—że, jeżeli się uda, to choć kosmyk z ogona białego niedźwiedzia panu przywiozę, a żonie pańskiéj futerko jakiem się okrywają samojedzi. Nie będę synem swojego papci jeżeli nie dotrzymam słowa! niech tylko pan Adamek weźmie mnie z sobą.

Pan Lempiński psykał tylko ze zdziwienia, bo należał do rzędu tych ludzi, u których zdziwienie, zachwycenie lub zrozumienie czegoś psykaniem się objawiało.

— Panie Leonku! odezwał się wreszcie—ja słyszałem, że tam tak zimno, że język do zębów przymarza?...

— To mało!—panie Lempiński—Tam bywa tak zimno, że ogień marznie. Czasami płomień świeczki jak zastygnie, to świeci przez całą zimę, nim letnie słońce go roztopi.

Tu już zdziwienie pana Lempińskiego nie miało granic—zapomniał syknąć, tylko oczy wytrzeszczył tak okropnie, aż Leoś kilka obwarzanków musiał do ust wpakować naraz, by mu w nos śmiechem nie prysnąć.

Kiedy tak Leonek rozpowiadał dobrodusznym sąsiadom cuda o przyszłéj wyprawie, ja zauważyłem wśród różnorodnego tłumu jakąś słuszną postać mężczyzny, z przekrzywioną na bok czapeczką, którego twarz nie wydawała mi się wcale obcą. Podszedłem bliżéj i spotkaliśmy się oko w oko. Młody człowiek zobaczywszy mnie zatrzymał się i uchylając barankową czapeczkę rękę do powitania wyciągnął.

— Jak widzę, to pan mnie nie poznaje?—odezwał się.

— Wiem, że pana gdzieś widziałem—ale gdzie i kiedy? doprawdy przypomnieć nie mogę.

— Jestem Franciszek Świdruś!

— A!—wykrzyknąłem.

I powitałem pana Franciszka tak szczerze, jak nigdy bym tego nie uczynił, gdyby on nie przybywał ze stron tych, w których tak często jestem myślą i sercem. Kto wie? może coś powie mi o niéj! I poruszyła mi się krew w żyłach, pierś rozdęło westchnienie jakby powiew ożywczy ze zdrowszych owionął mnie krain.

— Jakże mi miło spotkać się z panem, zawołałem — i dowiedzieć się o... panu Piskale, dodałem prędko, bo, pomyślałem co ten człowiek o niedostępnéj może wiedzieć Annie?

— Mój wujaszek? odrzekł śmiejąc się Franciszek—jest jak i był zawsze ładny!

— Ale cóż pan tutaj porabiasz? czy już przed Świętym Duchem zgodziłeś się na opuszczenie Dzierdziejówki? znalazłeś pan jakie zajęcie—co!

— Przyznam się panu, że potrzeba być chyba ostatnim gapiem, żeby Dzierdziejówkę opuścić nie tylko przed ale po Świętym Duchu, gdzie mnie jest tak dobrze, że nie wiem czy już lepiéj i w królestwie niebieskiem być może. Nie sieję, ani orzę a mam wszystkiego póty! a kochana wujeneczka daje mi takie przysmaki, o których pan pojęcia nie masz!

— Cóż pan Bonifacy—nie starał się pana wyprawić?

— Djabła tam nie starał się! Przed paru tygodniami przyszedł do mnie i powiedział, że już dość ciepło zrobiło się na dworze; że daje mnie wszelkie prawo pożegnania siebie i ruszenia na cztery wiatry. Stary kutwa tłómaczył niby niegrzeczność swoję niedostatkiem, który mu nie pozwala darmozjadów, ni ztąd ni z owąd przybyłych, karmić daremnie. Źle pomyślałem sobie—ale wnet objąwszy wujaszka za najchudsze w świecie kolana, rzekłem rozczulającym głosem:

— Najdroższy mój wuju a rodzony bracie mojéj matki, która jest siostrą twoją i mnie po czterdziestogodzinnych boleściach na ściat wydała. Ja wiem, że jesteś bardzo ubogi, choć siedzisz na intratnéj wioseczce—ale ja przybyłem tutaj z myślą obdarzenia ciebie skarbem krezusowym.

Wujcio rozdziawił dziób jak sroka.

Ach! panie kochany jaki on był ładny w ten czas! Belzebub piękności jego pozazdrościć musiał.

— Tak! tak! wujaszku—mówiłem—spotkałem przed trzema miesiącami jednę starą kobiétę, przynajmniéj sto sześćdziesiąt lat mającą, która mnie powiedziała o ukrytych beczkach złota w Dzierdziejówce.

Złoty wujaszek zatrząsł się jak w febrze.

— Gdzie? co? gadaj!—zawołał—czemużeś mnie o tém dawniéj nie mówił?

— Czekałem aż śniegi roztają, żeby można było wziąć się do roboty.

— No mów! mów!

Łgałem daléj.

— W ogrodzie wujcia ma być stara, zasypana Krynica?

— Jest! jest!—no i co?

— Od téj krynicy o pięćdziesiąt kroków znajduje się pień starożytnéj wierzby.

— Jest pień!—zawołał zniecierpliwiony—no i co?

— Od tego pnia,—ciągnąłem,—odliczyć kroków siedem na zachód—ja wujciowi pokażę gdzie—i kopać! Wujcio wykopie stare koło z żelazną obręczą; na kole, nie daleko dziury osiowéj, ma się znajdować wypalona litera C. Od tego koła ku południowi w kierunku staréj gorzelni kopać rów szerokości dwanaście, głębokości ośm i pół a długości, przynajmniéj sto pięćdziesiąt łokci, i niezawodnie wujcio wykopie trzydzieści baryłek złota.

— Trzydzieście baryłek złota!!!.. wrzasnął pan Bonifacy i przysiadł do ziemi.

Uścisnął mnie szczerze i na drugi dzień wziął się do roboty. Koło, oczywiście, wynalazł, bo ja jednéj nocy w przewidywaniu odprawy sam zakopałem i wypaliłem na niem literę C. Teraz ryje rów. Ja panu powiadam, że coś monstrualnego! I już sam mnie nie puszcza, ażebym w jego nieobecności kierował robotą, obiecując mnie za to dać czterdziestą część jednéj baryłki, na co z ochotą przystałem. Widzisz pan, że ja nie łatwo zaginę na świecie!...

Zdziwiony i oburzony bezczelnością tego człowieka, nie mogłem go jednak pożegnać, nie dowiedziawszy się czegokolwiek o Mrugotynie. Spytałem więc czy widuje hrabiego Tytusa u pana Bonifacego Piskały?

— Pan hrabia, odpowiedział Franciszek; dosyć często dom mojego wujaszka nawiedza. Parę dni temu widziałem go nawet. Wspominał o panu i mówił o jednym ze stron pańskich, który go odwiedzał niedawno.

— Ze stron moich? któż to taki?

— Jakiś pan Eustachy Hohola.

Tą wiadomością zostałem nieprzyjemnie dotknięty. Wiedziałem, że pan Eustachy wybierał się w jakąś tajemniczą podróż, ale po co do Mrugotyna i dla czego z tym wyjazdem przed wszystkimi ukrywał się w domu?

— Nie wiesz pan, spytałem zaniepokojony, w jakim ten pan u hrabiego był interesie?

— Ot! doprawdy nie pamiętam—zajęty wtedy byłem moją najserdeczniejszą wujeneczką.

Nie widząc potrzeby przedłużania rozmowy, pożegnałem pana Franciszka i odszukawszy kłócącego się z jakąś przekupką Leosia,

udałem się z powrotem do domu. W drodze zapytałem go czy nic nie wié o podróży pana Hoholi.

— Nic a nic, panie Adamku mimo najserdeczniejszéj chęci dowiedzenia się. Wiem tylko, że papcio wystroił się; ogolił się, zaczesał się i umył się—wziął z sobą frak, białe rękawiczki i kapelusz na sprężynach i raniutko świsnął nam gdzieś z przed nosa. Widziałem także jak wieczorem Józek pakował walizę. To coś bardzo niezwykłego być musi, bo jeżeli papcio w daleką wybiera się drogę to na dni kilka przed tém już o tém mama trąbi i z wizytami rozjeżdża...

Powróciwszy do domu nie zastałem ojca—wyjechał do pana Eustachego ponownym jego listem wezwany.

XVII.

Ojciec mój był człowiekiem gwałtownych usposobień ale umiejącym panować nad sobą. Jedną z wybitniejszych cech jego charakteru był także upór, którego złamać nikomu jeszcze z żyjących się nie udało. Jeżeli raz co postanowił, musiał dopiąć, choćby miał użyć do tego środków nie koniecznie zgadzających się z bezwzględném pojęciem nieprzyćmionéj niczém prawości. Nie mogąc iść prostą drogą do zamierzonego celu, uboczne często obierał ścieżyny, podkradał się, przyczajał, zarzucał siecie pajęcze, póki przeciwnik jego zamiarów nie został oplątany i wtedy dopiero przyjmował kapitułacyą na najdogodniejszych wprawdzie dla nieprzyjaciela warunkach opartą. Zdarzało się czasami, że podstęp nie przynosił mu pożądanego zwycięztwa—lecz wówczas wiktoryą nie mógł się i obóz przeciwny pochlubić: ruchy jego zostały sparaliżowane, cel wyprawy chybiony i jakkolwiek żądaniom pana Feliksa zadość nie uczyniono, nieprzyjaciel przecie musiał stanowczo porzucić myśli nawet o pożądanym przedsięwzięć swych rezultacie. Zauważyłem i teraz, że ojciec wypracowywał strategiczny plan ataku na mnie, bo choć wewnętrznym wrzał gniewem, uśmiechał się łaskawie, zdawał się zapominać o wszystkiém i nawet mówił głośno o mojéj na bieguna wycieczce. O pannie Agnieszce nie wspominał już wcale, do odwiedzenie Kurnéj nie nastawał i jeżeli sam coś zaczynałem o pannie Hoholównéj mówić, nie odpowiadał nic, zwracając zaraz przedmiot rozmowy na tunetańskie wypadki lub niegodziwą politykę Bismarka. Planu działań ojca byłem bardzo ciekawy, bo nie mogłem przypuszczać, żeby zwycięztwo swoje zasadzał na połączeniu mnie z Jagusią. Wiedział, że i ja byłem uparty. Do czego więc dążył? to było dla mnie zagadką niepokojącą trochę.

Od dnia powrotu do Ordynki nie opuszczałem prawie progów swojego domu. Nie mogąc odwiedzić państwa Eustachostwa, nie udzielałem się zupełnie sąsiadom, tłómacząc się przed nimi niezdrowiem, to brakiem czasu, to tym podobnym niewinnym wykrętem. Prawdziwie pustelnicze prowadziłem życie. Gospodarstwo, książka marzenia o Annie skracały dnie długie, wypełniały godziny leniwo wlokącego się czasu. Codzienną ciszę i monotonią mojego życia przerwały na chwilę Wielkanocne święta. Spokojny mój domek zawrzał ruchem, wszyscy się krzątali, najwięcéj oczywiście pani Walentyna, która przygotawiała nie bywałą dotąd szynkę własnego wynalazku. W czasie świąt gwar się powiększył odwiedzinami sąsiadów ale mnie tak noga rozbolała, żem wysłał tylko listy z życzeniami. Dopiéro spotkanie się z panem Franciszkiem i udzielona mi przez niego wiadomość o bytności w Mrugotynie pana Eustachego, kazały mi pomyślić u udaniu się na koniec do państwa Hoholostwa, zresztą nie mogłem być ciągle zajęty lub chory.

O mojéj wizycie Leoś oznajmił naprzód i jak mi mówił wiadomość o tém bardzo miłe zrobiła wrażenie na mieszkańcach Kurnéj. Pani Dorota uradowana tą niespodzianką nieomieszkała zawiadomić natychmiast całego sąsiedztwa, które téż licznie, jak na jakie niezwykłe widowisko, pośpieszyło w dniu tym do Kurnéj. Leoś mi opowiadał, że za każdym turkotem lub szczeknięciem psa oczy wszystkich zebranych gości z największym niepokojem biegły do bramy wjazdowéj, co widząc—mówił chłopak—spodziewałem się jakiegoś raroga a to tym czasem mój kochany pan Adamek nadjechał.

Wieczór był ciepły, słońce rzucając łagodne promienie chyliło się ku zachodowi i w tysiącznych kolorach odbijało się w szybach oryginalnego dworu pana Hoholi. Dom kurneński, postawiony w środku pięknego parku, był zlepkiem rozmaitych stylów i mógł mieć do wszystkiego pretensyą. Lewa strona gmachu była zwyczajnym domem o wysokim dachu, z sześcią oknami i jednemi drzwiam po środku, które się chowały za drewianą kolumnadą, wystającą naprzód ganku. Daléj ściany wybiegły nad dach wspomnianego domu, okna się powiększyły, z ziemi pokazały się otwory suteryn, i galerya, do któréj wiodły z ciosowego kamienia schody, przyczepiła się po środku budynku czterma murowanemi słupkami, dotykającémi wystającą nieco facyatę dachu. Koło ścian tego drugiego domu, pod kątém prostym, dźwignął się dwupiętrowy gmach z wieżyczkami, galeryjkami u góry, glorjetkami, z gotycko-romańską kolumnadą i oknami przypominającemi styl włoski. Ten domo-pałac był żyjącą historyą powiększającéj się coraz fortuny a może i rodziny pana Hoholi. Z rokiem każdym przybywała to ściana nowa, to

jakiś słupek z boku się przyczepiał, to ni ztąd ni zowąd nad dach wyskakiwała wieżyczka. Wewnętrzne za to urządzenie domu było skromne ale z największą połączone wygodą. Pół powiatu mogło się bezpiecznie, nie zawadzając nikomu, pomieścić.

Kiedym podjeżdżał pod ten quasi pałac, okna patrzyły przynajmniéj trzydziestkiem głów. Pan Eustachy nie wyszedł według swojego zwyczaju z powitaniem na ganek, nie zwrócił nawet na mnie uwagi gdym wchodził do sali, udając mocno zajętego jakąś rozmową z panem Lempińskim. Za to pani Eustachowa widocznie niezadowolona ze strategii swojego męża, zajaśniała czarującym uśmiechem i nie mogąc ukryć radości, niespokojnie kręciła się na kanapie. W salonie zrobiło się cicho jak przed chwilą niezwykłego spektaklu. W kątku gdzieś złowiona przez zdradliwie rzuconą siatkę pająka bzykała mucha. I nie wiem dla czego—salon pana Hoholi wydał mi się przędzą pajęczą, niespuszczająca ze mnie wzroku pani Dorota—pająkiem, a ja? przykro mi się zrobiło i nie chciałem dokończyć porównania.

Ta cisza, te zwrócone na mnie ciekawe oczy towarzystwa i niedokończone porównanie, poirytowały mnie mocno, tém bardziéj, że od drzwi wchodowych do siedzącéj pani Eustachowéj, którą wypadało nasamprzód powitać, oddzielony byłem całą przestrzenią niezmiernie długiego salonu. Postępywałem wolno, wśród niemego milczenia—stuk moich kroków rozchodził się swobodnie po sali a nikt się nie ruszył tylko Leonek, stojący w kątku koło małéj marmurowéj kolumny, śmiał się choć cicho ale nielitościwie. To milczenie, te zwrócone oczy i uszy wytężone, ten śmiech Leonka, bzykanie muchy i miarowy stuk własnych kroków—wszystko razem wzięte miało w sobie tyle komizmu, żem się mimo woli uśmiechnął i podchodząc do pani domu, byłem już w najlepszym humorze.

— Korzystając z chwilki wolnego czasu i ukończonych ważniejszych przy gospodarstwie zajęć, pośpieszyłem natychmiast do państwa z wyznaniem należnego im szacunku—rzekłem, całując podaną rękę pani Doroty.

— Już to się pan nie bardzo śpieszyłeś—odparła gospodyni—w ciągu dwóch miesięcy można było nieco wcześniéj przypomnieć o dawnych znajomych i swojéj narzeczonéj.

Całe towarzystwo wraz ze mną oddech w sobie zaparło. Leoś pół kułaka do ust włożył, mucha brzęczyć zaczęła gwałtowniéj.

Niespodziewałem się nigdy takiego ze strony pani Eustachowéj postępku, który stawiał mnie wobec licznego zgromadzenia w najdrażliwszém, jakie w podobnych razach być może, położeniu.

Wiedziałem, że zmięszanie się i znowu zalegająca cisza mogły ostatecznie popsuć moję spawę niewieścią przebiegłością doprowadzoną do kulminacyjnego punktu. Zapanowawszy nad sobą zwróciłem się do panny Agnieszki siedzącéj koło mamy.

— Sądzę—rzekłem—że pani raczy mi to opóźnienie się wybaczyć. Nie chcę zresztą jéj w niczém krępować, dopóki losy nie pozwolą mi szczęśliwie powrócić z przedsięwziętéj przezemnie do bieguna północnego wyprawy.

Słyszałem wyraźnie jak białe ząbki pani Doroty zadzwoniły a mucha bzykać przestała i uwolniona z pajęczych sieci, brzęcząc radośnie usiadła na potężnym nosie pana Lempińskiego.

— Ależ ta wyprawa... zaczęła gospodyni domu...

— Mam nadzieję, że przed upływem lat piętnastu się skończy, dodałem i zwróciłem się witając towarzystwo.

W całém zgromadzeniu nowa zaszła zmiana. Jedni nie mogli wyjść z ogłupienia, inni się dwójznacznie uśmiechali, inni znowu coś szeptać między sobą zaczęli. Pani Eustachowa straciła na humorze i wzrok niespokojny skierowała na małżonka, który przywitał mnie komplimentem, że widzi zawsze we mnie—to *zawsze* wymówił z przyciskiem—człowieka nieposzlakowanéj prawości.

Bez téj podbiegunowéj wyprawy i dodanych przez Leosia lat piętnastu, doprawdy sam nie wiem jakbym się w chwili obecnéj, z zastawionych przez panią Dorotę sidełek, wyplątał. Jednakże gdyby się nic nie zmieniło, musiałbym rzeczywiście w jakąś daleką wyjechać podróż.

Między towarzystwem, zapełniającém salę Kurneńskiego dworu, znajdywał się pan Baltazar Trumbiński, który by życzył odsadzić mnie od panny Agnieszki, do czego bym najchętniéj mu przybył z prawdziwą przyjacielską pomocą. Ten pan Trumbiński był to sobie dość zamożny szlachcic i dzierżawił w okolicy Kurnéj jednę z piękniejszych wiosek. Młody dosyć, głupi bardzo, na czem zresztą panna Agnieszka nie poznałaby się, rządny i skąpy był właśnie stworzonym dla niéj.

— Panie kochany! mówił, biorąc mnie za rękę—jaka ona ładna! jaka ładna! a jak już w niéj kocham się—to aż strach! Żeby pan pojechał do tego bieguna i nie wrócił już więcéj, dałbym na Mszę świętą do Matki boskiéj Latyczowskiéj.

— Panie Baltarze! odpowiedziałem—jeżeli odbijesz mnie pannę ja nie będę nic miał przeciwko temu, przeciwnie, będę pana uważał za prawdziwego lowelasa.

— Co takiego lowelas, panie kochany?

— To, panie Trumbiński—jest sobie—lowelas!

— Aha! dziękuję panu, panie kochany! Ale, panie kochany, pan jako człowiek obyty i bardzo cywilizowany, niech mnie pan powie z jakiéj strony mam się wziąść do panny Agnieszki?

— Z jakiéj się panu podoba, byleby śmiało i nieodkładając.

— A jak ja, panie kochany, mam z nią mówić? bo ja po francuzku nie dobrze umiem: la pere, le mere i żywopry—oto wszystko!.. aha! jeszcze pardon!..

— Mniejsza o to! Bywaj pan często, wzdychaj częściéj a o kurach i indykach mów najczęściéj.

Rzeczywiście pan Baltazar na krok nie odstępował Jagusi i bez wątpienia lepiéj ją bawił odemnie. Ja jéj mówiłem o analizie spektralnéj, pan Trumbiński o kaszy jaglanéj—przy mnie Jagusia ziewała przy panu Baltazarze śmiała się i gadała.

Późnym już wieczorem powróciłem do siebie. Księżyc oświecał malutki mój domek otulony zielenią lip i jaworów, łamał fantastycznie cienie dużych kląbów, srebrnym blaskiem rozlewał się na gazonach ogrodu i jasnemi plamami w ciemne aleje się wkradał. Nie daleko domku wił się długi, jak wąż misternie pokręcony, potok, unosząc na swoich falach drgające światło księżyca, i nieco daléj w przestronne rozlewając się jeziorko, którego brzegi ocieniały brzozy i olchy, pożyczał wody swoje kołom wiecznie tyrkoczącego młyna.

Była już godzina pierwsza z północy—dwór cały spał, tylko w pokoju mojego ojca migotało światełko lampy. Widocznie czekał na mnie, więc według obyczaju poszedłem mu dobranoc powiedzićć.

— A jakże się bawiło, panie Adamie? rzekł do mnie, wskazując miejsce na przeciwko siebie.

— Zawsze i wszędzie potrafię się dobrze bawić — odpowiedziałem.

— Byle uczciwie—

— Co to ma znaczyć, mój ojcze? Do dziś dnia postępowaniem swojem na żadną z twéj strony naganę nie zasługiwałem.

— Dobrześ powiedział—odparł pan Feliks—do dziś dnia! Ale dajmy temu pokój!.. Dziś jaja mędrsze od kur—dodał po chwili. Oto masz pisma z poczty!

I rzucił mi kilka listów.

Wziąłem pierwszy z brzegu—rozpieczętowałem, jakaś woń fijołków powiała z maleńkiéj, różowéj ćwiartki papieru. Rozwinąłem list—i oczy mi się rozwarły szeroko i łzami zaszły, westchnienie w pół się urwało, uderzyło serce gwałtownie, że musiałem je dłonią przydusić.

W liście znalazłem parę fijołków jeszcze nie zeschłych i tylko te wyrazy:

Jaskółki już powróciły

Anna

Te trzy słowa czy nie powiedziały więcéj od najdłuższych listów? czy nie zawarły w sobie całéj tęsknoty oczekującego serca, pamięci o mnie, nawet żalu i smutku, że już jaskółki wróciły a tego, którego oczekiwano niéma i niéma. Ta chwila była dla mnie chwilą niewymownéj rozkoszy i zapomnienia! Łzy mi płynęły po twarzy, ręka trzymająca list drżała, usta całowały imię drogie. Byłem cały tam w białéj sali, u kolan Anny, w objęciu ukochanych ramion i nie czułem jak wzrok ojcowski groźny, wściekły wpijał mi się w źrenice łzą zalane.

— Panie Adamie! zagrzmiał po chwili głucho głos rodzicielski.

Dźwięk tego głosu miał coś piorunującego w sobie ale zarazem jakąś podburzającą siłę. Niezwykłym mi dotąd gniewem ścięły się usta i brwi ściągnęły. Postanowiłem nic nie ukrywać jeżeliby ojciec stał się wymagającym.

— Co rozkażesz, mój ojcze? spytałem, zawijając w papier wypadłe kwiaty fijołków.

Pan Feliks poruszył parę razy dłonią koło swéj twarzy.

— A! jaki te fijołki mają odurzający zapach!...

I wyciągając rękę rzekł głosem o ile mógł łagodnym:

— Daj mi ten list!

— Wybacz, ojcze! ale on tylko do mnie pisany.

— Wszystkie listy były zawsze pisane tylko do ciebie a przecie dawałeś mi odczytywać—dla czego teraz ma mi to być wzbronionem?.. A!!. jaki zapach odurzający! powtórzył i znowu zapytał:

— Dasz mi Adasiu?

— Nie nalegaj, ojcze! bo pokazywać go tobie nie mam prawa.

— A! jaki zapach!.. mówił pan Feliks. Różowy papier!.. parę fijołków!.. Kobiéty tylko piszą na takim papierze i fijołki przesyłają i łowią motylów na słodki lep... rozpusty!

Wymówił te słowa z takim cynizmem, z taką pogardą mojego uczucia, które mu znaném już było, żem zatrząsł się cały z gniewu i oburzenia.

— Ojcze!—zawołałem powstając—jeżeliś zwątpił o uczciwości swego syna—to nie obrażaj téj, któréj nie znasz, téj, którąby niezrozumiała nawet znaczenia ohydnego wyrazu.

Wyszedłem, nie mogąc być panem siebie, przeprowadzony długiem ojca spojrzeniem.

Gniew prędko ustąpił—ustąpił lubym o Annie marzeniom...

Poszedłem do ogrodu—i zdziwiony byłem pięknością majowéj nocy, jasnością księżyca. Nigdy tak jak dzisiaj nie dzwoniły fale, nigdy tak słowiki nie kłóciły się serdecznie... Ponury turkot młyna zmienił się w jakiś gwar wesoły, w jakiś szmer radośnéj rozmowy i gwiazdy śmiać się zdawały i księżyc wyglądał świąteczniéj. Cała przyroda jakby się dostroiła do kamertonu méj duszy. Przy bladem świetle księżyca odczytywałem po raz dziesiąty list Anny i choć krótkie słowa pamiętały się łatwo, zbliżałem do oczów różaną ćwiartkę papieru, chcąc każdy wyraz odczytać, całość każdéj zobaczyć litery.

Biedni ludzie, co nie znają miłości!

XIX

List Anny był dla mnie słodkim rozkazem przybycia.

Nazajutrz, ledwie snem obciążone przetarłem powieki, przywołałem do siebie Piotrusia, wydając mu rozkaz przygotowania się na dzień jutrzejszy do drogi.

— A gdzie *pomandrujemy*? czy do Mrugotyna? zapytał.

— Tam gdzie ci rozkażę! Jutro o godzinie piątéj rano pamiętaj, żebyś był gotów.

Chłopak uśmiechnął się, pocałował mnie w rękę i odchodząc zaśpiewał pod nosem:

Kałynońku rublu,
Kałynońka hnet sia —
Czużj żinki lublu—

Tu zatrzymał się hultaj i dodał:

Jadzi nechoczet'sia!

Gdybym nie był w tak dobrym humorze. pokręciłbym za ucho mazgaja, żeby nie bawił się w parafrazy nie swojego utworu; ale usposobienie moje miało nieco łagodniejszy charakter—przywołałem go tylko i kiwając palcem pod nosem:

— Słuchaj Piotruś! rzekłem—jeżeli jeszcze raz komukolwiek wspomnisz o Mrugotynie — to czupryna będzie w robocie — rozumiesz?..

— Niech mnie piorun jasny zabije, jeżeli pisnę słówko! zaklął się chłopiec i raz jeszcze pocałowawszy w rękę, oddalił się, nucąc:— kałynońku rublu...

Leżałem w łóżku, marząc o słodkiéj chwili zobaczenia się z Anną, gdy w kurytarzu, od którego były drzwi do mojéj sypialni, posłyszałem czyjś chód przyśpieszony. Zaledwiem mógł rozpoznać kroki, jak wpadł do mojego pokoju Wojciech i strwożonym głosem zawołał:

— Panie! pan stary zasłabł!

Jednym skokiem byłem na ziemi i narzuciwszy prędko na siebie szlafrok, zostawiając za sobą Wojciecha, pobiegłem do gabinetu ojca.

Ojciec leżał spokojnie na łóżku, na twarzy chorego nie mogłem dostrzedz żadnéj zmiany, żadnego śladu jakiegokolwiek bądź cierpienia. Na palcach zbliżyłem się do pana Feliksa i usiadłem na krześle koło łóżka.

Ojciec podniósł głowę i spojrzał na mnie—

— Co tobie, drogi mój ojcze? — zapytałem, całując podaną mi rękę.

— Nic tak groźnego, mój Adasiu! miałem sen niespokojny i silny atak krwi do głowy. Wojciech, widząc, że czerwienieję, pobiegł po ciebie—poczciwy stary!

— Może rozkażesz, ojcze, wezwać lekarza?

— Nie potrzeba.

W téj chwili Wojciech wszedł do pokoju -- ojciec mówił daléj:

— Czuję się znacznie lepiéj!..

Stary sługa zbliżył się do łóżka i stanął u nóg pana Feliksa. Spojrzeli na siebie i jakiś uśmiech zauważyłem na twarzy Wojciecha.

— Już zupełnie mi dobrze!—dokończył ojciec i podniósłszy się z pościeli kazał Wojciechowi podać ubranie.

Scena, która odegrała się przed chwilą była dla mnie zupełnie zagadkową. Co miało oznaczać to nagłe do mojego pokoju wpadnięcie Wojciecha z oznajmieniem, że pan stary zasłabł? Późniéj słowa ojca o polepszeniu się a nakoniec zupełne jego wyzdrowienie, które tak nagle nastąpiło po niezrozumianem mi uśmiechnięciu się tegoż Wojciecha? Była to odegrana jakaś komedya, lecz w jakim celu? zrozumiéć nie mogłem.

Zostawiwszy ubierającego się ojca wróciłem do siebie i pośpiesznie zacząłem się ubierać. Skończywszy tualetę musiałem raz, nie wiem już który, odczytać różowy bilecik—sięgnąłem do kieszeni surduta lecz w niéj nie znalazłem nic.

Listu Anny nie było.

Teraz dopiero zrozumiałem znaczenie wyż odegranéj komedyi. Gniew połączony ze wstydem razem za sprawców tego postępku nie

miał granicy, po za którą mogłoby się znajdywać pobłażanie lub tłómaczenie. Przykrzejszym mi był sam uczynek niż odkrycie tajemniczéj mojéj miłości. Samowola prawa rodzicielskiego przechodziła dozwoloną metę, tém bardziéj, że nigdy nie dawałem powodu do niekorzystnego sądu o sobie. Nie wiedząc jednak na jaki użytek list ten wykradziony został, postanowiłem go zdobyć na powrót.

Miałem wracać do gabinetu ojca, gdy w drzwiach mojego pokoju stanął Wojciech, trzymając w ręku list Anny.

— Czy to panicza list? — zapytał.

Podskoczyłem i wyrywając go z dłoni krzyknąłem:

— Na co go wziąłeś?

— Ot! tutaj pod progiem leżał, musiał się zgubić.

— Kłamiesz!—zawołałem—wykradłeś mi z kieszeni!

Wojciech wytrzeszczył oczy i przeżegnał się...

— A niech ziemia zapadnie się podemną na co mnie to pisanie?

— Nie udawaj niewinnego!.. Ale słuchaj Wojciechu! Jeżeli jeszcze raz coś podobnego będzie— wołałem trzęsąc się z gniewu— to i pan stary nie obroni ciebie! Szpiegów nie potrzebuję!

— W Imię Ojca i Syna! żeby ja z tego progu nie ustąpił! żeby mnie ziemia nie przyjęła! żeby mojéj duszy światłość wiekuista nie zaświeciła nigdy, jeżeli ja palcem tknął tego różowego papierka! Na krzyż pański i Magdaleny niewinność....

— No dosyć! dosyć! ruszaj! a gdzie pan?

— Na ganku od dziedzińca kawę pije i kazał panicza prosić.

— Zaraz idę.

Wojciech wyszedł -- ja musiałem parę razy przejść się po pokoju, żeby ochłonąć z gniewu i oburzenia. Po uspokojeniu się poszedłem do ojca, który siedząc na ganku, najspokojnéj maczał sucharki w kawę i kulą u nogi drażnił wyżła leżącego pod stołem.

W milczeniu usiadłem naprzeciw.

Ranek był prawdziwie wiosenny. Słońce zaledwie podniosło się nad ziemię duże, czerwone, malując szkarłatem brzegi białych obłoków, które całe niemal niebo okryły. Ranny wietrzyk poruszał na pół rozwinięte liście drzew, w dali szumiał gadatliwy potok i młyn tyrkotał. Na przeciw ganku stała otworem wjazdowa brama, po za którą długim wężem wił się gościniec przez pola pokryte zielenią zbóż rozmaitych. Na dalekim horyzoncie pokazał się mały kłąb pyłu, który powoli rozszerzał się, wydłużał aż przybrał postać ogona komety, którego gwiazdą był szybko posuwający się jeździec na dzielnym, karym koniu. Jeździec prostą drogą zmierzał ku bramie—gdy wjechał na dziedziniec, poznałem w przyjeżdżającym zna-

jomego mi Wojtalirę, ulubionego pana Starży kozaka. Wojtalira miał na sobie jedwabny, pyszny strój kozacki. Zatrzymał się nie podjeżdżając do ganku i zsiadłszy z konia, którego puścił swobodnie, zbliżył się do nas.

— Sława Bohu! — rzekł, zdejmując czarną, barankową czapkę z czerwonym zwieszającym się wierzchem.

— Na wiki!—odpowiedziałem.

Kozak wszedł na ganek.

— Od kogo?—zagabnął ojciec.

— Od pana Stanisława Starży, z pismom do was — rzekł, zbliżając się do mnie i oddając list.

Pan Feliks brwi namarszczył i zaczął smoktać sucharki.

Przebiegłem list oczyma.

— Idźcie do stajni i dajcie koniowi spoczynek a i sami coś przekąście—rzekłem do posłańca— ja odpowiedź zaraz wam wręczę.

Wojtalira pokłonił się i nasuwając czapkę cmoknął na konia, który małémi krokami, rzucając śliczną główką, ruszył za nim.

Zacząłem list czytać głośno.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Rad jestem niespodziewanéj znajomości, jaką zrobiłem z Waszmość Panem. Miłyś mi się stał od pierwszego niemal widzenia, choć na prezentacyą uczynioną przez Waszmość pana zrazum się wzdrygnął, lecz to wrażenie przykrości ustąpiło natychmiast miłemu uczuciu, które zmieniło się w przyjaźń. To drugie zawdzięczam podobieństwu Twéj fizyonomii do Téj, która była Twą matką, a któréj wspomnienie jest mi jako sakrament drogie. Gdyby mnie kto na Jéj Imię zaklął nie mógł bym mu odmówić w szaleństwie nawet. Przez pamięć więc, że Waćpan synem Jéj jesteś i przez to rysów i głosu podobieństwo lubię Cię więcéj niż powinienem — i na dowód, że gościem miłym mi będziesz zawżdy, upraszam kordyalnie Waszmość Pana o przyjechanie do mnie w dzień S-go Stanisława, który, jako mój festyn, we właściwy sposób téj uroczystości obchodzonym będzie. Mam zresztą przeczucie, że Pan Bóg wezwie mnie wkrótce do zdania rachunku z całego mojego życia. Przed ludźmi muszę go wprzód złożyć i godzić się powoli z tymi, którzy by mogli na mnie zanieść skargę do nieba. Nie odmów mojemu zaproszeniu— czekam z utęsknieniem.

Powolny sługa Waszmość Pana
Stanisław Starża.

NB. Panu Feliksowi pokłonu przesłać nie mogę, bo by mi go nie oddał.

— W tém się pan Stanisław nie myli—rzekł ojciec gdym skończył czytanie—i zwracając się do mnie zapytał:

— I cóż myślisz, panie Adamie?

— Myślę pojechać, ojcze! przecie mi wzbronić tego nie zechcesz?

— Nie mam prawa! — Do lat pełnych doszedłeś już dawno. Zresztą... owszem!—jedź! tak!—jedź koniecznie!..

List pana Starży stanął na przeszkodzie mojemu do Ornowskich wyjazdowi. Za dni parę przypadał dzień Ś-go Stanisława—składniéj mi nawet było z Maliniec do Mrugotyna się udać, a może—kto wie? Annę zobaczę tam! Wprawdzie u pana Starży zbierało się zwykle towarzystwo męzkie ale list jego mógł do myślenia dać dosyć.

— Słuchaj, Adasiu—rzekł ojciec, uderzając mnie po kolanie—mam do ciebie jednę prośbę, któréj, sądzę, że mi nieodmówisz. Na drugi dzień po owym u pana Stanisława przyjęciu, będę czekał ciebie z powrotem koniecznie. Wiem, że tak prędki powrót miłym ci nie będzie ale od dziewiątego do piętnastego maja będę ciebie potrzebował. Później w niczém już krępować woli twojéj nie myślę—rozumiesz! w niczém—masz moje słowo!..

Musiałem przystać na żądanie ojca jakkolwiek niechętnie i z pewnym niepokojem, bo przeczuwałem jakąś intrygę, którą już snuś zaczął pan Feliks. Mówiąc do mnie w zwykłych warunkach codziennego życia, nazywał mnie zawsze „*panem Adamem*“ ale „*Adasiu*“ odzywał się tylko wtedy, gdy o coś miał prosić a otrzymania czego nie był pewnym albo gdy, mówiąc utartym sposobem wyrażania się, dołki kopał. Jakiego rodzaju dziś miały być te dołki, zgadnąć nie mogłem. List Anny uspakajał mnie, upewniał, że jéj się serce nie zmieniło, że nikt jéj nie szepnął żadnego słówka, któreby mogło zachwiać jéj wiarę we mnie. Pan Feliks zdawał się być w dobrym humorze, zaczął mnie znowu panem Adamem nazywać i kiedym w dzień naznaczony siadał do powozu, udając się na imieniny pana Starży, pożegnał kilkakrotnie całując mnie w czoło.

XX.

Słońce było jeszcze wysoko kiedym przyjechał do Dzierdzijówki. Zważywszy, że do Maliniec niespełna mil trzy zostawało i że konie potrzebowały nieco odpocząć, kazałem Piotrusiowi zajechać do dworu pana Piskały.

Teraz dopiero dom pana Bonifacego wraz z gospodarskiém otoczeniem swojém przedstawił mi się w całéj pełni opuszczenia i ru-

dery. Raz pierwszy byłem w Dzierdzijówce w nocy a jakkolwiek w biały dzień ją opuszczałem, byłem tylą zajęty myślami, że nie zwróciłem uwagi na rezydencyą bogatego skąpca.

Dom był dość duży i wcale kształtnéj budowy, choć wysoki dach z facyatą świadczył o jego nie nowém pochodzeniu; nie bielony, przynajmniéj od chwili zamieszkania przez pana Piskałę, świecił różnemi barwami jakiemi czas i opuszczenie zwykły malować oddane im na własność budynki. Gdzie-niegdzie znać było białe pasy nieopadłego jeszcze wapna, gdzie-niegdzie przebijały czerwone cegły a wszystko to na szaro-brudném tle gliny osypującéj się z dniem każdym. Ganek wsparty na czterech słupach groził rychłem zawaleniem się, bo słupy dziwnie się wykrzywiły i rozeszły jak nogi nieumiejętnego tancerza, który w mazurze wstrzymał się i rozkraczył, żeby dać niewidzianego jeszcze hołubca. Prawa strona domu, zamieszkana przez gospodarzy, miała choć wszystkie szyby w oknach, gdy tymczasem strona przeciwna zupełną pustką patrzyła. Gorzéj się działo ze stajniami i oborami, które świecąc niezliczoném mnóstwem dziur, ze wszech stron krzywemi podparte słupami, były tak wiotkie, że lada wiatr silniejszy mógłby je do szczętu rozwalić. To téż pan Piskała, jak tylko przelatujące akwilony zwiastowały niedalekie przyjście burzy, dbały o swój dobytek, wydawał wnet srogie rozkazy, żeby konie, woły i inny remanent ruchomy co prędzéj zostawał wypędzany z ażurowych siedzib swoich. Nie mam potrzeby dodawać, że cały przestronny dziedziniec przed domem z zupełnie rozwalonemi oficynami, był zarośnięty lasem bodziaków, olbrzymiemi łodygami blekotu i niebotyczną pokrzywą, z któréj wprawdzie przezorny gospodarz robił użytek, karmiąc siebie i czeladź zieleniną z niéj przyrządzoną. Rozkoszowały za to nierogate stworzenia, wylegając się w niewysychającém nigdy błocie, do urządzania którego przyczyniała się ochędożna służba właściciela Dzierdzijówki.

Podjechałem pod ganek jak zwykle przeprowadzany liczną psiarnią, która była jedynym stróżem dworu pana Piskały. Rozbudzony widocznie tym psów hałasem, ziewając szeroko, w zwykłéj liberyi, wyszedł na moje spotkanie jedyny kamerdyner pana Bonifacego—Florek.

— Jest pan Piskała w domu?—zapytałem.

— Ehe! — rzucił malec zwykłą sobie odpowiedź i zęby wyszczerzył.

— Co robi?

— Rów kopie — odpowiedział Florek. I wskazał palcem na furtkę ogrodową.

— A pani?

— W rowie z panem Świdrusiem.

Poszedłem do ogrodu.

Niegdyś piękny to park być musiał, jak świadczyły o tém olbrzymie drzewa niebotycznych świerków, rozłożyste lip konary, kasztany stuletnie, kłąby jesionów i jodeł; ale dzisiaj, przy ogólném zaniedbaniu, kunsztownie prowadzone aleje ogrodu zarosły sporemi już drzewkami brzóz i klonów, miejsce dawnych gazonów zajęły ogromne paprocie i szybko rosnące akacye, żadnéj ścieżyny widać nie było, wszystko tak zarosłe chwastem i bujną ziemi naszéj latoroślą.

Zwróciłem się do Florka z zapytaniem, którędy mam się udać do zajętego pracą gospodarza domu, bo żadnéj drogi przed sobą nie widzę.

— O tak, prosto! — rzekł Florek, rzucając ręką przed siebie — u nas bez drogi chodzą.

Drąc się przez zarośla z pokrzyw i bodziaków, wszedłem do środka pustki. Natura tu prowadziła dzieło swoje, niszcząc zupełnie ślad pilnéj niegdyś ręki człowieka. Boki pniów dużych osiadły ciemne mchy i grzyby—głucha cisza i cienie zaległy do koła, ziemia pokryta bujnym porostem traw i paproci oddychała wilgocią. Gdzieniegdzie leżały olbrzymie słupy drzew upadłych, podciętych kosą czasu, tamując przejście; kilka dużych mrowisk ruszało się miliardami pracujących stworzeń, koło mętnéj kałużki usiadł rzadki płód naszych lasów—czerwony muchomór; niemal każdy pień drzewa rozpruty był piorunem. Od dawna snać nikt tutaj nie był, bo na szelest kroków moich stwrożone zerwało się ptactwo, roznosząc do koła postrach — zakrakały wrony, zaskrzeczały sroki, zerwały się sowy, tłukąc skrzydłami o niedojrzałe jeszcze gałęzie, bo światło dzienne, choć słabe, przezierało gdzie-niegdzie przez na pół rozwinięte liście. Na jednéj gałęzi rozłożystego klonu ujrzałem wiewiórkę nakrytą puszystym ogonkiem, która patrzyła na mnie zdziwiona niezwykłym dla siebie widokiem, a gdym chciał ją spłoszyć i w dłoń uderzyłem—podniosła się, pokazała mi białe ząbki i zwinnemi ruchami, przeskakując z konarów na konary, oglądając się ciągle, w zieloną gąszcz zapadła. Daléj, szeleszcząc zeschłemi liśćmi, wąż się przesunął i zniknął gdzieś w spróchniałym pniu drzewa—i znowu zaległa cisza, przerywana czasem szumem ulatających ptaków i wron krakaniem. Na koniec, po uciążliwéj pracy rąk i nóg, puszcza zaczęła się przerzedzać, długie słońca promienie rozlały się szeroko i z oddali dobiegły do mnie zmięszane jakieś głosy i cienki śmiech kobiecy.

Wychodząc z zarośli zobaczyłem przed sobą rów olbrzymi, z którego wyjeżdżały kary pełne ziemi i gliny. W małém oddaleniu od rowu był niewielki kląbek bzu, zkąd dolatywała ożywiona rozmowa dwojga ludzi i śmiech niewieści. Udałem się do tego kląbu: w jedném miejscu krzaki się rozchodziły, tworząc wejście do środka.

Na ławeczce darniowéj siedział pan Franciszek Świdruś, trzymając na kolanach kochaną wujeneczkę, która na widok wchodzącego zerwała się, chcąc uciekać ale siostrzeniec ją ujàwszy w pół kibici, zatrzymał.

— Może przeszkadzam? — zapytałem z uśmiechem stając po środku altanki.

— Ale nie! nie!— odpowiedział pan Franciszek — moja wujeneczka nie wiedzieć czego się spłoszyła, jakby nie wiedziała, że pan znając jéj małżonka, musi być pobłażliwym dla niéj.

Rzeczywiście pan Franciszek miał nieco słuszności. Czegóż się bowiem można było spodziewać od takiéj Magdusi, mającéj takiego ohydnego cerbera za męża?

Zwróciłem się do pani Magdaleny, która w téj chwili kręciła za lewe ucho siostrzeńca.

— Niech pani się nie żenuje— rzekłem— i usiądzie na dawném miejscu. Zajechałem do państwa jako już do swoich znajomych na krótki odpoczynek, albowiem jadę do Maliniec na imieniny pana Starży.

— Mnie zawsze miło pana widzieć, pan mnie się odrazu podobał — odpowiedziała Magdusia, siadając na kolanach pana Franciszka.

— Gdzież jest mąż pani?

Magdusia śmiać się zaczęła.

— Kopie skarby — odpowiedział Franciszek — a! doprawdy, warto, żebyś pan zobaczył ten rów, koło którego, wedle nakreślonego przezemnie planu, pracuje mój śliczny wujaszek. Bądź co bądź to ja na tém najlepiéj wychodzę. Siedzę sobie spokojnie a kochana wujeneczka ugaszcza mnie czém może.

Cmoknął ją pod bródkę aż echo odklasnęło.

— Franku bo!—zawołała niby nadąsana Magdzia zrywając się z kolan...

— Kiedy wujeneczka taka smaczna jak malinowy karmelek!

— Et!..

Dwa klapsy, dygnięcie i wybiegnięcie z altanki.

Pan Franciszek powstał z ławeczki i biorąc mnie za rękę poprowadził do pana Piskały, którego zastaliśmy bez surduta, osobiście pracującego motyką. Rów wykopany był rzeczywiście dziełem

olbrzymiem. Z obydwóch stron piętrzyły się ściany niezmiernéj wysokości, z pięćdziesięciu przynajmniéj ludzi zajętych było robotą. Magdusię zastaliśmy koło pana Bonifacego.

— A! witam łaskawego pana!—zawołał spostrzegłszy mnie pan Piskała i ocierając ciekący pot z czoła—dokąd że to bogi niosą?

— Do Maliniec na imieniny.

— Szczęśliwi z was ludzie, panowie! bawicie się i bawicie! nie tak jak ja w pocie czoła na chleb powszedni pracuję.

— Ale po jakiego licha taki rów pan kopiesz?

— Bo... bo... widzi pan! — jękał się skąpiec — ja mam nowego rodzaju szparagarnię założyć — jak Boga kocham — prawdę mówię! Mój drogi Franek myśl mi tę podał, ogromne mają być rezultaty spytaj pan Franka!

— Szparagi, panie łaskawy—mówił zwracając się do mnie i dusząc się od śmiechu pan Franciszek—posadzone w tym rowie będą dwa łokcie długości i pół objętości, smaku niewypowiedzianego, soczystości nie bywałéj i miękkości, która chyba mojéj wujeneczce dorównać może.

Magdusia zakręciła się, pan Piskała chrząknął parę razy i zaczął surdut naciągać.

— Więc łaskawy pan—rzekł do mnie — dzisiaj do pana Starży jedzie. Gospodynią domu będzie tam pani Ornowska i gości huk!...

Serce mi gwałtownie zabiło — spojrzałem na słońce, które leniwo dziś czegoś opuszczało się ku zachodowi.

— U pana Stanisława—rzekłem—tylko męzkie bywają zebrania.

— Tak bywało, ale dziś bal z kobietami wydaje. Ach! jakie tam będzie przyjęcie, panie łaskawy! Żałuję, że nie bywam w Malińcach—oto bym żarł!

Plasnął językiem i oblizał się.

Gawędziliśmy tak jeszcze z godzinę, aż nakoniec z wielką radością posłyszałem turkot swojego powozu. Pożegnałem gospodarstwo i przeprowadzony przez pana Franciszka dogodniejszą nieco drogą, z jakąś niewypowiedzianą trwogą udałem się do Maliniec.

(*d. c. n.*) *Kazimierz Gliński.*

KATARZYNA KOSSAKOWSKA.

(Listy Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, kasztelanowéj kamieńskiéj (1754—1800), z oryginałów, przechowanych w archiwach familijnych, wydał Kazimierz Waliszewski. Z portretem kasztelanowéj. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1883, str. 324 in 8).

I.

Było to a nawet jest dotąd jeszcze w zwyczaju u nas szafować zaszczytnym tytułem „ostatniéj, staropolskiéj matrony.“ Była więc „ostatnią matroną“ Lubomirska, kasztelanowa krakowska, była nią Lanckorońska, kasztelanowa połaniecka, Dembińska, starościna wolbromska i wiele innych sędziwych niewiast, które w mniejszym lub większym stopniu przechowały tradycyą starodawnego obyczaju. Lucyan Siemieński występuje stanowczo przeciw tym uroszczeniom niepomiarkowanych chwalców, lecz czyż sam nie dopuszcza się bardziéj rażącéj przesady, utrzymując śmiało, że „jedna Katarzyna Kossakowska ma do tego tytułu niezaprzeczone prawo!“

Będziemy mogli późniéj ocenić i sprawdzić, o ile owo prawo jest istotnie uzasadnioném i nie ulega wątpliwości; wprzód jednak przytoczmy kilka jeszcze słów z „portretu“ pani kasztelanowéj, aby nieco bliżéj poznać wyobrażenie, jakie sobie o niéj wyrobił słynny pisarz. Jest ono, powiedzmy z góry, zbyt optymistyczném. Wedle wykwintnego autora *Portretów literackich* charakter téj pani składał się z pierwiastków, „z jakich dzisiejszy poeta złożyłby ideał matrony, ostatniéj matrony w przetwarzającém się dokoła społeczeństwie.“

Jak sobie Siemieński wyobrażał ideał matrony? Na to pytanie nie znajdujemy w jego szkicu dostatecznéj odpowiedzi, chociaż nie brak tam rozrzuconych tu i owdzie rysów, z których miała się składać indywidualność, uosobiająca wedle niego ów ideał. Każdy nieuprzedzony przyznać musi, że gdy ją zowie „aniołem opiekuńczym“ rodziny Potockich, któréj licznym członkom niosła pomoc z wielkiem nieraz poświęceniem i zaparciem, to ma zupełną i bezwarun-

kową słuszność. Ale owa szanowna i godna uznania zaleta w takim jedynie razie byłaby jedną z cnót, zdobiących prawdziwą matronę, gdyby i używane przytém środki były równie szlachetne, jak cel, który im przyświecał—gdyby nie przynosiły uszczerbku dobru publicznemu i dobréj sławie samejże, do nich uciekającéj się osoby.

„Ona była swojego czasu potęgą, utrzymującą uczucie godności narodowéj“ — prawi daléj znakomity literat, będąc niejako odgłosem téj pochlebnéj opinii, jaka się o kasztelanowéj przechowała w kole wdzięcznéj familii. Że poniekąd była potęgą i zażywała większéj popularności, niż niejeden możny senator, to prawda—o ile „uczucie godności narodowéj“ utrzymywała, poświadczą fakta.—Prawda również, że ciętym swym dowcipem smagała zdrożne wybryki i odzywała się nieraz w patryotycznym duchu, lecz o ileżby jéj z tém więcéj było do twarzy, gdyby pięknym słowom odpowiadały piękne czyny!

Nie wiem, czy do przymiotów matrony zaliczyć można intrygowanie po sejmikach i sejmach, lecz wiem, że kto w tym, co kasztelanowa kierunku agitował, temu raczéj wszystkie inne tytuły przyznaćby należało, aniżeli tytuł polskiéj matrony...

Jak gdyby chcąc udowodnić koniecznie prawdziwość swéj tezy, robi Siemieński swą bohaterkę—ignorantką, utrzymując, że słowa po francuzku nie rozumiała. Trudno nam przyznać, aby podobne nieuctwo było nieodbicie potrzebném polskiéj matronie w przeciwstawieniu do sfrancuziałego społeczeństwa, a zkądinąd wiadomo, że pani Kossakowska rozmawiała łamaną francuzczyzną z Józefem II. Dzisiaj przynajmniéj śmielibyśmy się z takiéj matrony, któraby łajała towarzystwo za używanie obcéj mowy, a sama jéj nie znała; byłaby to bardzo łatwa wstrzemięźliwość i tanie moralizatorstwo!

Wydane przez Siemieńskiego pamiętniki wojewody Wodzickiego świadczą jednak, że edukacya pani Kossakowskiéj musiała być za nadto „staropolską,“ skoro „gdy lektor głośno dzienniki czytywał, ona najpospolitszych nocyi nie mając, wyrywała się nieraz z zapytaniem o rzecz najbłahszą“...

II.

Szerokie koła czytającego ogółu zostawały przez czas dłuższy pod wrażeniem opinii świetnego stylisty o pani kasztelanowéj Kamieńskiéj. Dopiero ogłoszone w r. 1872 *Galiciana* Władysława Łozińskiego, rzucające wielkie światło na historyą Galicyi z epoki rozbiorów, oświeciły także dość jaskrawym promieniem wyrazisty

profil téj pani a ponurym blaskiem w dwa lata później oblał jéj postać przełożony z rosyjskiego „Dziennik wojennych działań generałmajora Piotra Kreczetnikowa.

Nader ciekawym i charakterystycznym jest najwcześniejsza o niéj wzmianka w listach posła rosyjskiego księcia Repnina do Kreczetnikowa. Z korespondencyi téj (14 maja r. 1767) dowiadujemy się, że kasztelanowa nietylko gotową jest służyć widokom ambasadora, lecz wedle słów jego, „dla utrzymania kredytu swego w narodzie pragnie, aby ta protekcya dworu naszego jasną i publiczną była.“ Życzeniu tak „szanownéj“ damy miało się stać zadość. „W celu sprawienia jéj przyjemności—pisze książę—proszę rozkazać, aby oficerowie nasi w czasie swego pobytu we Lwowie oddawali jéj wizyty, a nadto dla jéj zabawy proszę odkomenderować oficera młodego, przystojnéj twarzy i przyzwoitego układu, mówiącego obcemi językami, któryby, mieszkając ciągle we Lwowie, chodził do niéj codzień na obiady i wieczory, zabawiał ją i rozrywał; tenże oficer może służyć zarazem JWPanu do doniesień potrzebnych ze Lwowa i do korespondencyi z kasztelanową Kamieńską.“

Odtąd staje się Kossakowska powolném narzędziem ambasadora i prawą ręką generała, którego odwiedza, odbywa z nim długie konferencye i w myśl jego zleceń agituje, pragnie jednak w zamian takiéj nagrody, że o niéj wspominając, daje książę wyraz swemu oburzeniu i zarazem udziela niejako Polakom lekcyi patryotyzmu: „Panowie polacy, a w liczbie ich wojewoda kijowski i kasztelanowa kamieńska, wyłącznie dla prywaty swojéj chcą zamknąć wszystkie sądy, poddać wszystkie sprawy i kwestye osobiste pod władzę sądów konfederackich, na co nigdy nie pozwolę, gdyż nie widząc w tém najmniejszéj dla nas korzyści, nie chcę pomagać zadość uczynieniu ich osobistéj zemsty.“

Niedługo potém zdaje się, że pani Kossakowska straci względy Repnina. Niepomyślny dla interesów rosyjskich obrót sejmiku halickiego z winy rodzonego brata kasztelanowéj, Maryana Potockiego, kasztelana lubaczewskiego, niemniéj śmiałe postępowanie jéj synowca, Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego, wzbudziły w podejrzliwym umyśle ambasadora przekonanie, że przebiegła kobieta chce go wywieść w pole. Dotknięty do żywego tą myślą, „dla okiełznania intrygantki“ każe jéj dobra zająć i spustoszyć, i wtedy dopiero cofa ten rozkaz, gdy Kossakowska wraz z bratem (1)

(1) „Odebrano — są słowa Kreczetnikowa — list od wojewodzica poznańskiego z uwiadomieniem, że wskutek starań kasztelanowéj kamieńskiéj kasztelan lubaczewski

i zaprzyjaźnionym kasztelanicem Konarskim zobowiązała się rewersem, do ślepego na przyszłość posłuszeństwa, i rzeczywiście każdy rozkaz spełniając bez szemrania, odgrywała dziwną dla kobiety rolę politycznego agenta dworu petersburskiego. Na żądanie Repnina zjechała na sejm do Warszawy, nakłoniła wszystkich posłów małopolskich do uległości i na każdym kroku okazywała się użyteczną. „Ułożyliśmy się — mówi Kreczetnikow pod dniem 21 listopada — abym na cały czas kontraktów przyjechał do Lwowa, naprzemian z kasztelanową dawał bale i uczty i tym sposobem werbował sobie zwolenników. Kasztelanowa z najgłębszém uszanowaniem prosiła mnie, abym ze wszystkimi sztabowymi i wyższymi oficerami został we Lwowie na imieniny naszéj najjaśniejszéj cesarzowéj i ażebym jéj pozwolił ten dzień uczcić solennym obchodem, w czém téż jéj prośbie uczyniłem zadość.“ Razem z generał-majorem obrabiała ona posłów, dając każdemu należycie przygotowanemu z kasy ambasadorskiéj od 20 do 50 dukatów, za co jéj zwrócono 450 cz. zł., a opozycyjnego Łosia, posła podolskiego, zatrzymała u siebie niemal gwałtem, aby na sesyą nie poszedł i nie protestował. To téż na ostatniém posiedzeniu sejmowém kreatury Repnina, oraz „przyjaciele wojewody kijowskiego, Potockiego, i kasztelanowéj zakrzyczeli oponentów i sejm doprowadzili do końca.

Taką była akcya pani Kossakowskiéj w porze konfederacyi radomskiéj. Zdaje się, że w nadziei naprawienia podupadłych interesów konfederackich, starała się o pozwolenie przybycia do Petersburga i przedstawienia cesarzowéj rzeczywistego stanu rzeczy w Polsce. W odpowiedzi na tę prośbę nadszedł w połowie kwietnia r. 1768 od Panina list, odradzający jéj podróż do stolicy Rosyi, wzywający ją, aby nie odmawiała swych usług na miejscu, a zarazem donoszący, że niebawem odbierze tabakierkę, obsypaną brylantami, z cyfrą cesarzowéj.

Jest-to ostatnia wzmianka o kasztelanowéj w Dzienniku Kreczetnikowa. Wedle zdania tłómacza „odtąd cała zacność i ofiary długiego jéj życia, w którém dla dobréj sprawy szlachetnie poświęcała całe ogromne mienie i wpływ swój przemożny, zacierają w pełni smutną i poniżającą rolę, którą odegrała wówczas.“

Czy rehabilitując panią Kossakowską tak stanowczo, nie myli i nie łudzi się tłómacz—czy nie pozostaje pod urokiem dytyrambów pochwalnych Siemieńskiego? Zobaczymy to, śledząc ją w lat kilka na nowéj arenie działania, w świeżo przez Austryą zajętéj Galicyi.

---

podpisał żądany rewers, w którym zapewnia, że na przyszłym sejmie wszystko to wypełni, co mu przez ks. Repnina rozkazaném będzie.“

Aż do chwili wyjścia na świat wspomnianych już wyżéj „*Galicianów*“ uchodziła kasztelanowa Kamieńska za zdecydowaną nieprzyjaciółkę nowych rządów na Rusi Czerwonéj. Znaliśmy ją tylko z legendy jako dostojną matronę, bolejącą nad tém, co się stało, nie wahającą się nawet wobec Józefa II okazać uczucia głębokiéj pogardy, jakie żywiła dla jego urzędników. Wydrukowana przez Łozińskiego autentyczna korespondencya urzędowa przedstawia nam ją w zupełnie odmiennném świetle: późniejszą malkontentkę widzimy tu jako najgorliwszą propagatorkę austryackiego panowania, służącą z równym zapałem gubernatorowi Galicyi Pergenowi, jak dawniéj służyła Repninowi. Hr. Pergen w piśmie do kanclerza Kaunitza z dnia 7 stycznia r. 1774 wymienia osoby, które się szczególniéj „odznaczyły,“ usuwając wszelkie trudności, jakie się nastręczały rządowi przy składaniu homagium z powodu żądań (*desideria*) przedstawianych przez deputacye. Osoby te nie dopuszczały, iżby ktokolwiek podawał „niewygodne desideria,“ przykładały się do „uspokojenia umysłów,“ celowały „sumisyą,“ „umiały w bardzo przyzwoity sposób wykazywać korzyści monarchicznego rządu,“ w ogólności działały „z wszelką możliwą gorliwością.“

Do tak zasłużonych figur należeli: krajczy Potocki i jego ciotka, pani Kossakowska. Pierwszy „nietylko z zaniedbaniem własnych interesów, w największym pośpiechu z Warszawy do Lwowa przybył i osobiście przy złożeniu przysięgi wierności był przytomnym, lecz nadto, choć nie był deputowanym, przyczyniał się z szczególną gorliwością do uspokojenia umysłów i przytaczał za przykład siebie samego, że mimo iż los Galicyi został rozstrzygniętym, kupił od brata znaczne, w kordonie położone dobra, Tarnopol.“ Dowody tak niezwykłego poświęcenia składał on w błogiéj nadziei, że zostanie ces. król. tajnym radcą z opuszczeniem taksy; przypomniał nawet gubernatorowi, że już otrzymał poprzednio obietnicę w téj mierze i w osobnéj nocie prosił o wyjednanie „téj oznaki najwyższéj łaski, którą przyjmie z najuniżeńszém podziękowaniem...“

Niemniéj czynną i gorliwą była sama pani kasztelanowa. Wdzięczny Pergen wymienia ją na czele dam, „zasługujących na uwzględnienie“ i wspomina zarazem, że jest już kanclerzowi znaną ze sprawozdań barona Revizkiego. Nie ulega wątpliwości, że napomknięte tu raporta pozwoliłyby nam przyjrzéć się bliżéj robotom nowo kreowanéj hrabiny; o ich rodzaju i wartości wszakże nie pozwalają nam powątpiewać słowa gubernatora. „Odznaczała się ona bardzo—mówi Pergen—według relacyi naczelnika cyrkułu (t. j. stanisławowskiego) Niedermeyera przy wyborze deputatów, chociaż wybór ten nabrał przytém niejako cechy sejmiku (*die Gestalt einer*

Dietine)." Szerzéj nie rozwodzi się o tém hrabia, ponieważ relacye Niedermeyera poszły zapewne do Wiednia i były znane Kaunitzowi.

Pobieżna wzmianka gubernatora, znajduje wymowne potwierdzenie i uzupełnienie we własnoręcznych listach kasztelanowéj. Pod dniem 30 września r. 1772 pisze z Warszwy do Pelagii Potockiéj, kasztelanowéj lwowskiéj, że nie chce takiéj, jak w Polsce wolności: „*Ja Bogu dziękować będę, gdy mnie już weźmie cesarz, byle na zawsze.*" Pobożne to życzenie spełniło się wkrótce, chociaż późniéj nieraz przychodziło jéj gorzko opłakiwać rozkosze austryackiego Eldorado! Jest-to rzecz wielce charakterystyczna, że podczas gdy pani Kossakowska tak skwapliwie napędzała szlachtę do ślepego poddania się rozkazom nowego monarchy, z pomiędzy wezwanych do złożenia hołdu odmówił stanowczo tylko jeden, i to właśnie znienawidzony przez nią Kicki, którego nazywała szyderczo „starostą z bindą i gwiazdą." Uradowana zapowiedzianym przyjazdem Józefa II, „jak może, tak się uwija, aby wszystko pięknie było i porządnie" (17 lipca 1773), bo dodaje: „ja na to przybycie Naj. Pana to tylko czynię, co mogę, jak kiedy idziemy do spowiedzi, iż sumienie powinno być czyste" — przebywa w Stanisławowie, Lwowie, lub Wiedniu, a na wezwania znajomych odpowiada z przekąsem, że „*do kochanéj Polski* nigdy nie pojedzie" (3 kwietnia 1774).

III.

Podane co dopiero wyjątki z listów zawdzięczamy nowéj publikacyi dr. Kaz. Waliszewskiego. Szanowny wydawca potrąca w przedmowie o genezę książki, lecz czyni to sposobem ogólnikowym i językiem nieco mistycznym; ponieważ zaś znacznie jaśniéj rzecz tę przedstawił swojego czasu w „Niwie" i o ile wiemy, nie ma powodu do tajemnic przeto pozwolimy sobie przenośne jego wyrażenia i figury retoryczne przełożyć na zwykłą prozę. W dawnéj siedzibie Sapieżyńskiéj, nad wpadającą opodal do Niemna Rosią, w wiosce tegoż nazwiska, należącéj do hr. Stefana Potockiego, niewidzialne prawie ludzkiemu oku, pod kluczem i grubemi warstwami pyłu, kryło się ważne archiwum rodziny Sapiehów i Potockich. Gorąco w pamiątkach przeszłości rozmiłowany właściciel dzisiejszy tych cennych zbiorów, powiększył je znakomicie wykupiwszy od pewnego obywatela z nad Narwi za kilka tysięcy rubli część archiwum hetmańskiego z Białego Stoku, które wywiózł do Rosi na kilku furach. Jako wnuk po kądzieli Jana Klemensa Branickiego, powrócił on niejako do swéj własności, która szczególnym zbiegiem

zdarzeń rozpierzchła się po świecie a w pewnéj części ugrzęzła w rękach nadnarewskiego szlachcica.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak nieoszacowane skarby mieszczą się w dworze hr. Potockiego w Rosi. Do tego dworu będą kiedyś historycy odbywali pielgrzymki, ubiegł ich pan Waliszewski, i pierwszy z bogatego źródła uniósł łup dość obfity. Niemało również materyałów zaczerpnął z Wilanowa i ze zbiorów pana Fr. Kluczyckiego w Krzeszowicach. W ten sposób udało mu się zgromadzić siedmset listów, z których ogłasza tylko cząstkę, bo 272, a i z tych podaje wiele tylko w wyjątkach. Ogrom piśmiennéj spuścizny, pozostałéj po kasztelanowéj, zniewolił wydawcę do takiéj oszczędności; można jednak polegać na jego znawstwie i sumienności, gdy zaręcza, że nie uronił ani źdźbła z historycznéj, obyczajowéj lub literackiéj treści. Z przyjemnością i zupełném zaufaniem czytamy daléj, że „oprócz historycznych i artystycznych względów żadne inne nie kierowały wyborem listów, że przygotowując wydanie niniejsze, oglądał się pan W. na całą masę czytelników, a nie na pewną kategoryą tylko, i że nakoniec księga ta nie jest ani *złotą*, ani *karmazynową*, ale wspólnéj wszystkim narodowéj przeszłości i wspólnemu ojczystemu językowi poświęconym pomnikiem.“ Nie wypływa jednak ztąd, aby szanowny wydawca nie liczył się z drażliwościami osób, których wspaniałomyślność otworzyła mu na roścież podwoje rodzinnych archiwów, ale tych drażliwości wcale nie napotkał: zarówno bowiem w Rosi, jak w Wilanowie rozumieją to dobrze, iż w historyi potrzeba przedewszystkiem prawdy, i to prawdy, nie obwijanéj w bawełnę. Na nieszczęście tak szlachetne i rozumne zapatrywanie zdarza się jeszcze u nas dość rzadko; doświadczył tego sam wydawca. Wspominając o materyałach, z których nie mógł korzystać, lubo wie, gdzie się znajdują, mówi: „Tylko między niemi a mną widzę drzwi zaryglowane i ręce zazdrośne na ryglach—może leniwe tylko! Nie czynię wyrzutów, choć napróżno szukałem tu i owdzie, nie skarżę się, choć z pustemi rękoma wracałem z długich wędrówek.“ Rozmyślając nad tém, czy te ręce „zazdrośne,“ czy tylko „leniwe,“ mimowoli przypominamy sobie dotkliwą szczerbę w korespondencyi pani Kossakowskiéj w smutnym dla jéj reputacyi okresie konfederacyi radomskiéj. Czy drzwi zaryglowane nie strzegą tych właśnie dowodów poniżenia kasztelanowéj? W takim razie powtórzylibyśmy *ad usum* rąk zazdrośnych słowa wyrzeczone przez znakomitego współczesnego historyka, gdy potomka pewnego hetmana wzywał, aby mu dozwolił przystępu do familijnego archiwum. „To, co dotychczas wiemy o hetmanie—mówił—przedstawia

go w tak ciemném świetle, że niemal już niepodobna, by nowe źródła mogły pogorszyć jego opinią.“

Orzeczenie powyższe stosuje się najzupełniéj do pani Kossakowskiéj: już przed wyjściem niniejszéj korespondencyi była jéj reputacya ustaloną, ogłoszone zaś świeżo „Listy“ rozszerzyły wprawdzie tło, dały dość dużo nowych szczegółów, przysporzyły niemało barw do charakterystyki, ale nie wpłynęły zgoła na zmianę sądu o jéj wartości moralnéj. Dr. Waliszewski, zasłużony wydawca materyałów do dziejów Jana III z paryzkiego archiwum min. spraw zagranicznych, ocenia ją w ogólności wcale bezstronnie i bez uprzedzenia, przytacza wiele rzeczy, przemawiających na jéj niekorzyść; szkoda tylko, że gdy chodzi o zsumowanie pojedyńczych pozycyj, w największéj części ujemnych, sprawia nam autor przedmowy prawdziwą niespodziankę rezultatem dodatnim, zdradzając w ostatniém zdaniu jakieś niewytłómaczone uwielbienie dla osoby, którą własne jego słowa wręcz potępiają. Kasztelanowa jest niezawodnie postacią, zasługującą z wielu miar na baczną uwagę, jest ciekawym, godnym poważnych studyów okazem psychologicznym, jako nieodrodna córa swego czasu, może rościć prawo do względnéj pobłażliwości, lecz „miłością,“ jak chce pan W., niepodobna jéj darzyć! Zakochany w swéj bohaterce, przecenia wydawca wartość nowego nabytku, jaki mu się udało zdobyć dla ojczystéj historyi. Sądzimy, że już dzisiaj, ochłonąwszy z pierwszego zapału, nie powtórzyłby pan W. zbyt śmiałego twierdzenia, iż treść ogłoszonego przezeń zbioru „czyni go pomnikiem dziejowym pierwszorzędnego znaczenia.“ Śmiałbym również utrzymywać, że nieco za gorącym jest „hołd podziwu i wdzięczności dla „potężnéj rzeźbiarki rodzimego językowego kruszcu.“

Ale to jest kwestya, o którą się sprzeczać można; są natomiast w przedmowie ustępy, niedopuszczające wątpliwości. Z historycznych, nie dość przetrawionych sądów i wyroków autora widać, że tylko przygodnie, zwabiony sławą kasztelanowéj, przerzucił się z XVII w wiek XVIII, że się na tym nowym gruncie nie czuje dość swobodnym i nie zna dostatecznie literatury téj epoki, choć czytał wiele. Wedle niego zawód pani Kossakowskiéj wypada podzielić na dwie połowy, na dwa odrębne okresy: „epokę czynną po rok 1769 (?), to jest po konfederacyą radomską i epokę bierną od téj chwili aż do końca“ — tylko w pierwszéj „działa ona, krząta się i agituje.“ Taki podział żywota kasztelanowéj mógł sobie szanowny autor wytworzyć jedynie wskutek nieznajomości *Galicianów* Łozińskiego, o których nie wspomina ani słowem, lubo nie pomija nie znacznego urywku w Pamiętnikach Matuszewicza. Nie zawsze też

pan W. sprawdza krytycznie słowa swéj bohaterki, na których swe sądy opiera. „Umie zaiste — mówi on — kasztelanowa być Polką. Jest nią kiedy na francuzki list Elektorowéj saskiéj, polecający kandydaturę mężowską po śmierci Augusta III, odpisuje „tym rodowitym językiem, jakim z dziadem Jéj Elektorskiéj Mości antecessorowie imienia Potockich zwykli mówić.“ Otóż zdanie to, wzbudzające w autorze uczucie uwielbienia, nam się wydaje zwykłym, na efekt obliczonym frazesem, a nie może nam imponować, bo fałsz w sobie mieści. August II z Potockimi po polsku nie rozmawiał, bo językiem tym nie władał, któréj to okoliczności przypisują nawet dyplomaci sascy, niepopularność króla w kołach szlachty.

Po za wymienionemi usterkami, przyznajemy chętnie, celuje wydanie „Listów“ niemałą starannością a na każdym kroku widać troskliwość, z jaką wydawca usiłował objaśnić mniéj jasne ustępy tekstu. Jakkolwiek tu i owdzie nie moglibyśmy się zgodzić na wypowiedziane przezeń zdania, musimy uznać w nim szlachetną tendencyą do objektywności. To téż jakkolwiek nie brak w świetnéj jego przedmowie niejakich prób rozgrzeszenia pani Kossakowskiéj, która istotnie w ostatnich latach życia okazuje się inną, niż w ciągu kilku lat przed i po pierwszym rozbiorze,— nie znajdujemy tam przecież twierdzeń tak przesadnych i z prawdą niezgodnych, jak słowa tłómacza „Dziennika Kreczetnikowa,“ jakoby odegrawszy chwilowo poniżającą rolę, odtąd „dla świętéj sprawy szlachetnie poświęcała całe ogromne mienie i wpływ swój przemożny.“

Klemens Kantecki.

Finanse Rosyi w XIX wieku

Nigdzie zapewne historya i statystyka finansów nie przedstawia, sama przez się, równie dokładnego obrazu życia państwowego, jak w Rosyi. Ale kiedy w innych państwach od bardzo dawna uznano już i oceniono powagę cyfr, w Rosyi dopiéro w naszych czasach zaczęto się o niéj przeświadczać.

A jednak, oczywistem jest, że ruch umysłowy, że wpływy moralne oddziaływające na życie państwowe zmieniają się w czasie; zaciera on szybko ich ślady a tylko skutki stronniczości, wypływającéj z ducha partyi, niebacznéj na wymagania epoki ani potrzeby ogółu, znajdują trwały, żywy obraz w cyfrach jedynie.

Chcąc też być bezstronnym, kreśląc dzieje życia politycznego—odsłaniając różne koleje podnoszenia się i upadku państwa, nie wystarcza już dzisiaj, samo sprawdzanie jednych świadectw przeszłości przez drugie. Nowoczesna nauka, bardzo słusznie wymaga od historyka jeszcze innego, rzetelniejszego świadectwa, mieszczącego się w *cyfrach.* Nieme to, ale bezstronne świadki i lepsze składają dowody prawdy, niż najwierniejsze kroniki.

Nie nowa to już zresztą metoda.

Przeważny wpływ, warunków przyrodniczych i ekonomicznych kraju na rozwój dziejowy narodu i państwa, uznany został powszechnie, jeszcze w zeszłym wieku. Jedynie w Rosyi—jak powiedzieliśmy—dopiero w naszych czasach zaczęto opracowywać te dziedziny, w których wpływ tych czynników najwidoczniéj się odbija, a które nazywamy *historyą i statystyką finansów.* Ale bo też tutaj, dopiéro od roku 1866 zaczęto uchylać tajemniczą zasłonę, która uprzednio kryła—przed oczami „niedorosłego do prawa publicznéj kontroli“ i jakoby niegodnego jéj téż tłumu, wszelkie dane cyfrowe o źródłach dochodów państwa, o wydatkach z pobranego fun-

duszu, o zobowiązaniach zaciąganych na rachunek przyszłych pokoleń itd.

Od téj to bowiem daty dopiéro, budżety państwa są corocznie ogłaszane i kontrola państwa składa publiczne sprawozdania o ich spełnieniu.

Oczywiście, niewiele to jednak pomódz może do wyrobienia sobie dokładnego pojęcia o istotnym stanie obecnego gospodarstwa finansowego w Rosyi.

Tak świeżo uznana potrzeba jawności w sprawach ekonomicznych, przekonywa o konieczném nieznajomości stanu gospodarstwa krajowego w czasach minionych, przy któréj niemożebném jest orzekać coś pozytywnego, ani o chwili obecnéj, ani na przyszłość.

Jestto specyalna trudność finansisty, jakiéj historyk polityczny nie napotyka.

Ten może przedsiębrać dowolnie studya każdéj epoki życia narodu, a chociaż odda pierwszeństwo najbardziéj oddalonym czasom, jako mniéj dokładnie zbadanym, praca jego niemniejsze będzie miała dla nauki znaczenie, aniżeli gdyby badał bliższą nas epokę.

Inaczéj rzecz się ma ze studyami historyczno-finansowemi:—tutaj, zarówno z natury rzeczy, jak ze względu na cel—główną wartość pracy stanowi jéj charakter publicystyczny: jak najwszechstronniejsze rozpatrzenie się w stosunkach współczesnych, jak najszersze uwzględnienie strony praktycznéj.

I niniejsze zatém studyum, musiało koniecznie w takim zamknąć się planie; musiało wziąć sobie za cel, przedstawienie obecnego stanu skarbu i wartości zamierzonych reform—za pomocą cyfr...

Otóż, na samym wstępie nastręcza się fatalna trudność, że historyk finansowy nie może się odgraniczyć od przeszłości, jak pod tym względem przysługuje prawo koledze jego, historykowi politycznemu.

Historyk finansowy, nietylko obowiązany jest mieć ciągle na pamięci, praktyczną stronę swego zadania, która polega na odnoszeniu się do stosunków obecnych, ale nadto, nie może on rozpocząć swéj pracy od téj lub owéj chwili, którą radby obrać za punkt wyjścia. Od jakiejkolwiekbądź epoki rozpocząłby swoje studyum, zastaje on odrazu, pewien stan określony w cyfrach, do których zrozumienia winien jest dać klucz i to go zmusza cofnąć się w przeszłość; gdy tymczasem historyk polityczny ma prawo przypuszczać, że przeszłość jest znaną czytelnikowi, choćby w ogólnych zarysach. Badacz zaś finansów, w żaden sposób nie może liczyć na podobną

znajomość w masie czytelników, nawet głównych danych stanowiących rysy wybranéj epoki.

Téj konieczności ulegając, dla wyjaśnienia obecnego stanu skarbu, co do którego posiadamy dostateczne wskazówki w budżetach i sprawozdaniach kontroli państwa—musieliśmy cofnąć się znacznie wstecz, ku przeszłości finansowéj państwa, któréj stan obecny jest naturalnym rezultatem.

Ale zwrot ten nie będzie dla nas bez korzyści.

W życiu narodu wszystko ściśle się z sobą splata. Badając stan finansów danéj epoki, odtwarza się nam nader pouczający obraz, tak wewnętrznéj, jak i zewnętrznéj polityki państwa.

Rosya dopiéro w ostatnich czasach i to zaledwie pod pewnymi tylko względami i do pewnego stopnia wstąpiła na drogę, po któréj rozwijała się cywilizacya państw zachodnio-europejskich, do tego zaś czasu kierowała się, pewnego rodzaju dowolnemi tradycyami, w których niektórzy chcą upatrywać odrębną podstawę rosyjskiego bytu narodowego, niepodlegającą zmianie.

Przyjrzyjmy się téj zasadzie.

Kiedy na Zachodzie myśl zarządu państwa przechodziła różne fazy i formy, a układ społeczny ulegał różnym zmianom, w Rosyi władza wzmacniała się, rosła—że tak powiemy—wsiąkała we wszystkie arterye życia narodu.

Władza państwowa, na podobieństwo ciał chłonnych, pochłonęła w siebie to wszystko, co gdzieindziéj wychodzi od ogółu społeczeństwa. Wszelka więc inicyatywa pojedyńczéj jednostki, a nawet i ogółu, do tego stopnia była zagłuszoną, że najgwałtowniejsze potrzeby kraju zależały wyłącznie od uznania reprezentantów władzy; oni jedni tylko mogli decydować dowolnie o nagłości lub bezzasadności tych potrzeb i stosownie do swego uznania zaspokajać je, lub na nie nie baczyć.

Z tego względu, zanim przyjdzie nam wydać sąd, o ile środki, jakie mają być przedsięwzięte obecnie, bodaj w szczupłym zakresie polepszenia obiegu powierczego (kredytowego) mogą, przy ustroju państwa na który składały się wieki, wpłynąć istotnie na podniesienie ekonomicznego stanu i utrwalenie jego pomyślności—okazuje się nieodzownem, zwrócić się do zbadania finansowéj przeszłości państwa.

Jeżeli bowiem będziemy śledzili uważnie historyą finansów rosyjskich, a szczególniéj téż tych momentów, kiedy stan ich był najkrytyczniejszy, t. j. w chwilach przesileń, będziemy musieli przyjść do przekonania, że czysto finansowe reformy, chociażby były jak najbardziéj rdzenne, najrozumniejsze i prawdziwie doskonałe, nie są

wstanie wydać tak pomyślnych rezultatów, dla których osiągnięcia przedsiębrane być mogą.

Już to o finansach rosyjskich możnaby powiedzieć to samo, co książę Koczubéj pisał do cesarza Aleksandra I-ego o Rosyi w ogóle.

„Trzeba niestety, przyznać—pisał Koczubéj—że Rosya nie była nigdy uorganizowana jak należy, jakkolwiek, jeszcze za panowania Piotra Wielkiego o tém myślano...

O konieczności przekształcenia gospodarstwa finansowego, jako o nierozdzielnéj części całości „myślano“ także, jak dawniéj, tak i w bieżącém stuleciu; od czasu do czasu rząd przedsiębrał niejednokrotnie środki w celu poprawienia zachwianych finansów państwa. Niekiedy środki te odpowiadały nawet rzeczywiście istotnym wymaganiom i w zupełności były zgodne z potrzebami chwili. Niebawem jednak utracały grunt, zmieniała się ich rola i stawały się bezwarunkowo szkodliwémi dla ekonomicznego położenia kraju, wstrzymując jego rozwój, jak tamowały go panujące przed ich wprowadzeniem warunki.

W ogóle zaś biorąc, wszystkie reformy przedsiębrane od czasu do czasu celem polepszenia stanu skarbu, a obiecujące prawdziwy pożytek i zasadnicze ulepszenia w rzeczywistości redukowały się zawsze, „do kropli w morzu.“ i skarb chromał zawsze, pomimo nielada energii wielu pierwszorzędnych mężów stanu. Wysiłki ich okazywały się daremne, bo finanse *nie mogły* być nigdy „uorganizowane jak należy.“

Jakież mogły być przyczyny, takiéj płonności przedsiębranych niejednokrotnie w zakresie skarbowości reform? Dla czego reformy te nie wydały owoców, jakich rząd miał prawo się po nich spodziewać? W skutek jakich to okoliczności, przedsiębrane środki dla polepszenia ekonomicznego bytu kraju nie mogły nigdy wydać pomyślnych rezultatów?

Na te to właśnie pytania da nam dokładną odpowiedź Historya finansów.

Piszący te słowa, kilka lat z rzędu zbierał dane statystyczne, które pomieścił w wydanéj uprzednio pracy, p. t. *Wpływ dróg żelaznych na ekonomiczny stan Rosyi.*

W nagromadzonych przytém materyałach, znalazło się bardzo wiele danych, odnoszących się bezpośrednio do dziedziny skarbowości, które, dopełnione o ile tylko się dało, utworzyły drugie dzieło, bedące obecnie w druku, p. t. *Historya i statystyka finansów Rosyi w XIX wieku.*

Obszar, wielkie mnóstwo cyfr i specyalny zakres téj pracy, z natury rzeczy ogranicza już bardzo jéj rozpowszechnienie wśród publiczności.

Zaradzając temu, sądziliśmy, że streszczenie téj pracy, jakie tutaj podać zamierzamy, nie będzie dla czytelników bez pożytku,—zwłaszcza téż w obecnéj chwili, kiedy słaba strona finansów państwa, stała się kwestyą na dobie i potrzeba odrodzenia ekonomicznego bytu państwa na racyonalnych podstawach, zajmuje w Rosyi wszystkie niemal umysły.

Szczupłe ramy, w jakich w wydawnictwie peryodyczném zamknąć się musimy, nie pozwalają nam obznajmiać czytelnika z wieloma szczegółami z przeszłości, jak i do obecnego stanu finansów odnoszącémi się. Wzgląd zaś na polskich czytelników zmusza nas znowu do podania wielu wiadomości o administracyjném urządzeniu Rosyi, które rosyjskiemu ogółowi więcéj są znane.

Będziemy więc pamiętali o jedném i o drugiém, starając się pogodzić, o ile zdołamy, oba te warunki.

I.

Przed panowaniem Piotra Wielkiego widzimy w finansach rosyjskich zupełny chaos. Pomimo niewielkich ówczesnych wydatków państwowych, przez cały ciąg historyi państwa Moskiewskiego, słyszymy skargi wszystkich stanów na uciążliwość różnorodnych podatków. Ale bo można twierdzić, że dochód wpływający do skarbu państwa wynosił zaledwie cząstkę ciężarów, jakie naród dźwigał, te były w rzeczywistości kilkakroć razy większe dla niego od cyfry przez skarb osięgniętéj, ze względu na to iż był on zmuszony, oprócz podatków i opłat, ponosić nader uciążliwe koszta ich poboru, egzekucye oraz rozmaite cła wewnętrzne.

Nadto, do podatków wpływających do kasy księcia należałoby jeszcze dodać, ciężar obowiązku żywienia wojewodów (*kormlenja wojewod*) oraz uszczerbek, jaki przynosił niedołężny system monetarny.

Myślą przewodnią w owe czasy i prawie wyłączném staraniem moskiewskich władców, było umacnianie władzy centralnéj i rozprzestrzenianie jéj na coraz szerszy okręg terytoryalny. Myśl ta i te usiłowania miały rzeczywiście wielkie znaczenie, zwłaszcza w okresie „skupiania ziem rosyjskich“ w około panstwowego ogniska, jakie tworzyło się w Moskwie. Ale skoro cel ten został osiągnięty, warunki ówczesnéj Rosyi, jako państwa, nie czyniły jeszcze

zadość potrzebom cywilizacyi, bez której tak obszerna monarchia obyć się nie mogła.

Brak dróg i wszelkich środków komunikacyjnych, brak bezpieczeństwa, nawet na tych naturalnych drogach jakie istniały; zupełne odsunięcie się od Europy, dochodzące do tego stopnia, że ani kupcy moskiewscy, ani bojarowie nie wyjeżdżali i nie wydalali się za granicę państwa, wyjąwszy gdy wyprawiani byli z poselstwem; brak morza po utracie wybrzeży baltyckich, zupełny brak przemysłu; czysto azyatycki charakter handlu wewnętrznego, ścieśnionego i utrudnionego przytém przez liczne opłaty i współzawodnictwo handlu cesarskiego; słaby i tylko uszczerbek przynoszący handel zewnętrzny, prowadzony jedynie przez kilka faktoryj angielskich i holenderskich obdarowanych przywilejami, (za dowód zresztą téj miernoty służy okoliczność, że głównym przedmiotem handlu zewnętrznego nie było zboże lecz futra), nakoniec brak szkół i powszechna ciemnota, nawet w wyższych sferach administracyjnych—wszystkie te okoliczności razem wzięte tamowały i udaremniały wszelki rozwój.

W zasadzie władza była potężna; była ona jednak bezsilna, jeżeli chciała usunąć którykolwiekbądź z tych niedostatków, zachowując naturalnie inne warunki uświęcone tradycyą.

Nie pozostawało zatém jak zmienić i przeistoczyć wszystko.

Ale w takim stanie rzeczy czy mogła podjąć i przeprowadzić zmiany władza, gruntująca się właśnie na tym zastarzałym ustroju, na téj ciemnocie, która w XVII wieku jeszcze wyłączała Rosyą ze świata europejskiego?

Tu popowstawały potężne światłem i orężem mocarstwa, wobec których Rosya odegrałaby była rolę, jaka następnie Turcyi w udziale przypadła. W ogólnéj cywilizacyi zaczął się już rysować nowy, racyonalny kierunek ku oswobodzeniu ludu, równouprawnieniu stanów, rozwoju nauk i umiejętności, tępieniu przesądów i wogóle rozproszeniu średniowiecznéj ciemnoty, otrząśnięciu się z umysłowego zastoju.

Czy ówczesna władza państwa moskiewskiego była zdolna poznać i ocenić znaczenie i doniosłość tego ruchu, aby w końcu racyonalistycznego XVII stulecia zadać sobie pytanie, ku któréj części świata ma się zbliżyć, od któréj oddalić? — czy ku Azyi, czy ku Europie i rozstrzygnąć kwestyą w ten sposób, że państwo Moskiewskie w ciągu niespełna trzech ćwierci jednego stulecia zostaje zaliczone do potężniejszych mocarstw europejskich?

Bynajmniéj. Gdyby tylko władza carstwa moskiewskiego pozostawała w rękach ludzi krępowanyeh ciasnotą starych obyczajów,

obałamucanych tradycyą, solidarnych z patryarchami, zaślepionych azyatycką dziczą bojarów i liczących się z zabobonami ludu! Gdyby tylko władza ta, w takich pozostawała rękach, nie byłaby Rosya nigdy w stanie wywalczyć sobie miejsca w Europie, inaczéj—uratować przyszłość.

Dla osiągnięcia tego potrzebny był geniusz, coby bezwiednie, instynktem odczuł wyższą rolę swego kraju i przemógł, przerobił i przeistoczył warunki, wobec których państwo nie mogło było nigdy zająć w Europie miejsca jakie zajęło, ani uczestniczyć w sprawie cywilizacyi.

II.

W życiu narodów bywają chwile przełomu. Szczęście dla narodu, jeżeli w chwili takiéj znajdą się w pośród niego ludzie, zdolni wywalczyć i zapewnić zwycięstwo budzącéj się myśli. Człowiekiem takim dla państwa moskiewskiego był Piotr Wielki, w nim to instynktowo streścił się cały gieniusz narodowy, cała logika rosyjskiéj historyi, wszystkie potrzeby jego narodu, cała jego rola dziejowa— wszystko to znalazło w nim dzielnego szermierza — rzec można — dyktatora, który odrazu zerwał do ostatniego węzły tradycyi łączące go ze sparciałą przeszłością.

W jego osobie naród rosyjski przezwyciężył się sam, otrząsając się z przesądów, tak długo odgraniczających go od Europy.

W wielkiém, w rzadkiém w dziejach dziele Piotra W. wszystko, to nawet, co zdawałoby się że nie zasługuje na uwagę, wielką ma doniosłość i znaczenie.

Przedewszystkiém, w miejsce tatarskiego „*jarłyka*,“ t. j. kapryśnego sułtańskiego nakazu, Piotr I wprowadza i ogłasza prawa, regulujące wyraźnie stosunki między organami władzy,—daléj, równie skwapliwie troszczy się o dobrą kontrolę i odrazu dąży do tego, ażeby *stworzyć* wszystkie warunki potrzebne dla rozwoju państwa a mianowicie: posiadać morza, regularną armią, akademią nauk,— wywołać kształcenie rosyan w zagranicznych zakładach naukowych, posiadać życie towarzyskie, zapewnić swobodę państwu przez wyzwolenie z przesądów hierarchicznych, a miastom niezależność i nawet wytworzyć przemysł rosyjski. Wiadomo bowiem, że zakłada około trzystu fabryk tam, gdzie dotąd panowała azyatycka dzicz i martwota.

Ale jak każdy niemal fakt dziejowy, tak i reformy Piotra W. miały swoję odwrotną stronę.

Wprowadzone przez niego instytucye, a raczéj zamierzenia reform, gdyż za krótkie było jego panowanie, żeby mógł sam dopilnować ich ustalenia, posłużyły — nie z jego już winy — do zbudowania w Państwie systemu skrajnego scentralizowania władzy i wytworzenia pochłaniającéj w sobie wszystko biurokracyi.

Piotr W. nie pragnął bynajmniéj być wyłącznym i jedynym działaczem, jedyném wszystkiego źródłem, rad był on owszem posiłkować się instytucyami, które chciał mieć samodzielnemi; szukał skrzętnie pomocników i obdarzał ich pełném zaufaniem, uznawał ich zasługi i nie zazdrościł im powodzenia. Pragnął otoczyć się ludźmi rozumnymi, lubił ich i nie przestawał z miernościami. Tolerował też opozycyą w zdaniu, a karcił surowo, jedynie sprzeciwianie mu się jawne, czy ukryte w postępkach.

Nie myślał on prawda o żadném ograniczaniu swéj władzy. Zupełna swoboda działania, samowładztwo w całém znaczeniu było mu nieodzownie potrzebném, dlatego téż nie chciał mieć nadal obok siebie nawet patryarchy i samę instytucyą patryarchatu zastąpił przez Synod.

Ażeby jak najrychléj osiągnąć wytknięte sobie cele i jakby w przeczuciu, iż następcy jego nie bardzo będą chętni do dalszego prowadzenia rozpoczętéj reformy, postępował niekiedy zupełnie samowolnie, ale ten despotyzm miał charakter czasowéj tylko konieczności, nakształt samowładztwa dyktatora ratującego ojczyznę— nie zaś systemu zgotowanego dla przyszłości kraju. Liczne egzekucye, usunięcie syna od tronu, kroki, które poprzedziły oddanie pod sąd carewicza, sposób budowania i zaludniania Petersburga, wszystkie zresztą postanowienia zmierzające do nagłego nadania państwu europejskich pozorów, były właśnie téj despotycznéj, dyktatorskiéj natury. Zabieranie przemocą młodzieży szlacheckiéj „dla przeglądu i oddania na naukę,“ spędzanie rzemieślników celem budowania Petersburga, przesiedlanie ludności, przymus budowania domów w Petersburgu wywierany na dostojnikach, szlachcie i kupcach, obarczanie stanu kupieckiego kosztami budowy floty, zakaz noszenia brody i opodatkowanie jéj przy wjeździe do miast, wzbronienie noszenia ubiorów rosyjskich — te i tym podobne postępki i postanowienia do téj saméj należą kategoryi. Były to rozkazy, nietylko dyktatorskie w swéj istocie, lecz despotyczne, bo za uchybienie im wymierzano kary surowe.

I tak, dla niecierpliwego przekształciciela, zbyt wolno postępuje budowa Petersburga... Zaradzając temu, wzbrania Piotr wznoszenia wszelkich budowli murowanych w całém państwie! Ukaz z d. 9 października 1714 r. opiewa: „Zważywszy, iż murowanie do-

mów zbyt powoli tutaj postępuje... zabrania się w całém państwie na lat kilka (dopóki tutaj nie będzie dostatku budowli), wszelkiego budowania z muru jakiejkolwiekbądź natury, pod karą zniszczenia wszystkiego dobytku i deportacyi."

Strój rosyjski jeszcze się utrzymuje, wydaje więc zakaz handlowania odzieżą rosyjską „pod karą srogiéj chłosty i ciężkich robót," oraz konfiskaty mienia winnych przestępstwa. Z ukazu zaś z dnia 29 października tegoż roku dowiadujemy się, iż kupczący odzieżą rosyjską, byli rzeczywiście knutowani w Petersburgu i skazywani na ciężkie roboty...

Ale Piotr samowolny w *czasowych* swoich rozporządzeniach okazał się mimo to pierwszym w Rosyi monarchą europejskim, bodaj z tego jednego względu, że pierwszy uznał coś wyższego nad własną wolę—mianowicie *prawo.*

Sam on wprawdzie prawo to ustanawia, niemniéj jednak ważną jest okoliczność, że w prawie raz ustanowioném, widział on nie swój osobisty ukaz, nie wyraz swojéj woli, lecz właściwe prawo, zarówno jego jak i poddanych obowiązujące i ograniczające jego wolę. Jest on pełen poszanowania dla prawa i stara się poszanowanie to wpoić we wszystkie sługi państwa, co przywykli byli uważać prawo za etykietę, za formułkę dającą się obejść, bądź w drodze łaski, bądź przemocą lub podstępem. Każe więc na stołach wszystkich urzędów stawić ukazy, zalecające ścisłe i niechybne przestrzeganie prawa, „gdyż daremném byłoby — powiada — pisanie praw, gdyby się do nich nie stosowano."

Prawo ma Piotr za zasadę *najwyższą*, siebie zaś uważa za *sługę* państwa.

Sam ten pogląd wyróżnia go już wybitnie i od jego poprzedników, którzy w państwie widzieli tylko uposażenie dla siebie i od niektórych następców, przejętych systemem dowolności zasady Ludwika XIV (państwo, to ja!).

W podobnym téż duchu rozumiał Piotr samodzielność ustanowionych przez siebie instytucyj: senatu i kollegii. Ale zanim do nich przejdziemy, musimy wpierw — dla porównania — poznać ustrój zarządu, jaki istniał przed Piotrem I.

III.

Iwan III-ci był twórcą kolegialnego systemu rządzenia.

Najwyższą w tym ustroju instancyą przed Piotrem I-szym i w ciągu pierwszych lat jego panowania stanowiła Rada Carska (*Duma*), która od tak zwanéj Złotéj sali, w któréj się zbierała, nazy-

wana była także *Izbą Złotą*, albo — ze względu na swój układ — Izbą Bojarską.

Rada ta istniała prawdopodobnie i przed Iwanem III, lecz za jego rządów dopiero nabrała państwowego znaczenia, a za Iwana Groźnego otrzymała nazwę carskiéj i stała się najwyższą instancyą rządową. W Radzie téj zasiadali nieraz i sami monarchowie; skład jéj był z ich wyboru, lecz tylko bojarowie i okolniczowie, jako najpierwsi dostojnicy państwa, mogli być jéj członkami. Dopiero Iwan Groźny w walce z oligarchią ustanawia nową godność Szlachciców Radnych, a w 1566 roku, wzmacniając swój wpływ w Radzie, wzywa do zasiadania w niéj, oprócz wspomnianych wyższych dostojników, duchowieństwo, podskarbich, szlachtę pierwszego i drugiego stopnia, dyaków (starszych sekretarzy), kupców krajowych i obcych, znaczniejszych właścicieli ziemskich i tym sposobem Rada staje się instytucyą podobną do europejskich Zgromadzeń stanowych. Przedmiotem jéj narad są sprawy całego Państwa, nowe prawa i urządzenia — wogóle kwestye prawodawcze. Sekretarze Rady nosili tytuł „*Dyaków dumnych*“. Uchwały Rady zatwierdzone przez monarchę, podawane były do wiadomości ogólnéj jako prawa, w formie ukazów, ze wstępną formułą: *Monarcha nakazał, a bojarowie uchwalili*.

Przy Carskiéj Radzie urządzoną była Izba procesowa (*Rasprawnaja Pałata*) do spraw sądowych i wydział do ogłaszania ukazów carskich.

Za Piotra W. miejsce rzeczonéj Rady zastąpiła Kancelarya przyboczna (*Bliżniaja*), jako kolegium zajmujące się ogólnemi sprawami Państwa.

Pośrednie miejsce w zarządzie krajem, zajmowały tak zwane „*Prikazy*“ to jest urzędy, ale nie wszystkie organy władzy téj kategoryi nazwę tę nosiły. W właściwych „Prikazach“ zasiadali bojarowie, okolniczowie i szlachcice radni; wszyscy oni zwali się sędziami, jeden był przewodniczącym, a reszta nosiła tytuł towarzyszy. W „prikazach“ mniéj ważnych komplet stanowiła często jedna osoba. Wszyscy sędziowie mianowani byli na urzędy i usuwani z nich przez ukazy samego panującego. Przy każdym „prikazie“ była kancelarya prowadzona przez jednego lub kilku sekretarzy (*dyaków*), mających swoich pomocników (*podjaczych*). Zakres kompetencyj „Prikazów“ był bardzo różny; w każdym razie sprawy administracyjne nie były oddzielone od spraw sądowych i każdy „Prikaz“ był instancyą sądową dla danego okręgu i osób do niego zaliczonych. Wszelkie korespondencye tych urzędów i podania do nich wnoszone odczytywane były najpierw sędziom, następnie prze-

chodziły do kancelaryi, gdzie wypracowywano odnośne referaty i przedstawiano je do decyzyi na posiedzeniach „prikazu.“ Ale sędzia przewodniczący taką miał tutaj przewagę, że *sam* rozstrzygał wszelkie sprawy: towarzysze mieli tylko głos doradczy. To téż w decyzyach „prikazów“ jego tylko nazwisko wymieniano, o innych zaś członkach wzmiankowano tylko ogólnie, i tak, formułą postanowienia „prikazu“ było: „Bojar lub okolniczy, ten a ten, z towarzyszami postanowili...“

Papiery wychodzące od „prikazów“ podpisywali sami sekretarze; bojarowie kładli swoje podpisy jedynie na korespondencyach z obcémi państwami.

W liczbie tych „Prikazów“ znajdujemy także Urząd wielkiego skarbu (*Prikaz Bolszija Kazny*) i Urząd spraw rachunkowych (*Szczotnych diel*). Pierwszy zawiadywał wszystkiemi dochodami Państwa, oprócz należących do innych dykasteryj i istniał do czasu ustanowienia Kolegiów, o których niżéj mówić będziemy.

Ale jak już wspomnieliśmy, zakres czynności różnych tych urzędów nie był ściśle określony, a i organizacya ich była arcy wadliwa.

Okoliczność, że przewodniczący sam decydował, pomimo, iż w wielu urzędach zasiadało po kilka osób, że nie zwracał żadnéj uwagi na opinie towarzyszy, była powodem niezliczonych nadużyć. Nie prawo bowiem i słuszność, lecz zupełna samowola, kaprys i namiętność kierowały zwierzchnikami. Połączenie przytém najróżnorodniejszych spraw w jednych i tych samych rękach powodowało nadto opieszałość i zwłoki, co jeszcze bardziéj pogorszało taki stan rzeczy.

IV.

Przemożną ręką wstrząsnął Piotr I całym tym, tak pierwotnym ustrojem administracyi i nie przyznając żadnéj wagi pierwiastkom historycznym, nie badając ani źródeł, ani podstaw tych instytucyj, tak ściśle z przeszłością dziejową narodu związanych, a ulegając jedynie natchnieniom własnego poczucia—geniuszu swego, korzysta tylko z urobionego przez książąt moskiewskich samowładztwa carów i wyzyskując brak wszelkich swobód cywilnych i umysłowego rozwoju, wprowadza — wzorując się na państwach zachodnich — nowe, a całkiem obce duchowi ludności instytucye i urządzenia.

Prawda, że przy tém rozwalaniu całéj budowy gmachu państwowego, reformator uciekał się do środków bardzo surowych—nieli-

tościwych; prawda, że miał zupełną świadomość celu i środków do niego wiodących, że niezrównana jego energia, uporczywa, niezachwiana przy raz powziętych zamiarach wytrwałość, poparta przytém genialnemi zdolnościami, zapewnila mu tryumf nad wszelkiemi przeszkodami i zawadami, tak, że chociaż naród coraz bardziéj żałował dawnych wieców swoich, miarkujących monarszą samowolę, reformy zostały wprowadzone; niemniéj jednak można się zdumiewać, jak zdołał on, wobec przywiązania narodu do odwiecznych form i zwyczajów, ustrzedz się od czynnego oporu, jak potrafił wszelką taką opozycyą zażegnać, czy udaremnić!

Wzorem dla administracyjnych reform Piotra I-go był system rządu w Szwecyi.

W państwie monarchicznėm — mawiał on — zarząd kolegialny jest najdoskonalszym i lepszym, niż sterowanie przez jednę osobę. W myśl więc tego, zarząd państwa, a zatém i jego skarbowości musiał przejść do Senatu, który ustanowiony był ukazem z dnia 22 lutego 1711 roku.

Władzę téj nowo ustanowionéj instytucyi ograniczała jedynie władza cesarza, wszelkie zaś inne dykasterye i urzędy, piastowane przez pojedyńcze osoby, winny być posłusznémi ukazom Sen atu tak samo jak ukazom Monarchy.

Najwyższa władza sądowa również do Senatu należała; odwoływanie się od jego wyroków do monarchy wzbronione zostało pod karą śmierci. Wyjątek stanowiły tylko sprawy, których Senat nie mógł rozstrzygnąć bez ukazu cesarskiego; ale sprawy takie, i bez zaskarżania wyroku, Senat obowiązany był przedstawiać do decyzyi monarszéj. Moskwie dostaje się wydział senatu.

Większe jeszcze znaczenie dla bytu narodowego miały ustanowione przez Piotra W. Kolegia, mianowicie: spraw zagranicznych, kameralne, sprawiedliwości, rewizyjne, wojenne, marynarki, kantoru państwa, górniczo-przemysłowe i dóbr państwa.

Dla wszystkich tych władz wydane zostały ogólne prawidła postępowania, a każda z nich obowiązana była ułożyć dla siebie, szczegółowy regulamin, określający zakres jéj kompetencyi i obowiązków, podług wzoru ustaw szwedzkich.

Kolegia, jako władze stanowiące drugi szczebel w hierarchii zarządu Państwa, ulegały jedynie ukazom senatu i monarchy. Jeżeli jednak które kolegium dostrzegło w ukazie Senatu coś przeciwnego interesom Państwa lub ukazom cesarskiego majestatu, służyło mu prawo, zawieszając chwilowo poddanie się ukazowi, zwrócić na to uwagę Senatu; dopiero gdyby Senat obstawał przy swoim ukazie, kolegium obowiązane było do rozkazu tego się zastosować, lecz

jednocześnie donieść o wszystkiém panującemu, pod najsurowszą za niespełnienie tego odpowiedzialnością.

Hierarchicznie wszystkie kolegia były sobie równe.

Organizacya ta w głównych zarysach przetrwała aż do ustanowienia ministeryów, kiedy kolegia zostały w części zwinięte, w części, w myśl ogólnych zasad, przekształcone na ministerya.

Co się tyczy miejscowego zarządu prowincyj, podzielono Państwo najpierw (w 1708 r.) na ośm, a następnie (1719 r.) na dziesięć gubernij.

Gubernatorowie zostawali pod bezpośredniém zwierzchnictwem Senatu, który miał nad nimi władzę dyscyplinarną z prawem skazywania na grzywny i areszt, ale wolno im było pisywać wprost do monarchy, jakkolwiek on ich też nie mianował. Skargi na gubernatorów należało wnosić do Senatu, a jeden z senatorów, z dodanymi sobie urzędnikami po jednym z każdego kolegium, obowiązany był corok wyjeżdżać na przegląd gubernij.

Było-to wszystko wielkim postępem, lecz—jak powiedzieliśmy—reformy te wytworzyły warunki sprzyjające najbardziéj nieograniczonemu samowładztwu, z których też nieomieszkali skorzystać następcy Piotra W. tracąc z oczu prawdziwe cele tych urządzeń.

Ukazy prześladujące dezerterów, zniesienie zgromadzenia bojarów i patryarchatu, skasowanie strzelców, stopniowo posłużyły tylko do uciemiężenia ludu, który nie miał już żadnéj kontroli nad władzą, nie krępowaną odtąd niczém, bo nawet ani zwyczajami ani tradycyą.

Kamer-kolegium i kolegium rewizyjne ustanowione przez Piotra I-go, nie uporządkowały bynajmniéj przy jego następcach dochodów i wydatków państwa, a kontrola Senatu pozostała też martwą literą, gdyż była paraliżowaną ustanawianiem różnych „zwierzchnich“ i „tajnych rad,“ „kancelaryj“ lub „ekspedycyj“ (1). Urzędy

---

(1) Wszechwładny przez czas całego panowania Katarzyny I i w początkach rządów Piotra II-go ks. Menszykow, odsądzając Senat od udziału w ważniejszych sprawach państwa, czyni go podwładnym instytucyi *nadwornéj*, mającéj charakter doradczy, a stojącéj po nad Senatem. I tak: ukaz z d. 8 lutego 1726 r. ustanawia przy osobie cesarskiéj Wyższą Radę Tajną dla spraw polityki wewnętrznéj, z udziałem rzeczywistym w administracyi. Prezesem téj Rady mianowany zostaje naturalnie ks. Menszykow. Zebrana Rada tajna sama oznacza zakres swéj działalności i określa kompetencye Senatu, którego tytuł „Rządzący“ zostaje zastąpiony przez „Wysoki.“

Wkrótce po wstąpieniu na tron cesarzówny Anny Iwanówny (dnia 4 marca 1730 r). Rada Tajna i Wysoki Senat zostają zniesione, a „Senatowi Rządzącemu“ przywracają się dawne prawa, jakkolwiek nie na długo, bo już w następnym roku (d. 10-go listopada) zostaje utworzony nowy „Gabinet Jej Cesarskiéj Mości“ z prawem wyda-

Fiskałów (od łać. *fiscus*, skarb), ustanowione także przez Piotra I z przeznaczeniem czuwania nad całością dochodów skarbu i przestrzeganiem ścisłego wypełniania postanowień ukazów, przemieniły, się w agentury nie mające żadnego wpływu, których poważne zadanie stało się niebawem niedogodnćm dla arystokratów, wysyłanych do zarządzania prowincyami i sama instytucya zmalała i bardzo nizko upadła w oczach ludu.

W ten sposób przy następcach Piotra Wielkiego, przejętych duchem niemieckiego biurokratyzmu urabia się w Rosyi ustrój czysto poddańczy, urzędniczego państwa. Warunki życia narodowego, losy pokoju i wojny stają się zależne od widzi mi się dworaków—od ich wzajemnego między sobą stosunków.

Władza oswobodzona od dawnych, tradycyjnych więzów, łączy z nowemi europejskiemi formami, dawny brak kontroli i cały dawniejszy tryb zarządu państwem. W najbardziéj kwitnących epokach, jak np. za panowania Katarzyny II-éj władza wysila się jedynie na wyzyskiwanie ciemnego, a i tak przeciążonego ludu. Nowo podbite kraje służą do fiskalnego wyzysku, z wynalazków i odkryć pojawiających się na zachodzie Europy, korzysta się tu o tyle tylko i te wyłącznie przyswaja, które zdają się wspierać władzę, odsądzającą od wszystkiego ogół społeczeństwa, a zdolną jedynie eksploatować je do ostateczności.

Ze wszystkich zdobyczy cywilizacyi osięgniętych przez Europę przy końcu XVII stulecia owego „wieku oświecenia,“ w Rosyi, pomimo korespondencyi Katarzyny II-éj z encyklopedystami, pomimo reklam Woltera sławiącego jéj osobiste zdolności, przyswojono tu sobie rzeczywiście, jedno tylko nowe odkrycie: sztukę przeobrażania znaku pieniężnego na zobowiązanie skarbu niepodlegające wypłacie.

V.

W czasie wszystkich tych przeobrażeń, reorganizacyi i dezorganizacyi, tak za panowania Piotra W., jak przed nim i za jego następców, deficyty były objawem stałym,—brak pieniędzy w skarbie

---

wania ukazów Senatowi. Obok tego w 1730 r. Senat zostaje podzielony na 5 departamentów, między któremi znajduje się departament Rękodzieł, Handlu i Górnictwa i kantor Państwa zostaje oddzielony od kamer-kolegium. Ukaz zaś z dnia 19 lipca 1730 r. zamienia znowu kantor Państwa, na instytucyą samodzielną, pod zwierzchnim nadzorem jednego z członków senatu.

państwa, defektem chronicznym, do którego monarchowie radzi nie radzi, musieli przywyknąć. W chwilach zaś gwałtowniejszéj potrzeby, odbierano ostatni grosz -- a właściwie, odejmowano od ust uciemiężonemu ludowi, ostatni kawałek chleba. Skoro bowiem egzekucye wojskowe nie mogły już nic wycisnąć, zabierano ostatki nieruchomego mienia; a jak dalece powszechną musiała być ta procedura, mamy najlepszy w tém dowód, iż w 1729 r. utworzono oddzielny „Zarządy konfiskat“...

Nie czyniło to oczywiście zadość potrzebie i ucieczono się do najzgubniejszego środka: zaczęto oddawać pobór niektórych dochodów skarbowych osobom prywatnym w dzierżawę... Nie dziwi nas więc przeto wiadomość, że z początkiem 1763 r., wkrótce po wstąpieniu na tron Piotra III, kasa państwa była *zgoła pustą.* Z przedstawionego mu zaś raportu wynikało, że dochody państwa obliczano na 15,350,000 rub., a wydatki na 16,502,000 rubli. Trzeba się było ratować... Na trzeci dzień zatém po przedstawieniu cesarzowi tego deficytu, ogłoszono ukaz imienny do Senatu, polecający utworzenie Banku, któremu rozkazano przygotować jak najśpieszniéj *bilety bankowe* na sumę 5.000,000 rubli...

Cesarzowa Katarzyna w dzienniku swoim, tak nam przedstawia ówczesne położenie skarbu:

„Po wstąpieniu mojém na tron w 1762 r. zastałem armią lądową w Prusach z żołdem od 8-u miesięcy niewypłaconym. W kantorze państwa ukazy imienne na 17 mil. rubli nie były zaspokojone. Zarząd mennicy państwa wykazywał, że od czasu Cara Aleksieja Michajłowicza znajdowało się w obiegu 100 milionów rubli, z których 40 mil. zdaniem zarządu mennicy—miało pozostawać zagranicą, wywiezione w naturze, ponieważ prawie nie znano tu wówczas obrotów wekslowych i za żadne poczytywać je można. Prawie wszystkie gałęzie handlu oddane były w monopol różnym osobom. Dochód celny wydzierżawiony przez Senat za 2 miljony rubli. Sześćdziesiąt milionów monety, jaka miała pozostawać w kraju, przedstawiała pod względem wagi, aż 12 różnych gatunków: pieniądze srebrne od 82 do 63 próby; miedzianych szło na pud 32 do 40 rubli. Cesarzowa Elżbieta Piotrówna chciała pożyczyć w Holandyi 2,000,000 rubli, ale nie chciano jéj dać pieniędzy,—widocznie Rosya nie miała kredytu—nie wzbudzała zaufania. W kraju, chłopi pracujący w zakładach przemysłowych i należący do klasztorów, otwarcie wypowiadali posłuszeństwo władzy, a w niektórych miejscowościach zaczęli się z nimi łączyć i obywatele ziemscy“...

Ażeby wybrnąć z takiego położenia, uznano za potrzebne rozpocząć od zaprowadzenia ładu w zarządzie Państwa; że zaś żadna

z osobistości będących wówczas u steru nie przedstawiała rękojmi uskutecznienia tego własnemi siłami, cesarzowa Katarzyna, ulegając powiewowi czasu, chwyciła się środka od bardzo dawna już niepraktykowanego w Rosyi: zwołała komisyą złożoną z deputatów Synodu, Senatu, wszystkich kolegiów, kancelaryj i w ogóle wszelkich władz oraz szlachty, miast, włościan i inowierców—razem 565 osób, celem ułożenia projektu nowego prawa, pragnąc—jak się wyraziła—zaprowadzić „dobrą organizacyą wewnętrzną, czyli utworzyć nowy, a lepszy system zarządu.“

Powody do tego, stosownie do brzmienia manifestu, były następujące: 1-o brak przepisów na liczne wypadki, a nadmiar ich na inne, 2-o pomieszanie przepisów stałych z czasowémi, 3-o niejasność wielu postanowień, wskutek znacznego upływu czasu od ich wydania oraz przemian i stronnych tłómaczeń i 4-o wielka różnica pomiędzy zwyczajami dawniejszémi, a obecnémi.

Komisyi téj miał przewodniczyć generalny Prokurator, a pracami jéj kierować specyalny dyrektor hr. Szuwałow wraz z marszałkiem Deputackim Bibikowem. Posiedzenia komisyi rozpoczęły się w Moskwie d. 31 lipca 1767 r. Dnia 21 sierpnia t. r. komisya złożyła cesarzowéj adres dziękczynny od całéj Rosyi i rozdzieliła się na *dziewiętnaście* komitetów specyalnych. Komisya mająca za zadanie „Porządek państwowy, na zasadzie ogólnego prawa“ rozesłała do wszystkich urzędów zapytanie: 1-o co—zdaniem ich—jest złego w zarządzie, 2-o co należałoby zmienić i ulepszyć oraz co przedsięwziąć dla ulepszenia procedury? W pięć miesięcy po otwarciu posiedzeń, zebranie ogólne zostało zamknięte, a pozostały tylko komiteta specyalne, przygotowujące materyały do niektórych rozdziałów kodeksu. W rezultacie jednak, prace te okazały się bezowocnemi: biurokracya wzięła górę nad żywym elementem narodowym i kraj z postawienia dyagnozy wcale nie odniósł korzyści. Zreformowano tylko zarządy miejscowe, ale i to, na podstawach opacznych.

W początkach panowania Katarzyny II-éj, państwo składało się z 20 gubernij, podzielonych na powiaty i prowincye albo na powiaty i obwody lub wreszcie na pułki. Pod względem rozległości i ludności podział ten był bardzo niejednostajny: jedne gubernie miały blizko 2½ mil. mieszkańców, inne niespełna ⅓ miliona; jedne powiaty liczyły 600,000 miesz. inne zalewie 2,000, a pomimo tak wielkiéj różnicy w zaludnieniu, właściwe rosyjskie gubernie, miały jednakowy zarząd i jednakową liczbę, tak wyższych urzędników, jak i oficyalistów kancelaryjnych służących w zarządzie. Manifest więc z d. 7 listopada 1775 r. podzielił całe państwo, na gubernie albo namiestnictwa, w nowych rozmiarach. W zarządach gubernialnych

i powiatowych ustanowiono oddziały sądowe i policyjne. Główny zarząd i nadzór nad gubernią poruczony został gubernatorom. Jako gospodarze i naczelnicy gubernii otrzymywali oni nadal rozkazy tylko od monarchy i Senatu, a przyznano im bardzo obszerny zakres atrybucyj—zupełne niemal prawo rozrządzania losami mieszkańców, bez niczyjéj kontroli.

Tym sposobem zniszczono wszystkie, prawdziwie wielkie dążenia i zamiary Piotra W. pozostawienia zupełnéj samodzielności mieszczaństwu i powierzenia miejscowego zarządu kolegiom, wybieranym przez ludność. Jedynie tylko sprawy policyjne i część spraw gospodarczych w powiatach powierzono sądowi ziemskiemu, wybieranemu przez szlachtę i włościan, a zasiadającemu pod przewodnictwem Sprawnika ziemskiego.

W ogóle, można powiedzićć; że „Urządzeniem o guberniach" rozpoczęto wprowadzenie wszechwładzy biurokracyi; że urzędnicy państwowi skupili w swych rękach całą władzę, odsądzając od niéj żywioł miejscowy; że zasada wyborcza została ograniczona jedynie do drobnéj sfery spraw wewnętrznych pojedyńczych stanów i że i tutaj nawet została pogwałconą, arbitralnym wpływem władzy generał-gubernatorów i gubernatorów.

I pod względem finansowym, przechwalone panowanie Katarzyny II-éj, nie lepsze wydało rezultaty. Państwem rządzili przeważnie urodziwi faworyci. Pod okazałym blichtrem krył się wielki nieład i straszne nadużycia, tych właśnie, chciwych władzy faworytów. Wszystkie usiłowania skierowane były do wyszukania źródeł dla pokrycia nadzwyczajnych potrzeb skarbu państwa, a deficyty wzrastały z każdym rokiem, sprowadzając ciągle nowe trudności w zaspokojeniu wydatków. Wprawdzie annektowano nowe obszary i dla osiągnięcia wpływu, czy to drogą jawną, czy drogami pokątnemi nie szczędzono wydatków, ale przyłączone świeżo prowincye, powodowały tylko nowe wydatki, nie przynosząc żadnych dochodów, gdy tymczasem polityka Katarzyny II-éj, polegająca na wmieszaniu się Rosyi w sprawy Europy zachodniéj, zmuszała do trzymania coraz to znaczniejszéj armii. Na opędzenie zaś takich wydatków, kraj, pomimo wszelkich wysileń, nie był wstanie dostarczyć dostatecznych funduszów;—nie pozostawało zatém nic innego, jak tylko zadłużyć państwo przez zaciągnięcie pożyczek zagranicznych i powiększenie obiegu banknotów.

Co najdziwniejsza tutaj, to że powiększając obieg nie myślano wcale o tém, żeby asygnaty miały służyć za bezpośrednie i główne źródło, z któregoby mogły być pokryte wydatki nadzwyczajne, lecz oczekiwano ciągle, że puszczenie w obieg papierowych pieniędzy

przyniesie korzyść wewnętrznym stosunkom gospodarczym. Wprawdzie ks. Wiaziemskij sprzeciwiał się stanowczo „papierowemu gospodarstwu“ w ogóle i przepowiadał mnóstwo trudności, z któremi skarb państwa będzie musiał walczyć, lecz głosu jego nie usłuchano, i przepowiednie te niebawem się ziściły. Imienna wartość papierowych pieniędzy, powiększając fikcyjnie dochody wywołała tylko ogólny rozstrój finansów państwa.

Zaradzając kłopotliwemu położeniu uorganizowano nową komisyą pod przewodnictwem ks. Zubowa, dla obmyślenia środków wyjścia z trudności. Komisya ta, jak wszystkie wyznaczane w podobny sposób, rozstrzygnęła kwestyą bardzo prosto:—*poleciła podwoić nominalną wartość monety miedzianéj*... pewna, że przebicie monety miedzianéj skarb wzbogaci... Naturalnie, nadzieje te zawiodły w zupełności i trzeba było znowu uciec się do nowych emisyj pieniędzy papierowych. Pomimo—albo téż właśnie dla tego—że przez ciąg panowania Katarzyny II-éj wypuszczono 137.700,000 rubli asygnacyjnych, źródło to ówczesnym mężom stanu—faworytom Cesarzowéj—zdawało się niewyczerpaném. Żadne wydatki nie wydawały się nazbyt uciążliwémi i żadne téż żądanie pomocy od skarbu, byleby umiejętnie przedstawione, nie napotykało nigdy na odmowę—bez względu na to, czy wydatki były rzeczywiście konieczne, czy przeciwnie, zupełnie zbyteczne. Pieniądze papierowe zdają się być równoważnikiem „niewyczerpanego źródła bogactwa rosyjskiego“—wierzono w nie, jak w rzeczywistą siłę—obrazowały one tutaj istotnie ów mityczny „róg obfitości“... Właściwa bowiem młodemu wiekowi, zwłaszcza u takiéj kobiéty, rozrzutność, a staremu podejrzliwość, powodowały przez cały ciąg panowania cesarzowéj Katarzyny II-éj nadużycia, nie dające się nawet obliczyć. Naród nie miał możności ujawnienia swoich potrzeb ani żądań, bo mu zamknięto wszystkie po temu drogi: d. 16 września 1796 r. wydany został ukaz, „ograniczający zupełnie swobodę drukowania książek, przywożenia ich z zagranicy i zamykający drukarnie prywatne.“ Ani zatém w żywém słowie, ani za pomocą druku nie można było przeciw systemowi temu odzywać się.

Takie gospodarstwo społeczne i finansowe ugruntowane na dobrowolnych złudzeniach i fałszu przekazywał wiek XVIII swemu następcy. Nie dziw więc, że wiek XIX odziedziczywszy sukcesyą płynącą z „*rogu obfitości*,“ wzwyczajony, dla podtrzymania urzędowego blasku i okazałości, szafować nieoględnie szczupłémi istotnie środkami kraju, zaniedbywał wyzyskania źródeł i sposobów zdolnych rzeczywiście polepszyć ogólny stan ekonomiczny i chyba w dalekiéj

przyszłości, przy zupełnie odmiennym zarządzie finansowym, zdoła tę schedę oczyścić.

Zmiana panującego nie mogła téż budzić nadziei pomyślniejszéj ery.

Paweł I zapewne nie sądził aby rzeczy były w stanie rozpaczliwym, nie zdawał on sobie sprawy z ekonomicznego odmętu i ruiny, w jakiéj znajdowało się państwo, bo dotychczasowy sposób życia zgoła nie mógł go zaznajomić z administracyą i jéj zadaniami. Aż do śmierci Katarzyny II-éj nie zwracano żadnéj na niego uwagi; odsunięty do spraw publicznych zamieszkiwał stale w pałacu swoim w Gatczynie i mimowoli zmuszony był ograniczyć swoją czynność do mustrowania szczupłéj garstki, bezpośrednio mu podwładnych żołnierzy. Jako Cesarzewicz, Paweł nietylko był pozbawiony łask matki-Cesarzowéj, lecz często nawet musiał znosić przykrości od rozmaitych dworskich zauszników, cieszących się jéj względami. Traktowany z lekceważeniem, zmuszony wywalczać od faworytów matki, nawet skromne fundusze, niezbędne na utrzymanie swego dworu, przytém i z natury charakteru zgryźliwego, musiał gromadzić w sobie zwolna nienawiść ku wszystkim, co otaczali tron Cesarzowéj i wszystkiemu co zdziałali, bez względu już, czy to było złe, czy dobre dla państwa. Zupełna bezsilność i bezwładność wobec zbytku i nadużyć (1) jakie panowały na dworze matki i w administracyi, musiały w przyszłym władcy zwichnąć całkowicie pojęcia o prawie poddanych, nietylko już do nadużywania życia, jak dotąd, lecz i do użycia go w miarę.

Po wstąpieniu na tron, skromny do śmieszności tryb życia Pawła I-ego, jego fanatyzm religijny, zmuszanie poddanych do objawiania różnych oznak czci przy spotkaniu się z cesarzem, odebranie faworytom matki oddanych im części dochodów państwowych, rozkaz wydany urzędnikom, aby przychodzili do biura o godzinie 6-éj rano, a senatorowie o 8-éj; polecenie ażeby wszyscy mieszkańcy Petersburga, po capstrzyku, po godzinie 9-éj udawali się na spoczynek,—wszystko to stanowiło rażący kontrast z poprzednim pa-

---

(1) Jako przykład możemy przytoczyć fakt niezmiernie charakterystyczny:—ks. Zubow, faworyt cesarzowéj, ten sam, co wzniecił wojnę perską wyłącznie w osobistych widokach, polecił wyasygnować na pierwsze koszta wojny 3,000,000 rub. na ręce brata swego Waleryana Zubowa, z zastrzeżeniem, aby miał prawo wydatkować stosownie do uznania, nie będąc obowiązanym do składania kolegium zwykłych nawet raportów. Tak samo się postawił przy wysyłce wojsk do Galicyi, skutkiem czego, w głównym zarządzie wojennym, nie wiedziano wcale gdzie znajduje się większa część pułków, ani w jakim one są stanie (*Russkaja Starina*—Platon Zubow. 1876 r.)

nowaniem i drażniło niezmiernie dworaków, przywykłych do całkiem odmiennych obyczajów.

Żądza zmieniania i usuwania wszystkiego co pozostało po matce, doszła do tego stopnia, że ukazem z d. 19 listopada t. r. wydanym do Senatu unieważnił Paweł zupełnie całą reorganizacyą finansowych zarządów wprowadzoną przez Katarzynę II-ą.

Polityka zewnętrzna Pawła zrazu zasadzała się głównie na podtrzymywaniu autorytetu tronów. Nie interesy Państwa zatém, a tylko nienawiść ku uzurpatorowi Napoleonowi wywołała wojnę przeciw Francyi i cały szereg rozporządzeń, które ciężko na dobrobycie kraju odezwać się musiały.

W r. 1800 polityka ta jednak gwałtownéj ulega zmianie. Paweł za pośrednictwem Kołyczewa rozpoczyna tajemne pertraktacye z Napoleonem i w r. 1801 wchodzi w przymierze ze Szwecyą, Danią i Prusami przeciw Anglii, postanawiając najść na Indye przez Azyą.

Nie zwiastowało to jednak państwu lepszych warunków ekonomicznych.

Na skutek zerwania traktatu z Anglią zabroniono wywozu z portów baltyckich i przez granicę lądową, nietylko zboża, lecz wszystkiego w ogóle i nawet do Prus, aby tym sposobem pozbawić Anglią produktów rosyjskich, nawet drogą pośrednią. Nadto, polecono „wstrzymać wypłatę długów anglikom i sekwestrować w sklepach wszelkie angielskie towary i produkty.“

W ogóle téż biorąc, we wszystkich rozporządzeniach Pawła I-go widzimy albo zupełne pominięcie z uwagi ekonomicznych warunków i potrzeb kraju, albo nader słabe ich uwzględnienie. Przeobrażenia w sferze finansowego zarządu, dokonywały się wyłącznie, albo w celu obalenia tego wszystkiego, co nawet z trudnością i kosztem znacznych wysiłków wprowadzoném zostało za panowania Katarzyny II-éj, albo po prostu dla zadość uczynienia osobistéj fantazyi w zagranicznéj polityce cesarza.

Pod jednym tylko względem Paweł I był zmuszony stosować się do systemu przyjętego przez Katarzynę, a mianowicie, w ciągłém mnożeniu wewnętrznych i zagranicznych pożyczek oraz obiegu asygnat. W końcu panowania cesarza Pawła ilość wypuszczonych asygnat dochodziła do 194,000.000 rubli, a ogół długu państwa daje się obliczyć na 408$^1/_3$ milj. rub.; czyli dziesięćkroć większy był niż ówczesne roczne dochody.

Dla lepszego zrozumienia ówczesnego stanu, wyobraźmy sobie, że wedle dzisiejszego położenia skarbu przy 717 mil. dochodów zwyczajnych i nadzwyczajnych, suma długu odpowiadająca ówczesnéj, musiałaby wynosić 7 miliardów rubli.

Ale sądząc bezstronnie, musimy też podnieść i dodatnie strony reform tego panowania.

Najprzód więc zaznaczmy, iż Paweł uporządkował prawo o dziedziczeniu tronu, dając pierwszeństwo linii męskiéj przed żeńską, przytém ze względów dynastycznych wydzielił z pomiędzy włościan rządowych, pewną część pod nazwą włościan należących do dóbr koronnych (*udielnych*), na utrzymanie członków rodziny cesarskiéj.

Charakteryzując ogólną działalność Pawła, należy panowanie jego nazwać epoką teroryzmu nie dla ludu wprawdzie a dla klas uprzywilejowanych. Szczególnie po podróży odbytéj przez Pawła po Rosyi, surowe środki przybrały cechę uciążliwych prześladowań. Wydział tajny, o którym i dzisiaj nie można wspomnieć bez wzdrygnienia, pod kierunkiem Oboljaninowa, który zostawił po sobie fatalną pamięć, rozwijał niczém niekrępowaną działalność.

Dla masy jednak ludu jęczącego w poddaństwie, Paweł nie był wcale strasznym: starał się on polepszyć jego byt w różny sposób. Najpierw zabronił zmuszania włościan do pracy w dni świąteczne, daléj ograniczył właścicieli do wymagania tylko trzech dni pracy na tydzień (1797 r.), następnie zabronił praktykowanéj w Małorosyi sprzedaży włościan bez ziemi, przezco wytworzył grunt dla interwencyi rządu w sprawach pomiędzy włościaninem i właścicielem. W tym kierunku posunął się nawet daléj i potworzył przy rządach gubernialnych zarządy włościańskie.

Włościanie rządowi należący do dóbr koronnych, podzieleni zostali na gminy (*wołosti*). Wydano rozporządzenia gospodarcze, dotyczące poboru podatków, a do sądzenia mniejszych przestępstw, utworzono we wszystkich gminach zarządy gminne, których członkowie wybierani byli przez ludność miejscową.

Wszystkie te środki dały początek ograniczeniu władzy właścicieli ziemskich. Kierunek taki nie mógł zjednać sobie sympatyi tych, co przywykli byli do samowładnego panowania nad włościanami. Bili oni wprawdzie czołem przed wszechwładzą poprzednich cesarzy, ale robili to rozumiejąc, że ich hierarchiczne stanowisko równie świętą ma podstawę. Gdy więc Paweł sprobował targnąć się na ich przywileje, nieograniczonego niczém wyzyskiwania ludu, powstało między właścicielami oburzenie o tyle srozsze, o ile energiczniejszém było działanie skierowane ku ukruceniu ich samowoli. Być może, iż byłby Paweł zdołał przeprowadzić stanowczo powzięte zamiary, gdyby mógł był się oprzéć na armii, ale brakło mu téj podpory, bo armia czuła się również mocno niezadowoloną.

Srogość jego w traktowaniu oficerów i żołnierzy miała być straszną. Kary sypały się bez żadnych widocznych powodów. Żaden żołnierz, żaden oficer nie mógł być pewnym, czy nie zostanie wprost z mustry zesłany na Sybir... Szczególniéj niemiłosiernie miała być traktowaną gwardya.

Dnia 11-go marca 1801 roku Paweł I, nagle w pałacu swoim żyć przestał, a na tron wstąpił Aleksander I, za którego panowania Rosya rozszerza znowu swoje granice, dochodzi do znacznego wpływu na sprawy Europy i dosięga najwyższéj zewnętrznéj świetności.

VI.

Trudno wynaleźć w historyi osobistości bardziéj ujmującéj w początkach swego panowania, a następnie, pod wieloma względami, bardziéj zagadkowéj nad Aleksandra I.

Z wielu źródeł, jak również i z własnych jego listów wiadomo, że będąc młodzieńcem miał zamiar zrzec się tronu. Zdaje się, że wpłynęła na to otaczająca go atmosfera.

„Nie jestem stworzony do życia dworskiego—pisał Aleksander, cesarzewicz, do W. P. Koczubeja d. 10 maja 1799 r. — każde wystąpienie na scenie tego świata muszę przeboleć. Krew mi się ścina na widok tylu nikczemności spełnianych na każdym kroku, jedynie dla tego, ażeby się wynieść nad innych, pozyskać ordery lub rangi, które w moich oczach nie mają najmniejszéj wartości. Czuję się nieszczęśliwym w otoczeniu ludzi, jakich nie życzyłbym sobie mieć za lokai, a którzy jednak zajmują tutaj najwyższe stanowiska. W naszym rządzie panuje bezład nie do uwierzenia: kradną na wszystkie strony; wszędzie jak najgorszy zarząd, najmniejszego nigdzie porządku, a państwo, nie bacząc na to, dąży tylko do rozszerzania swoich granic.“

„W takiém położeniu czyż podobna aby jeden człowiek rządził państwem, a nie dopieroż aby zdołał wyplenić zakorzenione nadużycia?! — Nie! to nad siły, nietylko takiego jak ja zwyczajnego śmiertelnika, ale nawet i geniuszu, a trzymałem się zawsze téj zasady, że lepiéj zupełnie nie przyjmować na siebie pewnego obowiązku, niżeli źle go spełnić.“

W tym samym czasie i prawie témi samémi słowami opisywał cesarzewicz Aleksander położenie kraju w listach do nauczyciela swego Laharpe'a.

„Sądząc z tego co widzę na około siebie, ciężar ten (tron) wydaje mi się z każdym dniem trudniejszym do udźwignięcia. Nie do

uwierzenia co się tu dzieje. Wszyscy kradną—prawie niema człowieka uczciwego. — To okropne!“

Chwilę wreszcie wstąpienia na tron, w następujących charakteryzował słowach:

„Sprawy były wtedy nadzwyczaj zagmatwane z powodu braku wszelkich podstaw w zarządzie, a chociaż w ostatnich latach panowania cesarzowéj Katarzyny, porządek nie był wielki, jednakże wszystko utrzymywało się jeszcze jako tako na dawniejszych posadach; z chwilą zaś wstąpienia na tron ojca i przyjętéj przez niego zasady zmieniania wszystkiego co było dawniéj, zniknęły nawet resztki ładu, a nowego nic nie stworzono.“

Listy te, obok tego cośmy wyżéj powiedzieli, dowodzą, że cesarz Aleksander jeszcze przed wstąpieniem na tron znał doskonale ludzi, w których rękach spoczywał zarząd państwa, zarówno za panowania jego babki, jako téż i ojca. Okoliczności więc towarzyszące jego wstąpieniu na tron, musiały silnie oddziałać na wrażliwy charakter młodego cesarza. Zdaje się téż nie ulegać wątpliwości, że pierwotne dążenia Aleksandra do swobody, wywołane zostały także i potrzebą ustalenia władzy zachwianéj i podkopanéj przez spiski magnatów, generałów i przybocznéj straży. To téż ustanowienie trwałych praw i chęć ożywienia przytłumionego dotąd życia społecznego, dowodzą z jednéj strony trafnego pojmowania potrzeb czasu, z drugiéj zdradzają impuls zachowawczego instynktu.

Z licznych rozporządzeń wydanych wkrótce po wstąpieniu na tron Aleksandra wieje niezaprzeczona rzeźwość i nieznane dotąd zdrowie.

Uwolnienie wszystkich, co za sprawą tajnéj ekspedycyi zamknięci byli po twierdzach i lochach więziennych lub zesłani na Sybir, zniesienie konfiskaty ich majątków i osłodzenie ich losu, dozwolenie kupcom, mieszczanom i włościanom dóbr rządowych nabywania na własność gruntów (1802 r.), pozwolenie uwolniania włościan z poddaństwa i przyznanie im prawa nabywania na własność gruntów za umówioną roczną opłatą, usunięcie mnóstwa nadużyć przy poborze rekruta, ustawa o prawach i przywilejach stanu kupieckiego, dozwolenie kupcom cudzoziemcom zapisywania się do miejscowéj korporacyi kupieckiéj, zasiłki udzielane na podniesienie marynarki handlowéj, zniesienie ukazu Katarzyny II o prawie prasowem, rozporządzenie tyczące się otwierania we wszystkich miejscowościach cesarstwa szkółek, gimnazjów, uniwersytetów i specyalnych szkół technicznych, zniesienie tortury, zwinięcie tajnéj ekspedycyi,—oto postanowienia dowodzące wymownie, że Aleksander I dążył do uszczęśliwienia swego narodu.

Za przykładem monarchy wszyscy otaczający go ludzie czynu, zaczęli baczniejszą zwracać uwagę na ekonomiczny stan niższych warstw społecznych i starali się wpływać na rozwój handlu, przemysłu i gospodarstwa wiejskiego. Oprócz tego bezpośredni wpływ osobistych jego przymiotów na otoczenie, wywołał bardzo pocieszające zjawisko, zupełnie obce poprzedniéj i następnéj epoce, a mianowicie *szczerość* w sprawach państwowych—zarzucenie wszelkiego urzędowego blichtru i fałszywego blasku, t. j. otwarte przyznanie się do istniejącego złego i rzeczywistéj niedoli. Ówcześni mężowie stanu w sprawozdaniach i reformach przedstawianych monarsze, opisywali bieg i stan spraw we wszystkich częściach zarządu, bez żadnych upiększeń i ukrywań, a ta gotowość Aleksandra do słuchania prawdy, niepomiernie wpływała na polepszenie stanu państwa.

Ale napotykane na téj drodze trudności były także niemałe.

Przy wstąpieniu na tron Aleksandra I-go w administracyi znalazł się bardzo szczupły poczet rzeczywistych mężów stanu, z pierwszych lat panowania Katarzyny; większość jednak składała się z rutynistów, nie pojmujących potrzeb chwili i kręcących się w kółku przestarzałych pojęć.

Przez wzgląd na społeczeństwo, nieprzygotowane do radykalnych odrazu reform, rząd musiał przybrać kierunek gabinetowy, a więc sposób postępowania nieodpowiadający wymaganiom chwili. Rzeczywistymi doradcami Aleksandra naówczas byli: Koczubej, Nowosilcow, Strogonow i ks. Adam Czartoryski. Byli to ludzie zgadzający się z sobą, głównie na punkcie uwielbiania konstytucyi angielskiéj... Brak doświadczenia i znajomości warunków bytu i potrzeb rosyjskiego społeczeństwa sprawiły, że pierwsze kroki rządu, dążące do zaradzenia złemu, pozostały zupełnie bezowocne. Biurokracya o tyle jeszcze była lepsza, że była obytą z tokiem spraw, a ostatecznie i z rzeczywistemi potrzebami. Dążność zaś samego cesarza Aleksandra nie miała jeszcze ściśle określonego kierunku; w jego postępowaniu w téj porze widać pewne wahanie, dowodzące, że nie zdawał on sobie jeszcze ze wszystkiego należytéj sprawy, że myśl jego, choć miała może cel wyraźny, nie zdołała się jeszcze skrystalizować co do środków. Osobiści doradcy Aleksandra — „triumwirat“ i przyjaciele jego nie mieli także należycie obmyślanego programu. Ludzie otaczający Katarzynę w ostatnich latach jéj życia, a zawezwani obecnie do współdziałania — dla braku innych—mieli poglądy bardziéj ustalone, ale te nie wybiegały po za zakres mierności. Starali się oni głównie o uchylenie zmian, które z tak gorączkowym pośpiechem wprowadził był Paweł I.

W przekonaniu zaś młodego cesarza ludzie ci powinni byli mieć pewną wyższość nad teoretykami, ponieważ znali bliżéj otoczenie i stosunki, a skromnémi żądaniami swemi nie budzili obaw. Jeden z takich projektów przedstawiony Aleksandrowi przez sekretarza Katarzyny, Troszczyńskiego, zatwierdzony został w dwa tygodnie po wstąpieniu na tron. Obejmował przekształcenie Rady.

Troszczyński, który zaledwie umiał czytać i pisać po rosyjsku, przywiązywał do swojéj reformy wielkie znaczenie; rozpatrzywszy się w niéj jednak bliżéj, musimy dojść do przekonania, że nowo projektowana Rada nie różniła się w niczém od téj, która pełniła godną pożałowania rolę przy Katarzynie II. Rzeczywistą zmianę stanowił inny personel i takie urządzenie kancelaryi, któreby mogło nadać większą powagę i znaczenie samemu Troszczyńskiemu.

Nic nieznacząca taka reforma nie mogła zadowolnić ludzi postępowych. Czuli oni instynktowo, że zmiany w sferze wyższéj biurokracyi, same przez się nie utworzą trwałego porządku państwowego, żądali oni instytucyj mniéj podległych samowoli, a opierających się na powadze prawa; jednèm słowem żądali oni zabezpieczenia w państwie powagi praw, służących wszystkim wogóle i każdemu z osobna.

Myśl tę jasno wypowiedział hr. Woroncow w projekcie reform, przedstawionym Aleksandrowi. Żaden jednak z występujących naówczas reformatorów nie obmyślił należycie sposobów, za pomocą których możnaby było dopiąć celu. Między innymi Dzierżawin przedstawił projekt reformy, obejmujący dziwną mięszaninę różnobarwnych żywiołów; żądał on podziału senatu na rządzący i sądzący. „Reforma“ ta nie została wprowadzoną; natomiast dnia 8 września 1802 r. ogłoszony został manifest, mający za przedmiot „ustanowienie ministeryów,“ opracowany przez samego Aleksandra wraz z najbliższymi doradcami i trzymany w takiéj tajemnicy, że wiele wysoko postawionych osób dowiedziało się o nim zaledwie w przeddzień jego ogłoszenia.

Postanowienie to zrazu wywarło wielkie wrażenie w sferach wyższéj administracyi, a na jego twórców posypały się różne oskarżenia. W nowéj téj instytucyi upatrywano najpierw ograniczenie władzy Senatu, daléj widziano niebezpieczeństwo ministeryalnéj samowoli i wreszcie nieistniejące bynajmniéj ograniczenie do pewnego stopnia władzy samodzierżawnéj.

Manifest „ustanawiający ministerya“ rozpoczynał motywy swoje od tego, iż rząd większą miał dotąd sposobność *karcenia* niesprawiedliwości ujawnionych, aniżeli *zapobiegania* im, że nie posiadał „zbawiennych środków,“ któreby mu mogły odsłonić potrzeby ogółu

dla wprowadzenia wszędzie niezbędnego ładu i rozwinięcia sił narodu. Tymi „zbawczymi“ organami miały być odtąd Ministerya. Ustanowiono ich ośm: 1) wojenno-lądowe, 2) marynarki, 3) spraw zagranicznych, 4) sprawiedliwości, 5) spraw wewnętrznych, 6) skarbu, 7) handlu i 8) oświecenia publicznego.

Pierwszym ministrem skarbu został mianowany hrabia Wasiliew, towarzyszem—hofmeister Gurjew, kasyerem państwa—Teodor Gołubcow, a ministrem handlu hr. Rumiancow.

Celem ściślejszego nadzoru nad administracyą polecono ministrom składać cesarzowi tygodniowe sprawozdania. Nowe ukazy powinny były być kontrasygnowane przez ministrów. Jeżeli sprawa jaka dotyczyła nowego porządku, minister przedstawiający projekt, obowiązany był komunikownć go uprzednio innym ministrom dla należytego roztrząśnienia we wszystkich dykasteryach państwowych. Dozór nad ministrami poruczony został Senatowi. Każdy minister obowiązany był corocznie przedstawiać piśmienne sprawozdanie ze swoich czynności, z *wyjątkiem spraw wymagających szczególnéj tajemnicy.* Wymagano zaś szczegółowych sprawozdań o rodzaju i postępie prac w każdém ministeryum, o jego stanie obecnym i projektach na przyszłość. Rozpatrzenie każdego sprawozdania powinno było odbywać się w obecności właściwego ministra. Senat mógł żądać od niego objaśnień, porównywać jego orzeczenia z raportami otrzymanémi poprzednio, w ciągu roku, z różnych miejscowości,—miał prawo przeglądać zatwierdzone przez monarchę projekty ministrów oraz ukazy, na ich podstawie wydane. Sprawdzone i zbadane w taki sposób sprawozdanie, powinno było być przedstawione cesarzowi wraz z opinią senatu, dotyczącą zarządu ministra oraz stanu powierzonéj mu gałęzi administracyi.

Takie były ogólne zarysy nowéj instytucyi. Wszystko to było nowością. Dotąd nie znano żadnych przepisów o nadzorze. Generał-prokurator rozciągał czujność swoję jedynie na nadużycia administracyi, nie zwracając uwagi *na sposób* postępowania. Obecnie miano oceniać korzyści, wypływające z danych rozporządzeń.

Ale tych rękojmi zapewnionych społeczeństwu w czyn nie wprowadzono. Biurokracya nie życzyła sobie podlegać innéj władzy prócz monarszéj... i łatwo téż celu swego dopięła. Osobiste, niekontrolowane raporty, przy ogromnym nawale zajęć władcy Rosyi, były zawsze i są dzisiaj jeszcze, ideałem osób piastujących władzę. Dla tego ustanowienie pod tym względem stałego przepisu rozstrząsania działań w Senacie, nikomu z osób stojących u steru władzy nie mogło się podobać. Wkrótce téż odpowiedzialność, na którą w manifeście tak silny położono nacisk znikła, a właściwie

nie rozpoczęła się nawet przejawiać. Senatowi, na którym tak wielkie opierano nadzieje, z którego monarcha chciał uczynić najwyższego obrońcę obywateli, administracya, nietylko nie pozwoliła rozciągnąć czujnéj baczności nad jéj postępkami, lecz nie pozwoliła mu nawet sprawdzić *bodaj jedno* sprawozdanie.

Już w 1803 roku prawie przestano myśleć o kontroli Senatu. Rada zaś, która zaczęła się mianować „państwową,“ dlatego, że tak nazywano rotę przysięgi ustanowionéj dla jéj członków, przeobrażała się na najwyższą instancyą sądową.

Samo społeczeństwo, a przynajmniéj znaczna jego część, bardzo miało być nierade z tych innowacyi, a szczególniéj, z postanowień odnoszących się do włościan. Pozwolenie téż z d. 12 grudnia 1801 r. udzielone kupcom, mieszczanom i włościanom z dóbr rządowych nabywania posiadłości ziemskich na własność, musiało być ograniczone o tyle, iż mogło mieć miejsce, tylko po zgodzeniu się na to właściciela i włościan.

Ale bo nawet otaczający Aleksandra mężowie stanu, starali się przedstawiać mu wszystko w ciemnych kolorach, wpajając w niego przekonanie, że zapanowało w Rosyi, z powodu tych inowacyj, ogólne niezadowolenie. .

Tym sposobem, znalazł się Aleksander I i ciągle zostawał wobec dwóch partyi, wprost sobie przeciwnych prądami, a ciągła ta walka z losem i ludźmi, wreszcie i z samym sobą obudziła w nim niewiarę we własne siły. Z téj chwiejności nie omieszkali skorzystać wrogowie reform, których przewodnikiem był Arakczejew,—początkowo minister wojny i sił lądowych a następnie samowładny zarządca całego wewnętrznego życia państwa.

Te ciągłe ścierania się sprzecznych obozów i pojęć były powodem, że sprawy finansowe Rosyi, za tego panowania, zwróciły na siebie szczególniejszą uwagę rządu, dopiero w 1810 r., kiedy przeważny wpływ na sprawy publiczne zaczął wywierać Sperański.

VII.

W systemie ówczesnego zarządu Skarbem,—przez świeżo ustanowione w 1802 r. ministeryum nie było widać, ani jednolitości, ani dążenia ku podniesieniu Skarbu z upadku. Tymczasem konieczne potrzeby, wymagały nieodzownie chwycenia się środków radykalnych.

Zewnętrzna polityka Rosyi po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra I—jak wiadomo—znacznéj uległa zmianie. Cesarz Paweł,

przed samą śmiercią, miał zamiar zerwać stosunki z Anglią, a zawrzéć ściślejsze z Francyą. Aleksander I w 1801 i 1802 r. zawiera przymierza z obydwoma témi państwami i Rosya do 1805 r. cieszy się pokojem na zewnątrz.

W 1805 r. zawiera Aleksander przymierze z Anglią i Austryą przeciw Francyi, którego rezultatem była ciężka klęska dla armii rosyjskiéj pod Austerlitz.

Druga wojna przedsięwzięta przez Aleksandra łącznie z Prusami przeciw Francyi nie powiodła się również. Francuzi pobili zupełnie armią prusko-rosyjską pod Friedlandem, a następstwem téj porażki był pokój podpisany w Tylży dnia 25 czerwca (7 lipca) 1807 r.

Po porozumieniu się z Napoleonem w Tylży przechyla się Aleksander na stronę cesarza Francuzów, który z prowincyj polskich odebranych Prusom tworzy księztwo Warszawskie, a obwód Białostocki przyłącza do Rosyi. W Tylży téż, podług życzenia Napoleona, postanowiono zaniechać rozpoczętéj wojny z Turcyą a w zamian za to, stosownie do zawartéj sekretnéj umowy pomiędzy Aleksandrem i Napoleonem, Rosya d. 25 października 1807 r. wypowiedziała wojnę Anglii; nienawiść zaś króla Gustawa IV ku Francyi skłania znowu Aleksandra do wypowiedzenia na d. 16 marca 1808 r. wojny i Szwecyi.

Spotkanie się Aleksandra z Napoleonem w Erfurcie w 1808 r. jeszcze bardziéj zbliża obydwóch monarchów, tak, że Napoleon pozostawia Aleksandrowi zupełną swobodę działania w sprawach dotyczących Turcyi. Wojna zaś ze Szwecyą kończy się pokojem zawartym w Fridrichshamie, na mocy którego W. ks. Finlandzkie, jako państwo konstytucyjne, zostaje na d. 15 (27) marca 1809 r. przyłączone do cesarstwa Rosyjskiego.

Wojny trwające przez pięć lat bez przerwy, a wymagające nadmiernych ofiar, oraz przyłączenie się Rosyi do utworzonego przez Napoleona „systemu kontynentalnego,“ który zatamował rozwój krajowego przemysłu i handlu, musiały zgubnie oddziałać na stan finansowy Państwa.

Wobec ciągłych deficytów, jedynym sposobem pokrycia niedoborów w dochodach oraz nadzwyczajnych wydatków wywołanych wojnami, zwłaszcza wobec niemożności zaciągania pożyczek, były w tym czasie asygnaty. Puszczano je téż w obieg bez żadnéj kontroli, w ilości, rozumie się, przewyższającéj rzeczywiste potrzeby. Jak się okazuje ze źródeł urzędowych, w okresie od 1802 do 1810 r. puszczono w obieg około 348 milj. rub. as.

Wskutek upadku wewnętrznéj produkcyi, braku zaufania do pieniędzy papierowych w granicach państwa, a nadewszystko téż zagranicą, wartość asygnat ciągle upadała i tylko obowiązkowe przyjmowanie ich wewnątrz państwa zdołało utrzymać o tyle, że do końca 1810 r. kurs rubla asygnacyjnego, obniżając się ciągle doszedł do $^1/_5$ nominalnéj wartości.

Lecz nie same tylko asygnaty i wielka ich ilość, powodowały niemoc finansową téj epoki; nie mniéj ważnym powodem były ciągłe deficyty w budżetach. Wydatki stopniowo wzrastały, a dochody przeciwnie, zmniejszały się. Na pokrycie tych deficytów, oprócz powiększania obiegu powierczego, zawierano, w chwilach pokoju, rozmaite wewnętrzne i zagraniczne pożyczki. Pożyczki te jednak, zarówno dla braku zaufania do rządu, jak i dla braku zaoszczędzonych kapitałów pośród mas narodu, można było otrzymywać, tylko na bardzo uciążliwych warunkach.

Rozstrój ten w finansowém gospodarstwie wpływa téż niekorzystnie na moralne usposobienie cesarza Aleksandra, odbijając się następnie na całym zarządzie państwowym. Już to podług opowiadania naocznych i wtajemniczonych w to świadków, przedewszystkiém, codzienne widywanie się Aleksandra i dyskusye jego z Napoleonem w Tylży, nie pozostały także bez wpływu na wrażliwą naturę cesarza. Rozmowy te i dysertacye wyzuły go ostatecznie z wiary w ludzi, a zarazem i zachwiały w nim poszanowanie indywidualności i legalności, co właśnie, tak korzystnie odróżniało go w początkach panowania od wszystkich jego poprzedników.

Nagła ta zmiana w usposobieniu panującego, pociągnęła za sobą i zmiany w otoczeniu. Dawny „Triumwirat“ został usunięty i zastąpiony przez Sperańskiego, Pozzo di Borgo i Capo d'Istria.

Z pomiędzy tych trzech, pierwszy przez ciąg lat pięciu, do 1812 r. dźwigał cały ciężar wewnętrznego zarządu państwem. Działalność Sperańskiego w tym okresie była bardzo rozmaita, bezprzykładnie wielka i obfita w rezultaty. Z wyjątkiem zarządu wojennego i spraw zagranicznych, wszystko jemu było oddane. Upadł on pod wpływem wyjątkowych okoliczności, jako ofiara nieprzychylnéj rządowi opinii publicznéj oraz nowych zmian zaszłych w usposobieniu cesarza. Rosya zawdzięcza mu mnóstwo ulepszeń, jak niemniéj inicyatywę liberalniejszego systemu rządzenia. Brak środków na zaspokojenie wydatków, złe administrowanie finansami, chwiejność obiegu powierczego, wreszcie ogólne kłopoty ekonomiczne— wszystko to nie mogło ujść uwagi, takiego męża stanu jakim był hr. Sperańskij i w 1809 r. rozpoczął on pracę nad planem systemu finansowego.

Wiedział on jednak dobrze, że finanse, to zaledwie część całości; że poprawienie stanu finansowego nie da się osięgnąć, bez jednoczesnéj reformy w ogólnym wewnętrznym zarządzie państwa. Cała przeszłość Rosyi, oparta na patryarchalnéj zasadzie, przekonywała o niewłaściwości absolutnéj formy rządu; ztąd zabiegi, które widzieliśmy w początku panowania cesarza Aleksandra I, w kierunku powołania mas do samodzielności; były one naturalném i logiczném następstwem przekonania, że stare formy są już nieodpowiednie. Zamiary te jednak nie wystarczały, potrzeba było posiadać dokładne wiadomości o rzeczywistym stanie umysłów i biegu rzeczy w ogóle i dla tego może, liberalne zamiary i projekty, które widzieliśmy w początku panowania, okazały się nieodpowiedniemi, bo wiadomości tych brakło i jemu samemu i jego pomocnikom.

Chwiejność rządu przy wprowadzaniu reform odbijała się niekorzystnie na wykonawcach i na rządzonych; zwyczaje znowu społeczeństwa i administracyj, zdemoralizowanych poprzedniemi rządami, oddziaływały również ujemnie na te reformy. Administracya pozostająca wciąż jeszcze amalgamatem biurokratyzmu i samowoli, przeszkadzała reformom, ograniczającym jéj wszechwładztwo. Najwyższa władza ogłaszała prawa, ale w guberniach rozmaici urzędnicy, tłómaczyli je i wykonywali, podług swego widzimi się.

Sperański zrozumiał, że przedewszystkiém, konieczną jest władza, któraby stała na straży nietykalności prawa i że taką powinna być—zanimby kraj dostatecznie się usposobił do przyjęcia liberalniejszych instytucyi—zreformowana Rada Państwa.

Opracowywał zatém odpowiedni projekt, wyjednał jego zatwierdzenie przez cesarza i stosownie do rozkazu Aleksandra, na d. 1 stycznia 1810 r. zachowując jak największą możliwą uroczystość i ostentacyą, zebrała się po raz pierwszy Rada Państwa w salach Zimowego pałacu.

Cesarz Aleksander wszedłszy, rozkazał członkom Rady zająć miejsca według starszeństwa rang i zagaił posiedzenie mową, zaprojektowaną przez Sperańskiego, w któréj, wskazawszy cel Rady Państwa, polegający „na ogarnięciu wszelkich spraw wyższego zarządu“—rzekł:

„Użyję wszystkich sił i całéj mojéj władzy dla wprowadzenia porządku i zapewnienia cesarstwu dobrych praw; ku temu celowi zestrzelę wszystkie myśli moje, a waszym świętym obowiązkiem jest dopomagać mi w tych zamiarach. Z działalności waszéj w tym względzie, odpowiecie przed Bogiem i Ojczyzną:

„Wobec tego, wszelkie osobiste względy powinny umilknąć.

„Policzcie miliony oczekujące od was ustalenia własności, spokoju i dobrych urządzeń, a ocenicie ogrom waszych obowiązków i mojéj ku wam ufności. Sam też ufam w pełni błogosławieństwu Najwyższego i poczytuję sobie za obowiązek dzielić prace wasze, szukając jednéj tylko, lecz drogiéj sercu memu nagrody, aby z czasem, kiedy mnie już nie będzie, prawi synowie ojczyzny, doznawszy dobrodziejstw téj instytucyi, przypomnieli sobie, że została ona utworzoną przezemnie, w szczerém pragnieniu ziszczenia pomyślności Rosyi.“

Tego samego dnia ogłoszony też został manifest o otwarciu Rady Państwa.

Rada Państwa, tym razem, uznaną została za najwyższą instytucyą państwową, w któréj powinny się skupiać wszystkie działy zarządu i która, po wszechstronném zbadaniu każdéj kwestyi, powinna jéj dawać najodpowiedniejsze rozwiązanie, zabezpieczając od samowoli władz podrzędnych.

Przyznanie Radzie rozległéj władzy prawodawczéj, sądowéj i wykonawczéj i wyraźne określenie sfery jéj działania, było nieznanym w Rosyi postępem.

Zdaniem Sperańskiego, wielki ten krok w życiu narodu rosyjskiego—to przejście—jak się wyrażał—*„od jednowładztwa do rzeczywistej oligarchii“*, dokonany został dla tego, ażeby przez utworzenie Rady Państwa, dać społeczeństwu rękojmię kierunku przez rząd przyjętego; pozyskać wiarę społeczeństwa, nietyle ku osobie władcy, ile w trwałość instytucyj stojących na straży praw poddanych oraz całości interesów społecznych.

Wkrótce jednak okazało się, że Rada Państwa, powołana do życia z pominięciem zasady wyborów, nieobowiązana do publicznych posiedzeń, nie mogła zabezpieczyć społeczeństwa od samowoli biurokracyi. Dopóki bowiem działalność ludzi stojących na straży nienaruszalności prawa, nie ulegnie krytyce opinii publicznéj, dopóty wszelkie usiłowania w tym celu pozostać muszą bezowocne.

Ale osięgnięcie tego, nie było rzeczą łatwą. Ludzie powoływani do sterowania przez samego panującego, zanadto cenią jedynowładztwo, ażeby, wobec opieki, jaką ono osłania ich odpowiedzialność, mieli się zgodzić na poddanie swéj działalności pod krytykę ogółu.

Osobiste raporty i przedstawienia—do czego tak łatwo znaleść odpowiednią chwilę—a które zapewniają wpływ, znaczenie i dają téż pochop do samowoli, stałyby się przy publicznéj kontroli, bez porównania trudniejszémi, a z czasem, musiałyby ostatecznie ustać,

na czém znowu, zarówno niewątpliwie, zyskałaby i najwyższa władza. Dopóki zaś wszyscy wogóle i każdy z osobna przedewszystkiém usiłują zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, przenosząc ją na pełnomocnictwo, z mocy którego mają działać, dopóty widoki dynastyczne muszą szwankować, gdy niemożliwa jest spójnia pomiędzy społeczeństwem i władzą.

VIII.

Zarząd finansów państwa pozostawał ciągle albo w ręku ludzi niezdolnych albo niewykształconych odpowiednio. Cesarz Aleksander widział się téż w kłopocie, nie mając komu powierzyć tego nieszczęśliwego ministeryum, tembardziéj, że każdy uchylał się od niewdzięcznéj naówczas pracy.

W takim stanie rzeczy teka ministra skarbu, piastowana do 1806 roku przez Teodora Gołubcowa, przeszła w ręce Gurjewa, a Speranskiemu polecono przygotować plan reform finansowych.

Plan ten został przygotowany z tą samą zadziwiającą szybkością, z jaką powstawały wszystkie administracyjne projekty Speranskiego.

Manifest o otwarciu Rady Państwa wzmiankował już o przedsięwziętych w téj mierze nowych środkach, niebawem téż odpowiedni referat, rozciągający się na 238 stronnicach, przedstawiony został cesarzowi.

Główna myśl referatu w tém tkwiła, że „każdy program finansowy, *zawierający łatwe sposoby polepszenia stanu rzeczy, a nie zmniejszający wydatków jest tylko mamidłem*, wiodącém państwo w przepaść.“

W zamiarze wyratowania Rosyi z nieszczęśliwego położenia, w jakiém się znajdowała, referat domagał się energicznych środków i wielu ofiar, a mianowicie:

1) zaprzestania wypuszczania w obieg asygnat;

2) zmniejszenia wydatków;

4) zaprowadzenia lepszéj nad niémi kontroli;

5) ustanowienia nowych podatków.

Nieodzowną potrzebę wprowadzenia nowych podatków popierał Speranski następującemi słowy:

„Stan naszych finansów wymaga koniecznie nowych i to dość znacznych podatków, inaczéj w żaden sposób do niczego przystąpić nie można. Podatki bywają uciążliwe, głównie dla tego, że zdają się być ustanawiane samowolnie. Trudno przekonywać każdego z osobna, o ich konieczności. Dowodzenie zatém téj potrzeby należy raczéj zastąpić wzbudzeniem i ugruntowaniem zaufania do tego,

że podatki nie ustanawiają się arbitralnie, lecz wskutek rozważonéj i uznanéj przez Radę Państwa konieczności. Takim tylko sposobem panujący jako samorządca, może pozyskać nieograniczoną miłość narodu, potrzebną mu dla ziszczenia szczęścia tegoż narodu.“

W celu podniesienia kredytu i wartości asygnat doradzał Speranski utworzenie oddzielnego funduszu amortyzacyjnego. Fundusz ten miał być zebrany ze stopniowéj rozprzedaży w ciągu lat pięciu osobom prywatnym dóbr rządowych. Oprócz tego projektował on téż zaciągnięcie pożyczki wewnętrznéj, terminowéj, rozdzielonéj na pięć rat, na sumę nieprzewyższającą sto milionów rubli.

Daléj domagał się aby za jednostkę monetarną uznano rubel srebrny i palono asygnaty, które wpłyną do kas rządowych w wypłatach za sprzedane dobra rządowe oraz we wnioskach na ruchunek projektowanéj pożyczki.

Taką drogą spodziewał się Speranski rozbudzić stopniowo ufność do asygnat i znieść raz chwiejność ich wartości.

Wszystkie te propozycye Speranskiego zyskały sankcyą monarszą i zostały wprowadzone w życie szeregiem odpowiednich ukazów i manifestów.

Złe jednak, na które składały się długie lata nie mogło ustąpić odrazu, a najtrudniéj było powstrzymać od pokrywania deficytów, sposobem nader wygodnym, lecz zgubnym — przez nowe emisye pieniędzy papierowych. Deficyt w 1810 r. wynosił prawie 100,000,000 rubli asyg., w skutek czego zamiar powstrzymania się od nowych emisyi asygnat odłożono do przyszłego roku, a w r. 1810 wypuszczono 46,172,000 rub. as. na pokrycie wydatków zwyczajnych.

Pod tę porę cała masa asygnat mających być zniszczonemi wynosiła 286,000,000 rubli.

Sperański widząc taki rezultat zrozumiał dobrze, że półśrodkami zamierzonego celu nie dopnie i dla tego téż sięgnąwszy do rdzenia ówczesnych stosunków i ogarnąwszy wszechstronnie rzeczywiste przyczyny bezładu i biedoty, dla umożliwienia skuteczności reform finansowych, domagał się jednocześnie *kompletnéj reorganizacyi wszystkich wyższych władz rządowych.*

W referacie przedstawionym cesarzowi a dowodzącym nieodzownéj potrzeby zreorganizowania ministeryów, radził Speranski wprowadzić następujące zmiany:

1) rozdzielić dorzeczniéj czynności pomiędzy rozmaite zarządy;

2) wprowadzić pewien ład i porządek w wewnętrznéj organizacyi władz;

3) określić stopień odpowiedzialności ministrów oraz stosunek ich do władz drugorzędnych i służby niższéj.

Wszystkie te wnioski zostały przyjęte i po zreorganizowaniu Rady Państwa ogłoszono: „Nowy rozkład atrybucyj między władzami wykonawczemi.“

Najsłabszą stronę nowéj organizacyi stanowiły środki, jakiemi Speranski mniemał nadać wyższemu zarządowi jednolitość, oraz przepisy o odpowiedzialności ministrów. „Ogólna organizacya ministeryów“ nie wspominała téż nic zgoła o komitecie ministrów i według słów samego Speranskiego „komitet ten, w nowéj organizacyi, nie miał istniéć.“ Spójnię wyższego zarządu miała stanowić instytucya, o któréj niejednokrotnie już myśleli autorowie rozmaitych projektów, podnoszonych za panowania Aleksandra I, mianowicie Rządzący Senat, jako centrum władzy wykonawczéj.

Speranski dowodził, że połączenie w Senacie władzy sądowéj z wykonawczą jest rażącą anomalią, która nadal miejsca miéć nie powinna i radził podzielić Senat na dwa wydziały: 1) wydział *rządzący*, złożony z ministrów, ich towarzyszy i naczelników wyższych władz i 2) wydział *sądzący*, złożony z senatorów mianowanych przez obywatelstwo. (Wydział sądzący miał zasiadać w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i Kazaniu).

Projekty te oddano do rozpatrzenia specyalnemu komitetowi, w którym zasiadali: Zawadowski, Łopuchin i Koczubej, a w czerwcu 1811 roku złożono je Radzie Państwa, która je roztrząsała aż do września.

W Radzie Państwa projekt Speranskiego napotkał na silną opozycyą ze strony partyi konserwatywnéj, to jest tych, co nie byli radzi abdykować z przywilejów ułatwiających im przystęp do tronu. Stronnicy dawnego a nadewszystko dla nich dogodnego porządku rzeczy, oponowali najpierw z tytułu tyloletniego istnienia ważnéj téj instytucyi; daléj dowodzili, że proponowany rozdział władzy Senatu osłabi jego znaczenie i wpływ, że oddalenie wydziałów od głównego siedliska rządu może dać pochop do nadużyć; że system wyborczy uczyni możliwym wpływ bogatych mieszczan na wybory, co oddziała szkodliwie na urok władzy sądowéj. Obok tego zwracano téż uwagę na niebezpieczeństwo wypływające z zamierzonego nadania Senatowi prawa decyzyi bez apelacyi do tronu; wreszcie znaleźli się niechętni z tego powodu, że projektowana organizacya Senatu osłabia samowładztwo tronu.

Pomimo jednak takiéj opozycyi, projekt Speranskiego utrzymał się w Radzie Państwa i zyskał sankcyą monarszą. Ale prace przygotowawcze dla wprowadzenia go w życie nie mogły być wykończone z równą, jak on sam dojrzał, szybkością i wobec spodzie-

wanéj wojny i nieodłącznych od tego kłopotów, musiano je odroczyć do przyjaźniejszéj pory.

Wszystkie przytoczone przez nas projekty nie wyczerpują jeszcze całości planów Sperańskiego. „Rządy gubernialne,“ „władza sądowa“ i wogóle „cała administracya państwa,“ miały uledz radykalnemu przeistoczeniu w duchu samorządu opartego na wyborach. Odpowiednie projekty były już nawet opracowaane i *zatwierdzone* przez cesarza i tylko dla rozmaitych przyczyn nie doczekały się wprowadzenia ich w życie.

Zrazu wojna, następnie zmiana w losie Speranskiego, a głównie zmiana w poglądach Aleksandra I-go zniweczyły ducha projektowanych reform.

Zwracając się do działalności Sperańskiego w dziedzinie skarbowości, nie pomińmy też wzmianki, że on to ułożył pierwszy budżet Rosyi, który roztrząsany był nie przez pojedyńczą osobę i jéj satelitów, lecz przez poważną instytucyą.

Ale zastosowanie w praktyce planów Sperańskiego napotkało odrazu na niepomierne trudności. Nieprzyjazne stosunki zagraniczne, dostarczyły oponentom reform obfitego materyału do zarzutów i protestów przeciwko zakreślonym przeobrażeniom.

Większe jeszcze sarkania ściągnął na siebie Sperański podwyższeniem podatków. Unikali tego starannie wszyscy ministrowie skarbu, on jeden był do tyla odważnym, więc też musiał za to odpokutować. „Przez przeciąg dwudziestu lat zgórą—pisał on—żaden z członków rządu nie chciał wziąć na siebie téj odpowiedzialności, a jednak musiał się przecież znaleźć taki, coby ją przyjął.“

Jedynym środkiem przedsięwziętym przez Sperańskiego, który nie wywołał znikąd protestu, było wprowadzenie nowéj taryfy celnéj, otwierającéj na nowo porty północne dla towarów kolonialnych, ułatwiającéj wywóz produktów rosyjskich, a wzbraniającéj przywozu, jedynie przedmiotów zbytku, które wówczas, przez niechęć ku wszystkiemu co francuskie, nie cieszyły się wziętością.

Zdaniem ogółu, był to pierwszy krok rządu dowodzący niezawisłości od Napoleona, co też poczytaném było następnie, za jeden z pretekstów do wojny. Napoleon bowiem widział w tém akt zerwania z nim przymierza, a sprzyjanie Anglii z uszczerbkiem dla handlu Francyi.

Rezultatem tego było gwałtowne powiększenie się wywozu z Rosyi produktów surowych. Przeszło 200 okrętów angielskich, pod flagą teneryfską wpłynęło do portów rosyjskich, wlewając do kraju znaczne kapitały. Oczywiście musiało to wywrzéć wpływ nader korzystny i kurs wekslowy zaczął się téż podnosić. Wartość

rubla z 19 kopiejek w miesiącu maju 1811 roku podniosła się do 29,7 kop. w grudniu, a następnie w 1812 roku (we wrześniu) dosięgła 64 kopiejek.

Po deficycie jednak 1810 roku, rok następny (1811) jeszcze bardziéj był niepomyślnym dla finansów państwa. Z jednéj strony stosunki z sąsiedniemi państwami zarysowywały się coraz groźniéj, tamowały handel i wpływały przygnębiająco na rynek, z drugiéj różnego rodzaju klęski wewnątrz kraju niszczyły mienie narodowe. W ciągu całego prawie 1811 roku pożary niszczyły miasta i wsie Cesarstwa.

Do téj klęski przyłączyła się jeszcze straszniejsza — nieurodzaj w większéj części Rosyi i następujący za nim głód.

Smutny téż stan kraju pod względem finansowym uwidocznił się najlepiéj w niewypłacalności znacznéj bardzo liczby dłużników Banku Państwa, w skutek czego minister skarbu widział się zmuszonym przedłużyć termin wypłat *z 8 na 12 lat i zawiesić jednocześnie zajęcie i sprzedaż majątków dłużników.*

Ciężkie położenie ekonomiczne i obawa grożącego bankructwa dostarczyły obfitego materyału do sarkań, na pozornego sprawcę tego stanu—Sperańskiego, pomimo, iż oczywistem było, że rozstrój finansów nie zjawił się w danéj téj chwili nagle i niespodzianie, że sprowadziły go liczne i długotrwałe przyczyny i że nie było można go zażegnać w przeciągu dwóch lat, wymagających nowych nadzwyczajnych podatków na cele wojenne.

Ale tego nie chcieli zrozumiéć przeciwnicy systemu Sperańskiego, na których czele stanął minister skarbu Gurjew; nie chciały o tém wiedziéć klasy obłożone nowémi podatkami, ani nie chciało o tém słyszéć ówczesne społeczeństwo, a przynajmniéj znaczna jego część, składająca się z ludzi najbardziéj wpływowych.

Pomimo jednak tych sarkań, wszystkie rozporządzenia rządu dotyczące spraw finansowych, wydane w ciągu 1811 roku, wspierały się wyłącznie na kardynalnych podstawach programu Sperańskiego, dopóki nie wybuchła od dość dawna spodziewana, straszna i na wieczne czasy pamiętna w dziejach Rosyi wojna.

Napoleon wkroczył w granice Rosyi i aż do Borodina nie znalazł żadnego oporu. Jakkolwiek bowiem Rosya przewidywała tę wojnę, nie była jednak w stanie przygotować się do niéj odpowiednio, wyczerpawszy materyalne swe zasoby w długiéj wojnie z Turcyą. Chociaż więc widzieliśmy już ciężkie lata dla skarbu Rosyi, lata jednak wojny z Francyą—nie trudno się tego domyśléć—musiały się okazać jeszcze cięższémi.

Zwolna skupiono ducha i siły: uczucie narodowe ocknęło się obudziły się nawet namiętności, gdyż i kobiety poczęły się zbroić jak mogły i dręczyły francuzkich maroderów, ale walka jaką miano stoczyć, wymagała niezwykłych ofiar.

Nic dziwnego, że w takich okolicznościach, cała uwaga rządu skupiła się około zabezpieczenia potrzeb wojennych i obrony państwa; życie zaś wewnętrzne kraju pozostawiono samopas. Od początku 1812 do stycznia 1816 roku, to jest, do czasu odzyskania istotnego spokoju, nie zajęto się ani na chwilę polepszeniem wewnętrznéj administracyi państwa.

Tymczasem koleje przez jakie w trakcie tego przechodzić musiał cesarz Aleksander i ciągłe przestawanie z ludźmi, dla których rewolucya francuzka była straszném widmem, wywierają ogromny wpływ na wrażliwy jego umysł i skłaniają go do szukania sposobu zabezpieczenia Europy od wstrząśnień, jakie nią miotały od czasu rewolucyi francuzkiéj; uwiedziony zaś przez Metternicha, daje się przeświadczyć, iż zgoda trzech władców, pierwszorzędnych naówczas państw w Europie—Rosyi, Austryi i Prus, wystarczy do osięgnięcia tego celu i w ten sposób, z jego inicyatywy, zostaje zawarte pomiędzy nim i cesarzem Franciszkiem 1-ym oraz królem Fryderykiem Wilhelmem, tak zwane „Święte przymierze,“—najbardziéj zgubny akt dla oczekiwanego odrodzenia wewnętrznego Rosyi.

Podobna zmiana w poglądach Aleksandra nie mogła nastąpić bez wpływu na losy Sperańskiego, przedstawiciela—jak widzieliśmy—zupełnie innego kierunku. Wrogowie jego umieli téż z tego skorzystać, a ich intrygi sprawiają, że Sperański, jeszcze w 1812 roku, nietylko zmuszonym jest opuścić swoje wysokie stanowisko, lecz nawet, *bez śledztwa i sądu, zostaje zesłanym do Permu „w drodze administracyjnéj.“*

Nieocenione jego usługi, jakie przez przeciąg pięcioletniego zawiadywania całym wewnętrznym zarządem państwa świadczył krajowi, nie są zdolne osłonić go od potwarzy i oszczerstw,—wszystko zostaje zapomnianém i za nic się poczytuje, a co najważniejsza,—stosują do niego ten odwieczny, do którego cesarz Alecder, niekłamany wstręt zawsze okazywał!

Niesprawiedliwość—to mało!—całe okrucieństwo podobnego obejścia się z tym mężem stanu, okazuje się najlepiéj, gdy rozpatrujemy jego dążenia i prace.

IX.

Jeżeli przyjrzymy się bacznie publicznéj działalności Sperańskiego, zwłaszcza téż, jeżeli zastanowimy się uważnie nad główniejszemi jego reformami w ustroju państwowym, dojdziemy do przekonania, że celem jego było utworzyć władzę silną, ale utrzymywaną w właściwych granicach, jawnością jéj działań, poszanowaniem interesów społeczeństwa i niezależnością zarządów lokalnych. Dążenie to ujawnia się we wszystkich jego projektach i pracach—miał on je za wytyczną, przez cały ciąg swojéj działalności publicznéj. Patrząc trzeźwo w przyszłość, nie marzył on o dopięciu celu tego odrazu: wiele reform odkładał na późniéj, *oczekując wyższego rozwoju społeczeństwa, który uważał za najlepszą rękojmię dla marzonych przez siebie instytucyj.*

Nie mamy zresztą potrzeby dociekać tego—on sam o tém nam powiada:

„Sprawami publicznemi zaczęto zajmować się u nas od bardzo niedawna—pisze z powodu reorganizacyi Rady Państwa—ludzi więc zajmujących się temi sprawami mamy zastęp nader szczupły, a i z téj ograniczonéj liczby, trzeba było jeszcze koniecznie wybierać tych tylko, których ranga lub godność pozwalały z przyzwoitością powołać na podobne stanowisko... Przy takim składzie Rady Państwa oczywiście niepodobna wymagać aby ona, pod względem trafności poglądów i wszechstronnéj znajomości potrzeb swego kraju, mogła sprostać od razu podobnym instytucyom istniejącym w innych państwach. „*W miarę rozwoju innych instytucyj państwowych i ta władza udoskonali się.*“

Jakie to miały być te „inne instytucye państwowe“ domyśléć się nie trudno: Sperański podzielał zasady polityczne wyznawane przez cesarza Aleksandra po wstąpieniu na tron; pragnął, zarówno z nim, nadać Rosyi instytucye niezawisłe, oparte na samorządzie. Obdarzony jednak większym zmysłem politycznym od pierwszych doradców Cesarza, rozpoczął on swoje reformy od zadośćuczynienia najpilniejszéj potrzebie społeczeństwa—od poprawienia administracyi. Stopniowanie to w przekształcaniu państwowego ustroju, uchroniło nawet, być może, Rosyą od przedwczesnéj politycznéj próby, któréj niepowodzenie naówczas, mogło było jak najniekorzystniéj wpłynąć na przyszły rozwój państwa.

I tak obrońcy starego porządku, w utworzeniu Rady Państwa, zreformowaniu Senatu, określeniu odpowiedzialności ministrów, zaprowadzeniu prawidłowszéj rachunkowości, wymaganiu egzaminów od urzędników, zmniejszeniu wydatków dworu i nowym systemie

finansowym, upatrywali pogwałcenie samowładztwa i rozmyślne wzbudzanie w społeczeństwie niechęci przeciw władzy. Niedość tego! znaleźli się i tacy—gdyż takich nigdy nie zbraknie,—co wskazując na te reformy, starali się dotknąć miłość własną cesarza, zapewniając go, że Sperański ma na względzie, jedynie własną sławę, że dla tego odsuwa go od udziału w reformach i odstępuje nawet w wielu razach od jego programu i życzeń. Tym to sposobem obudzono w Aleksandrze, jak i w publiczności, podejrzenia, które sprowadziły znany nam zwrot w losie reformatora.

Jeszcze w lutym 1811 r. Sperański, uprzedzając wypadki, przedstawiał cesarzowi w swém sprawozdaniu, jak trudném jest jego położenie, ze względu na ciągłe potykanie się „o ludzkie namiętności“ a bardziéj jeszcze „o ludzką głupotę“ i prosił o uwolnienie od obowiązków, pragnąc pozostać jedynie przy Komisyi Prawnéj. Ale podówczas nie uczyniono zadość jego żądaniu, pomimo, że już w sierpniu tegoż roku minister Policyi otrzymał sekretne polecenie śledzenia jego kroków. Rozkaz ten miał być naturalnie przed Sperańskim ukryty,—było to jednak rzeczą niemożebną: wrogowie jego coraz śmieléj i bezkarnie przeciw niemu występowali i niezadługo téż utracił nadzieję urzeczywistnienia swych planów, dnia zaś 17 marca 1812 r. zostaje zesłany, zrazu do Niżnego-Nowgorodu, następnie do Permu.

Zapłata jaka spotkała Sperańskiego za jego usilną pracę około dobra swego kraju, musi niestety służyć za naukę, że obrona rzeczywistych interesów społeczeństwa, płynąca ze szlachetnych wyłącznie pobudek,—nawet przy tak liberalnym cesarzu jakim był Aleksander I., nader jest niebezpieczna dla każdego męża stanu. Prawość jego czyni go strasznym dla pasorzytów publicznego mienia, niezależność poglądów naraża go dworakom, pragnącym samowładztwa dla siebie jedynie i człowiek taki nie może się ostać wobec intryg, których tryumf zapewnia im większa skłonność ludzi do wiary w złe niż w dobre zamiary.

Od takich knowań kruszących najlepsze chęci i najcenniejsze egzystencye wolni są tylko mężowie stanu tych krajów, gdzie zarząd ministeryum nie stanowi w oczach satelitów tronu, zaszczytnéj tylko i korzystnéj synekury, lecz jest w istocie ciężkim obowiązkiem, pociągającym za sobą odpowiedzialność wobec przedstawicieli kraju; gdzie ogół bywa zawsze, zawczasu powiadamianym o projektujących się zmianach w organizacyi i zarządzie państwowym i może swobodnie rozważyć i ocenić ich zasadność; gdzie opinia publiczna może wyraźnie manifestować stopień zaufania społeczeństwa do kierunku, jaki władza wykonawcza w danym razie przybiera; gdzie projekty rządowe oddają się pod ocenę reprezentantów narodu, którzy z całą swobodą je podtrzymują lub odrzucają.

W szczęśliwszych tych społeczeństwach, powaga osób stojących u steru władzy bezpieczną jest od tego rodzaju postronnych wpływów. Tam mężowie stanu, układając projekty do praw, których potrzebę uznają, muszą się liczyć ściśle, lecz z głosem opinii, a wnosząc je pod zatwierdzenie przedstawicieli narodu, pozostają objektywnie tylko tłómaczami swych myśli. Jeżeli propozycye ich znajdą uznanie, spełnią oni jedynie swój obowiązek, jeżeli zostaną odrzucone, odmawia się im tém samém, położonego w nich zaufania i muszą złożyć sami nadany im mandat władzy,—upadają, ale upadają przed frontem przeważającéj w danéj chwili opinii publicznéj, która jutro może ich podźwignąć, a w każdym razie, umie ocenić szczerość ich dążeń i uszanować przekonania.

W krajach tych ciężkie są obowiązki męża stanu, ale téż ma on prawo wymagać i ma téż sobie gwarantowaną swobodę działania w zakresie swych powinności, bo dźwigając całą odpowiedzialność, nie może być krępowany wpływem, ani władzą tych, na których ona nie ciąży.

Dojść zwolna do takiego stanu stosunków państwowych, było właśnie dążeniem Sperańskiego; słusznie go więc kraj jego, w poczet najlepszych swych synów dzisiaj zalicza.

(*c. d. n.*) *Jan Bloch.*

ANDRZEJA TRZYCIESKIEGO

WIERSZ NA ŚMIERĆ

JANA KOCHANOWSKIEGO.

Dnia 22 sierpnia 1584 r. umarł Jan z Czarnolasu na konwokacyi w Lublinie (Bielski str. 1522). Mimo słabości fizycznéj wybrał się poeta na sejm, aby w imieniu przyjaciół krewnego swego przemówić do Stefana Batorego. „W miesiącu listopadzie (1583) przyszła nowina z Turek, że Podlodowskiego herbu Janina (którego król do Turek słał) Turcy w Karweserze w nocy najechawszy poimali i wszystko przy nim pobrali, a potym na lesie zabili, co (rozumiem) na zaprzą uczyniono i na łotrostwo zegnano, przeto, że się wojsku tureckiemu, które szło do Persyi a było dosyć nędzne, przypatrował, więc téż kilkanaście koni na schwał dobrych arabskich królowi wiódł, na których się często po Konstantynopolu przejeżdżał.“ Nim zaś na poetę przyszła koléj, nim mógł stanąć w obronie prawa międzynarodowego, apopleksyą tknięty umarł śród wspaniałego zgromadzenia, które się zebrało, aby sądzić sprawę Zborowskich.

Było tam mnóstwo senatorów, „był ksiądz arcybiskup lwowski, było biskupów kilka, wojewód, kasztelanów niemało, był kanclerz i marszałek koronny.“ Śmierć poety niezmierne wywarła wrażenie. Kochanowski bowiem jednogłośnie był uznany za poetę, „jakiego Polska jeszcze nie miała“ i z pierwszemi osobistościami w kraju łączyła go bliska przyjaźń.

Nic więc dziwnego, że nad mogiłą jego zanucili pieśni żałosne w imieniu całego narodu ci, co byli rzeczywistymi jego przedstawicielami, i ci, którzy się mieli za takowych. Znane są piękne żale nagrobne Klonowicza i wiersze łacińskie okrzyczanego w owym czasie wierszoklety Niegoszewskiego. O poemacie Trzycieskiego na śmierć wielkiego poety nie znaleźliśmy nigdzie wzmianki. Od

czasów Juszyńskiego historycy literatury polskiéj powtarzają za wspomnianym autorem „Dykcyonarza poetów polskich,“ że Andrzej Trzycieski „umarł przed rokiem 1584“ (II, 265). Karol Mecherzyński nie wymieniając źródła, z którego czerpał wiadomość, podaje rok 1583 jako rok śmierci Trzycieskiego (zob. „Ateneum“ 1876, miesiąc sierpień).

Gdyby data ta miała być rzetelna, nie mógłby naturalnie Trzycieski napisać pieśni żałobnéj na śmierć zmarłego w roku 1584 Jana.

Lecz manuskrypt, będący w posiadaniu pana Żegoty Paulego, nie pozostawia najmniejszéj wątpliwości, że znajdujący się w nim wiersz łaciński pod tytułem: „Andreæ Tricesii equitis Poloni Threnodia in funere Joannis Cochanovii“ — jest rzeczywiście pióra wymienionego poety. Sądzę z zewnętrznéj formy tego manuskryptu, że wiersz ten przepisano z drukowanéj broszurki. W każdym razie jest on mało znany lub wcale nie znany. Mecherzyński gdyby go znał, nie omieszkałby wspomnieć o nim, tym bardziéj, że musiałby się zastanowić nad przyjętą dotychczas datą śmierci Trzycieskiego.

Wiersz ten zasługuje na uwagę z kilku względów: jako świadectwo ogólnego uznania dla Kochanowskiego i wrażenia, jakie wywarła nagła jego śmierć, a niemniéj jako nieznane dzieło poety, który był poniekąd poprzednikiem Jana, jak to sam autor „Odprawy posłów“ przyznaje (El. III, 13):

Reius eandem
Institit ante viam, nec renuente Deo....
Concinit acceptos superis Tricesius hymnos,
Linguarum praestans cognitione trium.

....już mię Rej poprzedził...
On najprzód ze skłonnym Febem te skały prześledził...
I Trzycieski natchniony śpiewa hymn nadobny,
W trojakich mowach obcych jednako sposobny...

Trzycieski znany jako ruchliwy poplecznik kalwinizmu, jako biograf Reja, cieszył się nietylko nadzwyczajném uznaniem lecz i przyjaźnią Jana Kochanowskiego. Za dowód pierwszego służy oprócz wymienionéj wyżéj elegii epigramat łaciński, umieszczony w Foricoeniach, który brzmi w tłómaczeniu Kondratowicza:

Trzycieski! twoje rymy—upominek drogi,
Wyżéj je nad klejnoty, nad złoto cenimy,
Lecz mój dom niedostatni, mój sprzęt za ubogi,
Więc ci chyba rymami zapłacę za rymy.
Niższe wprawdzie od twoich—bo z natury szykiem
Nie być gęsi łabędziem, jaskółce słowikiem.

O bliskiéj Kochanowskiego przyjaźni z Trzycieskim świadczy fraszka następująca:

Do Andrzeja Trzycieskiego.

Bogżeć zapłać, Jędrzeju! żeś mię dziś upoił,
Boś we mnie niespokojne troski upokoił,
Które mi serce gryzły, jako to być musi,
Gdy człowieka niewdzięczność opętana dusi.
Wiem dobrze, że niedługo ze mną téj rozkoszy,
Bo to wszytko po chwili trzeźwia myśl rozproszy—
Ale witaj mi ta noc wolna od frasunku!
Któż wiedział, by tak wiele należało w trunku?

Czy Trzycieski był w Lublinie podczas konwokacyi, czy tam pod wrażeniem pierwszéj wiadomości o śmierci poety-przyjaciela napisał Trenodyą, trudno powiedzieć. Data, jaka się znajduje pod jego wierszem „Lublini anno 1584 d. 20 Augusti" nie zgadza się z przyjętym ogólnie dniem śmierci Kochanowskiego. Lecz jeżeli uwzględnimy, że i Niegoszewski i Klonowicz, że nawet biograf poety mylili się co do dnia śmierci, a nawet co do lat Kochanowskiego— Niegoszewski każe mu umierać w 42 roku — nie będziemy mogli wielkiéj przywiązywać wagi do omyłki Trzycieskiego lub przepisywacza jego poematu. Wątpić zaś o dokładności przyjętego ogólnie dnia 22 sierpnia nie można wobec świadectw takich, jak dwa pomniki grobowe, zdanie Węgierskiego, Waryskiego i innych (zob. Joh. Koch. und seine lat. Dichtungen, str. 37). Przepisujemy poniżéj poemat Andrzeja Trzycieskiego podług wspomnianego rękopisu, (którego nam użyczył najuprzejmiéj pan Żegota Pauli) dodając dosłowne tłómaczenie polskie.

Andreae Tricesii equitis Poloni Threnodia in funere Joannis Cochanovii.

(*Andrzeja Trzycieskiego, szlachcica polskiego, Tren na śmierć Jana Kochanowskiego*).

1. Eia vero, funebrali Musa amicta Syrmate, Convoca maestas sorores Eiulatu maximo; Lacrimis per ora fusis Personent ut millies: O dolor, dolor dolorum Omnium gravissime.	1. Hejże, Muzo, Żałobnym odziana płaszczem, Zwołuj smutne siostry Wielkim płaczem; Z zalaną łzami twarzą Aby tysiąc razy powtarzały: O bólu, z wszystkich bólów Najokropniejszy!
2. Occidit septentrionis Sidus illud splendidum, Cochanovius poeta, Ingenii vi maxima,	2. Zgasła północy Gwiazda ona błyszcząca, Poeta Kochanowski, Co wielkiego ducha siłą

Qui celebravit Polonae
Gesta gentis inclitae.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

Opiewał czyny
Sławnego narodu polskiego.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

3. Occidit primis ab annis
Educavit quem chorus
Vester, et virente lauri
Fronde cinxit tempora,
Atque sacrato rigavit
Labra fonte Pegasi.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

3. Zgasł (ten), którego od pierwszych lat
Wasz chór wychowywał
I zielonym wawrzynu
Liściem skronie uwieńczył
I w świętém Pegaza źródle
Usta (poety) wilżył.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

4. Occidit vates latino
Elegans in carmine,
Qui secutus est Tibulli
Molle carmen et tuum
Ad lyram sublimiore
Vena, Horati, conditum.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

4. Zgasł poeta łacińskim
Wierszem celujący,
Który śpiewał na miękką
Nutę Tybulla
I na twoję, Horacy,
Nastrojoną do wyższego liry tonu.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

5. Occidit vates Polono
Praepotens in carmine,
Et sales blandi et lepores
Occidere cum simul:
Quicquid et venustioris
Exstat uspiam ioci.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

5. Zgasł poeta w polskim
Wierszu niezrównany,
I dowcip miły i figliki
Z nim razem zamarły,
I cokolwiek gdzie było
Wdzięczniejszego żartu.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

6. Occidit cultor supremi
Corde toto Numinis,
Quique Davidis prophetae
Reddidit psalmodias
Perpolitis suavibusque
Versibus vernaculis.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

6. Zgasł czciciel całem sercem
Bóstwa wyższego
Który proroka Dawida
Psalmodye przełożył
Wytwornym i słodkim
Wierszem rodzimym.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

7. Casta coniux liberique
Cura patris maxima,
Tresque fratres cum sorore

1. Wierna małżonka i dziatki—
Ojca największa troska—
I trzéj bracia i siostrzyca (1)

---

(1) Zgadza się z tém, co wiemy z innych źródeł. Jan Kochanowski miał braci pięciu. Z tych umarł Piotr w roku 1582 (Gacki, 51); Kacper, którego znamy bliżéj z pięknéj „Przy pogrzebie rzeczy,“ nie żył już r. 1576 (Gacki, 47), nad trumną poety płakali zatém najmłodsi: Mikołaj, Andrzéj i Jakób. O siostrach Jana nie mamy szczegółowych wiadomości. Miał ich cztery.

Luctibus magnis vacant.
Attamen communis iste
Luctus est compluribus.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

W wielkiéj pogrążeni żałobie;
A ten żal ich
Wielu z nas podziela.
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

8. Rex, senatus, omnis ordo
Lechici regni dolet,
Sustulit quod hunc poetam
Saeva mors, dignissimum
Qui vel aetatem vetusti
Viveret Metusalae.
O dolor, dolor dolorum
Omnium gravissime.

8. Król, senat, wszystkie stany
Królestwa polskiego boleją,
Że śmierć okrutna wydarła
Tego poetę, który bodaj
Godzien był przeżyć
Lata starego Matuzala
O bólu, z wszystkich bólów
Najokropniejszy.

9. Ut quiescet in sepulcro
Optimi corpus viri,
Sic quiescet in beatis
Umbra caeli sedibus.
Nos sui diu tenebit
Grande desiderium,
Vixque tum gravem dolorem
Longa leniet dies.

9. Jako w grobie spocznie
Najlepszego człowieka ciało
Tak dusza spocznie
W błogosławionych nieba przestwo-
Nas zaś długo ogarniać będzie [rach,
Wielka za nim tęsknota
I ledwo ból okropny
Zdolen zmniejszyć czasu upływ.

Eiusdem autoris.

Ereptum terris properata morte Joannem
Tota Cochanovium Sarmatis ora dolet.
Non fuit huic similis Lechorum ex sanguine vates,
Arte et divini dotibus ingenii.
At vitam moresque videns illius, ad unguem
Perfectum dicet quisque fuisse virum.

Tegoż autora.

Cały kraj boleje nad Kochanowskim
Janem, nagłą śmiercią z ziemi sarmackiéj wyrwanym.
Nie było nigdy ze szczepu Lechów równego mu poety
Ani kunsztem, ani darami ducha boskiego.
A patrząc na życie jego i obyczaje, rzekłby każdy,
Iż to mąż od głowy do stóp doskonały.

Raf. Löwenfeld.

ĆWICZENIA STYLISTYCZNE.

(Encyklopedyja wychowawcza, Tom II, zeszyt 8-y: Artykuł p. Romana Plenkiewicza: „Ćwiczenia stylistyczne“.)

W nauczaniu języka ojczystego ćwiczenia stylistyczne niewątpliwie ważne z wielorakich względów zajmują miejsce. Od wielu lat zaprzątają one umysły pedagogów i rządów a po dziś dzień jeszcze stanowią w pedagogice kwestyą sporną. W Niemczech mianowicie, mimo nadzwyczaj bogatéj w tym przedmiocie literatury, ujawniają się rozliczne a częstokroć ze sobą sprzeczne poglądy na ważność, zakres, treść i metodę prowadzenia tych ćwiczeń. U nas zaś sprawa ta zupełnie zaniedbana, a szkoła nasza w braku wszelkich opracowań stąpa nieraz poomacku. Otóż redakcya Encyklopedyi Wychowawczéj, jak należało się spodziewać, zaradzając dotkliwéj potrzebie, pomieściła w swém wydawnictwie (zeszyt 8, t. II, str. 617—669) obszerny, blisko 3½ arkuszy druku zawierający artykuł p. t. *Ćwiczenia stylistyczne* pióra p. Romana Plenkiewicza.

Autor zaznaczywszy ważność ćwiczeń stylistycznych (str. 617—619), rozpatruje rzecz w historycznym jéj rozwoju (619—632), mówi o obecnych wymaganiach pedagogiki (632—635), następnie biorąc za podstawę naukę o rzeczach, traktuje o kształceniu wyobrażeń, tworzeniu pojęć i sądów (635—648), wreszcie zastanawia się nad rozmaitymi gatunkami wypracowań właściwych szkole i ich korektą (648—668). Jakże autor z tego zadania się wywiązał?

Na wstępie, mówiąc o potrzebie i ważności wypracowań piśmiennych, rzecz swą zbył dość ogólnikowo; rozprawiając więcéj nad potrzebę o wykształceniu średniém wogóle, myśli głównéj nie rozwinął należycie i jasno a zasadnie jéj nie umotywował. Z rozumowań autora wynikać się zdaje, że ważność ćwiczeń stylist. polega na tém, iż biegłość w prawidłowem wysłowieniu piśmiennem wymaga długiéj

wprawy, iż ćwiczenia stylist. „są kamieniem probierczym gruntowności przyswojonéj wiedzy“ oraz iż „mają rozstrzygające znaczenie o stopniu umysłowéj dojrzałości młodzieży“ przy wszelkich egzaminach. Twierdzenia te są i powierzchowne i mylne. Konieczność długiéj wprawy do zdobycia biegłości w piśmie świadczy nie o ważności, ale o trudności sztuki pisarskiéj; zdanie zaś, że ćwiczenia stylist. rozstrzygają o dojrzałości umysłowéj, nie jest również dowodem ich ważności, gdyż teorya ta, dość zresztą szeroko rozpowszechniona, ale nieuzasadniona, nie ma znaczenia ściśle pedagogicznego, lecz raczéj administracyjno-szkolne. To téż przeciw niewłaściwości uważania ćwiczeń stylist. za wyraz dojrzałości umysłu występuje ostro wielu pedagogów a między innymi Peter („Ein Vorschlag zur Reform unserer Gymnasien,“ Jena 1874) i Alexi („Das höhere Unterrichtswesen in Preussen“, Gütersloh 1877). Inneby zupełnie p. P. znalazł dowody do uzasadnienia swéj tezy, gdyby się był zastanowił głębiéj nad właściwém zadaniem i celem ćwiczeń stylowych. Jako przedmiot nauki szkolnéj są one środkiem pedagogicznym, kształcącym pod względem formalnym i materyalnym. Zaostrzają władzę myślenia, utrwalają zdobycie wiedzy, pomagają do gruntowniejszego poznania mowy ojczystéj. Otóż rozważanie pod tymi względami doprowadziłoby do wykazania istotnéj ich ważności, na co wszakże p. P. dostatecznéj uwagi nie zwrócił.

W części historycznéj, potrąciwszy o Rzym starożytny, rozwodzi się autor nad wszechwładném w ciągu wieków panowaniem u nas łaciny, mówi o wpływie jéj na pisarzów polskich i język ojczysty, wspomina o słynniejszych w epoce odrodzenia epistolografach, retorach i ich wykładach, przytacza Górnickiego na dowód, że mimo przewagi łaciny zastanawiano się nad własnościami stylu polskiego, oskarża Sarbiewskiego, iż za wzorem Mariniego przeszczepił do nas skażenie języka. Wszystko to jest balastem zbytecznym, gdyż odnosi się do łaciny a nie do polszczyzny, a traktowanéj w artykule rzeczy w niczém nie wyjaśnia. Autor tyle nawet nie zdobył materyału, aby wykazać, jak i jakiego rodzaju pisano w szkole ćwiczenia łacińskie. Jak zaś i o ile aż do czasów Konarskiego traktowano język polski i czy pisano co po polsku, żadnéj zgoła nie podaje wiadomości. Przy dobréj woli zaś z dzieł B. Herbesta („Cracoviensis Scholae apud S. Mariam institutio“, Kraków, 1559), Łukaszewicza („Historya szkół,“ t. I i III) i Wł. Wisłockiego („Nauka języka polskiego w szkołach polskich przed Kopczyńskim,“ Lwów, 1868) mógłby się był dowiedzieć, że od najdawniejszych czasów przy uczeniu łaciny zwracano uwagę na ortografią polską, że w wiekach XVI i XVII zaprawiano młodzież do ćwiczeń stylowych polskich w koloniach akademickich, szkołach

jezuickich i dysydenckich; dowiedziałby się nawet o gatunku i wartości owoczesnych wypracowań. Szczegóły tego rodzaju byłyby, zdaje się nam, bardziéj na miejscu, aniżeli podane przez autora. Historyą za to wypracowań piśmiennych od Konarskiego aż do czasów ostatnich skreślił p. P. o wiele dokładniéj—w niektórych ustępach (jak np. mówiąc o Galicyi, gdzie więcéj rozprawia o wykładzie języka i literatury polskiéj niż o wypracowaniach) może nawet za rozwlekle. Obok instrukcyj rządowych uwzględnia ordynacyą Konarskiego, którego wszelako nie poddaje krytyce, Szumskiego i Rymarkiewicza, któremu znowu zbyt wielkie przyznaje pochwały. Ale i tu są luki znaczne. Autor zapomniał o takich pisarzach jak ks. Antoni Popławski oraz bezimienny autor wcale dobréj rozprawy zamieszczonéj w *Popisie* publicznym uczniów konwiktu pijarskiego na Żoliborzu (Warsz. 1828); nie poinformował czytelnika o sposobie prowadzenia wypracowań w szkole, o praktyce, lubo ciekawych wiele szczegółów znalazłby w *Popisach* czyli programatach szkolnych, ogłaszanych od końca XVIII w. aż do r. 1830 a nawet i późniéj, zwłaszcza w Galicyi i Poznańskiém; wreszcie dla pełności obrazu za sługiwali choćby na wzmiankę, ks. Adolf Kamieński, Golańskim Bohomolec, Wulffers (właściwie, przekłady Neposa dokonane pod jego kierunkiem przez uczniów), Rostkowski, Trentowski, Ant. Poplinski, Mecherzyński, Jeske i tłómacz pedagogiki Baina; tymczasem pominięci są milczeniem. Żałujemy także, iż p. P. swych uwag historycznych nie powiązał choćby najogólniéj z odnośnymi faktami za granicą.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad obecnymi wymaganiami pedagogiki w kwestyi ćwiczeń stylistycznych, opiera się słusznie p. P. na pedagogice niemieckiéj. Powiadamia nas tedy, że pedagogowie niemieccy ograniczają ćwiczenia stylist. w całém gimnazyum do reprodukcyi tylko, odrzucając tak zwane wypracowania samodzielne, że na pierwszym planie kładą temata z literatury klasycznéj, potém ojczystéj, że zezwalają wreszcie i na temata z dziedziny innych nauk szkolnyh. Od siebie zaś, zdaje się, stawia autor wymagania ćwiczeń samodzielnych, do których treści ma dostarczyć życie samo. Ustęp ten ma charakter czysto sprawozdawczy i to trzymany w tonie nader ogólnikowym. Poruszona tu kwestya—w istocie bardzo ważna, ale nie jest ani dokładnie przedstawiona ani téż nie poddana koniecznéj w tym razie krytyce. Wprawdzie dowiadujemy się o podnoszonych w téj materyi głosach w parlamencie nawet, ale jak ona jest traktowana w literaturze niemieckiéj, czy wszyscy pedagogowie niemieccy, a jeżeli nie, to którzy są zwolennikami reprodukcyi jeno—o tém nie znajdujemy ani słowa. Punkt to istotnie

dotąd sporny—a bogata literatura niemiecka dostarcza aż nadto materyału do oceny krytycznéj, co dałoby się uczynić przy gruntowniejszém zbadaniu stosunku ćwiczeń stylist. do całego organizmu nauk gimnazyalnych, przy dokładniejszém poznaniu umysłowego rozwinięcia ucznia przeciętnego i uwzględnieniu czasu, jaki nauka szkolna pochłania. Prace Laasa (1) i zwolenników jego z jednéj strony, a Choleviusa (2), Alexi'ego, Petera i innych z drugiéj strony przedstawiają dwa wręcz przeciwne kierunki. Dwaj ostatni mianowicie ostro, ale słusznie krytykują Laasa za jego nadmierne w ćwiczeniach stylist. żądania, którym nigdy żaden uczeń podołać nie może. Możności zadawania ćwiczeń samodzielnych autor wcale nie dowiódł, ani granic téj samodzielności nie zaznaczył. Że i z zapasu doświadczeń życiowych treść do nich może być czerpana—na to zgoda najzupełniejsza. Ale żeby wypracowania takie miały służyć za środek zapobiegawczy szerzeniu się doktryn przewrotnych wśród młodzieży, jak tego domaga się autor, wątpimy, azali to możebne. P. P. chcąc ochronić młodzież od szkodliwych wpływów idei materyalistycznych, antyreligijnych, bezwyznaniowych, wrzekomo-postępowych, wiejących jakoby z książek, prasy i teatru, doradza takie zadawać temata, aby w ćwiczeniach samodzielnych, wypowiadała młodzież „swe podmiotowe na świat i zadania życia poglądy," odkrywała swe „duchowe tajniki", nauczyciele niechaj wówczas błędne pojęcia rektyfikują. Rada ta wydaje się nam niewłaściwą i zdrowéj pedagogice przeciwną. Przedewszystkiém autor zbyt może przecenia szkodliwość inkryminowanych przez się wpływów na młódź szkolną, która czytać poważnych książek i nie lubi i jest nieuzdolniona do takiéj lektury—a jeżeli co czyta, to powieści; prasa zaś nasza lub teatr bezwyznaniowością nie zgorszy. Nadto gimnazyasta nie może wypowiedzićć na „świat i zadania życia poglądów," bo ich nie posiada, nie miał jeszcze czasu do poznania świata i życia a więc żądanie to od umysłu młodzieńczego jest przedwczesne; chłopak będzie plótł brednie, będzie się przyzwyczajał do gadulstwa i sofistyki, gdyż zmuszony jest pisać o tém, czego nie rozumie, a tymczasem treścią jego wypracowań powinny być rzeczy, które należycie pojmuje, które sobie przyswoił i przetrawił; jakżeż go zabezpieczyć od téj mniemanéj zarazy, jeżeli autor nie chce w ćwiczeniach podejmować „kwestyj bezpośrednio z prądami dzisiejszymi

---

(1) Der deutsche Aufsatz in den oberen Gymnasialklassen (2 t. Berl. 1878); Der deutsche Unterricht auf höheren Lehranstalten (Berl. 1872) i inne.

(2) Praktische Anleitung zur Abfässung deutscher Aufsätze (4 wyd. Lipsk, 1878).

związanych“? a przecież fałsz lub prawdę da się wykazać nie na obcém ale na polu właściwém, więc kto chce zbijać zasady antyreligijne, musi tych zasad dotknąć, inaczéj będzie chodził po omacku, a czy to pedagogiczne? Sam autor musiał zapewne ze swoją teoryą znaleść się w trudném położeniu, bo ani jednego nie przytoczył tematu, którzyby dla nauczyciela był wskazówką w zadawaniu ćwiczeń podobnych. Wreszcie zmuszanie ucznia, aby odkrywał tajniki duszy, pedagogika oddawna potępia. Młodzież nie lubi spowiadać się nawet przed zaufanym i kochanym profesorem ze swych czysto subjektywnych mniemań i uczuć, które słusznie, jak i człowiek dojrzały, uważa za swój skarb nietykalny; żądanie takie uważać musimy za zamach na jéj naiwność i szczerość, za środek przyzwyczajający do kłamstwa, obłudy i wykrętów. To téż wypracowania takie, jak listy kondolencyjne i winszowalne, opisy obrazowe, rozmyślania, mowy, refleksye, rozprawy etyczne trzeźwi pedagogowie (Günther, Alexi, Peter i w. i.) stanowczo potępiają i ze szkoły je usuwają. Nauczyciel niezręczny i nietaktowny przy tego rodzaju ćwiczeniach sam zaprowadzi uczniów tam, gdzie ich widzieć nie chce. Igraszka z ogniem niebezpieczna. Robić z wypracowań narzędzie tendencyjne szkole nie przystoi. Pamiętajmy, że wychowańcem jezuitów był Wolter. Wprowadzenie téj kwestyi przez p. P. do artykułu jest i niepotrzebne i niesmaczne.

Daléj w obszernym ustępie traktuje autor o kształceniu wyobrażeń, pojęć i sądów (a czemu nie wniosków?) na podstawie nauki o rzeczach, jako środku prawidłowego, logicznego myślenia. Wykład jasny i gruntowny. Jest-to przecież w stosunku do całości zanadto rozwlekłe, drobiazgowe traktowanie lekcyj nauki o rzeczach, wykazujące, jak przyzwyczajać do myślenia logicznego, ale niezastosowane bynajmniéj, o co tu także chodzi, do ćwiczenia w mowie. Słuszném było zaznaczyć ważność metody poglądowéj dla wypracowań piśmiennych, ale mówiąc o ćwiczeniach myśli, nie należało zapominać o ścisłym związku nauki o rzeczach z kształceniem mowy. Wraz bowiem z powstawaniem wyobrażeń, pojęć i tworzeniem sądów potrzeba ćwiczyć w używaniu mowy. Postrzeganie bowiem zmysłowe oddziaływając na całą istotę wewnętrzną człowieka, kształci nietylko myślenie, ale wyobraźnią i uczucie. Wszelkie więc wrażenia powinno zaraz dziecko oznaczać słowami, przez co poznaje dokładniéj ich znaczenie, wprawia się w nadawanie im właściwéj treści, nabiera biegłości w mówieniu. Od prawidłowéj mowy zależy prawidłowe myślenie i odwrotnie. Jedno i drugie uprawia nauka o rzeczach. K. Richter („Der Anschauungsunterricht in den Elementarklassen,“ 2 ed. Lipsk, 1875), żąda, aby przy

nauce o rzeczach zwracać uwagę na słowa, których związek wewnętrzny widoczny z danymi postrzeżeniami i z których poznać można, dlaczego nimi właśnie a nie innymi są one oznaczone (kot=miau, krowa=muu), aby poznawać związek między słowem a treścią, wykrywać znaczenie słów. Nauka o rzeczach daje pole dziecku do dokładniejszego poznania mowy przez rozbiór wyrazów zmysłowych, używanych do oznaczenia wyobrażeń abstrakcyjnych, przez objaśnianie trudniejszych wyrazów, całych zwrotów obrazowych a nawet tworzenie choćby mniéj ścisłych definicyj. Wreszcie nauka o rzeczach—jak mówi Bain—skłania dziecko do opowiedzenia tego, czego się dowiedziało, aby się nauczyciel przekonnł, czy ma ono stosowne słowa do wyrażenia swéj wiedzy. A jednak o tę ważną dla ćwiczeń stylistyki kwestyą autor wcale nie potrąca. Jest-to szczerba, którą zapełnić należało bezwarunkowo.

W części następnéj, w stosunku do całości może najlepszéj, zastanawia się p. P. nad wyborem tematów i różnymi gatunkami wypracowań piśmiennych. Przyjmuje tedy trojaką reprodukcyą. Reprodukcya 1-go stopnia, kiedy treść i forma niezmieniona, obejmuje: *a*) wprawy pamięciowe (opowiadanie i wyuczanie się na pamięć utworów prozy i poezyi); *b*) przepisywanie z książki i pamięci; *c*) dyktando; *d*) ćwiczenia gramatyczne; *e*) opisy (chyba opowiadania?) przeczytanych powiastek. — Reprodukcya 2-go stopnia, kiedy do danéj treści potrzeba wynaleść formę odpowiednią, obejmuje: *a*) tłómaczenia z języków obcych; *b*) przerabianie utworu lub ustępu poetycznego na prozę; *c*) amplifikacye; *d*) streszczenia i wyciągi. Do reprodukcyi 3-go stopnia, kiedy do danéj formy stosuje się treść odpowiednią, należą: *a*) listy w rozmaitych okolicznościach; *b*) opisy. Wreszcie wymagane są wypracowania samodzielne, do których zaliczają się: porównania, charakterystyki i ćwiczenia samodzielne „we właściwém tego wyrazu znaczeniu.“ I w traktowaniu tego przedmiotu autor, zdaniem naszém, zadaniu swemu należycie nie odpowiedział. Mówiąc o rozmaitych rodzajach ćwiczeń, pominął kompozycye stylu interesowego, biografie, rozmowy i chryje, które bardzo dobrze nadają się do ćwiczeń szkolnych, a natomiast wprowadza amplifikacye, których za stosowne uważać nie możemy; uczeń albowiem w takich amplifikacyach, jak je autor rozumie, mający gotową już całość pewnéj formy literackiéj należycie nierozwiniętą rozszerzać i braki istniejące wypełniać, zmuszony jest nastrajać się do myśli autora i tonu utworu, co dla chłopca jest przytrudne, a nadto musi dosztukowywać własnemi pomysłami rzecz ułamkową, co wychodzi na łataninę najczęściéj

źle dopasowywaną a piszący nie ma przed sobą myśli ciągłéj, którą we właściwy sobie sposób w każdém wypracowaniu piśmiennie przedstawić powinien. Ubolewając, może zbytecznie, nad zaniedbaniem stylu listowego, żąda autor przyzwyczajania uczniów do używania różnych tytułów, co jako rzecz formalizmu nabywa się z łatwością późniejszém doświadczeniem, a za mniéj odpowiednie poczytuje kompozycye stylu interesowego „jako wymagające znajomości pewnych form prawnych.“ Otóż dlatego, że pisanie umów, kontraktów, rachunków, pokwitowań i t. d., „wymaga znajomości pewnych form prawnych,“ które z trudnością późniéj większość wychowańców sobie zdobywa, należałoby je w klasie np. 4-téj wprowadzić jako ćwiczenia nie tyle ze względów stylistycznych, ile raczéj ze względu praktyki życiowéj ważne. W Niemczech i w Galicyi już w szkole ludowéj zapoznają ucznia z temi formami, których kompozycya zresztą bardzo łatwa i które czasu wiele nie zabiorą a pożytek znaczny przyniosą (1). Co się zaś tyczy ćwiczeń samodzielnych „we właściwém tego wyrazu znaczeniu,“ p. P. zbył je mniéj niż ogólnikowo, mówiąc, iż „ich osnowy i zakresu niepodobna ściśle oznaczyć.“ Nam się zdaje przeciwnie. Trzeba było przedewszystkiém dać dokładne a jasne pojęcie owych ćwiczeń samodzielnych, czego nie znajdujemy ani na stronie 634 ani 664, gdzie o nich mowa, a wówczas i „ich osnowę i zakres“ możnaby było bez trudności dosyć „ściśle oznaczyć“. Są to poprostu rozprawy (nawet nazwa ta nie wprowadzona), między któremi pedagogowie niemieccy rozróżniają tak zwane Entwickelungen, Erläuterungen i Abhandlungen, oznaczając w nich dostatecznie i treść i granice. Była więc i możność i konieczność bliższego rozpatrzenia się w tych rozprawach. Wybór przytoczonych dla przykładu tematów nie zawsze też szczęśliwy. Jakżeż można opisywać „podróż w pewnym po Szwajcaryi kierunku,“ jeżeli się nie podróżowało samemu? czy uczeń nawet klas najwyższych zdobył już tyle wiedzy, aby wykazać różnice i podobieństwa między „językiem łacińskim i polskim,“ lub rozprawiać „o wpływie muzyki na uszlachetnienie człowieka,“ lub wyjaśnić, „na czém polega istota krytyki“? W ćwiczeniach znowu na temata: „porównanie epopei z dramatem,“ „charakterystyka literatury okresu Stanisławowskiego“ będzie wychowaniec pisał to, co usłyszał na lekcyi, czego nie przetrawił i własném myśleniem nie przyswoił, a będzie miał tylko pole do frazeologii. Przy rozpatrywaniu

---

(1) Można było również wprowadzić wyjaśnienia przysłów i bardzo doniosłe dla poznawania mowy objaśnienia synonimów.

rodzajów ćwiczeń stylist. należało koniecznie uwzględnić różne rodzaje szkół jak męskie i żeńskie a między męskiemi: gimnazya, szkoły realne i techniczne i wskazać stosowność tych lub innych tematów ze względu na płeć oraz charakter całości wykładanych nauk i kierunek zawodowy szkół rozmaitych. Informacyi w téj mierze napróżno szukamy (1). Daléj chociaż autor zaznaczył obok ćwiczeń samodzielnych trzech stopni reprodukcyą w przywiedzionym powyż porządku, jednakże ścisłego ustopniowania bynajmniéj nie wskazał. Jeżeli podział na klasy nastręczał pewne trudności, to oznaczenie wieku powinno być normą właściwego i o ile można ścisłego stopniowania. A nawet w tém, co autor zrobił, jeśli kolejność przezeń podana ma oznaczać przechodzenie od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, pytamy, czy odpowiedniém jest np. zamieszczenie w reprodukcyi stopnia 3-go opisów zwierząt, budynków, miejscowości itd. a na stopniu 2-im tłómaczenia z obcych języków? Tłómaczenia wymagają znacznéj wprawy we władaniu językiem i dlatego są trudniejsze od opisów, które można już wprowadzić od klasy I a więc od 10 r. życia i kontynuować je przez lat kilka przy stopniowém powiększaniu wymagań co do dokładności i precyzyi. Nie poruszył p. P. także kwestyi, czy zadawać klasie jeden czy kilka różnych tematów, czy zostawiać wybór tematów do woli uczniów (jak to częstokroć się dzieje), ile pisać wypracowań w ciągu roku, jaką i o ile mają ważność ćwiczenia egzaminowe zwłaszcza t. z. dojrzałości, co na wstępie (str. 619) zaakcentował, ale czego we właściwém miejscu ani rozwinął ani rozstrzygnął.

Jeszcze słów kilka o metodzie prowadzenia ćwiczeń stylistycznych. P. P. w ustępie dopiéro co rozebranym podał wprawdzie wiele trafnych wskazówek metodycznych, zastosowanych do poszczególnych rodzajów wypracowań, ale wątpimy, azali ogółem zadowolnią wymagania pedagoga i zadość uczynią potrzebom mniéj doświadczonego nauczyciela lub nauczycielki. Wystarczającém jest to, co powiedziano pod względem metodycznym o wprawach pamięciowych, przepisywaniu (gdzie wszelako ustęp ze skargami na Wypisy i z informacyą o referacie p. Kryńskiego, str. 649—50, zupełnie jako

---

(1) Musimy też z przykrością zrobić zarzut i autorowi i redakcyi z powodu zupełnego pominięcia ćwiczeń dla szkół ludowych. Encyklopedya wychowawcza winna przecież mieć na pieczy i te szkoły i nauczycieli elementarnych, którzy w roztrząsanym artykule ani jednéj nie znajdują dla siebie wskazówki. Zapomniano również o ćwiczeniach stylist. w seminaryach nauczycielskich. Dlaczego? Przecież i jedne i drugie jak w osnowie, tak zakresie i metodzie nawet ich prowadzenia mają właściwe sobie odrębności i wymagania.

wtręt niepotrzebny), dyktandzie, ćwiczeniach gramatycznych, opowiadaniach (niewłaściwie nazwanych opisami), tłómaczeniach, przerabianiu poezyi na prozę, streszczeniach i wyciągach, listach; ale niedostatecznėm to, co znajdujemy o opisach i ćwiczeniach samodzielnych. Autor rozumiał, że każdy rodzaj wypracowania wymaga właściwych sobie zasad postępowania, które powinny być jak przy jednych, tak i przy drugich ćwiczeniach również uwzględniane. Rozprawy mianowicie należało koniecznie opracować o wiele dokładniėj. Gdyby nawet autor zapełnił był luki tu widniejące, to jeszcze i w takim razie pożądaną byłoby rzeczą, aby w osobnym ustępie, naukę o wyborze ćwiczeń poprzedzającym, podał w sposób zwięzły uogólnione zasady metodyki, które wiążąc się z retoryką i logiką znalazłyby bliższe rozwinięcie w wypracowaniach poszczególnych. Szczerbę tę łatwo było zapełnić, usuwając z artykułu to, co niepotrzebne, lub traktując przedmiot nieco zwięźlėj. Praca cała zyskałaby przez to na wartości i odpowiadałaby bardziėj zadaniu Encykl. Wychow., która, przy braku odpowiednich w naszėj literaturze podręczników, powinna dawać informacye, o ile można, wyczerpujące. A więc, zdaniem naszėm, wypadało podać ogólne wiadomości o temacie, o jego właściwościach ze względu na formę i treść i o jego analizie; o medytacyi i metodach wynalezienia i gromadzenia myśli (*inventio*); tu było miejsce poddać krytyce tak zwane τόποι i *chryją*, o ile mogą znaleść w szkole zastosowanie jako środki ułatwiające gromadzenie myśli (Laas, Naumann i w. i. kładą na to wielki nacisk a chryją uważają za bardzo ważną i przy układzie dyspozycyi i przyjmują ją nawet jako osobny rodzaj wypracowań, gdy tymczasem Cholevius τόποι pomija a z chryi radzi tylko zużytkować *contrarium* i *exemplum*); dalėj należało wskazać zasady porządkowania zgromadzonego materyału (*dispositio*) oraz metody (syntetyczną, analityczną, logiczną) podziału wedle wykrytego w temacie principium divisionis; wreszcie ze względu na całość kompozycyjną wypracowania nie podobna było pominąć wstępu i zakończenia z roztrząśnięciem ich wartości i przymiotów. Nie zaznaczył też autor potrzeby *omawiania* z uczniami zadanego tematu, co do klas najniższych aż do najwyższych jest niezbędne; bo nawet uczniowie klas wyższych nie są w możności bez objaśnienia tematu (str. 661) i pomocy nauczyciela wysnuć myśli i uporządkować ich logicznie. Z tych ogólnych wskazówek metodycznych nie trudnoby już było wyciągnąć szczegółowe, do każdego gatunku wypracowań zastosowane. O dyspozycyi p. P. w pracy swėj wspomina co prawda kilkakrotnie, (str. 653, 658, 668), ale podnosi tylko jėj potrzebę i ważność a nigdzie nie wnika w jėj istotę i sposób traktowania, odsyłając w tėj

mierze czytelnika do stylistyki Rymarkiewicza, która jednak wszystkim wymaganiom nie czyni zadość. P. P. idąc za tym zasłużonym pedagogiem, przyjmuje 3 gatunki prozy i trojaką tylko dyspozycyą, mówiąc (str. 631): „Co się znajduje w przestrzeni lub rozwija się w czasie, to należy do prozy opisującéj; co można podzielić na rodzaje, gatunki, rozważać pod różnemi względy lub w rozmaitych do innych przedmiotów rozpatrywać stosunkach, to stanowi przedmiot, prozy wyjaśniającéj; wreszcie wszystko to, co dopiero trzeba uzasadnić całym szeregiem przekonywających dowodów, jest prozy krasomówskiéj zadaniem. Gdy zaś każdy z trzech rodzajów prozy innéj dyspozycyi wymaga, przeto itd." Otóż pomijając w tym ustępie brak logicznego rozumowania z powodu fałszywego principium divisionis (albowiem nietylko w prozie dydaktycznéj jest właściwą zasada dzielenia na rodzaje i gatunki, ale także i to przeważnie w prozie opisującéj a uzasadnianie dowodami jest cechą i krasomówstwa i prozy dydaktycznéj), zaznaczyć przedewszystkiém musimy, że każdy rodzaj wypracowań ma swoję własną dyspozycyą; inny bowiem sposób porządkowania i inny rodzaj dyspozycyi w opisach niż w opowiadaniach, inny w charakterystykach, biografiach, rozprawach, mowach.—Na całkowite zaś uznanie zasługuje to, co autor mówi o poprawianiu ćwiczeń, radząc słusznie, aby wypracowania klasowe poprawiał nauczyciel w domu, a domowe w klasie ze współudziałem uczniów; podane przytém wskazówki metodyczne są zupełnie racyonalne. Nadmieniamy tylko, że w korekcie wysłowienia pominięto czystość mowy.

Jakkolwiek cały artykuł dobrą napisany polszczyzną, wszelako spostrzegliśmy niektóre uchybienia przeciw językowi, jak np. w wyrażeniach: utrzymywać w stanie *ciągłego rozbudzenia* (str. 618) reprodukcya jest dalszym ciągiem przyswajania i *ugruntowania* nabywanéj wiedzy (str. 619); *niejednokrotnie wrócimy* (631); niepodobna byłoby dziecku *rzecz całą* wyłożyć (646); *do świata* przedmiotowego *zachowywać się* biernie (638); *odnosić się do nich* objektywnie (654). Pod względem znów logicznym nie wydają się nam właściwymi zwroty: „Zadaniem nauki wogóle jest przyswojenie sobie przez człowieka całéj treści duchowéj, jaką w sobie wyrobił duch ludzki" (618)—chyba tu mowa o zadaniu człowieka—a nie nauki; „widzimy to z listu tak wielkiego męża, jak Jan Zamojski, *przechowanego* (męża?) w bibliotece ordynacyi jego imienia" (621); „przedwczesne zajmowanie się niemi (kwestyami materyalizmu) jest prostą umysłową rozpustą, równie dla zdrowia ducha szkodliwą, jak oddawanie się nadużyciom zmysłowym przed dojrzałością fizycz-

ną“ (634)—a po dojściu do dojrzałości nadużycie nie jest szkodliwe? zresztą przed dojrzałością nie może być nadużyć—bo nie istnieją jeszcze popędy. Zwracamy też uwagę, że „Listy, memoryały i supliki nie są dziełem Piramowicza (659), lecz podobno F. N. Golańskiego.

Kończąc sprawozdanie niniejsze uważamy sobie za miły obowiązek złożyć p. P. podziękowanie za podjęcie pracy, która lubo nie wolna od usterek, sprowadza wszelako przedmiot traktowany na grunt właściwy i pod niejednym względem pożytek przynosi.

St. Mieczyński.

JÓZEF SZUJSKI.

Dnia 7 lutego r. b. zmarł w Krakowie Józef Szujski. Bolesna ta wieść, telegramami po całym kraju rozniesiona, zatarła w pamięci wspomnienia waśni i walk stronniczych, a uwydatniła wielkość straty przez społeczeństwo nasze poniesionéj. Wszyscy bez wyjątku, przyjaciele i przeciwnicy, uczuli i wypowiedzieli, że ubyła nam jedna z sił wielkich, ubył rozum jasny i trzeźwy, ubyło serce namiętnie kochające swój naród, ubył dzielny charakter, nieznużony w pracy, ubył obywatel odznaczony odwagą cywilną i niepospolitą zdolnością do podejmowania i przeprowadzania spraw ważnych.

Gdy się nad tym objawem naszego społecznego i umysłowego obyczaju zastanawiamy, mimowoli przychodzą nam na myśl słowa sto lat temu przez Naruszewicza do rodaków wypowiedziane o mężach, co naród w karności wyćwiczyć pragnęli:

> Wasz-to obyczaj, cierń w życia przeciągu
> Kłaść im na głowy, kwiat aż na posągu...

Rzeczywiście, podejrzeniami, insynuacyami, obelgami dotykany do ostatniéj chwili niemal życia, Szujski doczekał się powszechnego i bezwarunkowego uznania i uwielbienia... gdy leżał w trumnie. Postępowanie takie ma niewątpliwie dobrą stronę, świadczy o czułém, miękkiém i rzewném sercu naszém, umiejącém odczuć i podzielić boleść, ale ma téż i stronę złą, dowodzi bowiem, że nie umiemy uczuciem tém rządzić. Stokroć lepiéj byłoby, ilość cierni w koronie obywatelskiéj zmniejszać za życia, aniżeli przysypywać je po śmierci mnogością kwiatów. Stokroć lepiéj byłoby tę dozę wyrozumiałości w ocenie poglądów i przekonań nam niemiłych lub wstrętnych, jaką okazujemy dla przeciwników zmarłych, rozdzielić choćby na mniejsze i podawać żyjącym. Stokroć lepiéj byłoby te skrupuły sumienia w wydaniu sądu o ludziach, jakie nas ogarniają

na widok mogiły, odczuwać wcześniéj, ażeby nie zatruwać bezpotrzebnie bliźnim niedługich chwil żywota.

Gdybyśmy umieli z nieszczęść pożytek dla siebie wyciągać, to zgony takich ludzi jak Szujski powinnyby się przyczyniać do zmiany taktyki w walce stronnictw, zaprowadzić w niéj więcéj szczerości a zwłaszcza więcéj sumienności. Poznawszy siebie dokładnie, wyrozumiawszy wzajemnie zasady i przekonania, pojąwszy, że wszystkich nas łączy lub łączyć winna wspólna służba dla narodu, wyrównywalibyśmy sprawiedliwiéj rozdział nieodłącznych od pochodu ziemskiego cierni z kwiatami konduktu pogrzebowego. Wszak czyny i dzieła nie giną wraz z tymi, co je do bytu powołali, promieniują one na dalsze pokolenia, wytwarzając nowych bojowników idei. Rozciągnijmy na nich choć w części ten sąd beznamiętny, jakim darzymy zmarłych, a uczcimy ich pamięć najlepiéj i najskuteczniéj, bo prawdziwie po męsku.

Szujski nie potrzebuje czczych frazesów pochwalnych, bo się niemi brzydził za życia, a wyrazista fizyonomia poglądów, któremi się w najlepszéj dobie działalności swéj kierował, nakazuje otwartość w ich wyłuszczeniu i ocenie. Krótkie jego życie zbyt było wypełnione czynami, ażeby potrzeba było szukać próżnego miejsca na mdłe ogólniki.

Życie to rozpada się na dwa wybitnie się różniące okresy: okres podrastania na młodzieńca i wyrabiania się na męża do trzydziestu lat wieku i okres siedemnastoletniéj wytrwałéj działalności podług pewnych stałych zasad.

Czas dzieciństwa i pierwszych wrażeń młodzieńczych przypadł na chwilę najwyższego rozwoju naszego romantyzmu, a pierwsze samodzielne przejawy umysłowości na czas jesiennéj jego pory. Okoliczność ta silnym odbiła się wpływem na duchowém usposobieniu Szujskiego. Urodzony roku 1835 w Tarnowie, pobierał tu pierwsze nauki; najwyższe klasy gimnazyalne, tak zwane filozoficzne ukończył w Krakowie r. 1854. Odbył następnie studya prawne w uniwersytecie jagielońskim jeszcze za czasów jego zupełnego zniemczenia; zdał egzamin t. z. „historyczny“ z prawa rzymskiego, niemieckiego i polskiego. W r. 1857 przeszedł na wydział filozoficzny i oddawał się nauce dziejów powszechnych i filologii klasycznéj. Był-to czas, w którym uniwersytet krakowski i szkoła sztuk pięknych kształciły liczny zastęp młodzieży, wsławionéj następnie już-to w literaturze, już-to w muzyce i malarstwie. Dość będzie wymienić nazwiska Stanisława Tarnowskiego, Pilińskiego, Wojciechowskiego, Piekosińskiego, Lubowskiego, Bałuckiego— jako uczonych lub literatów, Grottgera, Matejki, Leopolskiego, Gryglewskie-

go — jako malarzy, Władysława Tarnowskiego i Żeleńskiego — jako muzyków, ażeby sobie wyrobić niejakie pojęcie o tém najbliższém otoczeniu, wśród którego rozwijała się umysłowość Szujskiego w latach uniwersyteckich i zawiązywały się stosunki, które miały później zjednoczyć niektórych z tego zastępu do wspólnéj pracy.

W literaturze ówczesnéj przeważne miejsce zajmowała poezya i powieść historyczna, którą reprezentowali Wincenty Pol, Syrokomla, Rzewuski, Kaczkowski, oraz historya malownicza, któréj twórcą i rozpowszechnicielem był Szajnocha. Uwielbienie nie tylko dla przeszłości jako takiéj, ale nawet dla jéj stron wadliwych i zdrożnych, uznawanie w instytucyach dawnéj Rzeczypospolitéj ideału politycznego, wynoszenie szowinistyczne cnót i zalet narodowych, skoncentrowanych w szlachcie, po nad wszelką miarę: oto niektóre z cech odznaczających nastrój panujący pod owe czasy w kraju. Młodzież dopełniając naukę szkolną, z któréj wykluczone były najmilsze dla niéj przedmioty, pochłaniała oczywiście chciwie pokarm dostarczany przez literaturę.

Rzeczą było bardzo naturalną, że młodzieniec o wrażliwéj duszy i ruchliwéj wyobraźni, jakim był Szujski, dał się porwać przemożnemu prądowi i przez lat trzy tworzył w duchu i formie jesiennéj doby naszego romantyzmu. Pisze i drukuje poemata i dramata historyczne, poczynając od r. 1857. *Tajemnica śmierci hetmańskiéj*, *Jacek Brzuchański*, *Pan Rożnowa*, *Sługa grobów* — oto napisy główniejszych poematów; *Samuel Zborowski*, *Radziejowski*, *Dzierżanoski*, *Halszka z Ostroga*, *Królowa Jadwiga*, *Wallas* — oto napisy dramatów, już-to częściowo, już-to w całości obrobionych. Prócz tego ogłasza wiele liryków, a między innemi zbiorek p. n. *Poważne chwile*. Pozostało téż kilka z tego czasu rękopismów, zawierających nieznane dotąd ogółowi dramata. Większość swoich utworów drukował Szujski w „Dzienniku literackim“ lwowskim, skupiającym w sobie natenczas wszystkie siły literackie Galicyi i pewnéj części emigracyi, pod kierownictwem Jana Dobrzańskiego. Poezye i dramata Szujskiego mieściły się tu obok poezyj i rozpraw Ujejskiego, poematów Mieczysława Romanowskiego, Michała Bałuckiego, powieści Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza, Walerego Łozińskiego, opowiadań podróżniczych, powieści i artykułów społecznych T. T. Jeża, obok roztrząsań historycznych Henryka Schmitta. W tych trzech pierwszych latach działalności poetyckiéj Szujski nie przeprowadzał jeszcze żadnych specyalnych tendencyj, pisał poemata i dramata historyczne dlatego, że historya w poezyi i poezya w historyi były-to rzeczy bardzo wtedy ulubione, a że odpowiadały przytém usposobieniu i studyom jego, więc się ich uprawie oddawał z zamiło-

waniem. Na propagowanie pewnych poglądów przyszło dopiero w r. 1860.

Rok 1860 zdawał się zapowiadać nową erę dla Galicyi. Wyszedł wtedy manifest cesarza austryackiego zapowiadający krajom koronnym urządzenia autonomiczne. Wszczął się żywy ruch w dziedzinie publicystyki. Objawiły się natychmiast dwa kierunki: konserwatywny i postępowy; pierwszy jednak nie miał dosyć skupienia i siły, dał się więc ubiedz drugiemu we wpływie na społeczeństwo. Szujski, mając lat dwadzieścia pięć, przyłączył się do stronnictwa liberalnego i napisał pierwszą swą pracę publicystyczną p. n. *Portrety Nie-Van-Dycka*, które wychodziły w „Dzienniku literackim“ spółcześnie z głośnemi *Listami z pod Lwowa* Kornela Ujejskiego. Zawarł w nich jakby dyagnozę ówczesnego społeczeństwa galicyjskiego w szeregu obrazków przedstawiających szlachtę, wiejskich polityków, słabe i lekkie duchy, rycerzów mgły, tartufa politycznego, półpanków, wielkich panów w rozmaitych ich odcieniach, głowy wichrowate, uczonych i niedouczonych, poetycznych młodzieńców, kobiety egzaltowane i t. d. Już tu Szujski patrzy krytycznie na stosunki krajowe z przed kilku lat, jakkolwiek w poglądach swoich ulega w pewnych punktach ich silnemu oddziaływaniu. Więc szlachta, pojęta nie jako przywiléj, nie jako kasta, ale jako stan „mający tajemnicę przypodobniania sobie nieszlacheckich a nawet obcych żywiołów, jako idea podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności i uczestnictwa w obywatelskiém życiu“—taka tedy szlachta jest „historyczną i faktyczną alfą i omegą narodu, jest oceanem dobréj woli i dobréj wiary,“ stanowi ów „punkt grawitacyjny, który jedynie naród od spaczenia zachować może. Do arystokracyi żywi autor niechęć, gdyż „panowie rzadko się starają o prawdziwą popularność, rzadko szczerze i otwarcie postępują ze szlachtą, a nic więcéj od nich nie jest oddaloném, jak spólność interesów z niższą podług nich socyalnie warstwą.“ Jeżeli w tych i innych poglądach dosłyszéć możemy odgłosu z czasów kształcenia się młodego publicysty, to natomiast w ocenie stosunków umysłowych i religijnych występują wyraźnie przekonania o potrzebie gruntownéj ich przemiany. „Przypomnijmy sobie — powiada—kołowaciznę przed kilką laty w modzie będącą, a i dziś potężną jeszcze, kołowaciznę ślepego afektowania niepostępowych opinij, estetycznego rozlubowania się w przeszłości, systematycznéj nienawiści ku temu wszystkiemu, co się głośniéj odezwało, co ruszyło jakąś kwestyą drażliwszą. Przypomnijmy sobie chorobę wzajemnéj admiracyi, chorobę dobrych chęci słabiutkich i niewyraź-

nych, chorobę nareszcie legitymizmu i bigoteryi, które u nas grasowały tak powszechnie. Nie zapadlibyśmy byli zapewne we wszystkie te denerwujące wsteczności, gdyby nas w nie nie popchnęła ślepa i niekrytyczna nienawiść ku dawnéj (t. j. z przed r. 1848) demokracyi, gdybyśmy nie byli widzieli w każdym wolniejszym objawie myśli widmo Robespierra, a w każdém słusznem ograniczeniu naszego stanowiska narodowego nie obawiali się przekleństwa religii.“ Przestrzegał tedy naród, że „nie ma nieszczęśliwszéj kołowacizny jak zamknięcie się w czterech ścianach swego kraju, jak egzaltowane patrzenie się na wszystko polskiemi oczami, że najfałszywszym środkiem zaprowadzenia jedności w narodzie jest negacya stronnictw, bo „jedność to nie jednomyślność.“ Najprostszą drogę do jedności wskazywał w miłości ku braciom, porozumieniu się, podjęciu i roztrząśnieniu łagodném i toleranckiém każdéj myśli, w uwzględnieniu każdego dążenia uczciwego. „Jawność i wolność—pisał—są-to owe cudowne słowa, które przeszkadzają wszelkiéj szkodliwości stronnictw, które pozwalają porozumiéć się obopólnie najsprzeczniejszym zdaniom, skoro tego żąda dobro powszechne, które wyganiają raz nazawsze wszelkie ciemne strachy podejrzliwości i kalumniowania obustronnego i zdzierają maski z twarzy, aby nie domina ale ludzie w szranki publicznego życia wstąpili.“

Równocześnie z tą pracą publicystyczną pomieścił Szujski w „Dzienniku literackim“ (r. 1860, N. 50, 51, 64—69) pierwszą swą rozprawę historyczną p. n. *Rzut oka na stanowisko Polski w historyi powszechnéj.* Nie występuje tu jako reformator, zbiera tylko, według własnego wyznania, prawdy już zdobyte i w jedność je skupia. Istotnie odnajdujemy tu poglądy w owym czasie bardzo rozpowszechnione. Tragiczne zakończenie każdéj z chwil rozbiorowych przypisane wyłącznie potęgom ościennym, tak że nie jest ono winą ale nieszczęściem narodu, a raczéj „mówiąc po chrześcijańsku, bożym dopustem.“ Polska w czasie sejmu wielkiego „stanęła nagle w rzędzie europejskich mocarstw, doścignąwszy je w jednym momencie patryotycznego zapału, zrównała się a nawet wyżéj stanęła nad wiek swój.“ Rokosz Zebrzydowskiego, zgodnie z tezą H. Schmitta, miał być i według Szujskiego „walką zasad przeciwnych, walką o wolność i prawa kardynalne.“ W jednym tylko punkcie można odnaleść różnicę od ogólnego poglądu ówczesnego, różnicę w ocenie dawnych z przed sejmu czteroletniego instytucyj rzeczypospolitéj. Instytucye te były, zdaniem Szujskiego, „wiecznem pokuszeniem, wiecznem źródłem niemoralności publicznéj, musiały ludzi prowadzić do wszystkiego złego.“

Odtąd nie zaniedbuje wprawdzie Szujski niwy poezyi i belletrystyki, ale cały swój zapał młodzieńczy przenosi do dziedziny badań dziejowych. Obok dramatu *Jerzy Lubomirski*, w którym przedstawia tego męża jako człowieka, który fatalnie tam zaszedł, dokąd zajść nie myślał, obok powieści ze stosunków spółczesnych p. n. *Czyste dusze i mętne dusze*, w któréj szczegółowiéj przeprowadzał niektóre myśli rzucone tylko w *Portretach*, stają najprzód krótkie rozprawki historyczne: *Anna Jagiellonka*, *Marya Gonzaga*, pomieszczone w założoném r. 1860 przez Turowskiego czasopiśmie „Niewiasta,“ a następnie mozolna praca około ułożenia *Dziejów Polski według ostatnich badań.* Praca ta zajęła lat pięć z okładem i, w miarę jak się posuwała naprzód, przybierała różny od pierwotnego charakter. Z początku autor miał zamiar napisać zwięzły podręcznik streszczający wyniki badań nad poszczególnemi okresami dziejów naszych przez różnych historyków wydobyte; jakoż dwa pierwsze tomy obejmujące panowanie Piastów i Jagiellonów, opracowane i ogłoszone przed powstaniem r. 1863, noszą na sobie cechy dobréj, rozumnie pojętéj kompilacyi, uwzględniającéj troskliwie stosunek Polski do ogólnego stanu cywilizacyi europejskiéj. Atoli w miarę postępu roboty dziejopisarskiéj, Szujski zaczął się zagłębiać w źródłach historycznych, zaczął się otrząsać z przejętych tradycyjnie poglądów na epoki i głośniejsze fakta, i dzieło swe z kompilacyi przemieniał powoli na rezultat badań samodzielnych. Już ta samodzielność widnieje w 3 tomie „Dziejów“ wydanym r. 1864, a w tomie 4-ym mianowicie tam, gdzie autor opowiada o drugiéj połowie wieku XVIII panuje wyłącznie.

Dwie cechy znamienne dojrzéć można w téj fazie działalności dziejopisarskiéj Szujskiego, jednę ogólną, drugą specyalną wprawdzie, lecz mającą wpływ nader doniosły na charakter prac dalszych. Było tam najprzód dążenie do przedmiotowego przedstawienia rozwoju zdarzeń historycznych, na podstawie sumiennie i krytycznie zbadanych źródeł, a powtóre dojrzenie i wskazanie przyczyn osłabienia i upadku Rzeczypospolitéj w braku karności, w braku przewodniéj myśli politycznéj, w braku silnego rządu. Pierwsza z tych cech znamionowała ważny krok naprzód w badaniach dziejowych, wykluczała bowiem wszelkie tendencyjne ustawianie a témbardziéj wykrzywianie faktów dla jakiejś myśli zgóry powziętéj, dla jakiejś teoryi. Druga, będąc wynikiem koniecznego w historyografii dopatrywania związku przyczynowego między faktami, była również w zasadzie swojéj słuszną, ale w zastosowaniu, przejmując boleścią serce kraj kochające, odejmowała poglądom dziejopisarza spokój w traktowaniu minionych stosunków politycznych, które nie odpo-

wiadały raz już urobionemu na podstawie późniejszych wypadków pojęciu o rządzie silnym i o karności, w następstwie zaś stać się mogła takąż samą zgóry powziętą teoryą, przeszkadzającą jasnemu widzeniu i bezstronnéj ocenie stosunków historycznych, teoryą podobną w swych skutkach do teoryj dawniejszych, demokratycznéj czy monarchicznéj. Cecha ta wynikła u Szujskiego z wczytania się w autorów, którzy w XVIII stuleciu rozpowszechnili ten pogląd dla przeprowadzenia reform na sejmie wielkim i używali go jako broni przeciwko stronnikom starego porządku rzeczy. Przejął się nią historyk nasz tak silnie, że, na wzór publicysty, opatrywał dążności anarchistów dosadnemi wymówkami a ich frazesy wykrzyknikami i pytajnikami w nawiasach umieszczanemi. Tym sposobem, zapewne bez woli autora, pierwiastek publicystyczny, tendencyjny, wyrzucony z areny dziejopisarstwa jednemi wrotami, wracał drugiemi, trochę tylko zamaskowany.

Roztrząsanie przyczyn upadku kraju w połączeniu z rozważaniem bolesnych skutków ruchu z r. 1863 wyrobiło powoli w umyśle Szujskiego coraz bardziéj krystalizujący się pogląd na to, co nam robić wypada, jak się zachować wobec stosunków rzeczywistych. Pierwszym objawem literackim tego przetwarzania się umysłowości jego była rozprawka *O broszurze p. Pawła Popiela pod tytułem: List do księcia Jerzego Lubomirskiego* (r. 1865), w któréj znajdują się już wyraźne wskazówki o przeżyciu się emigracyi i o potrzebie pracy organicznéj. Poglądy te zbliżyły Szujskiego z gronem ludzi, co stając silnie przy kościele, tradycyi, obyczaju i języku, uważali za rzecz konieczną, porzuciwszy myśli o konspiracyi, wyjść ze stanu bezczynnéj nieufności względem rządu austryackiego, pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy, ażeby powoli, na drodze konstytucyjnéj, wywalczać coraz szersze dla narodowości polskiéj prawa. Właśnie miała się rozpocząć dla Austryi a więc i dla Galicyi nie tylko frazeologicznie zapewniona ale w rzeczywistości przeprowadzana era konstytucyjna. Owo grono ludzi postanowiło wziąć czynny udział w polityce, a jako organ swoich zasad i przekonań założyło w przededniu bitwy pod Sadową w połowie roku r. 1866 „Przegląd polski.“ Do redakcyi weszli obok historyka naszego, Stanisław Tarnowski i Stanisław Koźmian. Bardzo ożywioną działalność rozwinął tu Szujski, gdyż stał się wyłącznym w pierwszém półroczu sprawozdawcą całego ruchu naukowo-literackiego, a prócz tego i obszerniejsze pomieszczał tu rozprawy. Czy to rozbierając dzieło Sołowjewa o upadku Polski, czy pisząc o Staszycu jako patryarsze demokracyi polskiéj, czy o obrazie Matejki Rejtan, ciągle miał na pamięci cel publicystyczny wyraźnego zaakcentowania we-

wnętrznych przyczyn rozstroju i potrzeby dźwigania się za pomocą własnéj wytrwałéj pracy. W początkach r. 1867 ogłasza broszurę, będącą skupionym i streszczonym wyrazem tak własnych jak i całéj redakcyi „Przeglądu polskiego“ opinij, broszurę programową, na którą odtąd stronnictwo krakowskie zawsze się powoływało. Broszura ta miała napis: „Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważaniu w chwili obecnéj.“ Składa się ona z dwu części: historycznéj i publicystycznéj. W pierwszéj przebiega autor w krótkości dzieje ostatnich wieków Rzeczypospolitéj i podając przyczyny jéj niedomagania bez „upiększeń“ i „błędnego historycznego liryzmu,“ a w drugiéj prawdy zdobyte okropném doświadczeniem podaje jako drogoskazy działania praktycznego. Wykazywał, że ówczesny stan społeczeństwa naszego był wynikiem dawniejszego politycznego rozstroju, że spiski i powstania były objawami analogicznemi z konfederacyami i rokoszami, że należy raz stanowczo zerwać ze sprzysiężeniami, które ostatecznie wszelką utraciły podstawę wraz z powszechném usamowolnieniem włościan, że potrzeba się chwycić pracy mozolnéj dla wzmocnienia organizmu narodowego, że nieodbitą jest koniecznością, ażeby warstwa przodkująca t. j. suma tych wszystkich w dojrzałym wieku obywateli, którzy o sprawach kraju mają wyrobioną opinią, a swojém stanowiskiem, pracą, inteligencyą, majątkiem, wpływ wywierać mogą, utworzyła pewien rząd moralny, dla powstrzymania zachcianek niedojrzałych.

Na tak sformułowany program posypały się namiętne odpowiedzi zarówno w emigracyi, odsądzonéj od prawa narzucania się narodowi, jak w pismach lwowskich i poznańskich, które odezwanie się rozumnego patryoty nazwały odstępstwem i zdradą. Szujski wraz ze stronnictwem swém zastraszyć się nie dał; wystąpił odważnie do walki.

Z początku z możliwym spokojem odpowiadał na napaści lub poddawał krytyce objawy sprzeczne z zalecaną przez siebie pracą drobną a wytrwałą. W artykule p. n. „Dwie odpowiedzi“ objaśniając program zawarty w broszurze, zaznaczył między innemi obowiązki patryotyzmu wśród ówczesnych okoliczności. „Czy mamy powiedzieć—pisał tu—że naród chociażby długo uciśniony, nie utracił warunków niepodległego bytu, jeżeli zamiast wyczerpać się w nieustannéj ekspektoracyi swoich uczuć, umiał skupić się w sobie i rozkorzenić niby ziarno przydeptane stopą szatańską? Czy mamy wskazać przykłady Węgrów i Czechów, tych Czechów, którzy się odrodzili z kilku gałązek bluszczu, rosnącego na starych ruinach a dzisiaj zawstydzają nas pracą około ludu, oświaty i narodowości?... Chcąc nowe rozpocząć życie nie trzeba miary patryotyz-

mu brać z czasów, kiedy spoczywał w pieluchach, kiedy idea niepodległości była aniołem stróżem młodego pokolenia, wiodącym go za pomocą sennych marzeń i natchnień w życie poświęcenia i męczeństwa, kiedy wielkość i szczytność idei zaślepiała nas na braki rzeczywistości. Dzisiaj patryotyzm ma pochmurzone od cierpień czoło, schylone od nadmiaru boleści barki. To już nie młody, to stary patryotyzm, który tyle tysięcy widział ginących przed sobą, który widzi szalony pożar posuwający się coraz dalej w dziedziny ojczyste...Taki patryotyzm przypuszcza dyskusyą, bo ze sfery uczuć i przeczuć, ze sfery teoryi i ogólników musiał on, pod wagą strasznéj rzeczywistości, przejść w sferę rozumu i praktyki, musiał się nauczyć roztropności."

Wezwanie atoli do dyskusyi pozostało bez skutku. Do nowego poglądu na zadania narodowe trudno było się nałamać umysłom wychowanym wśród wstrząśnień; przywyknienie do odmiennych warunków życia przychodzi z wolna, a połączone jest z cierpieniem. Do zwiększenia trudności porozumienia przyczynił się antagonizm Galicyi wschodniéj ze Lwowem na czele do Galicyi zachodniéj z Krakowem. Liberalizm i demokracya uważały się za znamiona pierwszéj, konserwatyzm za cechę drugiéj. Wprawdzie stronnictwo skupiające się około „Przeglądu Polskiego" w pierwszych latach przyznawało się głośno do demokracyi i uznawało potrzebę postępu; ale w szczerość wynurzeń tych, wychodzących z grona ludzi w znacznéj części do arystokracyi należących, nie wierzono. Lwowskie więc dziennikarstwo wystąpiło wrogo przeciw opiniom wygłaszanym przez „Przegląd," okazując cześć dla tego wszystkiego, co Szujski jako rzecz zgubną potępiał. W kole redakcyjném „Przeglądu Polskiego" powstała więc myśl użycia na tych zawziętych przeciwników broni ostréj, broni szyderstwa i satyry. Tym sposobem powstała *Teka Stańczyka* wystawiająca pod pręgierz tych, co *liberum conspiro* za hasło swe wzięli. W myśli autorów *Teki*, do których należał i Szujski, potrzeba było rozpaloném żelazem wypalić ranę, ażeby zarazy nie szerzyła po reszcie organizmu narodowego. Rzecz była podjęta w zacnéj i rozumnéj myśli, ale czy była przeprowadzona we właściwy sposób? Zdaje się, że nie. Szujski objaśniając w lat 13 po napisaniu *Teki* jéj dążność, mówi dobitnie i ostro: „Jeżeli naród polski ma takie nerwy, że potrzebnéj w danéj chwili prawdy nie zniesie, że nie można mu powiedzieć prawdy o jego przeszłości, położeniu, wadach, bo gotów wpaść w histeryą, idźmy spać i zostawmy go losowi"... Zdaje nam się, że taki system terapii trochę konowalstwem trąci. Niewątpliwie, prawdy przed narodem kryć nie należy, ale wypowiadając ją, potrzeba nietylko być bardzo a bardzo głęboko

przekonanym o jéj bezwzględnéj skuteczności, ale nadto należy ją, tak jak w udzielaniu każdego lekarstwa, zastosować do stanu leczonego organizmu. W przeciwnym razie organizm może kuracyą odrzucić, w stan straszniejszego rozstroju popaść, a w dodatku lekarza znienawidzieć. Że konsekwencyą tę uznawał i Szujski, ale wagi do niéj nie przywiązywał, widzimy stąd, że z lekceważeniem traktował fakt, iż *Teka Stańczyka* uczyniła całe stronnictwo, od niéj Stańczykami nazwane, niepopularném. O popularność mu wcale nie chodziło, gdyż uganianie się o nią, jak utrzymywał, było „jedną z najgłębiéj zakorzenionych wad polskich, wad zabójczych, utrzymującą panowanie głupstwa i złego, siejącą fałsz zamiast prawdy na drogi życia.“ Zapewne, gdyby chodziło o popularność w pospolitém rozumieniu wyrazu, o tę popularność, która nikomu, bezwzględnie nikomu narazić się nie chce, ażeby świętym spokojem się cieszyć, która nakazuje nie mieć nigdy wyraźnego zdania, ażeby czyimś odmiennym opiniom nie ubliżyć; to niewątpliwie o taką popularność ubiegać się nie należy, unikanie takiéj popularności jest zasługą. Ale w tym wypadku chodzi podobno o co innego, bo o staranie, by propozycye stronnictwa mogły liczyć na skuteczność. Otóż Szujski i pod tym względem żadnego nie chciał zrobić ustępstwa, mówiąc z oburzeniem: „Jesteśmy więc w kraju i społeczeństwie, gdzie nie patrzą na rzecz, ale na formę; na wyrażenia, nie na myśl; więc jesteśmy w społeczeństwie, które mówi: nie chcę cię, choć jesteś zdolny i pracowity, bo mi się wydajesz zarozumiały; mówić ci nie wolno, jak ci myśl niesie, bo chociaż to prawda, sposób jéj wypowiedzenia mi się nie podoba; gadaj inaczéj, to cię zniosę; zdajesz mi się nadto pewnym siebie, nie liczysz się z opinią publiczną; może ci na to nie pozwala twoje przekonanie, ale się musisz liczyć, musisz poddać je opinii, albo fora!“ Można zapewne z bezwzględnego stanowiska boléć nad tém, że tak jest, ale trzeba się przytém zastanowić, że taki objaw nie przedstawia wcale naszéj wyłącznie cechy, lecz jest ogólnie ludzkim, a jako z takim musi się liczyć każdy, kto chce ze skutkiem na ludzi oddziaływać, musi się z nim liczyć przedewszystkiém publicysta i polityk. Kto zaś tak się zapatrywał na stosunek stronnictwa do społeczeństwa, jak to Szujski sformułował, ten miał oczywiście na myśli dyktaturę moralną.

Że społeczeństwo dyktaturze się nie poddało, dziwić się niepodobna. Stąd wynikło bolesne starcie z opinią, mianowicie z opinią dziennikarstwa lwowskiego. Winę tego starcia przypisują Stańczycy wyłącznie brakowi rozumu politycznego u swoich przeciwników, nie chcąc uznać, że i ich postępowanie publicystyczne wcale nie mogło się przyczynić do łagodzenia zadraśnionych i zaognionych stosun-

ków. Do tego rodzaju postępowania liczymy ciągłe traktowanie dziennikarstwa lwowskiego z najwyższą pogardą, zbyt bezwględne w środkach dyskredytowanie przeciwników w pamfletach (*Założenie Dziennika* itp.), ośmieszanie samorządu (*Nasza Autonomia*), jaskrawe uwydatnianie samych błędów, słabości i podłości z r. 1863 (*Dramat bez nazwy*). Dobrych intencyj nie przeczymy i tym pamfletom, nie sądzimy jednak, ażeby one mogły się zaliczyć do kategoryi właściwych, skutecznych środków działania publicystycznego.

Z działalnością publicystyczną łączyła się ściśle od r. 1869 czynność polityczna Szujskiego, który z początku jako poseł na sejm lwowski, potém jako członek koła polskiego w Wiedniu, a w końcu jako członek izby panów był inicyatorem lub popieraczem wniosków stronnictwa krakowskiego, czyli, jak się od r. 1876 samo nazwało, stronnictwa reformy administracyjnéj.

I twórczość swą belletrystyczną zaprządgł również Szujski w tym drugim okresie do jarzma tendencyi. W powiastce p. n. „Bezimienna trucizna“ starał się wykryć „kwas socyalny“ zatruwający inteligencye i serca, pod formą niezadowolnienia z własnego stanu, a pięcia się do wyższego; demokrata, niepospolitemi obdarzony zdolnościami, marnuje życie dlatego, że mu arystokratka ręki odmówiła. W dramatach: *Maryna Mniszchówna*, *Śmierć Władysława IV* na przykładach historycznych stara się wykazać fatalne skutki braku karności, braku zmysłu politycznego i chwiejności przekonań. Inne, jak *Kopernik*, *Długosz i Kallimach* są utworami okolicznościowemi. Artystyczna ich strona ma dosyć podrzędne znaczenie. Przekłady arcydzieł Eschila, Arystofanesa, Kalderona powstały także w tym okresie.

Niwę dziejopisarską uprawiał równocześnie z nadzwyczajną, gorączkową usilnością. W pierwszych latach po skończeniu czterotomowych „Dziejów polskich“ różnorodnych dotyka przedmiotów, to się zastanawia nad pierwostanem człowieka, to pisze „Rys dziejów piśmiennictwa niechrześcijańskiego,“ wkraczając z konieczności w dziedzinę mało sobie znaną, jak np. literatura Wschodu, to znów kreśli dzieje Samozwańców i ocenia dzieło Kalinki: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. W r. 1869 zostaje profesorem historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim i wykłada ten przedmiot systematycznie aż do końca życia, ze szczególniejszém zamiłowaniem zatrzymując się na okresie podziałów Polski. Kieruje przytém seminaryum historyczném, wydaje już to sam już to z innymi źródła do dziejów polskich, dyaryusze, kroniki, listy, statuty uniwersytetu krakowskiego i inne dokumenty. Od r. 1873 jest sekretarzem przetworzonéj z Towarzystwa Naukowego Akademii Umiejętności, a zara-

zem kierownikiem sekcyi historycznéj; zabiega gorliwie o rozwój téj nowéj instytucyi, rozszerza o niéj wiadomości w kraju i zagranicą, broni od zarzutów, zachęca do przedsiębrania prac, udziela rad i wskazówek. A obok téj natężonéj i różnorodnéj działalności znajduje czas na badanie źródłowe rozwoju dziejowego w wieku mianowicie XIV, XV i XVI. Owoc poszukiwań swoich, nieraz zupełnie nowe światło na fakta rzucających, składa w szeregu kilkunastu rozpraw, zebranych w 2 tomach *Opowiadań i roztrząsań historycznych* (r. 1876 i 1882) oraz w trzech pracach oddzielnie wydanych: *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj ksiąg dwanaście* (r. 1880), *Odrodzenie i reformacya w Polsce* (r. 1881), *Die Polen und Ruthenen in Galizien* (r. 1882).

Szujski w badaniach swych z dziedziny dziejów ojczystych był niewątpliwie umysłem wysoce krytycznym, podobnież i w rozbiorze faktów naszego życia spółczesnego; w tym względzie nie zaprzeczył sam sobie do końca. W innych atoli dziedzinach wiedzy, a mianowicie w sferze filozoficznego myślenia stopniowo stawał się wrogiem krytycyzmu, ścieśniając tym sposobem a nawet w pewnéj mierze kasując swe odezwy o potrzebie ścisłéj krytyki w zastosowaniu do tego, co się myśli, mówi i pisze. Stąd jako profesor historyi, we wstępnéj zaraz lekcyi wypowiedział swą wątpliwość, żeby historya kiedykolwiek stać się mogła umiejętnością ścisłą; stąd w pięć lat późniéj (w artykule *Moralność i wiedza*) odrzucając i potępiając myśl szukania praw rozwoju historycznego, nawraca do znanego poglądu Bossueta, przeoczając zupełnie, że kto wprowadza do dziejoznawstwa czynnik, którego działanie, jak sam Szujski wyznaje, jest całkiem dowolne, ten w końcu będzie musiał całą swą krytyczność zwrócić jedynie i wyłącznie do rozpoznania autentyczności tekstów bez względu, czy ich treść możliwą jest lub niemożliwą—wedle praw natury, wszelką dowolność wykluczających. Z tego téż zacieśnienia sfery krytycyzmu wynikło, że Szujski próby wszelkiego myślenia różniącego się od dogmatów katolickich, czy to będzie humanizm, czy protestantyzm, czy pozytywizm,—poczytywał za objawy „pychy rozumu,“ a chcąc już w zarodku stłumić popęd do „zdawkowych teoryj postępu“ podawał prawdziwie rozpaczliwą radę, ażeby w szkole, przy nauce historyi, wpajano w młodzież „przekonanie o zmienności i niedoskonałości teoryj ludzkich“ (*Sprawozdanie komisyi w sprawie reformy szkół średnich*, 1881, str. 27).

Czyż nie było to rzeczą tragiczną znaleść się pod koniec życia w tak rażącéj sprzeczności z przekonaniami lat młodych i czy poczucie tego tragizmu nie było jedną z wewnętrznych przyczyn, co w połączeniu z nadmiarem pracy, z gorączkowością działania wpły-

nęły na skrócenie wątka bytu 47-letniego męża? Nie znając szczegółów wewnętrznego rozwoju i wpływów otoczenia, jakie na Szujskiego działały, nie możemy się nawet pokusić o odpowiedź na te, wątpliwości pełne, pytania i musimy ją przyszłemu biografowi pozostawić.

Bądź-co-bądź głoszone przez Szujskiego w ostatnich latach przekonania, z naszego stanowiska wydające się nam błędnemi a poczęści zgubnemi dla zdrowego, wszechstronnego rozwoju społeczeństwa, nie mogą ani zniweczyć ani nawet przesłonić licznych zasług męża o charakterze czystym i prawym, który żył nie tyle dla siebie ile dla kraju, który pobudził swą pracą i przykładem do głębszego, krytyczniejszego wglądnięcia w przeszłość, który miał odwagę wśród ogólnego zamieszania pojęć wskazać swemu narodowi światło przewodnie ku lepszym warunkom przyszłości będącéj już nie tylko rojeniem wyobraźni i serca, lecz obejmowanéj także jasnym rozumem. Pamięć o takich mężach, nie słowa jedynie ale i czynu, głęboko wyryć się musi w sercach pokoleń spółczesnych i potomnych.

TABLICA PASCHALNA LUBIŃSKA.

Kiedy czytelnik, porwany wdziękiem stylu, plastycznością obrazów i urokiem właściwym gwarnemu życiu dawnych wieków, które talent historyka wskrzesić dla umysłu potrafił, przebiega z zajęciem karty skreślone przez takiego, naprzykład, Augustyna Thierry lub naszego Szajnochę,—zwykle ani mu na myśl nie przyjdzie stawić sobie pytanie: jak i skąd autor zbierał rysy do owego obrazu, gdzie i w jaki sposób zaopatrzył swą paletę w barwy, które do wypełnienia konturów posłużyły. Niewtajemniczonemu w przygotowawczą robotę dziejopisarską czytelnikowi może się wydawać prawie niewątpliwém, że główny zrąb opowiadanych zdarzeń zawsze jest wzięty z jakiejś kroniki lub pamiętnika, a kolorytu fantazya autorska dostarczyła. Tém mniemaniem tłómaczy on sobie różny stopień zajęcia, jaki w nim to lub owo dzieło budzi, w tém mniemaniu szuka czasem rozwiązania zagadki: dla czego dwaj historycy rozmaicie jeden i ten sam przedmiot przedstawiają. Wtedy, mając do wyboru dwa obrazy niezgodne, przechyli się na stronę tego, który artystyczniéj jest skreślony, jeżeli on strony jego uczuciowéj nie zadraśnie,—albo téż, jeżeli przeciwny wypadek zachodzi, pójdzie za głosem sympatyi lub nałogu, a niemiły sobie obraz, o stronniczość gotów posądzić. W obu razach, popadnięcie w błąd czy uchwycenie prawdy będzie dziełem prostego przypadku.

W istocie przeczyć niepodobna, że subjektywne poglądy i uczucia autora miały po wsze wieki, jak mają dziś jeszcze, nader obszerne pole na niwie dziejopisarskiéj. Najdzielniejszy sprawdzian faktów—metoda doświadczalna, któréj nauki przyrodnicze swój olbrzymi postęp zawdzięczają, w nauce historycznéj nie może być stosowaną. Subjektywizm przeto świadomy i bezwiedny czuje się tu swobodniéj i swobodniéj gospodarzy, niźli w innych dziedzinach wiedzy. Na pierwszy, działający świadomie, nie wynaleziono dotąd

TABLICA PASCHALNA LUBIŃSKA.

Kiedy czytelnik, porwany wdziękiem stylu, plastycznością obrazów i urokiem właściwym gwarnemu życiu dawnych wieków, które talent historyka wskrzesić dla umysłu potrafił, przebiega z zajęciem karty skreślone przez takiego, naprzykład, Augustyna Thierry lub naszego Szajnochę,—zwykle ani mu na myśl nie przyjdzie stawić sobie pytanie: jak i skąd autor zbierał rysy do owego obrazu, gdzie i w jaki sposób zaopatrzył swą paletę w barwy, które do wypełnienia konturów posłużyły. Niewtajemniczonemu w przygotowawczą robotę dziejopisarską czytelnikowi może się wydawać prawie niewątpliwém, że główny zrąb opowiadanych zdarzeń zawsze jest wzięty z jakiejś kroniki lub pamiętnika, a kolorytu fantazya autorska dostarczyła. Tém mniemaniem tłómaczy on sobie różny stopień zajęcia, jaki w nim to lub owo dzieło budzi, w tém mniemaniu szuka czasem rozwiązania zagadki: dla czego dwaj historycy rozmaicie jeden i ten sam przedmiot przedstawiają. Wtedy, mając do wyboru dwa obrazy niezgodne, przechyli się na stronę tego, który artystyczniéj jest skreślony, jeżeli on strony jego uczuciowéj nie zadraśnie,—albo téż, jeżeli przeciwny wypadek zachodzi, pójdzie za głosem sympatyi lub nałogu, a niemiły sobie obraz, o stronniczość gotów posądzić. W obu razach, popadnięcie w błąd czy uchwycenie prawdy będzie dziełem prostego przypadku.

W istocie przeczyć niepodobna, że subjektywne poglądy i uczucia autora miały po wsze wieki, jak mają dziś jeszcze, nader obszerne pole na niwie dziejopisarskiéj. Najdzielniejszy sprawdzian faktów—metoda doświadczalna, któréj nauki przyrodnicze swój olbrzymi postęp zawdzięczają, w nauce historycznéj nie może być stosowaną. Subjektywizm przeto świadomy i bezwiedny czuje się tu swobodniéj i swobodniéj gospodarzy, niźli w innych dziedzinach wiedzy. Na pierwszy, działający świadomie, nie wynaleziono dotąd

stanowczego hamulca; z uprzedzeń autorskich zrodzony—w uprzedzeniach czytelników, którym schlebia, znajduje wiecznie poparcie. Z subjektywizmem bezwiednym walczy, nie bez powodzenia, metoda krytyczna i pomnożenie ogólne zasobów wiedzy ludzkiéj. O téj metodzie przeto powiemy tu kilka słów wstępnych, zanim rzecz objaśnimy na przykładzie.

Zwykle, w pracy dziejopisarskiéj rozróżniają trzy momenty, trzy kolejne stopnie: zebranie materyałów, zbadanie ich wszechstronne i ułożenie osiągniętych rezultatów w pewną skończoną formę. Najprzód trzeba się zająć ustaleniem poprawnego tekstu pomników historycznych, do czego idzie się przez porównanie wszystkich znanych rękopisów i oznaczenie genetycznego ich między sobą związku; daléj, wskazać czas, w którym powstał dany pomnik, określić jego rodzaj i cel, do którego był przeznaczony, ocenić autentyczność, wydzielić to, co jest wyłączną jego własnością, od tego, co zapożyczył zkąd inąd, wykryć źródła téj ostatniéj kategoryi, roztrząsnąć wiarogodność pierwszéj. Nowe zatém powstaną pytania: czy autor mógł wiedziéć o prawdziwym przebiegu wypadków, czy był zdolny jasno się zapatrywać na nie, czy chciał powiedziéć prawdę, lub czy nie miał interesu w jéj przekręceniu? Dla rozwiązania tych pytań, trzeba więc poznać, o ile się da, osobistość autora, jego narodowość, stosunki rodzinne, stanowisko społeczne, koleje życia, jego poglądy i wykształcenie, jego uczucia i namiętności, lata życia w których się zabrał do pisania, miejscowość w któréj wtedy przebywał, właściwość maniery pisarskiéj, wzory na które się zapatrywał, a wszystkie te szczegóły zestawić z ogólnym charakterem spółczesnéj mu epoki. Nie koniec na tém. Między pomnikami historycznemi zachodzą często sprzeczności, pozorne lub rzeczywiste: trzeba je tedy usunąć, albo wybór między niemi uczynić, albo obustronny błąd sprostować. Zwykłe, a jedyne formy rozumowania—dedukcya i indukcya—prowadzą do zamierzonego rezultatu i badanie naukowe od tysiąca rozumowań naszych codziennych w gruncie rzeczy tém się tylko różni, że jest świadome siebie, że nie krępuje się względami praktycznemi, a przystępując do roboty z większym zapasem znanych już faktów, posługuje się najwłaściwszą w danéj gałęzi nauk metodą. W badaniu historyczném, podobnie jak w sądowém przy ustalaniu prawdy faktów materyalnych, daje się pierwszeństwo świadkowi naocznemu przed tym, który powtarza tylko co słyszał; świadectwu urzędowemu przed pismem prywatném, oryginałowi przed kopią, zgodnemu twierdzeniu kilku niezależnych świadectw przed jednostkowém. Historyk nadto zaufa więcéj pomnikowi dawniejszemu niźli późniejszemu, mającemu pochodzenie pewne aniżeli temu, którego geneza

ODPIS TABLICY PASCHALNEJ LUBIŃSKIEJ

Strona główna.

1.		pruthe	
2.	XII k' maii	Boguph	
3.		succedit et	
4.	Nonā ap'lis		
5.			
6.	V k' ap'il	Ecclesia p	
7.			
8.	ı XV k' maij	Nichol	
9.		ria conl	
10.	ı VI Id' ap'l'	Translat	
11.			
12.	ıı IX k' ap'l'	Anno dm̄	a)
13.		post mar	a)
14.	Id' aprilis	campanu	a)
15.		per kaze	a)
16.	Non̄ ap'lis		
17.			
18.	ı VIII k'maij		
19.			
20.	ıı V Id' ap'l'	**constru**	b)
21.		**quarefe**	b)
22.	ııı K' ap'lis	Ecclia et	
23.		domus	
24.	XVIII k maij		

a) Ręka wieku XV.
b) Ręka wieku XIII.
Reszta ręką wieku XII.

Strona odwrotna.

oiiclensis θ 7 Bo	(1)
	(2)
ordinis pdicator nūci	(3)
colligere ab omnibus clericis	(4)
omnium ecclesiarum	(5)
	(6)
bas lubiniensis effe	(7)
	(8)
	(9)
	(10)
eps poznanien̄ θ. 7	(11)
	(12)
oznan̄ θ. 7 Bogup	(13)
	(14)
bas lubinien̄ θ z /	(15)
	(16)
omo:anis capitur z $\overset{s}{c}c$	(17)
multi occiduntur	(18)
hie duxit uxorem fili	(19)
otte θ Et eodem anno	(20)
nezditensis	(21)
episcopatum successit	(22)

Litery podkropkowane oznaczają miejsca, gdzie odczytanie nie jest pewne.

jest zagadkową, mieszkańcowi bliższemu widowni zdarzeń aniżeli bardziéj oddalonemu, człowiekowi oświeconemu niźli zabobonnemu prostakowi. Są to jednak zasady ogólne, które w praktyczném ich stosowaniu mogą ulegać rozmaitym modyfikacyom; należy się bowiem posługiwać wszelkim materyałem, korzystać z najdrobniejszych wskazówek, zachowując stosowne ostrożności, a zdobycze naukowe, w innych dziedzinach naukowych dokonane, nie mogą być spuszczone z uwagi. Przy rozważaniu faktów sfery moralnéj zadanie będzie niezawodnie trudniejszém, istota jednak metody pozostanie taż sama, zawsze bowiem chodzić będzie o wykrycie: co i jak było, jakie były przyczyny danych zjawisk, jakie z owych zjawisk wynikły skutki. Sformułowanie praw rozwoju dziejowego stanowi, przy dzisiejszym stanie wiedzy, pożądany może, ale dość jeszcze daleki postulat.

Co do konstr ukcyi historycznéj, która jest raczéj sztuką, aniżeli nauką, nad nią rozszerzać się nie będziemy, jako nad przedmiotem, przekraczającym zakres obecnego zadania naszego.

Wspomniane wyżéj momenty pracy dziejopisarskiéj badacze rozdzielają zwykle między siebie, już to z uwagi na jéj ogrom, na obfitość materyału, który z pewnéj epoki do naszych czasów się przechował, już ze względu na potrzebne do wykonania jéj przygotowanie specyalne i doświadczenie, którego się tylko przez długą wprawę nabywa, już wreszcie idąc za osobistém upodobaniem,

Bywają jednak przykłady trudów podjętych przez jednę osobę we wszystkich rodzajach i pomyślnym uwieńczonych skutkiem. Rzecby nawet można, że ktokolwiek zabiera się do konstrukcyi historycznéj, musi poniekąd sam uprzednio zbierać materyały a następnie rozebrać je krytycznie i zgłębić, zanim do ostatecznéj roboty przystąpi.

U nas zgromadzeniem i wydawnictwem pomników historycznych do dziejów przed-długoszowych zajął się zacnéj pamięci August Bielowski i w znacznéj części sam tego dokonał. Po jego zgonie Akademia umiejętności krakowska prowadzi daléj rozpoczęte przez jednego człowieka dzieło. Żeby ocenić jak należy zasługę Bielowskiego, potrzeba przypomnieć sobie owe smutne losy, jakim prawie wszystkie dawne księgozbiory i liczne archiwa w kraju naszym uległy, owo rozproszenie naszych pomników piśmiennych na ogromnéj przestrzeni Europy od Rzymu aż do Petersburga i Moskwy, konieczność zatém wielu dalekich podróży, uciążliwych dla uczonego lwowskiego, który w zasoby materyalne nie był wcale bogaty. Potrzeba było tysiące rękopisów przeczytać od deski do deski, aby jakiegoś drobnego a ważnego może dla zamglonych dzie-

jów szczegółu nie pominąć; całe setki manuskryptów odpisać; odchylać pargaminowe okładki kodeksów, dla sprawdzenia czy na ich stronie odwrotnéj nie dochowało się przypadkiem pismo, lubo na wierzchu okładki przez długie używanie mogło się zetrzéć i stać niewidzianém. O rękopisach bowiem średniowiecznych słusznie powiedziéć można: *Habent sua fata libelli.* Z świetnych kodeksów miniaturowych wycinano sobie obrazki, a wydarte karty ważnych pod względem dziejowym rękopisów pargaminowych lub dyplomata używano na okładki do książek niewiele dziś interesujących, albo wyskrobywano to, co niegdyś dawniejsza ręka skreśliła, aby z nich przygotować nowy materyał piśmienny. Bliższa wiadomość o jednym, zatraconym w podobny sposób, pomniku historycznym może nie będzie dla czytelników obojętną; pokaże im ona w jaki sposób jedne wieki zostawiały o sobie piśmienne świadectwa, jak lekkomyślnie czasem niszczono je w epokach późniejszych, wreszcie jak badanie dzisiejsze probuje wyrozumiéć uratowane przypadkiem ułamki.

Na początku XII wieku, kiedy Bolesław Krzywousty odebrał już Pomorczykom strategiczną linią Noteci, a niebawem miał się rzucić na podboje dalszego Pomorza, założony został w południowéj Wielkopolsce, niedaleko starego grodu Krzywina, klasztor dla benedyktynów w Lubiniu. W gmachach opactwa zbudowanych, zgodnie z benedyktyńskim zwyczajem, na dość wyniosłem wzgórzu, zakonnicy utrzymywali i oddawali się ówczesnym zajęciom literackim, kopiując dzieła rytualne i teologiczne, odpisując kroniki i roczniki krajowe, układając własne annale i kronikę domową, prowadząc album osób do bractwa przyjętych oraz inne zapewne księgi, jak kalendarze, nekrologi itd. Z czasem księgozbiór klasztorny uległ zatracie takiéj, że dzisiaj szczupłe tylko resztki jego pozostały i to w rozproszeniu. Jedna z nich niewiadomą drogą zawędrowała aż nad Sprewę.

Jerzy Henryk Pertz, głośny wydawca zbioru pomników dziejowych niemieckich, znalazł, jak podaje Bielowski, na okładce książki drukowanéj przylepioną kartę pargaminową, która po odklejeniu odczytaniu okazała się ułamkiem nieznanego rocznika polskiego, układanego w Lubiniu (*).

(*) Pargamin ten osobno oprawiony znajduje się w bibliotece królewskiéj w Berlinie, gdzie mu dano sygnaturę *Msc. lat. fol. 321*, i na okładce nosi obecnie tytuł: *Annalium Lubinensium et Necrologii fragmenta saec. XIII.* D. T. Wojciechowski, wspominając o zniszczeniu rękopisu w XVI wieku i użyciu go na okładkę, powiada: „Było w tém działanie świeżego renesansu, dla którego poświęcono w klasztorze dawny pomnik średniowiecznego pisma.“ Gdybyśmy słowo *renesans*, odrodzenie, brali w literalném a za-

Bielowski, który oglądał ten pomnik w r. 1857, powiada, że *„na drugiéj połowie téj karty* spisane było nekrologium czyli kalendarz; pismo atoli jego tak jest zniszczone, że ledwie pojedyńcze słowa lub zgłoski gdzie niegdzie można rozpoznać.“ Odpisał jednak, co się odczytać dało, i drukując w roku 1878 Rocznik Lubiński, pomieścił w kilkuwierszowym przypisku, dłużéj się nad tym całkiem niemal zniszczonym fragmentem nie zastanawiając.

Dopiéro autor „Chrobacy,i“ dr. Tadeusz Wojciechowski w pracy swéj o rocznikach polskich, ogłoszonéj w ośm lat potém, zwrócił na ten ułamek uwagę. Rozpatrując się w tych oderwanych wyrazach i głoskach z właściwą sobie bystrością, dostrzegł, że znajdujące się w liczbie dwunastu daty dzienne i miesięczne nie następują po sobie w porządku, jak by to być musiało w kalendarzu; że skacząc naprzód lub cofając się wstecz kilkakrotnie, zawsze jednak przypadają wszystkie tylko na marzec i kwiecień, a więc na te miesiące, któremi się ogranicza ruchomość święta wielkanocnego. Opierając się na tém spostrzeżeniu, wpadł na myśl, że karta pargaminowa może być częścią tak zwanéj tablicy paschalnéj, księgi niezbędnie potrzebnéj w każdym klasztorze średniowiecznym, gdyż podawała na długi szereg lat datę wielkanocną w każdym z kolei roku, od któréj cały ruchomy kalendarz kościelny zostaje w zawisłości. Tablice paschalne, owoc najobszerniejszego rachunku chronologów średniowiecznych, zawierały początkowo ośm rubryk, którą to liczbę stopniowo zmniejszano, aż w końcu poprzestano na dwóch: pierwszéj z latami kolejnemi, drugiéj z właściwym dniem wielkanocnym. Na pozostałym, a coraz szerszym brzegu kart tablicy zapisywano w krótkości zdarzenia zaszłe w tym lub owym roku. Niekiedy, dla braku miejsca i z powodu kosztowności pargaminu, na wolnych polach lat ubiegłych, co do których tablica paschalna nie miała już znaczenia praktycznego, zaciągano wypadki późniéj zaszłe, i w ten sposób powstawały zbiory notatek, które potém zaczęto odpisywać

---

razem i ogólniejszém znaczeniu, nic by przeciw tému powiedziéć nie można, gdyż byłoby to stwierdzeniem powszechnego prawa natury, że rozkład jednych kształtów materyi daje początek nowym jéj formom. Jeżeli jednak wyraz *renesans* przyjmiemy w tém znaczeniu, jakie mu nadaje się w historyi, to zdania wyżéj przytoczonego nie możnaby było uznawać za charakterystykę, właściwą niby wyłącznie epoce odrodzenia. Odkrycie licznych palimpsestów przekonało, że i w średnich wiekach nie cofano się przed wyskrobywaniem dzieł poetów i historyków starożytnych dla ponownego użycia pargaminu na inne cele. W czasach późniejszych kamienie grobowe zmieniano w prosty materyał budowlany, pomnik jednego z opatów Łysogórskich przepiłowano i obrócono na progi, a w zeszłym wieku maryacki ołtarz Wita Stwosza omal że nie został zniszczony dla zrobienia miejsca jakiemu wymuszonemu potworowi baroka.

w oddzielne roczniki, stanowiące pierwszy zawiązek dziejopisarstwa średniowiecznego.

Jeżeli zatém domysł dra Wojciechowskiego co do rodzaju naszego pomnika był słusznym, należało: 1) przekonać się czy podane w nim daty dzienne znajdują się w tym samym porządku istotnie w cyklu paschalnym i na jakie lata przypadają—i 2) przypuścić, że przed datami dziennemi stały daty roczne, tworzące rubrykę pierwszą tablicy paschalnéj, o któréj Bielowski nie wspomniał. Badanie szczegółowe, jakie w tym celu podjął autor „Chrobacyi," doprowadziło go do wniosku, że daty paschalne odpowiadają ciągowi lat dwunastu 1169—1180, że więc sam pomnik należy do XII wieku, oraz że w tekście wydrukowanym przez Bielowskiego znajdują się rzeczywiście ślady dat rocznych. Na téj podstawie spróbował częściowo odbudować zniszczony pomnik, którego nie miał sposobności oglądać w oryginale, aby przez to tém wyraźniéj charakter jego uwidocznić. Jest to jeden z najzręczniejszych pomysłów naszego uczonego. Wprawdzie, dla dokonania rekonstrukcyi, trzeba było w kilku miejscach dodać litery brakujące, które uledz mogły zatarciu, a w jedném przypuścić, że Bielowski mylnie odczytał „III Id. apl" zamiast *VI Idus Aprilis*; ale stan zniszczenia, w jakim się pargamin znajduje, usprawiedliwiał to przypuszczenie w wysokim stopniu. Nie mniéj jednak było to słabą stroną tak trafnie pomyślanéj hipotezy.

W tę właśnie stronę zwrócił swą krytykę dr. W. Kętrzyński (*Przewodn. nauk. i liter.* 1882, str. 864). W zasadzie przyznał słuszność wniosku, że mniemany nekrolog jest rzeczywiście tablicą paschalną, odrzucił jednak przyznaną jéj przez dra Wojciechowskiego epokę chronologiczną. Mając pod ręką kopią własnoręczną pomnika, odpisaną przez Bielowskiego, p. Kętrzyński przekonał się, że w drukowanym tekście zachodzi w jedném miejscu omyłka tego rodzaju, iż końcowe cyfry daty rocznéj podane zostały jako data dzienna. Nadto, na odpisie Bielowskiego zaznaczone było, że oryginał pochodzi z XIII wieku, nie zaś z XII, jak to p. Wojciechowski przyjmował. Chodziło więc jeszcze o to, aby sprawdzić, czy daty wielkanocne w takiéj saméj kolei przypadały kiedy w ciągu XIII stulecia. Jakoż, okazało się, że daty tablicy paschalnéj, z wyjątkiem jednéj, dokładnie zgadzają się z latami 1264—1275. Pomnik więc byłby o lat sto późniejszy, aniżeli według pierwszego przypuszczenia, a takie określenie jego chronologiczne tém więcéj budziło zaufania, że usuwało potrzebę wprowadzania licznych poprawek, które dr. Wojciechowski proponował. Biorąc za podstawę wyszczególnione powyżéj lata, p. Kętrzyński usiłował wyrozumieć znaczenie rozrzuconych wyrazów i liter i podał przypuszczalne

brzmienie pięciu zapisek rocznikarskich, mających obok siebie daty. Odczytane zapiski służyły poniekąd nawzajem do stwierdzenia dat przez niego wskazanych. Posunął się więc dalej, pragnąc uzupełnić i takie zapiski, obok których daty wcale się nie dochowały, a takich jest cała druga połowa. Rzecz oczywista, że tutaj z daleko większemi przyszło łamać się trudnościami, wszelako i tu nasz historyk spróbował odtworzyć i zaopatrzyć datami dwie zapiski, które z poprzednio odgadniętemi zdawały się chronologicznie wiązać, pomimo zachodzącéj między jednemi a drugiemi przerwy.

Tak pomyślnie zrobiony początek przez dwóch uczonych lwowskich, stanowił niemałą pokusę do dalszego badania nawet i dla mniéj do tego rodzaju pracy powołanych. Piszący te słowa nie umiał się oprzéć téj pokusie, i biorąc za wskazówkę streszczone wyżéj objaśnienia, zapragnął wydrukowane w jednym ciągu szczątki złożyć w ustępy wierszowe, a tym sposobem przywrócić im postać i układ istniejący w oryginale. Pierwsza połowa tablicy, w któréj się mieściły wszystkie daty, nie przedstawiała trudności, widoczna bowiem było, że gdy na każde dwa wiersze zapisek marginesowych przypadała jedna data, przeto i daty, obok których nie było żadnéj notatki, musiały tylko co drugi wiersz się znajdować. Na téj to podstawie dr. Wojciechowski oparł swą rekonstrakcyą pomnika. W drugiéj jednak połowie, całkiem dat pozbawionéj, co krok przedstawiały się wątpliwości, zwłaszcza po ostatniéj z odgadnionych przez dra Kętrzyńskiego zapisek. Przypuściwszy nawet, że i w dalszym ciągu, tak jak to było na początku, daty co drugi wiersz się mieściły, niepodobna było odgadnąć jakieby do nich wiersze zapisek przydzielić, bo niekoniecznie każda data potrzebowała mieć zapiskę, skoro i w pierwszéj połowie tablicy nie każdéj dacie towarzyszyła zapiska. Z drugiéj strony, nie było pewności, czy owym datom rzeczywiście brakowało zapisek, czy tylko skutkiem zatarcia Bielowski odczytać lub dostrzedz ich nie mógł. Tym sposobem brak dokładnego opisu paleograficznego, który już dra Wojciechowskiego zmuszał do postawienia całego szeregu pytań i wątpliwości, pozostających bez odpowiedzi, udaremniał wszelkie usiłowania. Ponowne obejrzenie i opisanie postaci zewnętrznéj oryginału było przedewszystkiém konieczne. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności podróż do Berlina, w końcu zeszłego roku przedsięwzięta przez jednego z uczonych, znanego z chętnéj innym pomocy w pracach naukowych, dawała nadzieję, że wyżéj wskazanéj potrzebie stanie się zadosyć. Senator R. Hube obejrzał naszą tablicę, oznaczył jéj wymiary, wskazał, że tekst mieści się po obu stronach karty, że strona główna jest liniowana i zawiera 24 linie, że dwa-

naście dat na niéj pisane jest cynobrem, a trzynasta od góry odcięta; wreszcie wypisał ze strony głównéj 9 a z odwrotnéj 14 wierszy, z zachowaniem skróceń i odstępów takich jak w oryginale. Nadto otrzymał od uczonego J. Waitza przyrzeczenie, że o zupełny odpis postara się i do Warszawy prześle. Na spełnienie obietnicy nie długo czekać przyszło. Sporządzony przez dra Franckego opis, p. Waitz osobiście sprawdził i w kilku miejscach sprostował, a użycie odczynnika chemicznego pozwoliło mu niektóre wiersze dopełnić. Wreszcie, zaznaczono litery, których odczytanie nie było pewném i wyróżniono na stronie głównéj w wierszach 12—15 rękę XV wieku, w wierszach 20—21 rękę XIII, odnosząc resztę pisma do XII stulecia.

Odpis nadesłany z Berlina nie zamierzał wszelako być podobizną oryginału: ma większe wymiary aniżeli pargamin berliński i po większéj części nie zachowuje skróceń, ale podaje wyrazy tak jak odczytane były. Zacieśniwszy go do wymiarów oryginalnych i przywróciwszy skrócenia według tekstu, drukowanego w *Monumentach* Bielowskiego, oraz notatek senatora Hubego, można było odtworzyć jeśli nie facsimile, to przybliżony obraz szematyczny tablicy paschalnéj, który na dołączonéj litografii podajemy (*).

Owa, wedle wyrażenia Bielowskiego, *druga połowa karty pargaminowéj* okazuje się paskiem tylko około dwóch cali szerokim a siedm cali długim, z jednego brzegu u góry cokolwiek zwężonym, jak wnosić można z linii kropkami zaznaczonéj na odpisie dra Franckego. Pasek ten zajmował niegdyś środek karty, idąc z góry na dół, ale nie stanowił środka jéj matematycznego. Jeżeli zwrócimy uwagę na stronę główną, odrazu dostrzeżemy, iż wycinek więcéj był zbliżony do lewego krańca karty, gdzie ona była zapewne zszytą z innemi, aniżeli do prawego, to jest do brzegów książki. Dla tego na lewym krańcu brakuje mu tylko dat rocznych, których ostatnie cyfry znalazły się nawet na naszym pasku; od krańca prawego karty oddzielał go szerszy pas pargaminu, dający obszerniejsze miejsce do zaciągania zapisek rocznikarskich. Odpowiednio temu, gdy odwrócimy kartkę na drugą stronę, większy brak okaże się od lewéj ręki, niźli od prawéj, i to może nam wyjaśnić, dla czego tu dat ani rocznych ani dziennych nie znajdujemy. Te uwagi pozwalają wnosić, że szerokość całéj karty wynosiła około 6 cali.

Od góry, jak już senator Hube zauważył, odcięto jeden wiersz z datą; u dołu, jak się zdaje, niczego nie brakuje.

(*) U dołu jéj powtórzono uwagi paleograficzne, poczynione w Berlinie. Nadmieniamy tu, że w wierszu pierwszym strony odwrotnéj, na litografii, głoski początkowe są zanadto skupione, a wolne miejsce w środku tego wiersza—zbyt wielkie.

Przypatrzmy się teraz każdéj zapisce z kolei.

Na stronie głównéj, w wierszu odciętym musiał znajdować się rok 1263 i data wielkanocna *Kal. Aprilis*, skoro niżej w wierszu 2 data paschalna odpowiada rokowi 1264. Z dochowanych w wier. 1 głosek *pruthe* p. Kętrzyński wniósł słusznie, że to była zapiska o najeździe Prusaków, o którym Kronika Wielkopolska, tak zwana Paska, istotnie pod r. 1263 wspomina, i przypuszcza on, że zapiska brzmiała: *Pratheni vastant castellaniam Loviciensem.* Ponieważ jednak każda zapiska zaczyna się w tym samym wierszu, w którym stoi data, w tém miejscu zatém poczynać się musiała w wierszu odciętym i szyk wyrazów przyjąćby należało raczéj taki: *Castellaniam Loviciensem* (*et multas villas?*) *Prutheni vastant*, co i do redakcyi w Kronice Wielkopolskiéj więcéj byłoby zbliżone.

W wierszu 2 był rok 1264, a pozostałe tu i w następnym wierszu wyrazy uzupełnia p. Kętrzyński tak: *Boguph*(*alus eps Posnaniensis obiit et Pietrzyco*) *succedit et* (*Phalenta*). Ze względów chronologicznych nic przeciw temu powiedzieć nie można. Wprawdzie zdawałoby się z pozoru, że Kronika Wielkop. odnosi śmierć biskupa Boguchwała do r. 1263, skoro jednak wybór jego następcy, Pietrzyka, podaje 25 stycznia 1265, a Boguchwał umarł z 16 na 17 grudnia, to oczywista, że zgon nastąpił w 1264, i że w odpisach kroniki zaszła pomyłka, może skutkiem opuszczenia jakiego rozdziału, o wypadkach z r. 1264; tém łatwiéj zaś to przypuścić można, gdy rękopisy co do ilości i porządku rozdziałów w tém miejscu nie są z sobą zgodne, dwa z nich bowiem kładą rozdział 144 przed 143, a w dwóch innych kodeksach oba rozdziały opuszczono. Co do domyślnego brzmienia jednak końca zapiski: *et Pietrzyco succedit et Phalenta*, zachodzi wątpliwość i stylistyczna (sukcesya t. j. następstwo dwóch osób łącznie) i rzeczowa, gdyż Falenty kapituła ani wybrała, ani uznać chciała, nie otrzymał on téż potwierdzenia w Rzymie. Może więc zapiska brzmiała inaczéj: *et Pietrzyco succedit et recessit a iure suo* (cf. wyrażenie w Mon. Pol. hist. II. 590, kol. II, wiersz 2).

Wiersz 4 ma tylko datę dzienną odpowiadającą rokowi 1265, a wiersz 5 zupełnie jest niezajęty. W wierszu 6 obok daty, wskazującéj rok 1266, według Kętrzyńskiego stało: *Ecclesia p*(*oznaniensis*) *exusta est*, który to wypadek w Spominkach Poznańskich zapisany jest pod r. 1265 (M. P. h. III. 52), zaś w Roczniku Wielkop. pod r. 1267, gdzie jednak mylnie i elekcyę Pietrzyka pomieszczono. Środkujący zatém między temi datami rok 1266 ma za sobą prawdopodobieństwo.

Wiersz 7 jest zupełnie pusty. Zapiskę w wierszu 8 i 9, obok roku 1267, Bielowski i Francke odczytują zgodnie: *Nichol....ria cons*, a skoro Waitz tylko ostatnią literę, podobną i do głoski *l*, zaznaczył jako wątpliwą, potwierdzając tém samém resztę, wypadnie lekcyą proponowaną przez Kętrzyńskiego: *Nichol(aus in episcopum Posnaniensem Vite)rbii cons(ecratur)*, cokolwiek zmienić na: *Nicholaus in episcopum poznaniensem in romana curia consecratur.* (Wyrażenie *curia Romana* kilkakrotnie jest użyte w M. P. h. II. 590—591). Rzeczywiście, bulla konsekracyjna, wydana dla biskupa Mikołaja, napisaną została 22 maja 1267 r.

Wiersz 10, w którym Kętrzyński czyta: *Translat(io s. Hedvigis)*, nie rodzi żadnéj wątpliwości, bo ta ceremonia odbyła się istotnie w 1268 roku. W odpisie Franckego jest właściwa data *VI Idus April.*

W wierszu 11 nie ma żadnéj zapiski. Wiersze 12—15 przypadające na lata 1269 i 1270, pierwotnie oprócz dwóch dat nic więcéj nie obejmowały, a dopiero ręka XV wieku zaciągnęła tu zapiskę, która nie do owych lat się odnosi, miała bowiem swoję własną datę, szkoda że odciętą. Jeżeli wyrazy w 15 wierszu *per kazi*, jak u Bielowskiego, albo *per kaze* jak odpisał Francke, będziemy czytali: *per Kazimirum*, to notatka odnosić by się mogła do czasów króla Kazimierza Jagiellończyka; gdyby przytém sylaba *mar*, w wierszu 13, oznaczała Marienburg, możnaby przybliżoną datę wskazać na lata 1457 i 1460, w których zamek a potém miasto Malborg poddało się królowi. Długosz opowiada o radości, jaką w Krakowie wiadomość o zajęciu zamku wywołała. Owóż, skoro wiemy, że w r. 1462 kościół klasztorny w Lubiniu był poświęcony (Archiw. teolog. 1836 r. t. I, str. 188), co zapewne stało się w następstwie jakiejś restauracyi lub odbudowy, czyżby nie można przypuścić, że król uradowany powodzeniem na krzyżakach odniesioném, ofiarował klasztorowi dzwony, ślad czego w wyrazie *campan(e)* w wierszu 14 zdaje się istnieć?

Wiersze 16—19 mają tylko dwie daty (z lat 1271, 1272). W następnych dwóch wierszach, odpowiadających rokowi 1273, znajduje się fragment notatki odmiennném od obu poprzednich pismem, które znawca berliński przyznaje ręce XIII wieku. Bielowski czytał w wierszu 21: *qua refer*, senator zaś Hube równie jak dr. Francke widzieli tylko *qua refe.* Notatka obejmowała prawdopodobnie wiadomość o jakiejś budowli klasztornéj i brzmieć by mogła tak: *Constru(cta est curia abbatialis, in) qua refe(ctorium fratrum).*

Pod rokiem 1274, czyli w wierszach 22 i 23 ukazuje się znowu pismo, przyznane przez Franckego ręce XII wieku. Bielowski odczytał tu tylko *lectio*, Hube *Ecclia* czyli *ecclesia*, Waitz

zaś *Ecclia et....domus.* Jeżeli tu mowa o katedrze poznańskiéj, to znaczenia téj zapiski szukać może wypada w fakcie zapisanym w Spominkach Pozn. pod r. 1274: *Teutonici Poznaniam comburunt* (M. P. h. III. 52).

Wiersz 24 czyli ostatni na stronie głównéj, zawiera samę tylko datę, przypadającą na rok 1275.

Przechodząc z kolei na stronę odwrotną, tracimy wskazówkę, któréj nam dotąd udzielały daty paschalne. Nową trudność stanowi to, że strona odwrotna nie jest liniowana, gdyż ani senator Hube, ani paleografowie berlińscy nie dostrzegli na niéj linij. Mniemaćby można, że albo tablica paschalna na roku 1275 kończyła się, i dla tego późniéj, jako już nieużyteczna, posłużyła za miejsce do zaciągania notat rocznikarskich, albo téż, że tak była ułożona, iż rubryki paschalne pomieszczano tylko na stronach głównych każdéj karty, strony zaś odwrotne pozostawiano czyste i na nich prowadzono w dalszym ciągu rocznik. Na stronie odwrotnéj jednak naszéj karty nie można dopatrzéć się żadnego systemu w zapisywaniu notatek. Gdyby daty stały jak na stronie głównéj, to jest co drugi wiersz, i gdyby były chronologicznie dalszym ich ciągiem, to rok 1276 przypadłby na wiersz odcięty u góry, rok 1277 na wiersz (2), tymczasem zapiska poczyna się dopiero w wierszu (3); rok 1278 na wiersz (4), rok 1279 na wiersz (6), który pusto pozostawiony, kiedy zapiska, którą dr. Kętrzyński do r. 1279 odnosi, stoi w wierszu (7). Rok 1280 przypaśćby winien na wiersz (8) a rok 1281 na wiersz (10); tymczasem oba są niezajęte, a dopiéro w wierszu (11) jest zapiska o zgonie biskupa poznańskiego, którą Kętrzyński pod r. 1280 kładzie, rozumiejąc tu biskupa Jana, lubo wtedy tylko o śmierci jego poprzednika, Mikołaja, mowa tu być by mogła. Jeżelibyśmy zaś przypuścili, iż dat kolejnych wcale nie było, i dopiéro przy zaciąganiu każdéj odzielnéj zapiski rocznikarskiéj kładziono właściwą jéj datę, to trudno byłoby zrozumiéć, dla czego jednę zapiskę od drugiéj oddzielają puste a niejednakowéj obszerności ustępy. Czyżby zniszczenie pisma było w tych miejscach tak zupełne, że i odczynniki chemiczne dra Waitza nie mogły go uczynić widzialném? lub czyli te odczynniki wcale w tym miejscach nie były użyte?

By wybrnąć z tych wątpliwości, szukajmy innéj wskazówki.

Przy pierwszém spojrzeniu na stronę odwrotną tablicy, uderza w oczy odrazu znaczna stosunkowo liczba, bo aż w sześciu zapiskach, wiadomości o zmianach dostojników kościelnych, a wśród nich zwracają uwagę sylaby *Bo* i *Bogup.* Około lat 1279 i 1280, które przyjmuje w swéj rekonstrukcyi dr. Kętrzyński, nie znajduje-

my ani na obu katedrach wielkopolskich, ani na opactwie Lubińskiém osób z imionami, któreby tym sylabom odpowiadały. Trzeba ich zatém szukać wcześniéj, około środka XIII stulecia, bo tylko tam napotkamy je dwukrotnie.

Z tą nicią Ariadny rozważmy każdą zapiskę poszczególe.

W końcu wiersza (1) Bielowski i Hube czytają: *Et Bol*, u Franckego jest tylko: *et Bo*. Zapiska obejmuje wiadomość o czyjejś śmierci i o osobie, która jéj miejsce zajęła. Można by więc domyślać się tu notatki brzmiącéj: (*Paulus episcopus pozna*)*niensis obiit et Bo*(*guphalus succedit*), co zaszło około r. 1242 (*).

Wiersz (2) jest pusty. Trzy następne wiersze w ten sposób uzupełniamy: (*Venit Godefredus*) *ordinis predicatorum nuncius* (*dni. pape, missus quintam partem*) *colligere ab omnibus clericis* (*in Polonia, de redditibus*) *omnium ecclesiarum*. Godfred był dwa razy kolektorem w Polsce: 1248 (MPh. II. 566, 805; III. 15.168.169) i w r. 1276 (Synopsis legator. Wierzbowskiego). Z tych dwóch dat, prawdopodobniéj, że tutaj zapisana była pierwsza, jako znana wielu naszym rocznikom, aniżeli druga, o któréj żaden z nich nie wspomina.

Wiersz (6) nic nie zawiera. W wierszu (7) jest wiadomość o ustanowieniu nowego opata w Lubiniu. Imienia jego odgadnąć niepodobna, gdyż z czasu między latami 1246 a 1257 nie dochowało się żadnych o tutejszych opatach szczegółów. Dr. Kętrzyński, domyślał się tu opata Floriana i kładzie rok 1279, o czém już wspomnieliśmy.

Wiersze (8), (9) i (10) są puste. W wierszu (11) zapisana wiadomość o zmarłym biskupie poznańskim i zapewne o wyborze następcy jego. P. Kętrzyński rozumie, że tu pod rokiem 1280 mowa jest o śmierci Mikołaja. Wszelako dałoby się to miejsce uzupełnić tak:

(*) Nie mamy ani autentycznéj daty śmierci Pawła, ani ściśle wskazanego początku rządów Boguchwała II. Ostatni akt Pawła spisany był 17 sierpnia 1238 (kod. Wielkopols. Nr. 212). Akt Odonicza z 25 kwietnia r. 1239, w którym Pawła wymieniono jako świadka (l. c. Nr. 218), uznany został przez dra Piekosińskiego za podrobiony; innego rodzaju wzmianka z r. 1239 znajduje się wprawdzie w akcie autentycznym, ale nie ma oznaczonego dnia (l. c. Nr. 595). Akt z 30 września 1240 r. w którym Paweł świadkuje (Nr. 222), z wielu względów jest wątpliwym, a zostaje w sprzeczności z aktem 21 lipca 1240 r. gdzie już występuje Boguchwał (Nr. 224). Jeżeli od daty śmierci Boguchwała cofniemy się wstecz o lat 10 i 26 tygodni, gdyż tyle czasu rządy jego trwać miały (MPh. II, 570; III. 19), to początek tych rządów przypadłby na dzień 11 sierpnia 1242. Tymczasem w akcie wydanym w kwietniu tegoż roku Boguchwał ukazuje się jako biskup (kod. Wielkop. Nr. 232). W obec tych sprzeczności, wolimy trzymać się obrachunku podanego w kronice wielkopolskiéj, który już ze względu na niezwykłą swą ścisłość zdaje się zasługiwać na zupełną wiarę.

(*1253 Boguphalus*) *episcopus poznaniensis obiit et* (*Petrus eligitur*), i w téj postaci wolimy je tutaj przyjąć, stosując to do zgonu Boguchwała II.

W wierszu (12) nic niema. Wiersz (13) notuje śmierć jakiegoś dostojnika poznańskiego oraz imie *Bogup*...., zapewne następcy. Przypuszczamy zatém takie brzmienie zapiski: (*1254 Petrus episcopus p*)*oznaniensis obiit et Bogup*(*halus eligitur*). Byłby to Boguchwał III z Czérnelina.

Wiersz (14) jest niezapisany. W wierszu (15) zaciągnięto zgon: opata Lubińskiego i zapewne imię jego następcy. Zmarłym był prawdopodobnie ten, którego początek rządów zanotowano wyżéj w wierszu (7), następcą zaś jego mógł być Jakób, któregc w dokumentach pierwszy raz spotykamy w marcu 1257 r.

Wiersz (16) nic nie zawiera. Wiersze (17) i (18) tak uzupełniamy: (*1255 castrum Nakel a P*)*omo*(*r*)*anis capitur et circa* (*idem castrum de militibus Pomoranis*) *multi occiduntur*. (Cf. MPh. II. 574).

W wierszu (19) stało zapewne: (*1258 Boleslaus dux Polo*)*nie duxit uxorem fili*(*am regis Hungarie*).

Wiersze (20), (21) i (22) mogłyby mniéj więcéj tak brzmieć (*1258 Fulco archiepiscopus, vir honeste vi*)*te obiit. Et eodem anno* (*eligitur dominus Janussius prepositus g*)*nezditensis*, (*et consecratus in curia Romana, in archi*)*episcopatum successit*. (Cf. MPh. II. 582—583; III. 32—33). Może to trochę niezgrabne, ale pono blizkie prawdy.

Tak więc nić Ariadny, którą sobie wybraliśmy, posłużyła, jak widzimy, za wiernego przewodnika w odczytywaniu całéj strony odwrotnéj i podstawianiu zapiskom wykładu zgodnego z wiadomościami, których dostarczają inne zabytki historyczne. W dwóch tylko miejscach (wiersze 7 i 15), gdzie mowa o opatach Lubińskich, nie byliśmy w stanie poprzéć naszych domysłów stanowczemi dowodami, z powodu braku odpowiednich wskazówek; ale téż żaden znany zkąd indąd fakt przeciw tym domysłom nie walczy, a nadto, co do zapiski w wierszu (15) znaleźliśmy pośrednie niejako poparcie w dyplomatach.

Taki wynik badania przybrał w oczach naszych ten stopień pewności, że ośmieliliśmy się przedstawić go na sąd krytyki, jakkolwiek łatwo dopuszczamy, iż podane wyżéj odczytanie może w szczegółach drugorzędnych być przez znawców sprostowane.

Ponieważ wykazaliśmy już, że związanie chronologiczne strony odwrotnéj ze stroną główną nie daje się ściśle uskutecznić, ponieważ nadto proponowane przez nas odczytanie zapisek strony odwrotnéj nie sprzeciwia się w niczém porządkowi chronologicznemu właściwemu rocznikom, i z rocznikami w kilku miejscach wykazuje pokrewieństwo widoczne, przeto dwie lekcye dra Kętrzyńskiego, od-

niesione do lat 1279 i 1280, nie dadzą się utrzymać, a cała strona odwrotna uznana być musi za pomnik historyograficzny nie zależny od tablicy paschalnéj, za nieznany dotąd Rocznik Lubiński, a raczéj za nieznaną część jego obejmującą środek XIII wieku, mianowicie od roku 1242 (?) do 1258. Część ta zajmie co do czasu środkowe miejsce między Rocznikiem Lubińskim, ogłoszonym przez Bielowskiego, a zapiskami annalistycznemi, znajdującemi się na tablicy paschalnéj. Potrzeba by jeszcze przekonać się ostatecznie, czy puste obecnie odstępy istniały od początku, czy téż są skutkiem wytarcia pisma, potrzeba by obejrzeć troskliwie wszystkie książki z biblioteki klasztornéj pochodzące, a może znalazłby się jaki odcinek téj saméj lub innych kart rocznika, który godzien jest uwagi i ze względu na wiadomości, jemu tylko właściwe, i ze względu na to, że jest oryginałem. Zresztą, ocenienie stosunku tego nieznanego pomnika do innych naszych roczników pozostawiamy specyalistom.

Paleograficzna wskazówka dra Franckego na rękę jakoby XII wieku nie może osłabiać pewności naszego wniosku, skoro stanęła podobnież w sprzeczności z zapiskami trzynastowiecznemi na stronie głównéj, które są matematycznie pewne. Sprzeczność tę możnaby zresztą wytłómaczyć sobie w ten sposób: że jakiś mnich, który się uczył pisać w XII wieku, przybył w młodych latach do opactwa Lubińskiego, tu w szkole klasztornéj został mistrzem rzadkiéj w owych czasach i okolicach sztuki kaligraficznéj, a jednemu ze swych uczniów tak zdołał wykształcić rękę, że ten w zupełności charakter pisma swego mistrza przejął i zachował przez całe życie. Ów zdolny uczeń, kreowany późniéj na pisarza ksiąg klasztornych, mógł nawet w drugiéj połowie XIII stulecia pisać roczniki charakterem przypominającym wiek XII.

Stanęliśmy u końca; ale czy u celu? O tém niech zawyrokują dwaj badacze, którzy pierwsi torowali drogę do rozpoznania naszego pomnika.

St. Ł.

MACHINA SŁONECZNA.

Z sił natury najłatwiéj było człowiekowi podbić pod swą władzę rzeki i wiatr; młyny wodne i wietrzne, statki żaglowe i t. d. należą do najdawniejszych wynalazków ludzkości. Ale pomimo niezmiernie świetnych kart, które nam przedstawia historya wynalazków, pomimo prawdziwie zdumiewających postępów na polu nauk fizycznych, pozostał dotąd niezużytkowanym dla celów praktycznych największy zbiornik siły, ostatnie źródło i przyczyna prądów powietrznych i wodnych, źródło wszelkich ruchów i życia na ziemi, jedném słowem — promienie słońca naszego.

Lecz czy możliwe jest zużytkowanie téj siły? Czy uzasadnionym jest ten prawdziwie prometeuszowski zamach na ogień prototypu bogów?

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, iż nie. Słońce już istniało, gdy pierwszy człowiek na świecie się pojawił, a od owego czasu patrzy na nie tyle pokoleń, tyle genialnych umysłów, że trudno przypuścić, aby ktoś nie wpadł na sposób spożytkowania jego siły, gdyby to było tylko rzeczą możliwą. Powyciągano z głębi ziemi tyle ciał nowych, poodkrywano nowe źródła siły i sposoby doskonałego ich zużytkowywania, więc miałżeby umysł ludzki być tylko wobec téj siły, która mu się codzień natarczywie nastręcza, leniwym lub niedołężnym? — Nie! Więc niejeden gotów byłby przypuścić, iż w saméj naturze rzeczy leży niemożliwość.

Wniosek taki, napozór zasadny, nie byłby słusznym. Patrzyliśmy od wieków na zjawiska elektryczne, pomiędzy innemi na jeszcze większy może efekt, niż słońce, sprawiające błyskawice, a jednak poznanie i zastosowanie zjawisk elektrycznych datuje się od niedawnego dopiero czasu i pomimo szybkich postępów dotąd jest jeszcze w kolebce. Jeden z najużyteczniejszych metalów, niczém niedający się w pewnych razach zastąpić glin, odkryty został do-

piero w bieżącym wieku, a i dotąd otrzymuje się w małych ilościach, choć ruda jego (glina) jest najdawniéj znaną i najbardziéj ze wszystkich rud rozpowszechnioną. I wogóle możnaby przytoczyć mnóstwo przykładów sił i materyałów, leżących tuż pod ręką, a długo nie mających żadnego lub prawie żadnego zastosowania, których jednak spożytkowanie dla celów praktycznych, jak nas te same przykłady pouczają, nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego. Daleko racyonalniéj postąpimy, jeśli przyjmiemy, że dla tego dotąd bezpośrednie ciepło słoneczne nie znalazło odpowiedniego zastosowania, że nauka się tą kwestyą prawie nie zajmowała, że tylko wyjątkowo i to bez warunków stosownych, zwracano na nią uwagę.

Biorąc rzecz ściśle, nauka kroczy po prostéj i dość oświetlonéj drodze dopiero od początku bieżącego wieku. Dopiero za naszych czasów uczeni idą zwartą kolumną, jak żołnierze do szturmu, na zdobycie prawd wszechświata. Jeden drugiego wspomaga, jeden drugiego wspiera, a krytyka wzajemna odłącza prędko ziarno od plewy. Dawniéj badania przyrodnicze były zjawiskami odosobnionemi, najczęściéj bez żadnego związku występującemi. Trzeba czytać Basiliusza Valentina, którego studyowano jeszcze w XVIII wieku, aby się przekonać, że odskok pomiędzy chemią dawniejszą a współczesną, między metodą badania starą a nową, jest takim, jeśli nie większym, jak różnica cywilizacyi naszéj od stanu umysłowości ludów pierwotnych. Owe rzadkie dawniéj odkrycia i wynalazki robiono niemal przypadkowo i najczęściéj nawet po dokonanéj pracy uczony nie wiedział, jaką drogą doszedł do szczęśliwego rezultatu.

Nauka, tak jak religia, ma swój początek mistyczny, atmosferą tajemnic poezyi religijnej owiany. Zabieramy się teraz do nauki jako do czegoś prostego, zwyczajnego, jako do *profanum*. Dawniéj tego nie znano, dawniéj duch ludzki brał się z obawą do tajemnic, strzeżonych jako swe największe dobro przez bogów, i nieprzewidując dróg, jakie do ostatecznych tajemnic prowadzą, rzucał się na nie odrazu, myśląc że za łaską boską z łatwością odkryje eliksir życia lub przemianę metali i mając w ręku główną tajemnicę, zapanuje nad wszystkiemi tajnikami natury, będzie bogiem, któremu wolno zmieniać porządek wszechświata.

Ztąd też w całéj dawniejszéj historyi nauki widzimy gonitwę, za czémś niezwykłém, mistycznóm, gonitwę, wobec któréj zgodnie z jednym z dziwnych rysów natury ludzkiéj, wszelka powszedniość była rzeczą niewartą badania. Wyborny tego przykład mamy na zoologii: w ówczesnych podręcznikach było mnóstwo wiadomości (fałszywych) o słoniach, pytonach, feniksach, lwach, o europej-

skich zaś zwierzętach prawie że nie wspominano. Kierunek alchemiczny i jatrochemiczny—w chemii, astrologiczny—w astronomii, wojenno-monarchiczny—w historyi, są tegoż samego faktu objawem.

Nie dość na tém. Od kwestyi siły słońca trzymała uczonych zdala nie tylko powszedniość ale i brak potrzeby oraz gruntu odpowiedniego. Potrzeba — jak mówi słuszne przysłowie — jest matką wynalazków. Ona to daje bodziec badaniom i zastosowaniom. Lecz czyż potrzebném było zastosowanie ciepła słonecznego w czasach, gdy w krajach uprawiających wiedzę fizyczną opał był prawie tak tanim jak woda i powietrze? A choćby nawet był tak drogim jak teraz, to jednak wynalazek podobny dopóty nie przedstawiał większéj wagi, dopóki nie nauczono się zamieniać ciepła na ruch, dopóki nie wynaleziono machiny parowéj. Wynalazkowi więc spożytkowania najdawniejszego, największego, najpowszechniejszego i najtańszego źródła energii dał grunt dopiero wiek XIX.

Nie będziemy się zastanawiali nad pytaniem, dla czego natychmiast po odkryciu machiny parowéj nie wzięto się do spożytkowania siły słońca. Złożyło się na to wiele przyczyn a przedewszystkiem łatwość dostania węgla i rzadkość czystego nieba w krajach używających tych machin. Dopiero wtedy, gdy uczeni obliczywszy ilość spalanego corocznie węgla, oraz zasoby jego w Europie, zaczęli straszyć przemysł widmem wyczerpania się opału mineralnego, kwestya zużytkowania ciepła słonecznego dla celów mechanicznych, przedstawiła się jako potrzeba, przynajmniéj dla niektórych krajów oraz dla przyszłości.

Lecz, jakeśmy wspomnieli, już i w dawniejszych czasach, przed rozkwitem nauk fizycznych, wpadano od czasu do czasu na myśl, iż słońce może służyć nie tylko do oświetlenia ziemi i podtrzymywania życia roślin i zwierząt.

Oto jak nam przedstawia historyą, rozwój i rezultaty tych usiłowań Pitre, jeden z przedstawicieli teraźniejszéj „heliodynamiki.“

Wynalazek zwierciadeł, które już za czasów Mojżesza egipcyanie wybornie fabrykowali, nauczył ludzi zbierać promienie słoneczne. Na trzysta lat przed nar. Chr. Euklides wykładał w Aleksandryi o sposobie koncentrowania promieni słonecznych za pomocą specyalnych zwierciadeł, a z nauk jego skorzystał Archimedes, który swemi zwierciadłami palącemi rzucił ogień na flotę rzymską, oblegającą rodzinne jego miasto Syrakuzę.

Podobnież istnieje podanie o spaleniu tym sposobem okrętów podczas oblężenia Bizancyum, a na sto lat przed Chr. Heron Aleksandryjski w swoich „Pneumatica“ opisuje pewnego rodzaju pompę poruszaną ciepłem słonecznem.

I Rzymianie znali źwierciadła palące. Do wyrobu ich używali spływu miedzi i cyny i nadawali im formę, jak na owe czasy, bardzo właściwą.

Po tych pierwszych zapisanych w historyi próbach, rzecz poszła w zapomnienie na czas bardzo długi. Budzili ją jednak z letargu Vitelio, Kircher, Salomon de Caus.

Kartezyusz wątpił o możliwości czynu przypisywanego Archimedesowi, a wskutek tego Buffon, idąc za Kircherem, postanowił sprawdzić to podanie. W r. 1747 przedsięwziął on szereg doświadczeń bezpośrednich. Za pomocą źwierciadła wklęskłego, złożonego z 28 źwierciadeł płaskich, długich na 22 a szerokich na 16 centymetrów i dających się ustawić tak, aby promienie odbite padały na małą powierzchnię, Buffon zdołał zapalić drzewo z odległości 200 kroków, stopić cynę i ołów z odległości 120 kroków, a cienkie blaszki srebrne z odległości 50 kroków.

Doświadczenia te były dokonane we Francyi w miesiącu marcu i kwietniu, kiedy ciepło słoneczne jest daleko słabsze aniżeli w Sycylii, więc fakt pozwala tembardziéj przypuszczać prawdziwość podania o Archimedesie.

Późniéj zaczęto robić próby z zwierciadłami z rozmaitych materyałów wykonanemi, np. z drzewa lakierowanego, lub pokrytego słomą. Wreszcie Mariotte zrobił źwierciadło z lodu bardzo czystego, pozbawionego powietrza, mającego temperaturę O° i za pomocą niego zdołał zapalić garść prochu.

Wspomnieć tu jeszcze wypada o słynnych źwierciadłach Septali z Medyolanu, które zapalały latem kawałki drzewa z odległości 15 kroków; o źwierciedle Tschirnhausena (r. 1687), które miało 1 metr 69 centym. średnicy i topiło spływ ołowiu i cyny, sztabki srebra oraz rozżarzało do czerwoności kamienie i cegły; a wreszcie o zwierciedle Bernières'a (r. 1757) ze szkła cynowanego, za pomocą którego stapiano srebro w przeciągu kilku sekund.

Doświadczenia Ducarla i Saussura, z końcazeszłego wieku, polegające na koncentrowaniu ciepła pod ramami oszklonemi, mają ważne dla téj kwestyi znaczenie i w związku z poprzedzającemi powinny były doprowadzić do rozwiązania tego zagadnienia.

Lecz dopiéro prace Pouilleta, Johna Herschell, Ericsona, Violle'go i Crova, mające na celu ścisłe wykazanie natężenia promieni słonecznych, padających na powierzchnię ziemi, wprowadziły tę kwestyą na drogę zapowiadającą pomyślne rezultaty. Jak zobaczymy niżéj, osiągnięte już one zostały, przynajmniéj w części, wskutek prac fizyków współczesnych.

W naszych czasach poznano dowodnie, iż słońce jest źródłem całkowitéj energii ziemi, czyli innemi słowy, że wszelka siła, wszelki ruch na ziemi, ma swój początek w słońcu. Ono to jest przyczyną prądów powietrznych, ono to ulatnia wodę mórz, która spadając na ziemię tworzy prądy rzeczne; ono za pośrednictwem liści rozkłada kwas węglany i nagromadza węgiel pod postacią tkanek roślinnych, które, rozłożywszy się z biegiem czasu, utworzyły zapas energii słonecznéj pod postacią węgla kamiennego, będącego najgłówniejszą dźwignią obecnéj naszéj kultury. Bez téj energii słonecznéj nie byłoby ani wiatru, ani deszczów, ani rzek, roślinność by zginęła, ruch wszelki i życie przepadłoby na ziemi.

Słusznie też Stephenson powiedział: „To nie węgiel ożywia tę machinę, ciągnie ją ciepło słoneczne, które złożyło pierwiastek węgiel w węglu kamiennym przed tysiącami lat; lokomotywy nie są niczem innem jak końmi słonecznemi."

Działalność słońca przechodzi wszelkie wyobrażenie. Gorzenie warstwy węgla trzymetrowéj grubości, okalającéj całą powierzchnię słońca, nie dałoby tyle ciepła, ile go w przeciągu jednéj godziny od słońca otrzymujemy.

O ilości tego ciepła można powziąć niejakie pojęcie dowiedziawszy się, iż wystarczyłoby ono do podniesienia temperatury od 0^0 do 100^0 objętości wody wyrażonéj liczbą 2900 miliardów kilometrów sześciennych.

I od tysięcy wieków to źródło ciepła ogrzewa ziemię, oraz świat nasz cały, nie zmniejszając w niczém potęgi swych promieni. Nie wiemy czy zapas jego energii jest niewyczerpalny wobec naszych miar, czy się ciągle wynagradza spadkiem atomów z przestrzeni, dość że nie wdając się w zbyt odległe hipotezy, dla nas jest on nieskończonym, niewyczerpanym. Teoretycy więc nie mogli się opędzić natarczywemu pytaniu: mielibyśmy z tego źródła korzystać tylko drogą pośrednią, daną nam z góry, w znacznéj części od nas niezależną!.. Rzeczywiście, po takich wiadomościach o promieniowaniu słońca działoby się to niejako z ujmą dla teraźniejszéj cywilizacyi.

Pouillet obrachował, że w Paryżu, w czasie pogodnym, słońce rzuca w ciągu minuty na metr kwadratowy powierzchni ilość ciepła równą 10 ciepłostkom. Violle stwierdził, iż na południu Algeryi, z powodu suchości i przezroczystości powietrza, ilość ta dojść może do 15 a nawet 18 ciepłostek. Przypuściwszy, iż apparat, służący do zużytkowania tego ciepła, pochłonie tylko $^4/_5$ całéj jego ilości, możemy przyjąć, iż w krajach gorących, aparat zużytkuje w przeciągu mi-

nuty 10—12 ciepłostek na każdy metr kwadratowy zwierciadła odbijającego.

Gdybyśmy posiadali machiny zdolne do zmiany całéj ilości ciepła na pracę mechaniczną, to 10—12 ciepłostek, padających na metr kwadratowy powierzchni, dawałoby nam ogromną siłę. I tak: każda ciepłostka przedstawia siłę 424 kilogramometrów, więc 10 ciepłostek 4240 kilogramometrów, czyli przeszło 50 koni parowych. Ale tak dokładnie ciepła wyzyskiwać nie umiemy i kolosalna jego ilość ginie w naszych machinach; chcąc wiedzieć, ile rzeczywiście możemy z tego źródła otrzymać siły, musimy się trzymać gruntu praktycznego i obliczyć ją sposobem pośrednim.

Pitre w następujący sposób oblicza wielkość powierzchni zwierciadła, które ma odbić ilość ciepła dostateczną, przy warunkach dla nas dostępnych, do wytworzenia pracy jednego konia parowego (czyli 75 kilogramometrów).

Dla zamiany kilograma wody o 15^0 ciepła na parę o ciśnieniu 5 atmosfer, potrzeba około 635 ciepłostek. Ztąd ilość ciepłostek, podzielona przez 635, da nam ilość pary o ciśnieniu 5 atmosfer. Jeśli metr sześcienny zwierciadła daje na minutę 12 ciepłostek, to na godzinę da ich 12×60, a iloczyn ten podzielony przez 635, da 1 kilogr. ,13 pary wodnéj o powyższém ciśnieniu.

Dobra machina parowa, bez kondensacyi, działająca w dobrych warunkach, zużywa co najwyżéj 15—20 kilogramów pary na konia parowego i na godzinę. Prosty więc rachunek doprowadzi nas do wniosku, że zwierciadło wklęsłe mające otworu 17,80 metrów kwadratowych ($\frac{20}{1,13} = 17,80$) czyli mniéj niż pięć metrów średnicy, da nam ciepło dostateczne do produkcyi pracy jednego konia parowego za pomocą naszych machin parowych.

Siła jednego konia parowego, nieznaczna wobec siły jakiéj używamy w wielkim przemyśle, jest jednak dostateczna do podniesienia 380,000 kwart wody do wysokości 5 metrów w przeciągu 10 godzin. Naturalnie, że i ilość ciepła, która daje tę siłę, dostateczna jest do déstylacyi wody, wódki, olejków, do gotowania pokarmów i t. d. Widoczną więc jest rzeczą, że już i przy dzisiejszych środkach można skorzystać z ciepła słonecznego, zanim postęp wiedzy nauczy nas jeszcze rozległéj wyzyskiwać to nieprzebrane i wszechobecne źródło energii. Rzecz oczywista, iż na początek należałoby się ograniczyć na krajach podzwrotnikowych, gdzie słońce ani na chwilę w dzień świecić nie przestaje, jednakże kto wie, czy i w naszych szerokościach nie wartoby sprobować zastosowania téj siły bezpłatnéj do robót nie wymagających określonego terminu.

Fakta te sprawiły, że na wznowione przez Ericsona, Mouchota i innych usiłowania, ludzkość przestała się patrzéć jako na *curiosa*, mające jedynie charakter zabawki naukowéj. Szczególniéj wynalazek Mouchota, jako rzeczywiście przedstawiający znakomity postęp na polu heliodynamiki, doznał uznania i sympatycznego przyjęcia. Nie tylko uczeni ale i ludzkość cała zaczęła wierzyć w możliwość „machiny słonecznéj“.

Środki materyalne, które dała Mouchotowi rada generalna departamentu Indre-et-Loire na zbudowanie pierwszego aparatu, koszta które poniósł rząd francuski, wysyłając go pod przyjaźniejsze niebo Algieru, dla którego przedewszystkiem wynalazek jego miał być przeznaczony, wreszcie fundusze wyznaczone przez generalnego gubernatora kolonii oraz przez powszechną wystawę w r. 1878 na zbudowanie wielkiego generatora słonecznego, który budził ongi podziw na Trocadero—są najlepszym tego dowodem.

Szczęśliwy rezultat pracy Mouchota polega na tém, że uczony ten wprowadził do swego aparatu rezultaty doświadczeń znanych w fizyce, choć odnoszących się do innych kwestyj. Odrzuciwszy soczewki używane przez innych, a nie dość pod tym względem skuteczne, wybrał za radą Tyndalla zwierciadła platerowane srebrem, które odbijają aż 92% promieni padających. Zwierciadła te mają postać stożków. Dla zatrzymania zaś promieni ciepła w aparacie, Mouchot opierając się na zasadzie doświadczenia Melloniego, otoczył go ekranem szklanym.

Przyrząd Mouchota udoskonalił jego uczeń Pitre, z którego właśnie materyał do tego artykułu czerpiemy. Pitre tak nam opisuje „ostatni wyraz“ obecnego stanu heliodynamiki, jak nazywa swoję „machinę słoneczną.“

W zasadzie pozostały w niéj téż same części, co i w przyrządzie Mouchota, a mianowicie zwierciadło metaliczne, kociołek z poczernioną powierzchnią oraz osłoną szklaną. Promienie słońca odbite przez zwierciadło natrafiają na osłonę szklaną, przez którą z łatwością przechodzą i zostają pochłonięte przez poczernioną powierzchnię kociołka. Tym sposobem z ciepła jasnego zamieniają się one na ciepło ciemne, które już powłoki szklanéj napowrót przebyć nie może i pozostaje uwięzione pomiędzy kociołkiem a osłoną. W ten sposób nagromadza się co sekunda coraz większa ilość ciepła, woda w zbiorniku dosięga wkrótce punktu wrzenia i—mamy źródło siły mechanicznéj.

Aparaty zbudowane przez Pitre'a zużytkowują 80% padającego na zwierciadło ciepła słonecznego, czyli o 30% więcéj niż dawniejsze. Dokładne badania przekonały, że w Paryżu za pomocą

tych aparatów otrzymać można 12,12 ciepłostki na minutę i na metr kwadratowy powierzchni wystawionéj na słońce, gdy tymczasem aparaty dawniejsze, nawet w Biskrze, przy pięknéj pogodzie sierpniowéj, nie dawały więcéj jak 9,2 ciepłostki.

Postęp ten zawdzięczają przyrządy Pitre'a dwom przyczynom: 1) odpowiedniejszéj formie zwierciadła, 2) zmienionéj postaci kociołka.

Powierzchnia odbijająca promienie słoneczne w aparacie Mouchota, była stożkowatą, z *linią wodzącą*, nachyloną do osi pod kątem 45°. Ciepło odbite ogrzewało więcéj górną niż dolną część kociołka. Dla usunięcia téj niedogodności, Pitre starał się zrobić zwierciadło jak najbardziéj zbliżone do paraboloidy obrotowéj, i osiągnął ten cel złożywszy je z trzech części stożka, tak że linia wodząca jest załamana. Przytém z dołu tworzy ona kąt cokolwiek więcéj rozwarty niż z góry, a wskutek tego ciepło odbite, nie tracąc nic na swém natężeniu, pada w lepszych warunkach na kociołek.

Urządzenie to pozwala zmniejszyć o połowę wysokość kociołka, bez powiększenia jego średnicy. Dawniéj było to niemożliwém, i dla zmniejszenia ilości wody ogrzewanéj, nie można było zmniejszyć naczynia, lecz wsuwano wewnątrz kociołka pełny walec. Ulepszenie to jest bardzo ważném, bo mniejsza powierzchnia kociołka, traci téż mniéj ciepła przez promieniowanie. Ważném jest ono szczególniéj wtedy, gdy chodzi o otrzymanie pary pod znaczném ciśnieniem.

Zwierciadło nowego przyrządu Pitre'a ma otworu 9¼ metrów kwadratowych. Kociołek jego mieści w sobie 50 litrów (kwart) wody. Podczas pogody wrzenie następuje co najpóźniéj po 40 minutach, a co 7 lub 8 minut ciśnienie wzrasta o jedną atmosferę. W kilku razach wystarczało 6 minut do podniesienia ciśnienia z 5 na 6 atmosfer.

Obsługa podobnego aparatu jest bardzo łatwą, albowiem tylko co pół godziny trzeba za pomocą korby zwracać zwierciadło ku słońcu. Można więc ją powierzyć prostakowi, gdy tymczasem z motorami parowemi są wielkie kłopoty i w krajach zaoceanowych przemysłowcy bywają narażeni na straty i niebezpieczeństwa, jeśli nie powierzą opieki nad machiną wykwalifikowanemu mechanikowi rasy białéj.

Według Pitre'a, machina słoneczna będzie miała największe zastosowanie do wytwarzania siły mechanicznéj. Oprócz tego ważne może oddać usługi przy destylacyi wody morskiéj, wódki, fabrykacyi perfum i t. d. Nadto małe aparaty domowe pozwolą ugotować jarzynę, upiec półkilograma mięsa w przeciągu 25 minut, przygotować dziesięć filiżanek kawy w przeciągu pół godziny itd. itd.

P. Pitre nic nie wspomina o niedogodnościach tego aparatu. Największą z nich stanowi koszt, bo zwierciadło metaliczne platerowane srebrem, szczególniéj przy małéj produkcyi podobnych aparatów dochodzi bezwątpienia do znacznéj ceny. Drugą wielką niedogodność stanowi to, że machina słoneczna, przy małéj stosunkowo sile zajmuje bardzo wiele miejsca. Wreszcie zależność jéj siły od idealnéj niemal czystości polerowanéj powierzchni odbijającéj, stanowi również słabą jéj stronę w użyciu praktyczném, szczególniéj w krajach zamieszkanych przez rasy kolorowe, dla których właśnie specyalnie jest przeznaczona. Z tych to powodów sądzimy, że machina słoneczna jest jeszcze dotąd tylko przyrządem naukowym, wprawdzie bardzo dobrym ale jeszcze nie mogącym walczyć z przeciwnościami napotykanemi w praktyce. Dopiero wtedy nabędzie cechy sprzętu powszedniéj potrzeby, gdy będzie zbudowaną w dogodniejszéj formie lub gdy drożyzna opału zmusi do pogodzenia się z jéj delikatnością i ceną. Choć więc zasada zużytkowania ciepła słonecznego została rozwiązaną, jest-to jednak jeszcze machina przyszłości, kwalifikująca się w Europie tylko dla amatorów nowych wynalazków. W krajach podzwrotnikowych rozpowszechnienie jéj również będzie napotykało trudności z powodów wyżéj wymienionych, i tylko okolice bezleśne, a przytém przemysłowe, z konieczności będą musiały zdecydować się na przyrządy tak niedogodne i delikatne.

B. R.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Ognisko, książka zbiorowa, wydana dla uczczenia 25 letniéj pracy T. T. Jeża 1882, Warszawa. Druk K. Kowalewskiego (Z portretem) 4-kty nlb., str. 423, XIV i dodatku str. 30 w 4-ce.

Uczczenie zasług T. T. Jeża położonych dla literatury naszéj przez wieloletnią działalność w dziedzinie powieściopisarstwa i publicystyki, było niewątpliwie obowiązkiem sumienia narodowego. Mógł ktoś nie podzielać przekonania o dobroci i owocności kierunku, w którym do r. 1864 pracował Jeż dla kraju; mógł ktoś inny nie sympatyzować z poglądami filozoficznémi i religijnémi, które coraz wyraźniéj i coraz szczegółowiéj uwydatniały się w powieściach i artykułach tegoż z ostatnich lat; mógł ktoś inny wreszcie ogólnéj tendencyi demokratycznéj, przenikającéj utwory tego pisarza od początku jego zawodu, nie uznawać; każdy atoli, kogo nie zaślepiała nienawiść stronnicza, musiał Jeżowi przyznać szczere a nie na samem tylko uczuciu lecz i na trzeźwym rozumie oparte pojmowanie powinności obywatela, każdy musiał dojrzéć niepospolity talent w kilku arcydziełach, każdy musiał go uważać za wymownego, zapałem przejętego apostoła obowiązku—we wszystkich sferach działalności społecznéj.

To też odczuwali potrzebę złożenia głośnego hołdu przedstawiciele ruchu umysłowego we wszystkich ogniskach życia polskiego; a we Lwowie i Krakowie „koła“ literacko-artystyczne jako odpowiednie w tym względzie organa opinii publicznéj zapowiadały, że się sprawą tą zajmują. Owocu tego zajmowania się dotychczas nie widzimy, czy on będzie a jeżeli będzie, dlaczego się opóźnia, nie wiemy; spodziewać się tylko wypada, że choćby dla własnego honoru „koła“ one powinnyby rzecz tę wyjaśnić. Zanim to nastą-

pi, możemy tylko zaznaczyć, że Warszawa jedynie, jak dotąd, zogniskowała wyrazy uznania dla Jeża jako obywatela i pisarza. Zostało ułożone i ma być przesłane album fotograficzne obejmujące wizerunki tych, co się poczuli do obowiązku zaświadczenia o swych dla jubilata uczuciach, a powtóre, co ważniejsza, napisano i wydrukowano książkę zbiorową p. n. *Ognisko* dla upamiętania 25-letniéj pracy literackiéj Jeża. Za punkt wyjścia w oznaczeniu daty, od któréj lata służby piśmienniczéj Jeża liczono, obrano r. 1857, jako chwilę, kiedy T. T. Jeż zaczął pisać słynne i rozchwytywane korespondencye swoje z Konstantynopola do „Gazety Warszawskiéj.“ Wprawdzie i przed tą datą Jeż drukował artykuły; działo się to jednak w sposób dorywczy, nie systematyczny. Na polu publicystyki zaczął występować w r. 1856, ale ponieważ w tym roku pisma swoje pomieszczał w „Dzienniku literackim“ wychodzącym we Lwowie, i bardzo mało w innych dzielnicach Polski rozpowszechnionym, nazwisko jego nie zyskało rozgłosu, a wpływ na publiczność czytającą nie mógł być wielki. Dopiéro od r. 1857 pseudonim Jeża szeroko się rozchodzi po kraju a to co pisze, czytelnicy chciwie pochłaniają; od tego więc roku słusznie lata służby piśmienniczéj liczyć się mogą.

Myśl wydania książki zbiorowéj na cześć Jeża powstała wśród młodszego pokolenia literatów, występujących pod sztandarem demokratyczno- postępowym, a zamienila się w sformułowany zamiar w redakcyi „Prawdy“ za inicyatywą p. Aleksandra Świętochowskiego. Ta okoliczność wywołała niechęć do tego zamiaru zarówno wśród starszego pokolenia jak i wśród niektórych młodych pisarzów, którzy czuli się dotkniętymi w ambicyi swojéj, że nie oni byli inicyatorami. Ten smutny objaw, dowodzący, że w nas nie zamarł dawny narów „królewiąt“ dlatego tylko nie pochwalających dobréj myśli, że nie przez nich podjętą została, sprawił, że o *Ognisku* było dosyć głucho w prasie naszéj. Niektóre organa pominęły sam zamiar wydawnictwa milczeniem, inne podały krótką, chłodną o nim wiadomostkę; niektóre przywitały je wyrazem potępienia i wróżbą niepowodzenia. Ani obojętność jednak i chłód, ani brak rozgłosu, ani nieprzyjazne owe wystąpienie nie zdołały dobréj myśli przytłumić i zamiaru wobec publiczności zdyskredytować. Ogół inteligentny nie zważał na koteryjne względy i pośpieszył z poparciem projektu mającego na celu złożenie dowodu, że kraj swoich użytecznych obywateli ocenić umie. Zanim książka została wydrukowaną już nie było rozporządzalnych egzemplarzy, a dochód czysty z prenumeraty osiągnięty, po opłaceniu kosztów druku, papieru i drzeworytu, wynoszący przeszło 7128 rs. okazał się nadzwyczaj świetnym

i przeszedł niemal oczekiwania. Dochód ten redakcya *Ogniska* ofiarowała Jeżowi jako honoraryum za powiastkę, do téj książki zbiorowéj dołączoną. Niewątpliwie żaden jeszcze autor polski w tym stosunku wynagrodzonym nie został. Redakcyi *Ogniska* należy się wszelkie uznanie za podjęcie i przeprowadzenie projektu, ogółowi oddać wypada sprawiedliwość, że go zrozumiał i tak skutecznie poparł. Wspomnienie tego faktu miłém pozostanie na zawsze i dla jubilata i dla publiczności.

Grono literatów młodszego pokolenia motywuje w dedykacyi wystąpienie swoje pokrewnością poglądów, łączącą je z jubilatem. „Kiedy Ty, Szanowny Panie,—mówi ono w dedykacyi—już ozdobiłeś swe imię wymownem apostolstwem zasad i godeł postępowych, my zaczynaliśmy dopiéro ich doniosłość mierzyć i wartość pojmować, z naszych więc rąk szczególnie należy ci się wieniec, który zbiorowo uwity ze skromnych prac w téj książce, wkładamy zdaleka na Twe zasłużone czoło." Na zbiorowe to uczczenie złożyło się 20 osób piszących, 18 autorów i 2 autorki; w ich artykułach zaprezentowane są wszystkie główniejsze działy wiedzy. Po studyum o życiu i działalności autorskiéj Jeża, napisaném przez p. Piotra Chmielowskiego następują dłuższe lub krótsze artykuły z dziedziny polityki, statystyki, ekonomii i nauki o społeczeństwie wogóle, z etnografii, archeologii, historyi, dziejów literatury, pedagogiki, nauk przyrodzonych, matematyki i belletrystyki wreszcie.

W sprawozdaniu naszém porządek ten odwrócimy, ażeby mieć sposobność rozpoczęcia go od kilku słów o jubileuszowéj powiastce Jeża p. n. „Dołęga", dołączonéj do *Ogniska.* Jak zawyczaj tak i w téj powiastce myśl przewodnia góruje nad artyzmem; Jeż bowiem trzyma się stale i z przekonania zasady wypowiedzianéj przez siebie przed laty, że powieść u nas powinna być wyszeptaniem do ucha czytelnikowi tego, czego głośno i wyraźnie wypowiedzieć nie można. „Dołęga"—to postać wyobrażająca do pewnego stopnia przeciętną naturę zamożnego szlachcica polskiego o dobrém, miękkiém sercu, o umyśle żywym i zdolnym, który nie nabrawszy należytego kierunku zmarniałby na fraszki, gdyby go jakieś bodźce do opamiętania się nie zniewalały. Dziedzic znacznéj fortuny, wykształcony salonowo a nawet naukowo, z początku marzył o jakichś celach wyższych, o obowiązkach społecznych, potém w wirze zabaw zapomniał o nich, trwonił zasoby majątku i zdrowia za granicą, dopóki nie spotkał w podróży kobiéty, która naprowadziła go na myśl o zużytkowaniu swego mienia i nauki na korzyść ziomków. Rozmyślania w więzieniu, do którego się dostał w skutek ujęcia się za ową kobietą obrażoną przez junkra pruskiego, i spowodowane niemi

czytanie ugruntowały w nim tę myśl i uczyniły go w końcu pożytecznym kraju obywatelem. Zdrowa i rozumna tendencya przesłania nam braki artystyczne.

Równie rozumna dążność kierowała myślą i piórem p. Orzeszkowéj, gdy pisała swoję nowelkę p. n. „Dobra pani.“ Jest-to historya pewnéj bogatéj, ukształconéj, z miękkiém, pocziwém sercem kobiéty, która młodo owdowiawszy, nie mając jasno przed sobą wytkniętego celu, zaczyna się bawić w dobroczynność, bo się potrzebuje do czegoś przywiązać, czemś się opiekować, coś lubić. Mniejsza o to czém, to *coś* będzie: pieskiem, papugą czy dziewczynką. Z początku cała jest tém *czemś* zajęta, wszystkie swe godziny pielęgnowaniu tego *czegoś* poświęca, wszystkie skarby uczucia na to *coś* zlewa. Po pewnym czasie opanowuje ją znużenie, które powoli, stopniowo przemienia się w nudę, w pragnienie nowéj rozrywki, nowego przedmiotu, do którego sercem przylgnąćby mogła. I tak następuje zmiana ciągła, ciągłe podsycanie niknącego zainteresowania się nowémi wrażeniami: po piesku dziewczynka, po dziewczynie papuga itd. dopóki nie spotkała na swéj drodze włocha—artysty, co jéj i papugi i pieski i dziewczęta zastąpił. We własném sumieniu ta dobra pani czuje się niewątpliwie zupełnie spokojną, wyrzutów sumienia nie doznaje i może się nawet, przy całéj pokorze, za wielką filantropkę poczytuje; boć dla niéj niema różnicy pomiędzy papugą a dziewczynką znalezioną na bruku, jak jednę tak drugą każe karmić i poić, jak jednę tak drugą uczy słówek francuzkich, jak jednę tak drugą usuwa, każe wynieść do garderoby, gdy się jéj uprzykrzą; co się z niémi późniéj dzieje o to wcale nie pyta. Cała ta historya służy za tło do dziejów jednéj z dziewczynek wychowanéj przez „dobrą panią,“ wyuczonéj piosnek francuzkich, ubieranéj w piękne sukienki, a potém odesłanéj do garderoby. Rzecz traktowana ze spokojem przedmiotowym i z miarą artystyczną wielką. O nazwanie tylko tego obrazka nowelką możnaby się posprzeczać; nie ma w nim bowiem akcyi we właściwém znaczeniu wyrazu a sytuacye następują po sobie w długich czasu przestankach.

P. Konopnicka wyśpiewała z motywów ludowych piosenkę „nędznego koniuchy“ *Pod lasem.* Koniucha ten biedny marzący poetycznie o dziewczynie i przypominający ciężką dolę ludu, wykarmiony jego łzami, jest smutnym do głębi duszy, bo nie dla niego rozkosze tego świata; więc téż i pieśń jego smutna.

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Na *cudzym* progu,
Wykręcę ja fujareczkę
W tym ostrym głogu!

Będzież śpiewać mi przy sercu
Gorzkiemi łzami
I zakrwawiać jasne zorze
Rankiem nad nami!

Nie jest-to wykończona całość, ale ułamek tylko, kilkoma szeregami kropek wypełniony. Wiadomo, że ulubioną formą poetki téj jest *fragment* używa jéj zbyt często, że nie powiemy, nadużywa; czy sądzi, że w ten sposób utwory jéj nabiorą jakiejś przepaścistéj głębi, kiedy każdy z czytelników będzie musiał własną wyobraźnią i własném uczuciem dopełniać, czego autorka dopowiedziéć nie chciała czy... nie umiała? Czy nie przychodzi czasem p. Konopnickiéj na myśl przypuszczenie, iż czytelnicy posądzić ją zechcą o niemożność stworzenia całości?

W. Okoński dał do *Ogniska* obrazek dramatyczny z dziejów greckich p. n. „Pauzaniasz.“ Jest-to jakby ostatni akt dramatu. Katastrofa dotykająca Pauzaniasza łączącego się z królem perskim i helotami dla zgnębienia eforów jest jego osnową. Cechę dramatyczności nosi na sobie mianowicie scena między Pauzaniaszem a Korosem wysłańcem helotów, który według Okońskiego domaga się oswobodzenia wszystkich niewolników i doznaje od dumnego wodza lekceważącéj odprawy. Tucydydes wprawdzie powiada, że to sam Pauzaniasz dla zjednania sobie helotów obiecywał ich oswobodzić, ale dramaturg dla wykazania w szczupłym obrębie akcyi jaki sobie zakreślił, dumy wodza, musiał uciec się do zmiany szczegółów relacyi historycznéj. Taż sama potrzeba skupienia była powodem przeniesienia części akcyi z Tenaru do Lacedemony. Nie rozumiemy tylko, dlaczego autor nazwisko niewolnika, który zdradził Pauzaniasza, zmyślił; zdaje się, że historyczny Argilios powinien był otrzymać pierwszeństwo przed fantazyjnym Grifosem.

Do działu belletrystyki zaliczyć także wypada artykuł p. Ludwika Straszewicza, z którego nazwiskiem po raz pierwszy tu się spotykamy. Na widok obrazu Ary-Scheffera Kuszenie Chrystusa wysnuł on „tkankę dumań,“ którą zatytułował „Nieprzejednani.“ W tkance téj wiele jest nici mocno splątanych i z tego powodu nie pozostawia ona w umyśle czytelnika jasnego wrażenia. O ile wszakże wyrozumieć treść jéj mogliśmy, to trudno nam uznać jéj trafność. Autor w kusicielu Chrystusa, o twarzy czarnéj, ustach zaciśniętych, muskularnych i silnych jak korzenie dębu rękach i nogach widzi przedstawiciela ludu, kochającego Judeję, oburzonego na ciemięstwa rzymskie, na bratanie się „rozbestwionéj czeredy faryzeuszów“ z wrogami kraju, ażeby „pod okryciem praw boskich ostatnią kruszynę chleba wydrzéć umierającemu nędzarzowi.“ Kusiciel

ten wzywa Chrystusa, ażeby się z uciśnionémi połączył. „Włożymy ludowi—powiada—zemstę w serca, chleb w usta, a żelazo w ręce i pękną prawa boskiego ciemięstwa.“ Chrystus odmawia w imię... idei miłości powszechnéj. „W sercach ludu — odpowiada kusicielowi—rozpalić trzeba ogień miłości większy, niż niedola, ogień miłości bezgranicznéj, w którym spłoną nieprawości świata, a wszyscy zleją się w jedno ciało ludzkiéj rodziny. Jak wszystkie władze duszy zlewają się w jednę wolę, tak ludzkie życie będzie wtedy jedną wolą bożą.“ Gdyby autor chciał był w postaci kusiciela widziéć tylko uosobioną bezwzględną nienawiść, a w postaci Chrystusa takąż miłość, to przeciwstawienie samo, chociaż na gruncie psychologicznym nie miałoby ścisłego uprawnienia, logicznie przynajmniéj zrozumiałém byłoby, jako abstrakcya. Lecz takim pomysł p. Straszewicza nie jest; zarówno bowiem kusiciel obok nienawiści do Rzymian i do ciemięzców ludu, ma w sercu głęboką, namiętną miłość dla narodu, jak znów Chrystus obok miłości ogarniającéj wszystkie plemiona i czasy, żywi w swém sercu nienawiść do wszystkiego co za złe i zgubne poczytuje. Tak postawiwszy kwestyą, nie będziemy mogli przeprowadzić tego rozbratu, jaki pomiędzy jednym i drugim ma, według autora, panować od owéj chwili aż do dziś dnia. Dla takiego kusiciela, jak go p. S. odmalował, Chrystus, ten Chrystus, który biczem wypędzał przekupniów z świątyni i który płakał nad losami Jerozolimy, musiałby mieć uczucia.... a więc nie nienawiść bezwzględną. A może autor inne przeciwieństwo chciał uwydatnić? może miał na myśli konflikt między pierwiastkiem świeckim i duchowym; a może wreszcie zatarg pomiędzy brutalnémi żywiołami wywrotu a przedstawicielami pracy cichéj, gmach przyszłości budującéj powoli? Takie przypuszczenia dają się pomyślić, kilkoma wyrażeniami dowolnie wyrwanémi dałyby się nawet poprzeć; ale konsekwentnie uzasadnićby się całością osnowy nie mogły.

Od beletrystyki łatwe przejście do krytyki literackiéj, do dziejów literatury. Do działu tego oprócz wspomnianego już artykułu o Jeżu należy „szkicowe studyum“ Antoniego Gustawa Bema, dobrego znawcy naszéj dawniejszéj literatury, p. n. „Śmielsze błyski humoru satyrycznego w literaturze staropolskiéj.“ Składa się ono z dwu części: w pierwszéj autor przedstawia tych, którzy „do systemu ustalonych wierzeń zachowali się już-to przyjaźnie, już-to dwuznacznie“ (Kochanowski, Kochowski, Naruszewicz, Krasicki), w drugiéj te „odważne jednostki, co, zgodnie z duchem czasu, szły naprzód z pochodnią ironii, nie zacierając następstwami śladów swéj drogi“ (Rej, Węgierski). Zarówno na ten podział jak na sposób

traktowania obranego tematu wpłynęła uzasadniona myśl przewodnia artykułu, że u nas dążenie za postępem jest ideą niepopularną, której chwytają się tylko wyjątkowe jednostki. Spostrzeżenie to równie dobrze podobno zastosować się da do każdego innego narodu jak i do nas; wpływ bowiem przyzwyczajenia, wpływ nałogu czyli inaczéj rutyny, tak potężnie działa na każdy umysł ludzki, że ażeby się z niego otrząsnąć, potrzeba nietylko pospolitéj odwagi ale i wysiłku, co zdarza się, jak zwykle, dosyć rzadko. Podobnież osądzić musimy i drugą tezę autora, skarżącego się, że kto u nas „chciał kroczyć naprzód, przebierał się w przodków swoich szaty." Tak robił każdy niemal reformator, chcąc wmówić w bojaźliwy i nieufny pod względem wszelkich zmian ogół, że się nie dopuszcza właściwie nowatorstwa, że nic zatém rezykować nie będzie, gdyż powróci do tego, co już przodkowie wyznawali. Nie w takich ogólnikach szukać podobno wypada przyczyny naszego zacofania w stosunku do narodów przodujących w cywilizacyi; późniejsze wejście do grupy tych narodów, obszar jaki zajęliśmy, ubóstwo stosunkowe oto warunki, których rozważenie i ocena możeby nam głębiéj dała wniknąć w charakter naszego rozwoju. Autor, jak się zdaje, znajduje się w tym stanie rozdrażnienia, który uczuwamy gdy czczony przez nas ideał rozpływa się we mgle, a na jego miejscu dostrzegamy z początku tylko jakąś masę brudną i bezkształtną. Tém nerwowém rozdrażnieniem wyjaśniamy sobie takie wyrażenia jak to, że Polska z ostatniéj ćwierci XVIII wieku była „siedliskiem zabobonów," chociaż miała już i Drużbacką i Bohomolca, co wiarę w zabobony wyszydzali, i Konarskiego, co światło w kraju rozszerzył, co miał odwagę być mądrym. Tém rozdrażnieniem tłómaczymy sobie zbyt bezwzględne wyroki jak ten np. że „Satyr" Kochanowskiego to mierna, nad wartość popularna ramota i t. p. Krasickiego chwiejność przekonań pochwycona jest trafnie, ale udowodniona słabo przez stawienie „Antymonachomachii" przeciwko „Monachomachii." Krasicki bynajmniéj w *tych* poematach nie przekreśla lewą, co napisał prawą ręką, zarzutów swoich wymierzonych przeciw mnichom nie cofa. Prawda ukazująca się na dnie kielicha w zakończeniu Antymonachomachii, ściśle biorąc, nic innego nie mówi tylko to co poeta w Monachomachii sam wypowiada, oświadczając gotowość spalenia swego poematu. Węgierskiego przecenia autor, zdaniem naszém, a przynajmniéj nie przekonywa wyjątkami z pism jego o tém, co twierdzi w tekście. Nowéj jakiejś idei nie wnosi Węgierski do naszéj literatury, to co autor przytacza o potępieniu panegiryków, już dawniéj daleko lepszy poetycznie, bo plastyczniejszy wyraz znalazło w Satyrze Naru-

szewisza „Pałac pochlebstwa.“ To co mówi o Bogu jest lekkomyślnym żartem, to zaś co o duchowieństwie, da się porównać z tém co Kochanowski i Potocki pisali.

Dział pedagogiczny reprezentowany jest przez dwa artykuły. P. Adolf Dygasiński skreślił „Wychowanie przeszłe i obecne“ zaznaczając kolejno dokonywany postęp w sprawie kształcenia młodzieży i kreśląc w końcu szereg tych wymagań, jakie dzisiejsza pedagogika stawia względem szkoły. Mówi szczegółowo o wychowaniu fizycznėm, umysłowėm i moralnėm, kładąc nacisk na konieczność budzenia i wspierania samodzielności wychowańca; przedstawia szkic planu szkolnego, jaki za racyonalny uznaje, przemawia za koniecznością zorganizowania „elementarnéj powszechnéj szkoły“ jako podwaliny całego dalszego rozwoju społeczeństwa, za urządzeniem dobrych wzorowych seminaryów nauczycielskich, gdzieby przyszli wychowawcy nietylko naukę pobierali, ale także przyzwyczajali się do „serdecznego, szczerego stosunku z wychowańcami,“ co wychowaniu przyszłych pokoleń największą oddać może przysługę. — P. Stanisław Kramsztyk bardzo jasno przedstawił „Spór o nauki przyrodzone w szkole.“ Zarzuty robione zaprowadzeniu nauk przyrodzonych do wykształcenia zbiera w dwie grupy; jedne są natury pedagogicznéj, drugie wynikają, jak się autor wyraża, ze względów „ocalenia publicznego.“ Pierwsze zbija za pośrednictwem wyłuszczenia, czém jest metoda nauk przyrodniczych, jak ona łączy z sobą indukcyą z dedukcyą, a następnie załatwiwszy się ze znaczeniem metody téj dla celów formalnych nauczania, wykazuje, że zbogacenie głowy treścią nauk przyrodniczych także nie jest do pogardzenia; najprzód bowiem ogólny charakter tych nauk, odznaczających się najdokładniejszą prawidłowością, przyzwyczaja do myślenia ścisłego, a powtóre konieczność robienia doświadczeń dla ustalenia pewnego prawidła, przyczynia się do rozbudzenia samodzielności. Realne wreszcie wiadomości, dostarczane przez nauki przyrodnicze, jako nadzwyczaj ważne i będące w ścisłym związku z życiem naszém, winny także wejść w rachubę, gdy zechcemy ocenić wartość pedagogiczną tych nauk. „Przekręcenie jakiegoś wyrazu cudzoziemskiego—słusznie mówi autor—nieznajomość bohatera jakiegoś utworu poetycznego wystarcza do ośmieszenia człowieka; nieznajomość najelementarniejszych objawów i praw przyrody nie razi nikogo.“ Wychowanie powinno takiemu stanowi rzeczy zaradzić. Przyczynę nader powolnego tempa w sprawie zaprowadzenia nauk przyrodzonych do szkoły widzi autor najprzód w rutynie, która przyzwyczaiła do uważania nauk klasycznych za jedynie kształcące, daléj w obawie nowości i wreszcie w obawie zmateryalizowania

młodzieży. Wszystkie te punkta poddaje autor mniéj lub więcéj szczegółowemu, a zawsze taktownemu, rozważnemu rozbiorowi.

Zwracając się do działu archeologii, etnografii i historyi, wspomnimy najprzód o interesującym artykule p. I. Radlińskiego p. n. „Pierwsza karta historyi religii.“ Natrąciwszy o zmianie poglądów na zadanie badań nad religią, które obecnie przeszły do dziedziny krytyki historycznéj, autor streszcza wynik najnowszych poszukiwań nad najdawniejszémi historycznie znanémi ludami, co niegdyś zamieszkiwały Mezopotamią t. j. nad Akkado-Sumirami. Niedawno jeszcze, to jednemu to drugiemu z tych narodów przypisywano pochodzenie turańskie; obecnie oba narody do téj rasy zaliczają. Zaznaczywszy, jakim sposobem pomniki literackie tych narodów do nas doszły, p. R. podaje znamienne z nich wyjątki odnoszące się do pojęć i obrzędów religijnych. Charakter pojęć religijnych tych narodów określa nazwą „polidemonizmu,“ uważa tę formę religii za najdawniejszą ze znanych i zaznacza udział Turańczyków w wytworzeniu religij historycznych.

P. Julian Ochorowicz podaje „Echa z epoki kamiennéj“ Jest-to jakoby jeden z dalszych rozdziałów pracy, tegoż autora pomieszczonéj przed dwoma laty w *Ateneum* („Bezwiedne tradycye ludzkości“). Autor mówi o kamiennych narzędziach, talizmanach, o odkryciu ognia, o znaczeniu bębnów, dzwonów, żelaza, wreszcie o różnego rodzaju ofiarach, dopatrując nieraz bardzo trafnie i bystro, w „szczątkowych“ objawach, istniejących wśród współczesnego świata, ich początku w epoce kamiennéj, gdzie one w całéj pełni się przedstawiały. Więcéj skupienia i systematyczności nie zaszkodziłoby téj pracy.

Etnograficzny artykuł p. Baudouina de Courtenay p. n. „O słowianach we Włoszech“ zawiera wiele ciekawych szczegółów o tych oazach słowiańskich na gruncie włoskim, oazach, którym w przeważnéj części przepowiada nasz badacz zaniknienie. Mówi najprzód o drobnéj kolonii serbskiéj czy serbsko-bulgarskiéj we Włoszech południowych w powiecie Larino (w hrabstwie Molise), na podstawie obcych relacyj, a następnie już na podstawie własnych obserwacyj i studyów o słowianach na Włoszech północnych: Rezyanach, Słowianach Nediży i Słowianach Teru. Tylko Słowianie nad Nediżą zamieszkali (w powiecie San Pietro) są w dogodnych dla swego narodowego rozwoju warunkach, gdyż granicząc ze Słoweńcami austryackiémi, gdzie żywioł słowiański, jak wiadomo, jest całkiem ubezpieczony w swym bycie, od nich czerpać mogą siłę oporu przeciwko zalewowi włoskiemu.

„Charakterystyka szlachty polskiéj,“ którą autor, p. Jan Karłowicz, nazwał skromnie „*próbą*,“ jest szkicem skreślonym żywo, barwnie, wogóle mówiąc, prawdziwie, a bez żółci, lubo może nie bez tłumionego bólu. Tu i owdzie tylko jakiś rys ostrzejszy zgładzić-by trzeba. Tam, gdzie mowa o wpływach dziejowych, których wynikiem jest stan dzisiejszy — na wiele szczegółów zgodzić się nam trudno. Kto twierdzi, że u nas „idealna gmina katolicka trwała w umysłach bez skazy“ do XVI wieku, ten zapomina o wcześniejszych a gwałtownych nieraz walkach o dziesięciny, o patronat, o prawo królewskie mianowania biskupów, i nieuwzględnia ruchu husyckiego. Przyczyny reakcyi poreformacyjnéj dopatruje autor w tém, że „było za mało światła wogóle,“ że „zabrakło wodza-proroka nowéj idei“; wypadałoby spytać czy i we Włoszech oraz we Francyi brakowało światła i proroków? Czytamy daléj, że „rzymskie pojęcia o bezwarunkowéj własności ziemi jednocześnie z religią przybyły do Polski.“ Jakże one miały przybyć z Europy, w któréj już wyobrażenia feudalne panowały? W XIII jeszcze wieku ziemia posiadana przez szlachtę jest albo przynależytością rodu, albo wysłużoną od księcia, a w obu razach prawo szlachty do ziemi ulega ograniczeniom. Minerały kopalne, rybołówstwo, polowanie, prawo budowania młynów są regaliami, których cząstkę nabywa się z łaski nadania książęcego. Mniemana równość między szlachtą—to bardzo późne pojęcie: w XV wieku jeszcze daleko do niéj. Nakoniec, zdaje się nam, że wiary w zacność odwagi wojskowéj Rzym nie potrzebował uczyć tam, gdzie trzeba było bezustanku bronić się od napaści sąsiedzkich.

Pracowicie zebrany materyał w studyum p. Wład. Smoleńskiego pod napisem: „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiéj“ czy nie w zbyt wielkiéj porcyi podany czytelnikowi—ręczyć nie możemy. Jeżeli taka ilość jednostajnéj potrawy o niestrawność nie przyprawi, znużyć przecież może, lubo przedmiot wcale jeszcze nie został wyczerpany i rejestr do dziesięćkroć większych rozmiarów z pewnością dałby się powiększyć. Gdyby na odwrót szczegóły do jednéj trzeciéj części zmniejszono, teza nicby na tém nic straciła. Chętnie przyznajemy, że autor uczynił wszystko, co pod względem układu rzeczy i stylistyki uczynić było można, aby przeczytanie całości ułatwić; pomimo nader nieprzyjemnego wrażenia, rosnącego coraz bardziéj z każdą niemal kartą.

Zbytnia obfitość faktów i w tém się okazała szkodliwą, że zmuszała do szybkiego ich rejestrowania; nie było więc czasu ani miejsca do zwrócenia uwagi na to, że wiele podanych tu faktów nie jest wcale utworem specyficznym epoki jezuickiéj, ale zabytkiem

odziedziczonym po przeszłości, niekiedy wielce odległej. Dość wspomnieć o wróżbach, prognostykach, trwodze wywoływanéj widokiem komet lub zaćmieniami słońca i księżyca. W spisie klęsk jakim kraj ulegał, należało zachować większą ostrożność bo jeśli Jerliczowi wolno było wierzyć w szarańczę, która swym ciężarem wywracała dęby z korzeniem, nam jakoś wydaje się to mało prawdopodobném.

Niech nam wreszcie wolno będzie przypomnieć, że wszelki obraz składa się z świateł i cieni. Można wprawdzie malować i sadzą, ale nie trzeba zapominać o zostawianiu tak zwanych blików. Zastrzegamy się wszelako przeciw podejrzeniu, jakobyśmy za złe mieli autorowi, że odważnie wypowiada to, co uważa za prawdę. Jest to pierwszym obowiązkiem historyka, że przeciw temu obowiązkowi p. Smoleński nie wykroczył — jesteśmy najmocniéj przekonani.

Z obszarów przeszłości przenieśmy się do obecnego położenia kraju naszego.

Zamiarem autora „Wskazań politycznych“ było wyłuszczenie „pobudek i względów, z których swoje rady polityczne wywodzi grupa postępowa u nas,“ — rady wychodzące z „zasady odradzania się przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rozbracie z tradycyą porywów zbrojnych.“ „Wskazania polityczne“ skreślone są z rozwagą i oględnością, które nie często spotykamy. Może więc kilka oderwanych myśli, jakie wypowiemy, nie obrazi niczyjéj drażliwości.

Słońce nie od wczoraj, ani od lat ośmnastu dopiero świecić zaczęło. Myśl reformy społeczeństwa przez pracę rozumną, organiczną, widzimy w czyn wcielaną już na początku naszego stulecia. Czacki i ks. Czartoryski doskonale ją pojmowali, a o ile było można, praktykowali w ziemiach wschodnich; Staszic, Feliks Łubieński i inni—nad Wisłą. Cała działalność księcia Lubeckiego za czasów królestwa kongresowego na tejże wspierała się zasadzie. Późniéj, tam gdzie niczego wypowiadać nie było można, naturalnie i ta myśl przycichnąć musiała; żyła jednakże, czego świadectwem prace Gołuchowskiego, Krzyżtopora, Uruskiego, że o innych zamilczymy. Tam znowu, gdzie głosu nic nie tamowało, podjęto wnet po klęsce myśl demokratyzacyi społeczeństwa, mniejsza o to dla jakich celów bezpośrednich. Tę myśl propagowano nietylko słowem, ale i czynem, bez względu na niebezpieczeństwo grożące apostołom, a przykład ten zmuszał do rozwagi nad nią i umysły z nowémi pojęciami oswajał. Szło to powoli, ale posuwało się naprzód. Działalność jednostek potęgowały lub osłabiały okoliczności im spółczesne,

które nigdy przedtém nie przemówiły tak stanowczo i natarczywie jak w r. 1864. Więc mamy wątpliwość, czy o wyjątkowém jakoby „bohaterstwie i poświęceniu" chwili obecnéj należy się mówić.

Liryczny ustęp o niecierpliwości „wrogich nam pisarzów obcych" sprawia wrażenie takie, jak widok chłopca, który do szkoły iść nie chciał, a gdy go miano gwałtem poprowadzić, budzi się w nim ambicya dziecinna, wyrywa rękę i woła: „ja sam, ja sam pójdę!" Dziwna téż to myśl odwoływać się do „czystego sumienia" tych, którzy „nie mają takiego sumienia"...

Ale wróćmy do wspomnianego bohaterstwa. Autor akcentuje wysokość ofiary, ale jak z tém pogodzić ową rezygnacyą (str. 51), która powiada bez ogródki, że gdyby spełniło się trojakie „*gdyby*" (ściśle biorąc: jedno, ale retorycznie potrojone), gdyby się spełniło choćby „w dalekiéj przyszłości," to z „liberalnego stanowiska sama utrata własnych instytucyj politycznych nie wydawałaby się nam wcale niedolą. Szczęście bowiem ogółu, według nas, nie jest bezwzględnie zależne" i t. d. Nam się zdaje, że starożytni mieli słuszność, twierdząc, iż na każdy dzień dość jest kłopotów, które on narzuca. Po cóż więc sięgać marzeniami w „daleką przyszłość," zwłaszcza że jéj „liberalne stanowisko," skutkiem zmienności pojęć ludzkich o życiu społeczném, będzie zapewne trochę różném od wypowiedzianego dzisiaj. Godzimy się natomiast na końcowe zdanie, że „ustawiczne natężanie energii, ruch postępowy jedynie może utrzymać żywotność narodu i zapewnić mu rozrost."

Mówiąc o przyszłéj roli masy ludowéj, autor oświadcza, iż lubo „byłoby dziecinną przesadą twierdzenie, że postępowcy nasi są jéj przedstawicielami, ale to pewna, że są obrońcami jéj interesów." Szlachetne to zadanie; jednakże choćby w imię interesów ludu, monopolizować-by go nie należało. Zresztą, lud potrzebuje przedewszystkiém pomocy i oświaty, któréj mu tylko na miejscu, wśród niego, udzielać można. Dwudziestu nawet postępowców, siedzących w Warszawie, pomimo całego talentu, przy najlepszych nawet chęciach, nie podołają wielkiemu a naglącemu zadaniu. Czyby więc nie było pożyteczném nawoływać i zachęcać do téj pracy chociażby i różnych zacofańców, nie mówiąc już o proboszczach, choćby i organistów? Wszakże do tego, żeby Maciusia nauczyć czytania, żeby mu wpoić przekonanie, że kradzież, bójki, obelgi, pijaństwo są rzeczami szkaradnemi, żeby go nauczyć kilku jeszcze innych prawd, dostępnych jego umysłowi a przynoszących pożytek praktyczny,— nie potrzeba być ani wielkim filozofem, ani socyologiem. Trzeba mieć tylko poczucie obowiązku skromnego i wolę spełniania go skromnie. Czekać zaś z robotą aż się liczba postę-

powców znakomicie pomnoży—byłoby może za długo. Jeżeli to ostatnie zdanie nie jest grubym błędem, to ośmielilibyśmy się wskazać potrzebę jeszcze jednéj „ofiary,“ nie z przekonań—bo to rzecz święta,—ale z pewnych uprzedzeń, nawyknień czy niechęci, może usprawiedliwionych, w których genezę wchodzić zresztą nie potrzebujemy. Po złożeniu na „ofiarę“ rzeczy ogólniejszéj natury, ofiara osobista nie powinnaby być trudną. Z tego względu wolelibyśmy większą oszczędność w rozrzucaniu kwiatków stylistycznych w rodzaju „swojskiego bagienka pod stopami kapliczki,“ lub „pustego dzwonu który umie tylko zwoływać do kościoła“ „epidemii klerykalnéj“ itp. Lud tego nie zrozumie, ani się echem na to odezwie, ale natomiast wielu, bardzo wielu, z tych co zrozumieją, zgrzytnie zębami. Upiór wstecznictwa coraz śmieléj w tych czasach się ukazuje, a czerpie do tego odwagę i w analogicznych faktach o ścianę, i w rozdrażnieniu wywoływaném na miejscu nieoględnie. Jeżeli „jesteśmy narodem małym,“ jeżeli „więc każdy ubezwładniony lub nierozwinięty czynnik jest w walce o byt stratą dotkliwą,“ to przerzedzać własne szeregi jakiemś sortowaniem, ranżerowaniem czy brakowaniem, byłoby dziwną anomalią, a mnożyć sobie nieprzyjaciół—nieszczęściem, wobec którego pięknie brzmiące frazesy o „umysłowém wyzwoleniu szerokich kół,“ o „zasianém ziarnie przyszłości“ mało dla kogo stanowić mogą pociechę. Gdy trzeba się bronić, dobrze jest używać rewolweru, jeżeli się go ma pod ręką i nabity; inaczéj—trzeba, bez fałszywego wstydu, chwycić czy zardziewiałą szablę pradziada, czy średniowieczną kopią, czy procę Dawidową, czy łuk dzikiego australczyka.

W „Notatce statystycznéj“ p. Filip Sulimierski starał się obliczyć „ilu nas jest“ opierając się na źródłach urzędowych ogłoszonych w trzech państwach i bardzo oględnie i umiarkowanie traktując cyfry tam podawane, dochodzi do rezultatu, że obecnie więcéj niż dwanaście milionów ludzi używa języka polskiego jako własnego narodowego. Liczy on w królestwie polskiém co najmniéj 5 mil., w cesarstwie rosyjskiém 1 mil., w Austryi 3,24 mil., w państwie pruskiem 2,67 mil. do czego dodaje kilkaset tysięcy rozproszonych po całej kuli ziemskiej. Cyfra ta wydaje się nam prędzéj za małą niż za dużą. Próbkę obliczenia autor przedsięwziął w celu pobudzenia naszych uczonych do poważniejszego zajmowania się sprawą statystyki ludności i opracowywania naukowego wiarogodnych materyałów, w tych przynajmniéj częściach czy okolicach krajów przez Polaków zamieszkałych, gdzie znaleść je można, ażeby z tego mogła się ułożyć praca jakaś poważniejsza, zaspakajająca nie już samę cieka-

wość obliczenia ilu nas jest, ale dająca możność poznania cech obyczajowych i cywilizacyjnych naszéj narodowości.

Przechodząc na pole badań społecznych, zaznaczymy najprzód pracę o charakterze ogólnym.

P. Karol Dunin w artykuliku zatytułowanym „Indywidualizm w życiu społecznem“ podejmuje, tak często dyskutowaną dzisiaj, kwestyą praw jednostki wobec społeczeństwa. W całym biegu dziejów ludzkości widzi on ciągłą dążność do wyzwalania osobistości ludzkiéj z więzów jakie na nią nakłada ogół, dążność usprawiedliwioną zupełnie odwiecznem prawem cywilizacyjnem: coraz to szerszego dobrowolnego solidaryzowania się interesów jednostek z interesem ogółu. Wskazuje jak stopniowo, od dzikéj hordy w któréj wszyscy są do siebie podobni i osobistość nie ma pola do wyróżnienia się z pomiędzy tłumu, przechodzą ludzie do życia pasterskiego, rolniczego, przemysłowego coraz to bardziéj rozwija proces społeczny różniczkowania się pomiędzy ludźmi, coraz to większa liczba, najprzód grup, a potém jednostek staje w niezależnéj od ogółu pozycyi, jak proces ten oddziaływa na formacye polityczne, na stosunki prawne i towarzyskie—jak ród patryarchalny przekształca się w państwo, które pochłania najprzód całego człowieka i stopniowo zmuszone jest wyzwalać go coraz bardziéj, aż w wieku ośmnastym indywidualizm występuje już samowiednie i głośno a dobitnie wymaga uznania praw dla osobistości człowieka. Jak nakoniec współczesne usiłowania łączenia pojedyńczych ludzi w grupy i stowarzyszenia, różnią się od dawniejszych związków społecznych, tém właśnie, że w nich ludzie dobrowolnie wspólnemi siłami chcą osięgnąć cele trudniejsze, kiedy dawniéj ograniczano jednostki dla tego żeby one nie szkodziły ogółowi. Żadnych zarzutów wywodom autora nie mamy do zrobienia, żałować chyba tylko możemy że przedmiot tak olbrzymi ujęty w ramki tak ciasne, iż się w nich nie znalazło miejsca na co innego jak na ogólnikowe wskazówki historyczne, które wystarczą dla ludzi podzielających zdanie autora, ale wątpimy czy przeciwnikom służyć będą mogły za dowód dostateczny.

P. Władysław Wścieklica w krótkim, względnie do przedmiotu, bo zaledwo 30 str. zajmującym artykuliku, p. n. „Rojenia socyalistów polskich wobec nauki ich mistrza“ potrafił jasno wyłożyć główne zasady nauki Karola Marxa, i w dosadnych rysach zaznaczyć całą płochość owéj, na szczęście bardzo nielicznéj garstki młodzieży polskiéj, która folgując krewkości temperamentu, zamiast zająć się studyowaniem nauk społecznych i przysparzać narodowi swemu światła i siły, szuka ujścia dla swych żywszych uczuć w szerzeniu

propagandy socyalizmu rewolucyjnego i zajmuje się niby agitacyą wśród robotników podejmując wojnę z kapitałem.

Autor wykazał, że nasi socyaliści nie rozumieją zgoła nauki mistrza używają zaś słów jego napróżno, bo nie znajdując w kraju o słabo rozwiniętym przemyśle żywiołów odpowiednich, któreby poruszyć mogli, zamiast zastępów proletaryatu podbudzają do walki z kapitałem szkolną niedorosłą młodzież i również niedorosłych terminatorów rzemieślniczych. Akcyą swoję, która już w kraju doprowadziła do kilku dość błachych procesów, przenieśli obecnie do Genewy i tam probują urządzać hałaśliwe manifestacye, które nawet Marx potępił; a nierozporządzając większym zasobem sił umysłowych czynność swą musieli ograniczyć do wydrukowania paru odezw i broszur, gdzie to jedno bije w oczy, że klną patryotyzm, który był zawsze i jest dzisiaj jedném z najświętszych uczuć dla każdego człowieka umiejącego szanować godność swojéj osoby.

Z mniejszym już talentem pisarskim i nie zawsze w gładkich wyrażeniach przedstawił p. Franciszek Olszewski: sprawę służebności i stan gospodarstw włościańskich w granicach królestwa polskiego. Zebrał tu i zestawił umiejętnie trochę cyfr statystycznych, które jeżeli kwestyi nie wyjaśniają dostatecznie, są jednak bardzo interesujące, zaciekawią każdego i mogą być pobudką do dalszych na tym polu badań i poszukiwań; głównie jednak należy mu się wdzięczność czytelnika za to, że kwestyą służebności traktuje ze stanowiska interesu włościan, tak mało z téj strony była ona u nas dotychczas wyjaśnianą, iż w tém oświetleniu niejednemu wydać się ona może rzeczą zupełnie nową. Główny nacisk kładzie autor na konieczność usuwania szachownic, i wskazuje wyraźnie w jak wysokim stopniu właściciele folwarków interesowani być muszą w przeprowadzaniu zamiany służebności jednocześnie z regulacyą gruntów, a o ile to zrobić można i komasacyą drobnych cząsteczek włościańskich rozrzuconych po rozmaitych polach. Rzecz cała przedstawiona jasno i sumiennie, wnioski zaś wyprowadzone z ubogiego materyału jakim mógł rozporządzać p. Olszewski, są zupełnie słuszne, odpowiadają ogólnemu interesowi kraju i zdaje się nam, że jeżeliby kto potrafił zgromadzić większą obfitość statystycznych danych, posłużyłyby one tylko do stwierdzenia i silniejszego poparcia poglądów autora.

Nakoniec powiedzmy jeszcze słów kilku o trzech rozprawach z nauk ścisłych.

W artykule „o szybkości reakcyj chemicznych“ zapoznaje nas zdolny naturalista p. J. J. Boguski z rezultatami własnych swych prac nad tą kwestyą wielce ważną i wielkie obiecującą nadzieje odchy-

ną“ (634)—a po dojściu do dojrzałości nadużycie nie jest szkodliwe? zresztą przed dojrzałością nie może być nadużyć—bo nie istnieją jeszcze popędy. Zwracamy też uwagę, że „Listy, memoryały i supliki nie są dziełem Piramowicza (659), lecz podobno F. N. Golańskiego.

Kończąc sprawozdanie niniejsze uważamy sobie za miły obowiązek złożyć p. P. podziękowanie za podjęcie pracy, która lubo nie wolna od usterek, sprowadza wszelako przedmiot traktowany na grunt właściwy i pod niejednym względem pożytek przynosi.

St. Mieczyński.

JÓZEF SZUJSKI.

Dnia 7 lutego r. b. zmarł w Krakowie Józef Szujski. Bolesna ta wieść, telegramami po całym kraju rozniesiona, zatarła w pamięci wspomnienia waśni i walk stronniczych, a uwydatniła wielkość straty przez społeczeństwo nasze poniesionéj. Wszyscy bez wyjątku, przyjaciele i przeciwnicy, uczuli i wypowiedzieli, że ubyła nam jedna z sił wielkich, ubył rozum jasny i trzeźwy, ubyło serce namiętnie kochające swój naród, ubył dzielny charakter, nieznużony w pracy, ubył obywatel odznaczony odwagą cywilną i niepospolitą zdolnością do podejmowania i przeprowadzania spraw ważnych.

Gdy się nad tym objawem naszego społecznego i umysłowego obyczaju zastanawiamy, mimowoli przychodzą nam na myśl słowa sto lat temu przez Naruszewicza do rodaków wypowiedziane o mężach, co naród w karności wyćwiczyć pragnęli:

> Wasz-to obyczaj, cierń w życia przeciągu
> Kłaść im na głowy, kwiat aż na posągu...

Rzeczywiście, podejrzeniami, insynuacyami, obelgami dotykany do ostatniéj chwili niemal życia, Szujski doczekał się powszechnego i bezwarunkowego uznania i uwielbienia... gdy leżał w trumnie. Postępowanie takie ma niewątpliwie dobrą stronę, świadczy o czułém, miękkiém i rzewném sercu naszém, umiejącém odczuć i podzielić boleść, ale ma téż i stronę złą, dowodzi bowiem, że nie umiemy uczuciem tém rządzić. Stokroć lepiéj byłoby, ilość cierni w koronie obywatelskiéj zmniejszać za życia, aniżeli przysypywać je po śmierci mnogością kwiatów. Stokroć lepiéj byłoby tę dozę wyrozumiałości w ocenie poglądów i przekonań nam niemiłych lub wstrętnych, jaką okazujemy dla przeciwników zmarłych, rozdzielić choćby na mniejsze i podawać żyjącym. Stokroć lepiéj byłoby te skrupuły sumienia w wydaniu sądu o ludziach, jakie nas ogarniają

na widok mogiły, odczuwać wcześniéj, ażeby nie zatruwać bezpotrzebnie bliźnim niedługich chwil żywota.

Gdybyśmy umieli z nieszczęść pożytek dla siebie wyciągać, to zgony takich ludzi jak Szujski powinnyby się przyczyniać do zmiany taktyki w walce stronnictw, zaprowadzić w niéj więcéj szczerości a zwłaszcza więcéj sumienności. Poznawszy siebie dokładnie, wyrozumiawszy wzajemnie zasady i przekonania, pojąwszy, że wszystkich nas łączy lub łączyć winna wspólna służba dla narodu, wyrównywalibyśmy sprawiedliwiéj rozdział nieodłącznych od pochodu ziemskiego cierni z kwiatami konduktu pogrzebowego. Wszak czyny i dzieła nie giną wraz z tymi, co je do bytu powołali, promieniują one na dalsze pokolenia, wytwarzając nowych bojowników idei. Rozciągnijmy na nich choć w części ten sąd beznamiętny, jakim darzymy zmarłych, a uczcimy ich pamięć najlepiéj i najskuteczniéj, bo prawdziwie po męsku.

Szujski nie potrzebuje czczych frazesów pochwalnych, bo się niemi brzydził za życia, a wyrazista fizyonomia poglądów, któremi się w najlepszéj dobie działalności swéj kierował, nakazuje otwartość w ich wyłuszczeniu i ocenie. Krótkie jego życie zbyt było wypełnione czynami, ażeby potrzeba było szukać próżnego miejsca na mdłe ogólniki.

Życie to rozpada się na dwa wybitnie się różniące okresy: okres podrastania na młodzieńca i wyrabiania się na męża do trzydziestu lat wieku i okres siedemnastoletniéj wytrwałéj działalności podług pewnych stałych zasad.

Czas dzieciństwa i pierwszych wrażeń młodzieńczych przypadł na chwilę najwyższego rozwoju naszego romantyzmu, a pierwsze samodzielne przejawy umysłowości na czas jesiennéj jego pory. Okoliczność ta silnym odbiła się wpływem na duchowém usposobieniu Szujskiego. Urodzony roku 1835 w Tarnowie, pobierał tu pierwsze nauki; najwyższe klasy gimnazyalne, tak zwane filozoficzne ukończył w Krakowie r. 1854. Odbył następnie studya prawne w uniwersytecie jagielońskim jeszcze za czasów jego zupełnego zniemczenia; zdał egzamin t. z. „historyczny“ z prawa rzymskiego, niemieckiego i polskiego. W r. 1857 przeszedł na wydział filozoficzny i oddawał się nauce dziejów powszechnych i filologii klasycznéj. Był-to czas, w którym uniwersytet krakowski i szkoła sztuk pięknych kształciły liczny zastęp młodzieży, wsławionéj następnie już-to w literaturze, już-to w muzyce i malarstwie. Dość będzie wymienić nazwiska Stanisława Tarnowskiego, Pilińskiego, Wojciechowskiego, Piekosińskiego, Lubowskiego, Bałuckiego— jako uczonych lub literatów, Grottgera, Matejki, Leopolskiego, Gryglewskie-

go — jako malarzy, Władysława Tarnowskiego i Żeleńskiego — jako muzyków, ażeby sobie wyrobić niejakie pojęcie o tém najbliższém otoczeniu, wśród którego rozwijała się umysłowość Szujskiego w latach uniwersyteckich i zawiązywały się stosunki, które miały później zjednoczyć niektórych z tego zastępu do wspólnéj pracy.

W literaturze ówczesnéj przeważne miejsce zajmowała poezya i powieść historyczna, którą reprezentowali Wincenty Pol, Syrokomla, Rzewuski, Kaczkowski, oraz historya malownicza, któréj twórcą i rozpowszechnicielem był Szajnocha. Uwielbienie nie tylko dla przeszłości jako takiéj, ale nawet dla jéj stron wadliwych i zdrożnych, uznawanie w instytucyach dawnéj Rzeczypospolitéj ideału politycznego, wynoszenie szowinistyczne cnót i zalet narodowych, skoncentrowanych w szlachcie, po nad wszelką miarę: oto niektóre z cech odznaczających nastrój panujący pod owe czasy w kraju. Młodzież dopełniając naukę szkolną, z któréj wykluczone były najmilsze dla niéj przedmioty, pochłaniała oczywiście chciwie pokarm dostarczany przez literaturę.

Rzeczą było bardzo naturalną, że młodzieniec o wrażliwéj duszy i ruchliwéj wyobraźni, jakim był Szujski, dał się porwać przemożnemu prądowi i przez lat trzy tworzył w duchu i formie jesiennéj doby naszego romantyzmu. Pisze i drukuje poemata i dramata historyczne, poczynając od r. 1857. *Tajemnica śmierci hetmańskiéj*, *Jacek Brzuchański*, *Pan Rożnowa*, *Sługa grobów* — oto napisy główniejszych poematów; *Samuel Zborowski*, *Radziejowski*, *Dzierżanoski*, *Halszka z Ostroga*, *Królowa Jadwiga*, *Wallas* — oto napisy dramatów, już-to częściowo, już-to w całości obrobionych. Prócz tego ogłasza wiele liryków, a między innemi zbiorek p. n. *Poważne chwile*. Pozostało téż kilka z tego czasu rękopismów, zawierających nieznane dotąd ogółowi dramata. Większość swoich utworów drukował Szujski w „Dzienniku literackim“ lwowskim, skupiającym w sobie natenczas wszystkie siły literackie Galicyi i pewnéj części emigracyi, pod kierownictwem Jana Dobrzańskiego. Poezye i dramata Szujskiego mieściły się tu obok poezyj i rozpraw Ujejskiego, poematów Mieczysława Romanowskiego, Michała Bałuckiego, powieści Dzierzkowskiego, Zacharyasiewicza, Walerego Łozińskiego, opowiadań podróżniczych, powieści i artykułów społecznych T. T. Jeża, obok roztrząsań historycznych Henryka Schmitta. W tych trzech pierwszych latach działalności poetyckiéj Szujski nie przeprowadzał jeszcze żadnych specyalnych tendencyj, pisał poemata i dramata historyczne dlatego, że historya w poezyi i poezya w historyi były-to rzeczy bardzo wtedy ulubione, a że odpowiadały przytém usposobieniu i studyom jego, więc się ich uprawie oddawał z zamiło-

waniem. Na propagowanie pewnych poglądów przyszło dopiero w r. 1860.

Rok 1860 zdawał się zapowiadać nową erę dla Galicyi. Wyszedł wtedy manifest cesarza austryackiego zapowiadający krajom koronnym urządzenia autonomiczne. Wszczął się żywy ruch w dziedzinie publicystyki. Objawiły się natychmiast dwa kierunki: konserwatywny i postępowy; pierwszy jednak nie miał dosyć skupienia i siły, dał się więc ubiedz drugiemu we wpływie na społeczeństwo. Szujski, mając lat dwadzieścia pięć, przyłączył się do stronnictwa liberalnego i napisał pierwszą swą pracę publicystyczną p. n. *Portrety Nie-Van-Dycka*, które wychodziły w „Dzienniku literackim“ spółcześnie z głośnemi *Listami z pod Lwowa* Kornela Ujejskiego. Zawarł w nich jakby dyagnozę ówczesnego społeczeństwa galicyjskiego w szeregu obrazków przedstawiających szlachtę, wiejskich polityków, słabe i lekkie duchy, rycerzów mgły, tartufa politycznego, półpanków, wielkich panów w rozmaitych ich odcieniach, głowy wichrowate, uczonych i niedouczonych, poetycznych młodzieńców, kobiety egzaltowane i t. d. Już tu Szujski patrzy krytycznie na stosunki krajowe z przed kilku lat, jakkolwiek w poglądach swoich ulega w pewnych punktach ich silnemu oddziaływaniu. Więc szlachta, pojęta nie jako przywiléj, nie jako kasta, ale jako stan „mający tajemnicę przypodobniania sobie nieszlacheckich a nawet obcych żywiołów, jako idea podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności i uczestnictwa w obywatelskiém życiu“—taka tedy szlachta jest „historyczną i faktyczną alfą i omegą narodu, jest oceanem dobréj woli i dobréj wiary,“ stanowi ów „punkt grawitacyjny, który jedynie naród od spaczenia zachować może. Do arystokracyi żywi autor niechęć, gdyż „panowie rzadko się starają o prawdziwą popularność, rzadko szczerze i otwarcie postępują ze szlachtą, a nic więcéj od nich nie jest oddaloném, jak spólność interesów z niższą podług nich socyalnie warstwą.“ Jeżeli w tych i innych poglądach dosłyszeć możemy odgłosu z czasów kształcenia się młodego publicysty, to natomiast w ocenie stosunków umysłowych i religijnych występują wyraźnie przekonania o potrzebie gruntownéj ich przemiany. „Przypomnijmy sobie — powiada—kołowaciznę przed kilką laty w modzie będącą, a i dziś potężną jeszcze, kołowaciznę ślepego afektowania niepostępowych opinij, estetycznego rozlubowania się w przeszłości, systematycznéj nienawiści ku temu wszystkiemu, co się głośniéj odezwało, co ruszyło jakąś kwestyą drażliwszą. Przypomnijmy sobie chorobę wzajemnéj admiracyi, chorobę dobrych chęci słabiutkich i niewyraź-

nych, chorobę nareszcie legitymizmu i bigoteryi, które u nas grasowały tak powszechnie. Nie zapadlibyśmy byli zapewne we wszystkie te denerwujące wsteczności, gdyby nas w nie nie popchnęła ślepa i niekrytyczna nienawiść ku dawnéj (t. j. z przed r. 1848) demokracyi, gdybyśmy nie byli widzieli w każdym wolniejszym objawie myśli widmo Robespierra, a w każdém słusznem ograniczeniu naszego stanowiska narodowego nie obawiali się przekleństwa religii.“ Przestrzegał tedy naród, że „nie ma nieszczęśliwszéj kołowacizny jak zamknięcie się w czterech ścianach swego kraju, jak egzaltowane patrzenie się na wszystko polskiemi oczami, że najfałszywszym środkiem zaprowadzenia jedności w narodzie jest negacya stronnictw, bo „jedność to nie jednomyślność.“ Najprostszą drogę do jedności wskazywał w miłości ku braciom, porozumieniu się, podjęciu i roztrząśnieniu łagodném i toleranckiém każdéj myśli, w uwzględnieniu każdego dążenia uczciwego. „Jawność i wolność—pisał—są-to owe cudowne słowa, które przeszkadzają wszelkiéj szkodliwości stronnictw, które pozwalają porozumieć się obopólnie najsprzeczniejszym zdaniom, skoro tego żąda dobro powszechne, które wyganiają raz nazawsze wszelkie ciemne strachy podejrzliwości i kalumniowania obustronnego i zdzierają maski z twarzy, aby nie domina ale ludzie w szranki publicznego życia wstąpili.“

Równocześnie z tą pracą publicystyczną pomieścił Szujski w „Dzienniku literackim“ (r. 1860, N. 50, 51, 64—69) pierwszą swą rozprawę historyczną p. n. *Rzut oka na stanowisko Polski w historyi powszechnéj.* Nie występuje tu jako reformator, zbiera tylko, według własnego wyznania, prawdy już zdobyte i w jedność je skupia. Istotnie odnajdujemy tu poglądy w owym czasie bardzo rozpowszechnione. Tragiczne zakończenie każdéj z chwil rozbiorowych przypisane wyłącznie potęgom ościennym, tak że nie jest ono winą ale nieszczęściem narodu, a raczéj „mówiąc po chrześcijańsku, bożym dopustem.“ Polska w czasie sejmu wielkiego „stanęła nagle w rzędzie europejskich mocarstw, doścignąwszy je w jednym momencie patryotycznego zapału, zrównała się a nawet wyżéj stanęła nad wiek swój.“ Rokosz Zebrzydowskiego, zgodnie z tezą H. Schmitta, miał być i według Szujskiego „walką zasad przeciwnych, walką o wolność i prawa kardynalne.“ W jednym tylko punkcie można odnaleść różnicę od ogólnego poglądu ówczesnego, różnicę w ocenie dawnych z przed sejmu czteroletniego instytucyj rzeczypospolitéj. Instytucye te były, zdaniem Szujskiego, „wieczném pokuszeniem, wiecznem źródłem niemoralności publicznéj, musiały ludzi prowadzić do wszystkiego złego.“

Odtąd nie zaniedbuje wprawdzie Szujski niwy poezyi i belletrystyki, ale cały swój zapał młodzieńczy przenosi do dziedziny badań dziejowych. Obok dramatu *Jerzy Lubomirski*, w którym przedstawia tego męża jako człowieka, który fatalnie tam zaszedł, dokąd zajść nie myślał, obok powieści ze stosunków spółczesnych p. n. *Czyste dusze i mętne dusze*, w której szczegółowiéj przeprowadzał niektóre myśli rzucone tylko w *Portretach*, stają najprzód krótkie rozprawki historyczne: *Anna Jagiellonka*, *Marya Gonzaga*, pomieszczone w założoném r. 1860 przez Turowskiego czasopiśmie „Niewiasta," a następnie mozolna praca około ułożenia *Dziejów Polski według ostatnich badań*. Praca ta zajęła lat pięć z okładem i, w miarę jak się posuwała naprzód, przybierała różny od pierwotnego charakter. Z początku autor miał zamiar napisać zwięzły podręcznik streszczający wyniki badań nad poszczególnemi okresami dziejów naszych przez różnych historyków wydobyte; jakoż dwa pierwsze tomy obejmujące panowanie Piastów i Jagiellonów, opracowane i ogłoszone przed powstaniem r. 1863, noszą na sobie cechy dobréj, rozumnie pojętéj kompilacyi, uwzględniającéj troskliwie stosunek Polski do ogólnego stanu cywilizacyi europejskiéj. Atoli w miarę postępu roboty dziejopisarskiéj, Szujski zaczął się zagłębiać w źródłach historycznych, zaczął się otrząsać z przejętych tradycyjnie poglądów na epoki i głośniejsze fakta, i dzieło swe z kompilacyi przemieniał powoli na rezultat badań samodzielnych. Już ta samodzielność widnieje w 3 tomie „Dziejów" wydanym r. 1864, a w tomie 4-ym mianowicie tam, gdzie autor opowiada o drugiéj połowie wieku XVIII panuje wyłącznie.

Dwie cechy znamienne dojrzéć można w téj fazie działalności dziejopisarskiéj Szujskiego, jednę ogólną, drugą specyalną wprawdzie, lecz mającą wpływ nader doniosły na charakter prac dalszych. Było tam najprzód dążenie do przedmiotowego przedstawienia rozwoju zdarzeń historycznych, na podstawie sumiennie i krytycznie zbadanych źródeł, a powtóre dojrzenie i wskazanie przyczyn osłabienia i upadku Rzeczypospolitéj w braku karności, w braku przewodniéj myśli politycznéj, w braku silnego rządu. Pierwsza z tych cech znamionowała ważny krok naprzód w badaniach dziejowych, wykluczała bowiem wszelkie tendencyjne ustawianie a témbardziéj wykrzywianie faktów dla jakiejś myśli zgóry powziętéj, dla jakiejś teoryi. Druga, będąc wynikiem koniecznego w historyografii dopatrywania związku przyczynowego między faktami, była również w zasadzie swojéj słuszną, ale w zastosowaniu, przejmując boleścią serce kraj kochające, odejmowała poglądom dziejopisarza spokój w traktowaniu minionych stosunków politycznych, które nie odpo-

wiadały raz już urobionemu na podstawie późniejszych wypadków pojęciu o rządzie silnym i o karności, w następstwie zaś stać się mogła takąż samą zgóry powziętą teoryą, przeszkadzającą jasnemu widzeniu i bezstronnéj ocenie stosunków historycznych, teoryą podobną w swych skutkach do teoryj dawniejszych, demokratycznéj czy monarchicznéj. Cecha ta wynikła u Szujskiego z wczytania się w autorów, którzy w XVIII stuleciu rozpowszechnili ten pogląd dla przeprowadzenia reform na sejmie wielkim i używali go jako broni przeciwko stronnikom starego porządku rzeczy. Przejął się nią historyk nasz tak silnie, że, na wzór publicysty, opatrywał dążności anarchistów dosadnemi wymówkami a ich frazesy wykrzyknikami i pytajnikami w nawiasach umieszczanemi. Tym sposobem, zapewne bez woli autora, pierwiastek publicystyczny, tendencyjny, wyrzucony z areny dziejopisarstwa jednemi wrotami, wracał drugiemi, trochę tylko zamaskowany.

Roztrząsanie przyczyn upadku kraju w połączeniu z rozważaniem bolesnych skutków ruchu z r. 1863 wyrobiło powoli w umyśle Szujskiego coraz bardziéj krystalizujący się pogląd na to, co nam robić wypada, jak się zachować wobec stosunków rzeczywistych. Pierwszym objawem literackim tego przetwarzania się umysłowości jego była rozprawka *O broszurze p. Pawła Popiela pod tytułem: List do księcia Jerzego Lubomirskiego* (r. 1865), w któréj znajdują się już wyraźne wskazówki o przeżyciu się emigracyi i o potrzebie pracy organicznéj. Poglądy te zbliżyły Szujskiego z gronem ludzi, co stając silnie przy kościele, tradycyi, obyczaju i języku, uważali za rzecz konieczną, porzuciwszy myśli o konspiracyi, wyjść ze stanu bezczynnéj nieufności względem rządu austryackiego, pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy, ażeby powoli, na drodze konstytucyjnéj, wywalczać coraz szersze dla narodowości polskiéj prawa. Właśnie miała się rozpocząć dla Austryi a więc i dla Galicyi nie tylko frazeologicznie zapewniona ale w rzeczywistości przeprowadzana era konstytucyjna. Owo grono ludzi postanowiło wziąć czynny udział w polityce, a jako organ swoich zasad i przekonań założyło w przededniu bitwy pod Sadową w połowie roku r. 1866 „Przegląd polski.“ Do redakcyi weszli obok historyka naszego, Stanisław Tarnowski i Stanisław Koźmian. Bardzo ożywioną działalność rozwinął tu Szujski, gdyż stał się wyłącznym w pierwszém półroczu sprawozdawcą całego ruchu naukowo-literackiego, a prócz tego i obszerniejsze pomieszczał tu rozprawy. Czy to rozbierając dzieło Sołowjewa o upadku Polski, czy pisząc o Staszycu jako patryarsze demokracyi polskiéj, czy o obrazie Matejki Rejtan, ciągle miał na pamięci cel publicystyczny wyraźnego zaakcentowania we-

wnętrznych przyczyn rozstroju i potrzeby dźwigania się za pomocą własnéj wytrwałéj pracy. W początkach r. 1867 ogłasza broszurę, będącą skupionym i streszczonym wyrazem tak własnych jak i całéj redakcyi „Przeglądu polskiego“ opinij, broszurę programową, na którą odtąd stronnictwo krakowskie zawsze się powoływało. Broszura ta miała napis: „Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważaniu w chwili obecnéj.“ Składa się ona z dwu części: historycznéj i publicystycznéj. W pierwszéj przebiega autor w krótkości dzieje ostatnich wieków Rzeczypospolitéj i podając przyczyny jéj niedomagania bez „upiększeń“ i „błędnego historycznego liryzmu,“ a w drugiéj prawdy zdobyte okropném doświadczeniem podaje jako drogoskazy działania praktycznego. Wykazywał, że ówczesny stan społeczeństwa naszego był wynikiem dawniejszego politycznego rozstroju, że spiski i powstania były objawami analogicznemi z konfederacyami i rokoszami, że należy raz stanowczo zerwać ze sprzysiężeniami, które ostatecznie wszelką utraciły podstawę wraz z powszechném usamowolnieniem włościan, że potrzeba się chwycić pracy mozolnéj dla wzmocnienia organizmu narodowego, że nieodbitą jest koniecznością, ażeby warstwa przodkująca t. j. suma tych wszystkich w dojrzałym wieku obywateli, którzy o sprawach kraju mają wyrobioną opinią, a swojém stanowiskiem, pracą, inteligencyą, majątkiem, wpływ wywierać mogą, utworzyła pewien rząd moralny, dla powstrzymania zachcianek niedojrzałych.

Na tak sformułowany program posypały się namiętne odpowiedzi zarówno w emigracyi, odsądzonéj od prawa narzucania się narodowi, jak w pismach lwowskich i poznańskich, które odezwanie się rozumnego patryoty nazwały odstępstwem i zdradą. Szujski wraz ze stronnictwem swém zastraszyć się nie dał; wystąpił odważnie do walki.

Z początku z możliwym spokojem odpowiadał na napaści lub poddawał krytyce objawy sprzeczne z zalecaną przez siebie pracą drobną a wytrwałą. W artykule p. n. „Dwie odpowiedzi“ objaśniając program zawarty w broszurze, zaznaczył między innemi obowiązki patryotyzmu wśród ówczesnych okoliczności. „Czy mamy powiedzieć—pisał tu—że naród chociażby długo uciśniony, nie utracił warunków niepodległego bytu, jeżeli zamiast wyczerpać się w nieustannéj ekspektoracyi swoich uczuć, umiał skupić się w sobie i rozkorzenić niby ziarno przydeptane stopą szatańską? Czy mamy wskazać przykłady Węgrów i Czechów, tych Czechów, którzy się odrodzili z kilku gałązek bluszczu, rosnącego na starych ruinach a dzisiaj zawstydzają nas pracą około ludu, oświaty i narodowości?... Chcąc nowe rozpocząć życie nie trzeba miary patryotyz-

mu brać z czasów, kiedy spoczywał w pieluchach, kiedy idea niepodległości była aniołem stróżem młodego pokolenia, wiodącym go za pomocą sennych marzeń i natchnień w życie poświęcenia i męczeństwa, kiedy wielkość i szczytność idei zaślepiała nas na braki rzeczywistości. Dzisiaj patryotyzm ma pochmurzone od cierpień czoło, schylone od nadmiaru boleści barki. To już nie młody, to stary patryotyzm, który tyle tysięcy widział ginących przed sobą, który widzi szalony pożar posuwający się coraz dalej w dziedziny ojczyste...Taki patryotyzm przypuszcza dyskusyą, bo ze sfery uczuć i przeczuć, ze sfery teoryi i ogólników musiał on, pod wagą strasznéj rzeczywistości, przejść w sferę rozumu i praktyki, musiał się nauczyć roztropności.“

Wezwanie atoli do dyskusyi pozostało bez skutku. Do nowego poglądu na zadania narodowe trudno było się nałamać umysłom wychowanym wśród wstrząśnień; przywyknienie do odmiennych warunków życia przychodzi z wolna, a połączone jest z cierpieniem. Do zwiększenia trudności porozumienia przyczynił się antagonizm Galicyi wschodniéj ze Lwowem na czele do Galicyi zachodniéj z Krakowem. Liberalizm i demokracya uważały się za znamiona pierwszéj, konserwatyzm za cechę drugiéj. Wprawdzie stronnictwo skupiające się około „Przeglądu Polskiego“ w pierwszych latach przyznawało się głośno do demokracyi i uznawało potrzebę postępu; ale w szczerość wynurzeń tych, wychodzących z grona ludzi w znacznéj części do arystokracyi należących, nie wierzono. Lwowskie więc dziennikarstwo wystąpiło wrogo przeciw opiniom wygłaszanym przez „Przegląd,“ okazując cześć dla tego wszystkiego, co Szujski jako rzecz zgubną potępiał. W kole redakcyjném „Przeglądu Polskiego“ powstała więc myśl użycia na tych zawziętych przeciwników broni ostréj, broni szyderstwa i satyry. Tym sposobem powstała *Teka Stańczyka* wystawiająca pod pręgierz tych, co *liberum conspiro* za hasło swe wzięli. W myśli autorów *Teki*, do których należał i Szujski, potrzeba było rozpaloném żelazem wypalić ranę, ażeby zarazy nie szerzyła po reszcie organizmu narodowego. Rzecz była podjęta w zacnéj i rozumnéj myśli, ale czy była przeprowadzona we właściwy sposób? Zdaje się, że nie. Szujski objaśniając w lat 13 po napisaniu *Teki* jéj dążność, mówi dobitnie i ostro: „Jeżeli naród polski ma takie nerwy, że potrzebnéj w danéj chwili prawdy nie zniesie, że nie można mu powiedzieć prawdy o jego przeszłości, położeniu, wadach, bo gotów wpaść w histeryą, idźmy spać i zostawmy go losowi“... Zdaje nam się, że taki system terapii trochę konowalstwem trąci. Niewątpliwie, prawdy przed narodem kryć nie należy, ale wypowiadając ją, potrzeba nietylko być bardzo a bardzo głęboko

przekonanym o jéj bezwzględnéj skuteczności, ale nadto należy ją, tak jak w udzielaniu każdego lekarstwa, zastosować do stanu leczonego organizmu. W przeciwnym razie organizm może kuracyą odrzucić, w stan strasznieje szego rozstroju popaść, a w dodatku lekarza znienawidziéć. Że konsekwencyą tę uznawał i Szujski, ale wagi do niéj nie przywiązywał, widzimy stąd, że z lekceważeniem traktował fakt, iż *Teka Stańczyka* uczyniła całe stronnictwo, od niéj Stańczykami nazwane, niepopularném. O popularność mu wcale nie chodziło, gdyż uganianie się o nią, jak utrzymywał, było „jedną z najgłębiéj zakorzenionych wad polskich, wad zabójczych, utrzymującą panowanie głupstwa i złego, siejącą fałsz zamiast prawdy na drogi życia.“ Zapewne, gdyby chodziło o popularność w pospolitém rozumieniu wyrazu, o tę popularność, która nikomu, bezwzględnie nikomu narazić się nie chce, ażeby świętym spokojem się cieszyć, która nakazuje nie miéć nigdy wyraźnego zdania, ażeby czyimś odmiennym opiniom nie ubliżyć; to niewątpliwie o taką popularność ubiegać się nie należy, unikanie takiéj popularności jest zasługą. Ale w tym wypadku chodzi podobno o co innego, bo o staranie, by propozycye stronnictwa mogły liczyć na skuteczność. Otóż Szujski i pod tym względem żadnego nie chciał zrobić ustępstwa, mówiąc z oburzeniem: „Jesteśmy więc w kraju i społeczeństwie, gdzie nie patrzą na rzecz, ale na formę; na wyrażenia, nie na myśl; więc jesteśmy w społeczeństwie, które mówi: nie chcę cię, choć jesteś zdolny i pracowity, bo mi się wydajesz zarozumiały; mówić ci nie wolno, jak ci myśl niesie, bo chociaż to prawda, sposób jéj wypowiedzenia mi się nie podoba; gadaj inaczéj, to cię zniosę; zdajesz mi się nadto pewnym siebie, nie liczysz się z opinią publiczną; może ci na to nie pozwala twoje przekonanie, ale się musisz liczyć, musisz poddać je opinii, albo fora!“ Można zapewne z bezwzględnego stanowiska boléć nad tém, że tak jest, ale trzeba się przytém zastanowić, że taki objaw nie przedstawia wcale naszéj wyłącznie cechy, lecz jest ogólnie ludzkim, a jako z takim musi się liczyć każdy, kto chce ze skutkiem na ludzi oddziaływać, musi się z nim liczyć przedewszystkiém publicysta i polityk. Kto zaś tak się zapatrywał na stosunek stronnictwa do społeczeństwa, jak to Szujski sformułował, ten miał oczywiście na myśli dyktaturę moralną.

Że społeczeństwo dyktaturze się nie poddało, dziwić się niepodobna. Stąd wynikło bolesne starcie z opinią, mianowicie z opinią dziennikarstwa lwowskiego. Winę tego starcia przypisują Stańczycy wyłącznie brakowi rozumu politycznego u swoich przeciwników, nie chcąc uznać, że i ich postępowanie publicystyczne wcale nie mogło się przyczynić do łagodzenia zadraśnionych i zaognionych stosun-

ków. Do tego rodzaju postępowania liczymy ciągłe traktowanie dziennikarstwa lwowskiego z najwyższą pogardą, zbyt bezwględne w środkach dyskredytowanie przeciwników w pamfletach (*Założenie Dziennika* itp.), ośmieszanie samorządu (*Nasza Autonomia*), jaskrawe uwydatnianie samych błędów, słabości i podłości z r. 1863 (*Dramat bez nazwy*). Dobrych intencyj nie przeczymy i tym pamfletom, nie sądzimy jednak, ażeby one mogły się zaliczyć do kategoryi właściwych, skutecznych środków działania publicystycznego.

Z działalnością publicystyczną łączyła się ściśle od r. 1869 czynność polityczna Szujskiego, który z początku jako poseł na sejm lwowski, potém jako członek koła polskiego w Wiedniu, a w końcu jako członek izby panów był inicyatorem lub popieraczem wniosków stronnictwa krakowskiego, czyli, jak się od r. 1876 samo nazwało, stronnictwa reformy administracyjnéj.

I twórczość swą belletrystyczną zaprzągł również Szujski w tym drugim okresie do jarzma tendencyi. W powiastce p. n. „Bezimienna trucizna“ starał się wykryć „kwas socyalny“ zatruwający inteligencye i serca, pod formą niezadowolnienia z własnego stanu, a pięcia się do wyższego; demokrata, niepospolitemi obdarzony zdolnościami, marnuje życie dlatego, że mu arystokratka ręki odmówiła. W dramatach: *Maryna Mniszchówna*, *Śmierć Władysława IV* na przykładach historycznych stara się wykazać fatalne skutki braku karności, braku zmysłu politycznego i chwiejności przekonań. Inne, jak *Kopernik*, *Długosz i Kallimach* są utworami okolicznościowemi. Artystyczna ich strona ma dosyć podrzędne znaczenie. Przekłady arcydzieł Eschila, Arystofanesa, Kalderona powstały także w tym okresie.

Niwę dziejopisarską uprawiał równocześnie z nadzwyczajną, gorączkową usilnością. W pierwszych latach po skończeniu czterotomowych „Dziejów polskich“ różnorodnych dotyka przedmiotów, to się zastanawia nad pierwostanem człowieka, to pisze „Rys dziejów piśmiennictwa niechrześcijańskiego,“ wkraczając z konieczności w dziedzinę mało sobie znaną, jak np. literatura Wschodu, to znów kreśli dzieje Samozwańców i ocenia dzieło Kalinki: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. W r. 1869 zostaje profesorem historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim i wykłada ten przedmiot systematycznie aż do końca życia, ze szczególniejszém zamiłowaniem zatrzymując się na okresie podziałów Polski. Kieruje przytém seminaryum historyczném, wydaje już to sam już to z innymi źródła do dziejów polskich, dyaryusze, kroniki, listy, statuty uniwersytetu krakowskiego i inne dokumenty. Od r. 1873 jest sekretarzem przetworzonéj z Towarzystwa Naukowego Akademii Umiejętności, a zara-

zem kierownikiem sekcyi historycznéj; zabiega gorliwie o rozwój téj nowéj instytucyi, rozszerza o niéj wiadomości w kraju i zagranicą, broni od zarzutów, zachęca do przedsiębrania prac, udziela rad i wskazówek. A obok téj natężonéj i różnorodnéj działalności znajduje czas na badanie źródłowe rozwoju dziejowego w wieku mianowicie XIV, XV i XVI. Owoc poszukiwań swoich, nieraz zupełnie nowe światło na fakta rzucających, składa w szeregu kilkunastu rozpraw, zebranych w 2 tomach *Opowiadań i roztrząsań historycznych* (r. 1876 i 1882) oraz w trzech pracach oddzielnie wydanych: *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj ksiąg dwanaście* (r. 1880), *Odrodzenie i reformacya w Polsce* (r. 1881), *Die Polen und Ruthenen in Galizien* (r. 1882).

Szujski w badaniach swych z dziedziny dziejów ojczystych był niewątpliwie umysłem wysoce krytycznym, podobnież i w rozbiorze faktów naszego życia spółczesnego; w tym względzie nie zaprzeczył sam sobie do końca. W innych atoli dziedzinach wiedzy, a mianowicie w sferze filozoficznego myślenia stopniowo stawał się wrogiem krytycyzmu, ścieśniając tym sposobem a nawet w pewnéj mierze kasując swe odezwy o potrzebie ścisłéj krytyki w zastosowaniu do tego, co się myśli, mówi i pisze. Stąd jako profesor historyi, we wstępnéj zaraz lekcyi wypowiedział swą wątpliwość, żeby historya kiedykolwiek stać się mogła umiejętnością ścisłą; stąd w pięć lat późniéj (w artykule *Moralność i wiedza*) odrzucając i potępiając myśl szukania praw rozwoju historycznego, nawraca do znanego poglądu Bossueta, przeoczając zupełnie, że kto wprowadza do dziejoznawstwa czynnik, którego działanie, jak sam Szujski wyznaje, jest całkiem dowolne, ten w końcu będzie musiał całą swą krytyczność zwrócić jedynie i wyłącznie do rozpoznania autentyczności tekstów bez względu, czy ich treść możliwą jest lub niemożliwą—wedle praw natury, wszelką dowolność wykluczających. Z tego też zacieśnienia sfery krytycyzmu wynikło, że Szujski próby wszelkiego myślenia różniącego się od dogmatów katolickich, czy to będzie humanizm, czy protestantyzm, czy pozytywizm,—poczytywał za objawy „pychy rozumu,“ a chcąc już w zarodku stłumić popęd do „zdawkowych teoryj postępu“ podawał prawdziwie rozpaczliwą radę, ażeby w szkole, przy nauce historyi, wpajano w młodzież „przekonanie o zmienności i niedoskonałości teoryj ludzkich“ (*Sprawozdanie komisyi w sprawie reformy szkół średnich*, 1881, str. 27).

Czyż nie było to rzeczą tragiczną znaleść się pod koniec życia w tak rażącéj sprzeczności z przekonaniami lat młodych i czy poczucie tego tragizmu nie było jedną z wewnętrznych przyczyn, co w połączeniu z nadmiarem pracy, z gorączkowością działania wpły-

nęły na skrócenie wątka bytu 47-letniego męża? Nie znając szczegółów wewnętrznego rozwoju i wpływów otoczenia, jakie na Szujskiego działały, nie możemy się nawet pokusić o odpowiedź na te, wątpliwości pełne, pytania i musimy ją przyszłemu biografowi pozostawić.

Bądź-co-bądź głoszone przez Szujskiego w ostatnich latach przekonania, z naszego stanowiska wydające się nam błędnemi a poczęści zgubnemi dla zdrowego, wszechstronnego rozwoju społeczeństwa, nie mogą ani zniweczyć ani nawet przesłonić licznych zasług męża o charakterze czystym i prawym, który żył nie tyle dla siebie ile dla kraju, który pobudził swą pracą i przykładem do głębszego, krytyczniejszego wglądnięcia w przeszłość, który miał odwagę wśród ogólnego zamieszania pojęć wskazać swemu narodowi światło przewodnie ku lepszym warunkom przyszłości będącéj już nie tylko rojeniem wyobraźni i serca, lecz obejmowanéj także jasnym rozumem. Pamięć o takich mężach, nie słowa jedynie ale i czynu, głęboko wyryć się musi w sercach pokoleń spółczesnych i potomnych.

---

lenia zasłony pokrywającej sferę fizycznych tajników chemizmu. Szybkość reakcyi chemicznych jest bezwątpienia jedną z dróg, jednym z punktów wyjścia, które nam najgłębiéj wniknąć pozwolą w ten specyalny rodzaj dynamiki w niezbadany, może nawet nie przeczuwany dotąd, mechanizm zjawisk chemicznych, oraz w sferę własności materyi wogóle. Jest tó nowy i nie wielu mający zwolenników w nauce kierunek badania, a p. Boguski jest jednym z jego pionierów, bo już przed sześciu laty pracę nad tym przedmiotem rozpoczął. Prowadząc ją z przerwami, w bardzo niedogodnych warunkach, przy trudnościach, które sama natura rzeczy nastręcza, nie mógł dojść ani do zbyt rozległych, ani téż do zupełnie dokładnych rezultatów; pomimo to jednak uważa, iż ogólne wyniki jego badań wcale nie mogą być kwestyonowane. Najdokładniejszą pracę przeprowadził nad działaniem kwasu solnego na marmur i doszedł z niéj do wniosków następujących: 1° Przy niezbyt mocnych stężeniach i przy temp. 0° szybkość reakcyi wzrasta powolniéj niż stężenie kwasu. 2° Przy temp. 50° wzrost jest szybszy niż stężenie kwasu. 3° Podwyższenie temp. od 0° do 21° powiększa szybkość reakcyi około 3 razy, podwyższenie zaś od 0° do 50° powiększa ją około 10 razy.

W odstępie pomiędzy temi temperaturami a mianowicie około 20° istnieje temperatura, przy któréj szybkość reakcyi wzrasta tak samo jak koncentracya, czyli jest do niéj wprost proporcyonalną.

Nie przytaczając innych prac na tém polu p. Boguski kończy swe sprawozdanie wyrażeniem nadziei, że dzięki dokładnym narzędziom jakiemi teraz rozporządza, będzie mógł wkrótce przytoczyć zupełnie ścisłe dane co do wpływu temperatury na szybość reakcyi, który to wpływ dotychczas tylko w przybliżeniu określić mu się udało.

W ostatnich kilku latach dyskutowanie ciągłości funkcyi i bezpośrednio z nią związanych pojęć zasadniczych analizy matematycznéj, jest wciąż na porządku dziennym poważnych dociekań różnych badaczów. — P. Gosiewski w artykule p. n. „O funkcyach ciągłych, dla których istnienie całek jest wątpliwém,“ zastanawia się właśnie nad wątpliwością, jaką, wskutek badania pewnéj szczególnéj funkcyi wykładniczéj, powziął uczony holenderski p. Cohen-Stuart: o ile ogólném może być znane twierdzenie, iż całka oznaczona wyraża się różnicą wartości całki nieoznaczonéj dla wartości zmiennéj, odpowiadających granicom, w założeniu, że w tychże granicach spółczynnik różniczki zmiennéj pod znakiem całki jest funkcyą ciągłą.

W pierwszéj części téj pracy, przy pomocy szczęśliwie pomyślanego przekształcenia różniczki funkcyi p. C.-S, p. G. dowiódł,

iż niewłaściwie p. C.-S. uważał ją jako całkę ogólną wzmiankowanéj różniczki, a tym samym niewłaściwie wyznaczył wartość w owéj różnicy, przedstawiającéj całkę określoną. Uzupełniwszy bowiem całkę ogólną pewnym składnikiem szczególnym, nie znikającym przy wartościach ujemnych zmiennéj, którego istnienia p. C.-S. nie uwzględnił, p. G. otrzymuje wypadek zgodny z przytoczonym znanym twierdzeniem. Okazał przeto najlepiéj, iż przykład p. C.-S. tego twierdzenia bynajmniéj nie obala.

W części drugiéj artykułu p. G. podaje skomplikowany przykład własny, na którym chce sprawdzić też twierdzenie. Przeprowadzone tu badanie, mimo zalecającéj je pomysłowości, doprowadza go jednak do wyrażenia, którego nieoznaczoności nie udaje się usunąć, co go powstrzymuje od stanowczego wniosku. Naszym atoli zdaniem, podobne niedomówienie, z powodu trudności rachunkowych, nie może „ogólności twierdzenia robić bardzo wątpliwą" (str. 369), gdyż na poparcie takiéj wątpliwości nie dostarcza żadnéj danéj.

Zaznaczymy jeszcze, iż jasny wykład i pozytywny rezultat części pierwszéj téj pracy p. G., oraz subtelność rozumowania w części drugiéj nadają jéj niewątpliwie nieposlednią wartość, nawet nie ze względu na posuchę ogólną u nas na prace naukowe matematyczne.

P. B. Abakanowicz wreszcie dał artykuł p. n. „Integratory." Przyrządy, służące do obliczania pola ograniczonego linią krzywą dowolną, zwane planimetrami, ulegają wciąż coraz nowym udoskonaleniom. Do rzędu planimetrów należy wprawdzie „integrator" pomysłu p. A., przezeń tu popularnie, o ile się dało, opisany, ale może on nadto oddawać inne jeszcze bardzo ważne usługi, mianowicie: mierzyć dokładnie ilość pracy dokonanéj przez najrozmaitsze motory, przy niejednostajném napięciu siły, czego w wielu szczególnych przypadkach nie udało się dotąd wyznaczać innemi znanemi sposobami. Słusznie więc na ten przyrząd zwrócili uwagę swoję specyaliści. Akademia nauk krakowska (1880), a następnie paryska (1882) pomieściły w swych sprawozdaniach opisy przyrządów p. A.,—p. M. Deprez podał w dzienniku „Lumière éléctrique" (1882) teoryą „integratora," a zakład C. V. Boysa w Londynie wyrabia je dla przemysłowców, korzystnie zastosowując integratory do różnych celów. Obszerniejszy opis tak „integratora" jak i ciekawego przyrządu zwanego przez p. A. „integrografem," o którym w tym artykule p. A. tylko mimochodem wspomina, czytelnik znaleść może w ogłoszonéj w „Inżynieryi i Budownictwie" (1880) rozprawie pomysłowego autora, wydanéj także w oddzielnéj broszurze.

Ciekawą będzie rzeczą skonstatować: po ilu dopiero leciech pomysł członka naszego społeczeństwa, u nas przezeń najpierw ogłoszony szczegółowo i przezeń tu mozolnie zbudowany, po ilu tedy leciech zaczniemy go do kraju sprowadzać, płacąc haracz anglikom, którzy się tym pomysłem zaopiekowali i na swoję korzyść wyzyskać go należycie potrafią?

Taka jest treść literacko-naukowa książki zbiorowéj dla Jeża. Ze sprawozdania o niéj, które staraliśmy się uczynić jak najbezstronniejszém, czytelnicy łatwo wyprowadzić mogą wniosek o jéj wartości. Wydana w szlachetnym celu i przenikniona od początku do końca tchnieniem myśli rozważnéj lub prawdziwego szczerego uczucia łatwo się obejść może bez komunałów pochwalnych.

Modlitewnik siostry Konstancyi z r. 1527, z rękopisu biblioteki Jagiellońskiéj wydał dr. Wl. Wisłocki. Kraków 1882. (Odbitka z III tomu Sprawozdań komisyi językowéj Akad. Um. str. 112).

Jak większa część naszych starych zabytków literackich, tak i ten świeżo ogłoszony więcéj nas zajmuje językiem swym, niż treścią. Cała „męka Chrystusa Pana" aż do kartki 48 dość ciężko się czyta, bo rękopis aż do tego miejsca uszkodzony wilgocią; często więc całe wiersze, a daléj co drugie prawie słowo wypuszczone jako nieczytelne, tak że wiele tylko domyślać się trzeba. Następują daléj rozmyślania i modlitwy, jak: „umowa grzésnéj dusze z panem miłym Jezu Chrystem ukrzyżowanym," „Ś. Biernard o miłosierdziu bożym," „o spólnéj miłości," „o modlitwie, która jest bardzo potrzebna," „o weselu siedmiorakim panny przenaświecsze Maryjéj," „rozmyślanie wieczerzy czwartku wielkiego," „Modlitwa o nasłodszym jimieniu Jezus," „pacierze na każdy dzień do roku," „kochanie i modlenie przy mszy świętéj," o pannie Maryjéj modlitwa," i t. d. i t. d.—Wszystko to czyta się już wcale gładko, bo od kartki 50 aż do końca rękopis dobrze się zachował.

Było więc co czytać w téj drobnéj ale grubéj książeczce, zawierającéj 311 kartek w szesnastce, i zapewne treść jéj zajmowała daleko więcéj „siostrę Konstancyją" niż nas, którzybyśmy radzi wiedzieć, jakim też językiem mówił ten, który tę książeczkę pisał. Że polskim, to pewna, ale jak dziś, tak dawniéj nie wszyscy jednakowo po polsku mówili. Dziś przynajmniéj staramy się wszyscy jednakowo mówić, bo to należy do ogólnego wykształcenia. Ponieważ jednak z natury do tego skłonni nie jesteśmy, uczą nas tego podobnie jak reguł towarzyskich i innych podobnych rzeczy, któ-

rych ze sobą na świat nie przynosimy. I nie sztuka to dziś uczyć, *jak mamy mówić i pisać*, kiedy posiadamy już tak liczną i piękną literaturę, z któréj możemy wybierać do swego salonowego, języka literackiego to, co nam się najlepiéj podoba. Ale co miano robić aż do połowy wieku XVI, kiedy języka literackiego polskiego jeszcze nie było? Pięknych form językowych nie miano jeszcze z czego wybierać, nie można było jeszcze układać formułek gramatycznych, więc też nie krępowano się *w mowie* niczym, i każdy starał się *w piśmie* wyrażać tak, jak mówił. Dlatego téż prawie w każdym zabytku literackim z owych czasów znajdujemy bodaj małe różnice językowe, o ile się one przynajmniéj z martwéj litery dają poznać.

Pismo bowiem nigdy nie może nam dać dokładnego wyobrażenia o żywych dźwiękach, a tymbardziéj pismo z owych czasów, w których jeszcze pewnéj ustalonéj pisowni nie było. Dziś przynajmniéj możemy się przekonać, jakie dźwięki żywe odpowiadają pewnym znakom piśmiennym, ale z wieku XV lub XVI nikt teraz nie wstanie nam na świadectwo w pewnych wątpliwych kwestyach. Często bowiem nie wiemy dokładnie, jak brzmiały w ustach przodków naszych pewne dźwięki, których ślady zostały nam na papierze w martwych literach. W takich razach uciekamy się do rozmaitych porównań, kombinacyj i snujemy stąd przypuszczenia o brzmieniach języka staropolskiego. Najwięcéj nam tu jeszcze pomaga żywy język ludowy, który jakkolwiek téż od owych wieków niejedno już zmienił, mimo to jednak zachował wiele form i brzmień starożytnych, po jakich w naszym języku literackim już dawno śladu nie ma. Nadto zmiany jakie się odbywają w języku ludowym, są więcéj prawidłowe, naturalne, podczas gdy język wykształconych ulega zmianom, często nienaturalnym, sztucznym. Stąd łatwo poznać, że przy pomocy żyjących dziś gwar ludowych daleko prędzéj możemy odgadnąć znaczenie martwéj litery i poznać język staropolski, niż przy pomocy języka ogólnego.

„Modlitewnik siostry Konstancyi“ zawiera bezprzecznie ślady wielu ciekawych zjawisk językowych, cóż kiedy niektóre z nich bardzo niejasne i niepewne. Jak bowiem szanowny Wydawca dowodzi, książeczka ta jest odpisem jakiegoś innego, nieznanego, mało co starszego rękopisu, i to odpisem dość niedbale wykonanym. Chcąc więc poznać dokładnie język tego zabytku, potrzebaby najpierw sprostować omyłki i błędy, jakie kopista z nieuwagi lub innéj jakiéj przyczyny popełnił. Możeby się wtedy znowu pokazało, że jestto odpis jakiejś jeszcze starszéj kopij, a wiadomo, że nawet przy pewnéj ustalonéj pisowni takie ciągłe przepisywanie na zmianę tekstu pierwotnego niezmiernie wpływa. Łatwo stąd poznać, jak

trudno nieraz coś stanowczego powiedzieć o zjawiskach językowych, jakie spotykamy w tak przekazanych nam tekstach.

Dr. Wisłocki przypuszcza, że oryginał, którego odpisem jest nasz „Modlitewnik" był *czeski*, i że mnich, który tego odpisu dokonał, mówił piękną polszczyzną lecz „mocno z czeska zatrącał." Trudno przysięgnąć, że *tak* jest a nie inaczéj, pozory jednak wszelkie mówią za tém. Szanowny wydawca przywodzi na poparcie swego twierdzenia wiele czechizmów; niektóre z nich wprawdzie dałyby się wykreślić, lecz może więcéj jeszcze nowychby się znalazło. Tak np. w formie wołacza l. poj. *chrzypczye* (=chrzypcie) 125*a* nie widziałbym czechizmu, bo w staropols. był w powszechnym użyciu wyraz *chrzept* (dopełn. chrzepta, Psałt. Flor. 67. Puł. 131 r,) lub *chrzypt* (* chrъbt), który tak samo jak późniejsze nasze *grzbiet* (* grbъt, chrbъt) powstał z prasłow. *chrъbъt (por. rusk. хребетъ, staropols. chrzebyet Bibl. Szaroszp. 157*a*). Za to jednak włożyłbym do tego spisu takie formy, jak: *bratr* 200*v*. dopełn. Barabasz*e* 36, formy: pow*ye*dacz 14*v*. pow*ye*dał 16, pow*ye*dali 33, które trudno tłómaczyć analogią do pow*ie*dzieć, powia*d*ał (jakkolwiek mi się to na myśl nasuwa), dalej wyrazy, jak: vdzyelal 51*v*. vdzijelasz 56*v*. (w znaczeniu: działać, robić), jakkolwiek zmiękczenie w nich polskie—i mnóstwo innych. Muszę jednak przyznać, że na wszystko to w ogólnych rysach zwrócił już uwagę szanowny wydawca, gdyby zaś kto chciał szczczegółowo tą sprawą się zająć, to już ta sama kwestya może mu być tematem do całéj roprawy.

Fakt więc jest, że *czechizmów* tu mnóstwo, lecz nierównie więcéj jest nader ciekawych form *staropolskich*, a między nimi wiele *dyalektycznych*. Wspomnę choć kilka.

Forma *obyeszył szye* (dziś: obwiesił się) 31*v*. daje nam przykład takiéj saméj asymilacyi a następnie zniknięcia spółgłoski *w* po przyimku *ob*-, jak w słowach: oblec, obłok (zam. *obwlec, *obwłok); to samo zjawisko jest w starosłow. por. ob-lěsti (*ob-wlěsti, *obъ-).

W zwrocie: kur dwakrocz *zapoije* 30*v*. mamy bardzo starą i zupełnie prawidłową formę słowa *piać*, które się odmieniało: poję, pojesz, poje, itd. (por. starosł. pě-ti, poj-ą). Dzisiejsze formy: pieję, piejesz, pieje, itd. są utworzone późniéj na wzór: leję, lejesz, leje; sieję, siejesz, sieje, itp. zwłaszcza, że wyrazy bezokoliczne: piać, lać, siać już od najdawniejszych czasów były sobie podobne.

Forma *ymowacz* 25, dziś używana tylko w złożeniach, jak *na-mo wać*, po-jmować, przy-jmować itp., ma tu to samo znaczenie, co *jąć*. chwycić. Pochodzenie słów: *imować* i *jąć*, jest to samo, tylko że wyraz imować (*jьmować) jest nowotworem podług *kup-ować* itp., podczas gdy *jąć* kryje się zupełnie ze starosław. *jęti* (*jьm-ti) i litew.

imti. Mamy je tu téż w różnych formach, np. yącz (jąć) 24., yely (jęli) 24., wzelij 46*v*., zyeczy (z-jęci) 45, zyąwszy 46*v*., z gyaczthwa (jęctwa) i t. p.

Obok *nijenawydzy* 12, czytamy niżéj nieco formę *nyenawydzelij* 13, która powstała zapewne przez upodobanie do form, jak: widzieli, niedzieli zwłaszcza, że przypadkiem razem są w tym miejscu połączone: wyedzyely y nyenawydzyely 13.

Stary stosunek form słownych *cztę* : *czyść* (staresłow. čьtą : čisti), dziś zastąpiony formami *czytam* : *czytać*, zachował się w naszym zabytku bardzo pięknie; por. imiesłów cztaczt 140 (=cząc), bezokol. czijscz (=czyść) 190*v*., imiesł. przeszły *cztly* 40*v*. (cztli). Porównawszy to za zjawiskami odpowiedniemi w innych językach słow., np. czesk. *čtu* : *čísti*, możemy uważać stosunek čьtą : čisti za prasłowiański, a różnica pomiędzy tematami čьt- a čit- powstała zapewne jeszcze w epoce praindoeuropejskiéj pod wpływem pierwotnego akcentu, jak to możemy widziéć w formach sanskryckich: čittá- (imiesłów bierny cz. przeszł.) i čétati (3 os. l. poj. cz. teraźn.), gdzie stosunek tematów čit- : čet- równa się zupełnie słow. čьt- : čit-. Tego samego pochodzenia jest téż nasz wyraz staropols. *czta*, który się często w naszym „Modlitewniku" spotyka (76. 122*v*. 124*v*.), daléj urobiony od niego a powszechnie dziś używany czasownik *czcić*, wyrazy: uczciwy, poczciwy i t. p., a równorzędnie z wyrazem *czta* słowo *cześć* (starosł. čьstь, *čьt-tь). Znaczenie tych wyrazów, na pozór od *czytać* bardzo odległe, mamy jeszcze dziś w wyrazie złożonym: *po-czytać*, po-czytywać (szanować). Wyżéj przytoczony pierwiastek sanskrycki *čit-* (*čet-*) znaczy: spostrzegać, uważać, poznawać, a dalsze rozwinięcie tego znaczenia mamy w starosł. čьtą (čisti)=czcić, czytać, liczyć (stąd čьsło). I w staropols. jeszcze to samo prawie widzimy, gdy w naszym zabytku obok wyrazu *czta* (dziś: *cześć*) spotykamy formę *cztę* (*czyść*=*czytać*). Dziś jednak obie prastare formy jednego pierwiastka rozdzieliły się u nas dla odróżnienia znaczenia na dwa oddzielne słowa w ten sposób, że z formy pierwiast. čьt- drogą pośrednią powstało *czcić* (przez rzeczownik *czta*) i czas terazn. czczę, czcisz, czci i t. d., — z formy zaś *čit-* powstało *czytać*, czytam, czytasz, czyta i t. d.

Formy słowne: *vkazovala* 305*v*., *oczekawal* 46, *wysluchawasz* 53, są również wielce uwagi godne. Są to słowa pochodne, utworzone całkiem prawidłowo, podczas gdy dzisiejsze: ukazywać, oczekiwać, wysłuchiwać itp., są tworami analogicznemi podług: by-wać, pływać, z-my-wać, z-szy-wać i t. p. Na te i tém podobne zjawiska analogiczne w odmianie słów polskich zwracał szczególniejszą

uwagę prof. Lucyjan Malinowski, gdy przed dwoma laty miał w Uniwersytecie Jagiellońskim *collegium* o konjugacyj polskiéj.

Spotyka się téż dość często *aoryst* bych 7, 14, a imiesłowy na *-szy* dzisiejszego *ł* przed końcówką jeszcze nie znają, np. oblokszy 34*v*. zwlokszy, vplotszy 37. ukradszy 47*v*., rzekszy 55 i t. p.

I form *deklinacyjnych* wiele starych, jak np. do ogrod*a* 20. do Galile*e* 20*v*. od Arimat*ieij* 46. krwye 22*v*. mijzery*ey* 71., i formę *dosyczy* 22*v*. możnaby uważać za dopełn. *do syći* (a stąd dzisiejsze *dosyć*), gdyby się pewnie wiedziało, że znak *y* na końcu nie jest tylko znakiem miękczenia, jak w wyrazie *ogyeny* 67., lecz samogłoską, na któréj się opiera cała zgłoska. Z innych form wpadły mi w oko przy pobieżnym przeglądaniu: narzędnik l. p. poczalowa*nym* (pocałowa*ńim*) 24., *liczba podwójna*: dwu łotru 40*v*. dwie przyczynie 62*v*., dopełn. l. mn. przyyaczyely 308 r., *narzędnik l. mn.* pany 4*v*. zwolenyky 20. szloznyky 40*v*. szlowij 34. szwijerzathy 65. strozmy 47*v*. gloszmy 36., byczmy 39, *miejscowniki l. mn.* dnijoch 47*v*. czelijch 62*v*. o nijedostatczych 49. w stawyech 49. w zywyelech 59. w szmyszlach 49. Formę *tyemy* 20. czytalibyśmy po polsku *ciemi*, coby się kryło zupełnie ze starosł. tě̌mi, lecz obok niéj ogólną jest zaraz niżéj znajdująca się forma *tymy* t. j. *tymi*, która dziś jest prawie powszechną. W l. p. dało mi się zawsze spostrzedz końcówkę *-ym*, to nawet w miejscowniku, np. w ostateczn*ym*, zaloblyw*ym* a szmvthn*ym* rostanyu 290*v*.

Z głosowni ciekawe jest to, że *samogłoskowe r* występuje tu zwykle w postaci *yr* (=ir), np. p*yr*we 20.45. cz*ij*rpyal 49. cz*yr*nyową 37*v*. w*yr*szyk 65. rosp*yr*chnyeczye 17 i t. p.

Spotykamy téż tu jeszcze wciąż stare formy, jak *oczczu* 65*v*. (oćcu, późniéj ojcu), *zazrzy* 51. *vzrzely* 37*v*. *wezrzawszy* 26*v*., obok nich jednak i nayzrzysz 51; podobnie *zazrość* 156*v*. nie ma jeszcze dysymilującego *d*. Wyraz *zwadzcza* 35*v*. brzmiałby dziś *zwajca*, podobnie jak zdradźca brzmi dziś zdrajca.

Obok prawidłowego *szmątek* 15*v*. szmączycz 15*v*. szmąthna 52*v*. mamy tu téż szm*u*thna 21 itp. Czy znak *ą* w tych wyrazach brzmiał rzeczywiście tak samo, jak nasze dzisiejsze *ą*, trudno orzec, bo oznacza on tu wogóle najczęściéj samogłoski nosowe, tak *ę* jak *ą*. Znacznie rzadziéj spotyka się znaki *an*, *ąn*, *a*, *e*, jak to słusznie zauważył dr. Wisłocki w przedmowie zaznaczając nadto, że znak *ą* służy tu niekiedy do oznaczenia dwugłoski *au*, mianowicie w wyrazach, nąka (nączać, nączanie i t. p.), yk*ą*st 176. Hem*ą*sz 207 (nauka, inkaust, Emaus). Naprowadza nas to na domysł, że znak ten musi tu téż niekiedy oznaczać samogłoskę nosową a^n, znaną nam dziś z gwar szląskich, gdyż w mowie żywéj granica między a^n a a^n bardzo

mała. Prócz tego jednak spotyka się tu często znak *ą* i w rozmaitych innych funkcyach, np. dla oznaczenia *à* ścieśnionego, np. poczijessyenyą 61*v*., dalej *yą* (ja 63., poszlągl (posłał) 27*v*., szkanąl (skonał) 66. począłąm (począłem) 51*v*., męką (męka) 67*v*.. poszlądnij (pośledni) 47*v*. Rozumie się, że w wielu wypadkach jest-to oznaczenie prostą omyłką pisarską.

Obok *obfyto* 46*v*. czytamy o*kwij*towa, o*kw*yczyey 54. Forma *ostyd*lych 53*v*. (dziś ostygłych) powstała zapewne pod wpływem form, jak stu*dz*ić, stu*d*nia; forma osz*e*dczye (os*ę*dźcie) 32*v*. zaś przez upodobnienie do wyrazu s*ę*dzia, jeśli wogóle s*ę*dzić nie jest starsze niż s*ą*dzić.

Wyraz *Scaryotha* (dziś Iskaryota) 4. może powstał drogą etymologii ludowéj w poczuciu pewnéj wspólności ze słowem *skarzyć* i *skarać* (por. szkarze 36*v*.); *Jawa* (Ewa) 284. zaś może w ten sam sposób przez zestawienie ze słowem *jawić się*. Wyraz *żołnierz* brzmi tu najczęściéj *żołdniérz* (zoldnyerzowy 41. zoldnyrze 37.) i powstał zapewne ze słowa *żołd* (niemiec. Sold) pod wpływem niemieckiego *Söldner*. Obok tego jednak spotykamy téż formę *zolnyrze* 41. i t. p. Wyraz *toboła* (uczyn tobole 5*v*.) czytałem téż niedawno w *rotach przysiąg Czchowskich* z samego początku wieku XV (z ijego *toboli*, genet.), które ma wkrótce wydać krakowska Akad Um.

Sądzę, że „pochwa na miecz" zwała się *nożna* (a nie nożnia), bo zwrotu: wloz mijecz twoij w *nozny* 24*v*. nie można inaczéj czytać, jak: włóż miecz twój w *nożny*. Podobnie czytałem w niewydanych dotąd aktach polskich z roku 1530, znajdujących się w archiwum grodzkim krakow., mianowicie w „Liber inscript. castrens. XXXVI pag. 350: schabla srybnymy *noznamyey* (nożnami).

Wyraz *sząd* (sąd=naczynie, rus. сосудъ) 43*v*. spotyka się nader często w naszych zabytkach staropol., por. ssφd Flor. 2, 30, 110, sφd flor, 36, 80, 88. Puł. 3*v*. 72*v*. 165 r. itd. Bibl. Szar. 42*b*. 111*b*., ssφφd Bib. Sz. 56*a*.

Ciekawe jest tu téż tworzenie słów pochodnych, jak: *zaprzenye* (zaparcie się) 70*v*., *robotowanie* 288*v*. *wiarowanie się* (tamże) i t. p. Forma *piekośniejszy* (=piękniejszy 191*v*. powstała zapewne w ten sposób, że w formach, jak *żałośniejszy*, *radośniejszy*, *głośniejszy*, poczęto część *-ośniejszy* poczuwać jako końcówkę stopnia wyższego (obok *-szy* i *-ejszy*) i dodawać ją do innych pierwiastków, spotykanych w przymiotnikach, jak tu do *pięk-*. Zasługują téż na uwagę formy: *gorzczeijszą y ostrszą* 62, *ostrzsse* 69, *więcszy* (wyeczszy, wijanczszy 4*v*.) i t. p.; może ta ostatnia forma powstała przez upodobnienie do *więc* (wyencz 25).

Przekroczywszy i tak już szczupłe ramy sprawozdania trudno mi już pomówić obszerniéj o śladach *dyalektycznych*, jakich tu mnóstwo się spotyka. Pomijając tak częste zjawiska dyalektyczne, jak przydech spółgłoskowy na początku słów, zaczynających się od samogłoski (np. *He*liasz 43. *w*odziać 37. = Eliasz, odziać), formy jak niech*ej* 42. zbrani*ej* (tryb rozkaz.) 63, imiesłowy: przyszed 21, rozdar, rzek itd. itd. poświęcimy choć kilka słów zjawisku, które i w starych zabytkach literackich i w dziś żyjących gwarach dość rzadko spotykamy. Jest-to miękczenie spółgłosek w wielu takich miejscach, w których językowi ogólnemu ono znane nie jest. Dr. Wisłocki zwraca na to uwagę w przedmowie i cytuje z tekstu wiele przykładów. Niektóre z nich, jak: *si*erce (serce), je*dzi*ny (jedyny), wiecz*ni*ej (chwały) i t. p., łatwo sobie wytłómaczyć, zwłaszcza, że je w innych zabytkach spotykamy, mnóstwo jednak pozostaje niewytłómaczonych. Potrzeba jednak zważyć, iż nie wszędzie możemy być pewni, że w mowie rzeczywiście zmiękczano tam, gdzie to zmiękczenie wyrażone w piśmie, zwłaszcza że ortografia bardzo rzadko jest konsekwentną. Jak np. obok *wzyayem* 52*v.* spotykamy *wzayem* 53 r. 80, obok *chczye* (chcę) stoi *chce* (chcę) 50 i t. p. Trudno się z tego dowiedzieć, czy brzmiało to: wz*ia*jem, ch*cię*, czy też wzajem, ch*c*ę. Wobec tego znajdując znak miękczenia nadto w miejscach najrozmaitszych, tak przed miękkiemi samogłoskami jak twardemi (np. okraszyon 127, spuszczyam 136, yednaczyn 234), a nawet na końcu wyrazów (stądz 64*v.*=stąd), trudno się dopatrzéć jakiegoś pewnego prawidła głosowego, według któregoby to miękczenie się odbywalo. Wprawdzie można niekiedy wytłómaczyć to sobie działaniem analogii, np. że formy: ch*cię* 50, ch*cie* 58, ch*cią* 146*v.* ch*ciąc* 139, powstały przez upodobnienie do form: ch*cie*ć, ch*cie*li, ch*ciał* itp., lecz zwykle do takich środków uciekamy się właśnie wtedy kiedy się praw głosowych dopatrzéć nie możemy. Tu jeszcze w wielu wypadkach zachodzi ta trudność, że nie wiemy dokładnie, jak właściwie niektóre zmiękczone dźwięki brzmiały. Tak np. trudno na pewne powiedziéć, czy *sz*, *ż*, *cz*, zmiękczały się w *sź*, *ź*, *cź*, czy też w *ś*, *ź*, *ć*; np. czy szyemranya 282*v.* czyartem 190*v.* bozye 42. brzmiały: *szie*mrania, *cziar*tem, bo*żie* (jak dr. Wisłocki sądzi), czy też: *sie*mrania, *cia*rtem, bo*zie*. To ostatnie jest bardzo możliwe wobec faktu, że i dziś w gwarach ludowych je znajdujemy. Tak np. wiem z ust bardzo kompetentnych, że niedaleko Krakowa pod Krzeszowicami w Filipowskiéj Woli mówią: *zia*ba, my*ś* (żaba, mysz), por. też feileton „Czasu“ N. 226 z 4 paźdz. 1882.

Z tych kilku pobieżnych uwag widać, jak ciekawym jest dla tych, którzy się dziejami języka polskiego zajmą, świeżo ogłoszo-

ny zabytek literacki z pierwszéj połowy wieku szesnastego. Bez wątpienia wartoby się nim dokładniéj zająć, a możeby się znalazło też coś takiego, coby niejednę w historyi języka wątpliwą kwestyą w prawdziwém przedstawiło świetle. Wydanie tekstu zdaje się być bardzo sumienne, dlatego sądzę, że trafię w myśl wszystkich miłośników języka ojczystego, jeżeli Szan. wydawcy, dr. Wisłockiemu, który już tyloma nieznanymi tekstami naszą najstarszą literaturę wzbogacił, wyrażę w ich imieniu publiczne podziękowanie.

Jan Hanusz.

= **„Paedagogické rozhledy po literatuře českoslovanské.“** Pod tym tytułem zaczęło wychodzić w Pradze czasopismo pedagogiczne, wydawane przez „Związek powszechny towarzystw nauczycielskich w Czechach“ (Ustředni spolek jednot učitelských v Čechách); jako redaktorowie są podpisani pp. V. Kredba i A. Frumar. Mamy pod ręką dwa pierwsze zeszyty pierwszego Rocznika nadesłane nam przez Zarząd Związku (1). Rocznik I-y ma składać się z dziesięciu zeszytów i obejmie rozbiory i sprawozdania o dziełach i broszurach pedagogicznych za ubiegły dziesiątek lat z działów: pedagogiki, dydaktyki, metodyki ogólnéj, nauk pomocniczych, gramatyki czeskiéj i stylistyki, prawodawstwa szkolnego, religii, historyi, geografii, przyrodoznawstwa i gospodarstwa domowego, arytmetyki, geometryi, rysunków, kaligrafii, nauki o rzeczach, poezyi pedagogicznéj z działu książek dla młodzieży, nauki śpiewu, gry, gimnastyki, robót ręcznych kobiecych i czasopism pedagogicznych. Współpracowników w tym tomie jest 26. Dwa pierwsze zeszyty składają się z następnych części: I) wychowanie i nauki pomocnicze, II) gramatyka czeska i stylistyka, III) nauka o formach i geometrya, IV) rysunek, V) (nieukończona), książki przyrodnicze. W części I-éj (sprawozdawcy pp. Jan Lepař, Jos Klika i Piotr Durdik) znajdujemy obszerniejsze sprawozdania i krótsze wzmianki o 28 książkach i broszurach z działu pedagogiki, o 12-stu z działu dydaktyki, o 3-ch z działu metodyki, o 12 z działu historyi szkół, o 11 odnoszących się do organizacyi szkół, o 44 z działu nauk pomocniczych, a mianowicie logiki, psychologii i filozofii. Dział ten jest bardzo interesującym i wykazuje wybitny ruch na polu samodzielnéj i narodowéj pracy pedagogicznéj. Ze szczególném zamiłowaniem traktowane są tu dzieła i broszury odnoszące się do działal-

---

(1) Za łaskawém pośrednictwem p. Ferd. Holinki w Ledeczu, pedagoga, śledzącego starannie rozwój polskiéj literatury pedagogicznéj.

ności Komeńskiego. Już od wielu lat czesi pracują nad przyswojeniem swemu językowi dzieł łacińskich swojego wielkiego ziomka i literatura odnośna liczy obecnie znaczny poczet prac. Najwięcéj na tém polu ma zasługi Fr. I. Zoubek, prócz tego zasłużyli się Beránek, Smaha i inni. W dziale nauk pomocniczych zwracają uwagę dzieła i rozprawy filozoficzne Józefa Durdika, któremu wespół z Dastichem należy się zasługa udoskonalenia i rozwinięcia terminologii filozoficznéj czeskiéj. Ci dwaj uczeni także najbardziéj przyczynili się do rozpowszechnienia filozofii Herbartowskiéj w Czechach. Dzieła Durdika mają odznaczać się wysokiemi zaletami pod względem treści i układu, między innemi zasługują na uwagę jego: krótki rys filozofii nowszéj, psychologia dla szkół, krytyka utworów literackich i artystycznych, estetyka, rozprawy filozoficzne i poetyka. Część II ga. Sprawozdawca Jan Kosina na wstępie powiada: „Przed laty jeden sławny poeta polski nazwał nas czechów narodem filologicznym-- sąd ten po dziś dzień nie utracił swojéj wartości, ale zdaje nam się, że odnosi się on raczéj do ilości niż do jakości,“ poczém sprawozdawca przegląda 37 książek odnoszących się do działu gramatyki, stylistyki i jakkolwiek uznaje postęp w tym dziale, ale pragnąłby widziéć postęp jeszcze większy pod względem treści i języka. Część III, któréj referentem jest p. Mikołaj Benda, zawiera rozbiory kilkunastu dzieł odnoszących się do nauki geometryi w szkołach początkowych, średnich i seminaryach nauczycielskich; część IV-ta przez tegoż referenta ułożona, poprzedzona jest obszernym wstępem, w którym sprawozdawca kreśli w sposób zajmujący historyą metod nauczania rysunku w szkołach. Sprawozdawca słusznie kładąc nacisk na ważność tego przedmiotu, wyświetla jego znaczenie w szkole i życiu. Zastanawia nas bogactwo podręczników i dzieł przeznaczonych do nauki rysunku (dwadzieścia siedem). Pokazuje się że pedagodzy czescy z zamiłowaniem uprawiają to bardzo zaniedbane u nas pole. U nas podręczniki do nauki rysunku nie ukazują się prawie(1), a nauczyciele rysunku, z małym bardzo wyjątkiem nie zadają sobie trudu śledzenia postępów nauki rysunków gdzieindziéj. W części V, któréj sprawozdawcą są pp. Józef Kořenský i Fr. Nekut, znajdujemy w drugim zeszycie sprawozdanie o 16 książkach z działu botaniki, zoologii i mineralogii; sprawozdanie

---

(1) O ile wiem, rok 1881 był nieco szczęśliwszy, wyszły bowiem w tym roku: „Wzory do ćwiczeń w rysunku cyrklowym,“ Kraków, wydanie Muzeum techn. przemysłowego i „Podręcznik rysunkowy“ Cybulskiego, Lwów; prócz tego w Roczniku Pedagogicznym (Warszawa 1882) pomieszczony został artykuł: „Nowa pomoc naukowa w nauce rysunku rzutowego przez Henryka Jaworskiego.“

o pozostałych książkach z tego działu pojawi się w 3-im zeszycie. Nie mogliśmy w téj krótkiéj wzmiance wdawać się w bliższy rozbiór treści „Rozhledów“ zaznaczymy tylko, że wydawnictwo to, o ile nam się zdaje, bardzo starannie wywiązuje się z ważnego zadania, jakiem jest dokładne przedstawianie ruchu na polu piśmiennictwa pedagogicznego. Ruch ten jest bardzo widocznym, we wszystkich kierunkach przebija się szlachetne dążenie do wyrównania innym na polu wychowania na gruncie czysto narodowym. Czesi interesują się naszą literaturą, śledzą rozwój naszego piśmiennictwa pedagogicznego, sama wdzięczność przeto nakazuje nam, abyśmy bliżéj zapoznali się z ich działalnością na tém polu. Ale prócz tego względu zachęca ku temu istotna korzyść, jaką osiągnąć możemy z bliższego zapoznania się z piśmiennictwem pedagogiczném pobratymczego narodu. Widok pracy narodowéj czeskiéj, jéj dotychczasowe rezultaty, jéj nadzieje na przyszłość, mogą bezwątpienia nauczyć nas niejednéj pożytecznéj rzeczy, natchnąć nas większém zaufaniem i dodać większéj wytrwałości na drodze pracy własnéj, którą po długiéj przerwie znowu wśród ciężkich warunków podjęliśmy. *S. Dickstein.*

— **Arabella B. Buckley. Czary w krainie wiedzy.** Przełożyła z angielskiego E. H. Warszawa, Lesman i Świszczowski, 1883 r. Jest-to ożywiony, barwny i jasny wykład zjawisk przyrodzonych najpospolitszych i najbardziéj do popularyzacyi odpowiednich. Autorka nie trzyma się żadnego systematu, ani przedstawia rzeczy działami przyjętemi w nauce, lecz idzie raczéj torem kojarzących się wyobrażeń. Ztąd wielka swoboda w wykładzie, ztąd coś w rodzaju fantazyi na gruncie przytoczonych faktów, fantazyi pokazującéj naturę przez różowy obłoczek poezyi, pociągającéj i zaciekawiającéj czytelnika. Wybór przedmiotów i szczegółów, mianowicie doświadczeń bardzo trafny, dowodzi zarówno umiejętności jak i talentu autorki. Najmniéj udatnym jest rozdział pierwszy, w którym mowa o siłach natury wogóle. Wprawdzie rzecz to arcy trudna do popularyzacyi, — ale autorka mogła bezpiecznie temat ten opuścić, lub na zasadzie pozostałych rozdziałów przy końcu książki wyłożyć. Są i inne usterki, dotyczące szczegółów, które nie wiemy komu przypisać, autorce czy tłómaczce. Pomimo to książkę te musimy uznać za bardzo pożyteczną i jednę z najlepszych w swoim rodzaju.

— **Zamek krzyżacki w Malborgu dziś a przed pięciuset laty.** *Opisał M. Moraczewski* (*Lwów 1882, str. 44, z 6 tablicami*). Autor, nieznany szerszéj publiczności, przedstawia tu nader żywo i malowniczo,

naprzód dzieje tego zamku, który w historyi gotyckiéj świeckiéj architektury zajmuje pierwszorzędne miejsce a w drugiéj części daje nam dokładny plan i opis téj budowy z czasów średniowiecznych. Pierwsza część nie ma naukowéj wartości; jest-to tylko zręczna i zajmująca pogadanka na temat, już trochę zużyty wojen Krzyżaków z Polakami. Niedowiadujemy się nawet kiedy ów zamek właściwie założono, czy jestto budowa Konrada von Thierburg z 1274, czy też owa przeniesiona przez Hartmana von Heldrungen w r. 1280 forteca pomorska. Autor, z zawodu technik, nie zna nawet materyałów i dokumentów z owych czasów, któreby mu objaśniły całą rzecz. Za to druga część, techniczna, starannie jest opracowana; mamy tu dokładny opis składowych części zamku w ogóle dość jednolitego, rozkład rąk i skrzydeł zamku, opis kaplicy itd. Ale i w téj części daje się dotkliwie czuć brak archeologicznych i estetycznych studyów. Oto są rezultaty jego pracy wogólności: Najstarsze części Malborga powstały około r. 1280, najnowsze dobudowano—pomijając naprawy z r. 1840 z pewnością przed r. 1480; cały więc zamek stworzono w jedném stuleciu bezwarunkowego jedynowładztwa gotyku; znajduje sią on tutaj we wszystkich stopniach rozwoju począwszy od pierwiastków na wpół jeszcze romańskich aż do najwyższego rozkwitu, którego wspaniałym pomnikiem jest właśnie Malborg. W końcowych słowach wypowiada autor swój sąd o wartości i stanowisku téj średniowiecznéj budowy w dziejach architektury. „Jeśli raz jeszcze zwięźle streścimy—powiada—to o czém mówiliśmy w całéj rozprawie, jeżeli wspomnimy owe kolosalne rozmiary twierdzy Malborskiéj i jéj warowność, ów stały most na rzecze takiéj jak Nogat, owe arcydzieła z palonéj gliny, złote wrota i bogate fryzy, owę mozajkową figurę Maryi, ów tak interesujący portal wysokiego zamku i objawiający się tutaj wpływ architektury arabsko sycylijskiéj, owe tajemnicze fryzy z liter układane, owo czarowne mieszkanie wielkich mistrzów, sklepienia o idealnych formach i konstrukcyach, urządzenia wodociągów, wind i centralnego ogrzewania, jeżeli zważymy, że to wszystko powstało i już istniało przed 500 laty, tedy przyznać trzeba że zamek malborski jest najokazalszym świeckim zabytkiem architektury i inżynieryi średniowiecznéj.“

---

† Poświęcamy w tém miejscu krótkie wspomnienie pamięci autora „Historyi prawodawstw słowiańskich.“

Wacław Aleksander Maciejowski urodził się w mieście powiatowém Kalwaryi augustowskiéj w 1793 r. Wcześnie straciwszy rodziców, był wychowywany staraniem brata Józefa, profesora przy

szkołach pijarskich w Piotrkowie, gdzie też pierwsze nauki ukończył. W 1812 r. Maciejowski udał się na studya do Akademii Krakowskiéj, świeżo wówczas obsadzanéj na nowo siłami polskiemi. W dwa lata późniéj Maciejowski udał się do uniwersytetów zagranicznych: w latach 1814—1818 r. przebywał kolejno w trzech uniwersytetach niemieckich—w Wrocławiu, Berlinie i Getyndze, oddając się wszechstronnym studyom nad prawodawstwem klasyczném rzymian. Po powrocie do kraju, Maciejowski został wkrótce mianowany profesorem literatury starożytnéj w liceum warszawskiém, następnie zaś profesorem historyi i instytucyi prawa rzymskiego w uniwersytecie w Warszawie. W 1825 r. objął tu katedrę pandektów, którą zajmował do 1831. Powołany następnie na posadę sędziego Maciejowski wykładał historyą prawa rzymskiego na ówczesnych kursach prawnych, oraz zajmował katedrę profesorską w jedynym na ten czas wyższym zakładzie naukowym—Akademii duchownéj, gdzie wykładał literaturę starożytną. Późniéj, jako emeryt, do końca życia mieszkał stale w Warszawie; zawsze oddany badaniom nad historyą prawodawstw słowiańskich. Robił jeszcze kilka wycieczek zagranicę, między innemi do Pragi, gdzie w miejscowych archiwach i bibliotekach badał dawne prawo czeskie. Był członkiem wielu towarzystw uczonych, pierwsze rozprawy w języku łacińskim pisane, oraz przekłady niemieckie głównego dzieła zjednały mu rozgłos zagranicą. Maciejowski pozostawił po sobie wiele rękopismów, obszerną pracę z historyi miast polskich, zupełnie wykończoną do druku i kilka drobnych rozpraw. Zmarł w nocy z 9-go na 10-y lutego r. b.

Działalność piśmienniczą M. rozpoczął dość wcześnie. W latach od 1814 do 1826 r. napisał po łacinie kilka prac z dziedziny historyi prawa. Po powrocie do kraju został powołany do udziału w pracach komisyi prawodawczéj, pod przewodnictwem Józefa Wybickiego, prezesa sądu najwyższéj instancyi, celem przejrzenia i poprawienia praw krajowych 1820 r. Uczestnictwo w téj komisyi wywołało obszerną pracę nad historyą prawodawstw słowiańskich, którą zamknął w czterech tomach pierwszego wydania, wyszłych w latach od 1832 do 1835 r. Dzieło to było główną podstawą i osią wszystkich jego badań i wszystkich następnych rozpraw. Masa dzieł większych i mniejszych, jakie różnemi czasy M. wydał, chociaż posiada zewnętrznie wszelkie cechy oddzielnych prac naukowych, w gruncie rzeczy jest tylko dopełnieniem i uzupełnieniem jego „Historyi prawodawstw słowiańskich.“ Nad tą historyą pracował do końca życia. Przez dwadzieścia lat po wyjściu pierwszéj edycyi M. przygotowywał wydanie powtórne, znacznie powiększone, które też

ukazało się w sześciu tomach w czasie 1856—1865 r. w 1872 r. zaś wydrukował jeszcze dopełnienie do téj historyi, zawierające dzieje Polski przedchrobrowéj. Przy opracowywaniu tak olbrzymiego dzieła, nasz uczony znalazł sposobność i poczuwał się do obowiązku podejmowania studyów specyalnych w dziedzinie związkowéj z głównie zajmującym go przedmiotem: to nad historyą piśmiennictwa krajowego, jako jednego ze źródeł historycznych, to nad historyą obyczajów dawnych i prawa zwyczajnego, to nad historyą pojedynczych dzielnic państwa, to nad przeszłością odrębnych pod względem prawnym plemion i warstw społecznych, to wreszcie nad dziejami pojedynczych prawodawstw rozmaitych plemion słowiańskich. Maciejowski brał się do tego z właściwą sobie wytrwałością i—pod względem erudycyi, jakiej można wymagać od jednego człowieka—zdobył sobie ogólne uznanie. Rezultatem tych badań specyalnych była z jednéj strony ich synteza, zawarta w „Historyi prawodawstw" z drugiéj zaś szereg dzieł analitycznych, szczegółowych, jako to: Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie słowian (1839 r. 2 t.), Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do 1830 r. (1851, 4 t.), Polska aż do pierwszéj połowy XVII w. pod względem obyczajów i zwyczajów (1842, 4 t.), Pierwotne dzieje Polski i Litwy (1846), Żydzi w Polsce, na Rusi i Litwie (1878), Historya włościan w Polsce (1874), Historya miast w Polsce (rękopisie), Przegląd prawodawstw słowiańskich (1871), itd., oprócz masy rozpraw, rozrzuconych, po miesięcznikach, tygodnikach i wydawnictwach zbiorowych, począwszy od „Panoramy literackiéj" Szabrańskiego, „Przeglądu naukowego" Dębowskiego a skończywszy na „Bibliotece Warszawskiéj," „Kwartalniku naukowym Kłosów" i „Ekonomiście."

Gdyby wszystkie prace Maciejowskiego zebrać w jednę całość, powstałaby obszerna encyklopedya do dziejów prawodawstwa polskiego w szczególności, a słowiańskiego w ogóle. Przez dziewięćdziesiąt lat swojego życia, zebrał on taką masę materyałów, zdobył tak olbrzymią i wyjątkową erudycyą, iż doprawdy dziwić się można jak jeden umysł mógł objąć i utrzymać takie bogactwo wiadomości. Lecz w całym tym gmachu nie wszędzie panuje pożądaną ścisłość. Maciejowskiemu czasami nie udawało się zapanować nad własną erudycyą, wyjść z chaosu własnéj wiedzy, ująć w odpowiedni system wykładu. Na tym sposobie wykładu traci wiele każde jego dzieło. Dziś prace Maciejowskiego będą miały raczéj znaczenie źródeł historycznych i prawnych, w których jednak wszelkie poszukiwanie znajdzie niezmierne trudności.

Roztrząsać każdą pracę Maciejowskiego zosobna—nie możemy i niepotrzebujemy, noszą bowiem jednakowy charakter. Pozostaje

nam tylko charakterystyka Maciejowskiego, jako historyka prawodawstwa polskiego, tj. główne jego stanowisko naukowe.

Maciejowski przez całe życie reprezentował szkołę historyków, którzy usiłowali zbadać stan prawny i polityczny dawnéj Polski przez porównanie go ze stanem innych ludów słowiańskich. Usiłowanie to było reakcyą wobec kierunku innéj grupy historyków, którzy, jak Czacki Jan W. Bandtke, porównywali urządzenia społeczno-polityczne w Polsce z urządzeniami plemion germańskich i normańskich, od nich wywodząc rodowód pierwotnéj organizacyi plemion lechickich.

Raz obrawszy sobie punkt wyjścia w badaniach prawa polskiego, M. nigdy go już nie porzucił.

Wpływ Maciejowskiego musiał mieć znaczenie. Licznemi pracami i życiem całém, poświęconém dla nauki, profesor zachęcał uczniów swoich do studyów nad historyą prawa polskiego i przeszłością kraju w ogóle.

Od p. K. Kanteckiego już po wydrukowaniu jego artykułu o „Kasztelanowéj Kamieńskiéj“ otrzymaliśmy dopełnienie, które z konieczności na tém dopiéro miejscu pomieszczamy:

„Już po napisaniu i wysłaniu powyższego artykułu wpadła mi do rąk książka, złożona z dwóch grubych tomów p. t. „*Pamiątki polskie z różnych czasów* przez Eu.... go Heleniusza.“ Dzieło to wyszło z-pod prasy jeszcze w roku ubiegłym w Krakowie, dotąd jednak nie spotkałem go w handlu księgarskim. W tomie drugim (str. 287 do 302) znajdujemy tu listy pani Kossakowskiéj, pisywane od r. 1790 do 1793 do Kazimierza Chojeckiego, wojskiego łukowskiego, następnie marszałka królestw Galicyi i Lodomeryi. Objaśnił je szanowny wydawca wstępem i objaśnieniami, z których widać, że panią kasztelanową zna tylko z familijnéj tradycyi. Za miarę sądu Heleniusza posłużyć mogą słowa, któremi zaczyna i kończy rzecz swoję. „Powszechnie znana—czytamy we wstępie—szanowana, szlachetna pani Kossakowska, długo niezatarte zostawiła po sobie wrażenie swego patryotyzmu, przywiązania serdecznego do Polski“ itd. a w ostatniém, końcowém zdaniu spotykamy się z tém pobożném życzeniem: „zapiszmy ją w sercu naszém jako Polek i obywatelek przykład i wzór.“ Pod dniem 26 maja r. 1793 pisze kasztelanowa: „Donoszę JWPanu, że prawdziwie mocno jestem zmartwiona śmiercią generała Kreczetnikową, tak dawno znajomego, i dotąd dla mnie grzecznego. *NB.* bardzo się myli wydawca, sądząc, że generał umarł „w kwiecie wieku.“ *K.*

ODEZWA.

Otrzymaliśmy od p. Ober-Policmajstra m. Warszawy następującą odezwę:

Jeszcze w roku zeszłym, wobec koniecznéj potrzeby urządzenia w Warszawie stałego przytułku nocnego dla biednych, powstał projekt wybudowania oddzielnego w tym celu gmachu kosztem ofiarności publicznéj, na gruncie udzielonym przez Rząd bezpłatnie.

Usilnie popierając rzeczony projekt, oraz pragnąc raz jeszcze uwydatnić praktyczność jego celu i dobroczynne skutki, niemniéj, dla powiadomienia zamożniejszych naszych obywateli o rezultacie poczynionych dotąd przezemnie w téj mierze kroków, wystosowałem do nich odezwę treści następującéj:

„Szanowny Panie! Szybko wzrastająca w ostatnich czasach ludność wielkich miast, znagliła w całéj Europie zarządy miejskie do przedsiewzięcia skutecznych środków celem zabezpieczenia biedniejszych klas, w porze zwłaszcza zimowéj, od zgubnych następstw zimna i braku ciepłéj strawy.“

„Wytwarzający się we wszystkich warstwach społecznych proletaryat, spowodował konieczność urządzenia nocnych przytułków, w których by pozbawieni schronienia i pierwszych do życia potrzeb, mogli znaleść za jak najmniejszą, nieledwie groszową opłatą, ogrzany kąt, posłanie i ciepłe zdrowe pożywienie.“

„Nauczający w tym względzie przykład daje nam Paryż, gdzie obecnie istnieje już stowarzyszenie administrowane i kontrolowane przez Rząd tak zwanych: „oeuvres de l'hospitalité de nuit.“ Stowarzyszenie to zorganizowało dotąd trzy większych rozmiarów przytułki: na ulicy Tocqueville N. 59, na bulwarze Vaugirard N. 14 i Voltaire N. 81. Dobroczynność publiczna, Rząd, miasto i ofiary jednostek, działając w ścisłém zjednoczeniu, zdołały w krótkim stosun-

kowo czasie urządzić te trzy wielkiéj pożyteczności zakłady. Zarząd ich sprawami, przy zachowaniu przepisów ścisłéj kontroli, osiągnął tak świetne finansowe rezultaty, że już w 1879 roku nocne przytułki w Paryżu posiadały własne kapitały, powstałe z przewyżki dochodów nad rozchodami; statystyczne dane, zamieszczone w sprawozdaniach wykazują następujące ciekawe cyfry: Dochód—91,643 fr., rozchód—61,191 fr., zaś potrąciwszy długi, remanent czysty na rok 1880: 16,772 fr.“

„Niemniéj godném uwagi jest wykazanie kategoryj osób, które korzystały z dobrodziejstwa nocnych przytułków. Z liczby ogólnéj 19412 przypada: 54 nauczycieli i guwernerów; 16 kandydatów na pisarzy sądowych, rejentów i adwokatów, to jest młodych ludzi, którzy po ukończeniu kursów nauki prawa, nie zdobyli sobie jeszcze dostatecznych środków do życia na polu praktyki sądowéj; 3 tłómaczy; 7 artystów; 10 aktorów; 1 inżynier; 1 lekarz; 1413 buchalterów, subjektów i innych oficyalistów prywatnych; 1580 malarzy, drukarzy, rysowników, grawerów, jubilerów, złotników, zegarmistrzów itp. 1568 stolarzy i w ogóle osób trudniących się wyrobami z drzewa; 2560 kowali i obrabiających metale; 829 garbarzy; 2820 piekarzy, cukierników, rzeźników, kucharzy i sług; 7013 wyrobników; 217 furmanów; 549 krawców, szewców, fryzjerów; 436 murarzy i t. d.

„Ze względu na przytoczone wyżéj dane, wykazujące działalność nocnych przytułków w Paryżu, za przykładem którego poszło wiele miast europejskich, oraz, mając na uwadze miejscowe warunki Warszawy, a mianowicie tę okoliczność: że ostatniemi czasy, rokrocznie znajdujemy się w potrzebie urządzania podczas zimy ogrzewanych izb dla biednych, gdzie nadto rozdawaną bywa herbata, chleb, obuwie i ciepła odzież, zebrane przy pomocy ofiarności publicznéj, z uwagi oraz, że wspomniane środki bynajmniéj nie okazują się skutecznemi i nie są w stanie przyjść z radykalną pomocą czasowemu, że tak powiem proletaryatowi w Warszawie, to jest ludziom, którym chwilowo zbywa na koniecznych środkach, a którzy mimo to posiadają jeszcze tyle ambicyi, że nie odważą się wyciągać ręki po jałmużnę; z uwagi wreszcie, że w skutek powyższych, okoliczności z urządzanych w porze zimowéj przy cyrkułach izb ogrzewanych korzystają dotąd jedynie nędzarze i żebracy, przedłożyłem JW. Generał-Gubernatorowi projekt urządzenia w naszém mieście takiego stałego przytułku nocnego, którego środki dawałyby możność niesienia skutecznéj pomocy nie tylko żebrakom, lecz i różnolitemu naszemu proletaryatowi, nie sposobem poniżającéj godność człowieka jałmużny, lecz za możliwie najniższą opłatą.

W liczbie przedstawionych przezemnie do uznania Władzy Wyższéj wniosków, starałem się przedewszystkiém o dozwolenie zbierania składek, na wybudowanie specyalnego nocnego przytułku, oraz o bezpłatne udzielenie pod budowę takowego gruntu skarbowego."

„Główny Naczelnik Kraju mając na uwadze, że rozmiary potrzebnego pod budowę projektowanego przytułku gruntu, zależeć będą od wysokości powstałego ze składek kapitału, przedewszystkiém upoważnił mnie w d. 10 marca 1882 r. za Nr. 3462, do zbierania składek, polecając mi zarazem, aby po zebraniu odpowiedniéj sumy na wybudowanie przytułku oraz zaopatrzenie go w środki utrzymania, wejść z nowém przedstawieniem w przedmiocie saméj budowy, z dołączeniem uchwalonych już i zatwierdzonych stosownie do obowiązujących przepisów, planów i kosztorysów, oraz wniosków dotyczących środków zapewnienia trwałego bytu powstać mającéj instytucyi. Jednocześnie, zgodnie z wnioskiem moim: uwzględniając, że do budowy przytułku przystąpić będzie można dopiero po zebraniu potrzebnego na ten cel funduszu, który w danym wypadku mógł by nie być zebranym w oznaczonym terminie, postanowiono: przyjmować za kwitami wycinanemi z księgi sznurowéj, wszelkie pieniężne i inne ofiary, któreby w razie niedojścia projektu do skutku, zwrócone zostały za temiż kwitami ofiarodawcom."

„Żywiąc nadzieję że myśl przyjścia z pomocą niezamożnym mieszkańcom Warszawy, przyjętą zostanie z ogólném współczuciem przez wszystkie warstwy miejscowéj ludności, a w szczególności znajdzie skuteczne poparcie u zamożniejszych i oświeceńszych obywateli, znanych z chętnéj zawsze gotowości do ofiar na cele dobroczynne, zwracam się do Sz. Pana, w tém przekonaniu, iż nieodmówisz mi przyjęcia udziału w sprawie urzeczywistnienia dobréj myśli, i pośpieszysz z nadesłaniem na cel wskazany bądź ofiary jednorazowéj, bądź deklaracyi co do składki rocznéj, a w jednym i w drugim razie raczysz mnie Sz. Panie o tém powiadomić."

„Przy téj sposobności proszę przyjąć etc."

Komunikując obecnie powyższą odezwę do wiadomości publicznéj, aby jaknajszersze koło czytających, powiadomione o jéj treści i dążeniu, nieodmówiło również szlachetnego współudziału w niesieniu pomocy bliźnim drogą wyprobowanego już środka, uważam za stosowne dodać:

a) że projekt założenia w Warszawie stałego nocnego przytułku dla niesienia pomocy pozbawionym, zwłaszcza wśród zimy, schronienia, zupełnie biednym i mniéj zamożnym mieszkańcom, przyjęty w zasadzie przez Władzę Wyższą, jest już w głównym zarysie wygotowany;

b) że dla ostatecznego przejrzenia takowego i sporządzenia odpowiednich planów i kosztorysów wznieść się mającéj budowy. oraz dla wygotowania wniosków co do środków utrzymania zakładu, jego administracyi i kontroli oraz co do wewnętrznych przepisów, utworzonym będzie w czasie jak najkrótszym komitet z grona miejscowych obywateli;

c) że jakkolwiek wielu już mieszkańców pośpieszyło z gotowością uczestniczenia w pożytecznéj sprawie założenia przytułku, z pośród których najwybitniéj uwydatnia się dotąd wspaniałomyślna ofiara małżonków Feliksów Sobańskich (w kwocie Rsr. 1000)—to przecież fundusz potrzebny do urzeczywistnienia całkowitego projektu, o wiele jest jeszcze niewystarczający;

d) że zatém przypominając mieszkańcom miasta i kraju projektowany „Przytułek," a znając ich ofiarność zawsze i wszędzie gotową do usług publicznych, zawiadamiam: że u Kasyera Zarządu Warszawskiego Ober-Policmajstra zaprowadzoną została księga sznurowa, z któréj wydawane będą kwity na wszelkie w gotowiźnie składane ofiary, oraz, że tamże przyjmowane będą wszelkie od dobroczynnych ofiarodawców deklaracye, na dostarczyć się mające przez nich materyały do projektowanéj budowy, jakoto: cegłę, wapno, piasek, drzewo, metale i t. p.

Szanowną zaś Redakcyą, jako również dobrze znaną ze szczerych chęci służenia każdéj zacnéj sprawie, poważam się prosić o poparcie ze swéj strony i umożliwienie przyprowadzenia do skutku wyżéj przedstawionego projektu, o łaskawe wydrukowanie niniejszego komunikatu i przyjęcie wyrazów rzetelnego mojego szacunku.

Warszawa, 11 (23) Lutego 1883 r.

Orszaku Jego Cesarskiej Mości
Jenerał-Major

Buturlin.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Stycznia 1883 r.

1. **Pierwsza nauka z małémi dziećmi**. dla użytku szkół elementarnych i domowego zajęcia. Opracował (podług A. Diesterwega) *Antoni Celichowski*. Warszawa 1882. 8-o str. 145.
2. **Gość**. Kalendarz, *K. Promyka* na r. 1883.
3. **Kilka kwestyi spornych z zakresu prawa politycznego**, napisał dr. *Stanisław Starzyński*. Lwów 1882. 8-o str. 215.
4. **Rzeki i Jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznej**, dawnej Słowiańszczyzny części północno-zachodniej p. *W. K.* Warszawa 1883 8-o str. 125 (Cena mapy kop. 60 Cena tekstu kop. 75.)
5. **Monografija miasta Przemyśla**, napisał *Leon Hauser*, u braci Jeleniów 1883 8-o str. 274.
6. **Sewer**. **Walka o byt**. Powieść w dwóch tomach. Lwów. nakład K. Łukaszewicza. 1883.
7. **Noworocznik Warszawski** na r. 1883 pod redakcyą *Jakóba Goldszmita* Warszawa 1882 cena kop. 25.
8. **Słownik Łacińsko-Polski** do źródeł prawa rzymskiego, ułożony staraniem Prof. dr. *Teodora Dydyńskiego*, Warszawa 1883.(str. III i 731 cena 5 rs. skład główny u Gebethnera i Wolffa.
9. **O przyciąganiu się atomów i ruchu ich w cząstkach gazów** pp. *Edwarda i Władysława Natansonów* (odb. z pamięt. Akad. Um.) Kraków 1882 r.
10. **Wartość chemiczna i jej zmienność**, pp. *Edwarda i Władysława Natansonów*. (z Pamięt. Tow. nauk ścisłych w Paryżu T. XII r. 1880)

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1883.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku następnym 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donioslością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1883 г.